



Brett Battles

Czyściciel

Tytuł oryginału THE CLEANER

Mamie i Tacie

z powodów zarówno całkowicie, jak i mniej oczywistych

TLR

Rozdział 1

Denver to nie Hawaje. Nie było tu plaż, palm, bikini ani Maui, nie było *mai tai* ani tarasu jego ulubionej knajpki, gdzie by można powoli sączyć napój. Byli natomiast ludzie ubrani jak w epoce lodowcowej, ci z obsługi naziemnej kierujący samoloty na pasy do kołowania między długimi kurhanami świeżo odgarniętego śniegu. Bikini? Nie znalazłby żadnego w promieniu ośmiuset kilometrów. Co gorsza, chociaż kiedy wypuszczono ich z samolotu, była tu dopiero trzecia po południu, niebo pokrywała warstwa stalowoszarych chmur i zdawało się, że jest północ.

Koniec urlopu, definitywnie. Znowu do roboty.

Wysiadłszy z samolotu, Quinn ruszył w stronę wyjścia, ciągnąc za sobą małą walizkę, swój jedyny bagaż. Kilka kroków dalej był mały kiosk z prasą i słodyczami. Quinn przystanął i kupił kubek kawy, drogi jak jasna cholera.

Pociągnął łyk i rozejrzał się wokoło. Wszędzie ludzie, wszędzie ruch. Wchodzących do hali odlotów było tyle samo, ile wychodzących z hali przylotów. Typowe popołudnie na typowym międzynarodowym lotnisku.

Ale on nie szukał tu niczego typowego, a już na pewno nie typowych pasażerów. Dużo podróżował i z doświadczenia wiedział, że w miejscach takich jak to zawsze można wpaść na kogoś, na kogo wpaść się nie chce. Takie nieoczekiwane spotkanie to w tej branży minus, może niewielki, ale na pewno minus. Ale nie, nikt go chyba nie obserwował. Wypił łyk kawy i poszedł dalej.

Ale zamiast wyjść wraz z tłumem z terminalu, usiadł w fotelu pod rozdzielającym hale przepierzeniem, kilka kroków od kas i stanowisk odprawy biletowo-bagażowej.

Wyjął książkę *Na południe od granicy, na zachód od słońca* Haru-kiego Murakami i zaczął czytać od miejsca, gdzie przerwał lekturę. Skończył godzinę później i przez ten czas lotnisko przyjęło dwadzieścia dwa samoloty. Zamknął książkę i schował ją do walizki. Musiał zadzwonić, najwyższa pora.

- Miałeś przylecieć z samego rana - warknął rozdrażniony głos na drugim końcu linii.

- Wybiórcza pamięć, Peter - odparł Quinn. - Twoje słowa. Samochód już jest?

- Czeka od ósmej - syknął wściekle Peter. Powiedział, gdzie stoi i odłożył słuchawkę.

Okazało się, że jest to terenówka, niebieski ford explorer. Wyposażony w skórzane fotele, radio, odtwarzacz płyt kompaktowych i dwóch facetów, którzy nie uznali za konieczne, żeby się przedstawić. Quinn nazwał jednego Kierowcą, a drugiego Tym Drugim.

Gdy tylko wsiadł, Ten Drugi rzucił mu przez ramię dużą kopertę, taką z bąbelkami w środku. Miała trzydzieści centymetrów długości, dwadzieścia dwa i pół szerokości i ważyła z pół kilo. Quinn zaczął ją otwierać.

- Nie teraz - powiedział Kierowca, zerkając w górne lusterko.

- Dlaczego?

Ten Drugi odwrócił głowę.

- Dopiero, kiedy odjedziemy. Takie rozkazy.

Quinn przewrócił oczami i położył kopertę na siedzeniu obok.

- Jasne. Nie chcę, żebyście mieli kłopoty.

Przez godzinę jechali w zupełnym milczeniu. Miasto, przedmieścia, pogórze Gór Skalistych - było już ciemno i zaczynał być głodny. Ostatni posiłek jadł w samolocie, gdzieś nad Pacyfikiem, jeśli mało zachęcającego boeuf strogonowa można było nazwać posiłkiem. Ale nic to, twardo milczał. Gdyby wspomniał o tym choć słowem, tamci mogliby stwierdzić, że też są głodni. I - nie daj Boże - musiałyby jeść w ich towarzystwie.

Zamiast tego wyobraził sobie, że sosny, które mijali, są palmami, a szare, posepne niebo to zapowiedź zwykłej hawajskiej burzy. Ale po kilku minutach przestał i zapatrzył się w okno. Brudny śnieg na poboczu był kiepskim substytutem plaż Kaanapali.

Kierowca zjechał w końcu z międzystanówki na przecinającą czarne pustkowie dwupasmową asfaltówkę i trzy kilometry dalej skręcił w lewo, w drogę jeszcze węższą i zasypaną śniegiem. Sto metrów dalej, tuż pod gęstym lasem, na poboczu stał zielony ford taurus. Kierowca zatrzymał się za nim i wyłączył silnik. Quinn westchnął. Gdyby nie wiedział, o co chodzi, dałby głowę, że zaraz go odstrzelą. Opustoszała droga. Dwóch milczących bandziorów. Samochód na podmiankę. Klasyczny scenariusz.

Koniec gry, kolego. Dzięki, że zagrałeś, ale przegrałeś.

I chociaż nie musiał się niczym niepokoić, lekko zeszywniał, przygotowując się na najgorsze, tak na wszelki wypadek.

Kierowca i Ten Drugi bez słowa otworzyli drzwiczki i wysiedli. Do samochodu wpadł podmuch zimnego powietrza. Mężczyźni podeszli do taurusa i wsiedli. Chwilę później z rykiem ożył silnik. Nie czekając nawet, aż się trochę rozgrzeje, Kierowca szybko zawrócił, dodał gazu i samochód pojechał w kierunku międzystanówki.

Quinn cicho zachichotał. Te bzdury rodem z filmów „zabili go i uciekł” były nawet zabawne. Głupie, ale zabawne.

Wysiadł i zaszczekały mu zęby. Skórzana kurtka, którą się opatulił, prawie nie chroniła przed zimnem, ale kiedy przerwano mu egzotyczny urlop, nie miał przy sobie niczego cieplejszego.

Obiegł samochód i usiadł za kierownicą. Szybko zatrzasnął drzwiczki, odpalił silnik i podkręcił ogrzewanie. Postanowił, że zacznie od zakupów. Tak, kupi sobie zimową kurtkę, może nawet parę swetrów. I ciepłą bieliznę, koniecznie. Boże, jak on nienawidził takiej pogody.

Kiedy w samochodzie zrobiło się cieplej, sięgnął na tylne siedzenie po kopertę. Wysypał jej zawartość na fotel obok. Dwie mniejsze koperty, złożona mapa i trzy kartki papieru. Na dwóch skserowano wiadomość z gazety o pożarze na jakimś zadupiu. Spłonął dom, a wraz z nim ktoś, kto go wynajmował, niewymieniony z nazwiska mężczyzna.

Quinn podniósł trzecią kartkę. Instrukcje, polecenia i skąpy zarys sytuacji. Peter cedził informacje, jak zwykle. Mimo to było ich więcej niż w artykule.

Facet nazywał się Taggert, Robert Taggert. A on miał ustalić, czy pożar wybuchł przypadkiem - do takiego wniosku skłaniały się tamtejsze władze - czy też nie.

I tyle. Ani słowa o Taggercie. Ani słowa o tym, czego Quinn miałby tam szukać. Tylko adres - Allyson, Yancy Lane 215 - i nazwisko komendanta miejscowego posterunku policji. Na pierwszy rzut oka, betka, małe piwo. Peter nie miał żadnego powodu, żeby go tam wysyłać. Co oznaczało, że coś się pod tym kryje.

Quinn rozłożył mapę. Miejsce pożaru zaznaczono małym, czerwonym krzyżykiem. Allyson, co najmniej dwie godziny jazdy. Niech to szlag. Odłożył mapę i otworzył kopertę. Pięć patoli na koszty własne. Wystarczy na tydzień pod warunkiem, że nie trafi mu się nic nieoczekiwanego i kosztownego. Na trochę dłużej, jeśli nie będzie musiał nikogo przekupywać. A jeśli załatwi to w parę dni, wpadnie mu dodatkowa kasa.

W drugiej kopercie były dwa dokumenty, obydwie z jego zdjęciem. Wydane w Kolorado prawo jazdy i niezła podróbka legitymacji FBI. Udawał już agenta, ale dość dawno temu.

Ku swemu rozbawieniu przeczytał, że nazywa się teraz Frank Bennett. Peter miał świra na punkcie klasyków muzyki pop. Pewnie doszedł do wniosku, że „Tony Sinatra” za bardzo rzucałby się w oczy.

Odłożył papiery i sięgnął pod fotel, szukając czegoś, czego nie było w kopercie. Wyjął stamtąd miękką skórzaną saszetkę. Otworzył ją i zobaczył to, czego się spodziewał: sig sauera p226 kalibru dziewięć milimetrów i trzy pełne magazynki. To była jego ulubiona broń. Sięgnął pod fotel jeszcze raz i wyciągnął drugą saszetkę, z przykręcanym do lufy tłumikiem. Wiedział, że pozostałe rzeczy znajdzie w standardowym zestawie w bagażniku.

Pistolet, tłumik, zapasowe magazynki - włożył to wszystko do schowka na mapy i wrzucił bieg.

Rozdział 2

Śniadanie - jajecznicę z kielbaskami - zjadł w Holiday Inn w Allyson, gdzie spędził noc. Jadł samotnie w boksie, z miejscową gazetą obok talerza.

W gazecie roilo się od wiadomości, jakimi interesowała się każda małomiasteczkowa popołudniówka. W dziale międzynarodowym były dwie krótkie wzmianki, jedna o rosnących napięciach etnicznych w Europie, druga o chaosie w Somalii. W dziale krajowym artykuły były dłuższe, z odnośnikami kierującymi czytelnika na dalsze strony: o niedomagającym sędzim Sądu Najwyższego, o procesie oszustów z chicagowskiej korporacji przemysłowo-handlowej i o kwestiach, jakie może podnieść prezydent w orędziu o stanie państwa.

Ale większość pierwszej strony zajmowały wiadomości miejscowe. Wiadomości, a raczej jedna wiadomość. Pożar domu Farnhama. Był to ciąg dalszy tego, co Quinn przeczytał w samochodzie poprzedniego dnia. Artykuł nie zawierał niczego nowego. Przetwarzał stare informacje, ubierając je w nowe słówka, żeby podsyć ciekawość mieszkańców miasta. Śledztwo wykazało, że pożar wybuchł przypadkowo. Z winy wadliwych przewodów elektrycznych. W ogniu zginął wynajmujący dom turysta. I tyle. W tym wydaniu też nie wymieniono nazwiska Taggerta. Quinn uznał, że to trochę dziwne, lecz podejrzewał, że to sprawka Petera.

Tuż obok przeszła kelnerka z dzbankiem kawy. Przystanąła, gdy spostrzegła, co Quinn czyta.

- Straszne, prawda?

Quinn podniósł wzrok i zerknął na jej identyfikator. Miała na imię Mindy.

- Ten pożar?

- Tak. Biedny człowiek.

- Znała go pani?

- Nie. Ale mógł u nas jadać. Wielu turystów tu jada. Dolać?

- Poproszę. - Podsunął kubek. Mindy dołała mu kawy.

- Ciągłe się zastanawiam, czy miał rodzinę. Żonę. Dzieci. - Ciężko westchnęła. - Straszne.

- Fakt, straszne - odparł Quinn. Mindy pokręciła głową.

- Podobno spał, kiedy to się stało. Ot, miły facet na urlopie. Śpi sobie, śpi i nagle... nie żyje. - Ruszyła w stronę kasy, napełniając po drodze kubki.

Normalka, pomyślał Quinn. Normalka.

Posterunek policji mieścił się niecałe dwa kilometry od hotelu. Quinn miał porozmawiać z naczelnikiem, niejakim Johnsonem.

Pokazał dyżurnemu legitymację FBI, a ten natychmiast zaprowadził go do gabinetu szefa. Johnson wstał na powitanie.

Był wysoki. I kiedyś pewnie krzepki, ale teraz, po latach za biurkiem, nosił na brzuchu kilka zbędnych kilogramów. Miał zmęczoną twarz, worki pod ciemnymi oczami i wydatne, obwisłe policzki. Ale uśmiechał się szczerze i miał silny uścisk ręki. Quinn wziął to za znak, że stoi przed nim ktoś, kto lubi swoją pracę, chociaż ta nieźle daje mu w kość.

- Agent specjalny Bennert - powiedział Johnson. - Nigdy dotąd nie miałem do czynienia z FBI. Ale cóż, wygląda na to, że to dzień premier. - Wskazał mu krzesło naprzeciwko biurka.

Premier? - pomyślał Quinn. W liczbie mnogiej? Usiadł, zastanawiając się, co komendant miał na myśli, ale wiedział, że lepiej z tym poczekać.

- Co mogę dla pana zrobić? - Johnson też usiadł.

- Szczerze mówiąc - zaczął Quinn - sam nie wiem. Widzi pan, jestem tu nieoficjalnie.

Johnson przyjrzał mu się ciekawie.

- Nieoficjalnie?

- Tak, chodzi o ten pożar.

- U Farnhama. - Johnson kiwnął głową, jakby od początku się tego spodziewał.

- Właśnie. Chciałbym spytać pana o tego człowieka. O Roberta Taggerta.

Johnson milczał, wyraźnie zaskoczony, że Quinn zna to nazwisko.

Wreszcie spytał:

- Dlaczego się nim interesujecie?

- Taggart jest krewnym naszego kolegi z Waszyngtonu. Kogoś postawionego trochę wyżej niż ja. Ponieważ byłem akurat w okolicy, poproszono mnie, żebym wpadł tu i rozejrzał się. Ot tak, na wszelki wypadek, żeby uspokoić jego rodzinę. Bez obaw, panie naczelniku. Jestem pewien, że nad wszystkim pan panuje.

Johnson jakby się zawahał.

- To dlatego był tu z rana ten drugi? Teraz z kolei zawahał się Quinn.

- Ten drugi?

Naczelnik otworzył środkową szufladę biurka i wyjął z niej wizytówkę.

- „Nathan S. Driscoll. ATF, Biuro ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych”.

- Mogę zobaczyć? - poprosił Quinn.

Johnson wzruszył ramionami i podał mu wizytówkę.

- Z tymi z ATF też nigdy dotąd nie rozmawiałem - powiedział.

Wizytówka była wydrukowana na dobrym rządowym papierze i miała z boku wytłaczaną pieczęć.

- Nie znam go - odparł Quinn. - Ale całkiem możliwe, że przyjechał tu z tego samego powodu. Ten z Waszyngtonu musiał pociągnąć za wszystkie sznurki, może to jakiś desperat. - Zwrócił mu wizytówkę. - O której tu był?

- Agent Driscoll? Wyszedł niecałe pół godziny temu. Quinn zmusił się do uśmiechu.

- Mała powtórka z rozrywki, bardzo mi przykro. Johnson pokręcił głową.

- Nie ma sprawy. Ale tak jak powiedziałem pańskiemu koledze, właściwie nie ma o czym mówić. To był zwykły wypadek. I tyle.

- Tak, słyszałem. Ale dla Andersena, tego z Waszyngtonu, to za mało. Kiedy wie się tylko to, co można wyczytać w gazecie, chce się mieć pewność, że niczego nie przeoczono.

- Jeśli wyczytał o tym w gazecie, to skąd zna nazwisko ofiary?

- Dobre pytanie - odparł szczerze Quinn. - Nie mam zielonego pojęcia.

Naczelnik zmarszczył czoło.

- Może od siostry...

- Od siostry?

- Taggerta. Tylko ją zawiadomiliśmy. Quinn kiwnął głową.

- To by wszystko wyjaśniało. Ma pan coś jeszcze? Johnson wzruszył ramionami.

- Takie tam drobiazgi...

- Nigdy nie wiadomo, co może się przydać.

Naczelnik wziął cienką teczkę z wierzchu sterty papierów po prawej stronie biurka. Przez chwilę przeglądał jej zawartość, wreszcie uśmiechnął się bez przekonania.

- Niewiele tego. Wszystko wskazuje na to, że przyczyną pożaru było jakieś urządzenie elektryczne. Grzejnik albo coś takiego. Ogień wybuchł w saloniku. Taggert był wtedy w sypialni, na górze. Prawdopodobnie zaczął dziać i nie zdążył uciec. Zanim przyjechała straż, było już za późno. Wszystko doszczętnie spłonęło.

- Jak zidentyfikowaliście ciało?

- Sprawdziliśmy w agencji, która wynajmowała dom od Farnhama. Podpisując umowę, Taggert zostawił im numer awaryjny. Tak skontaktowaliśmy się z jego siostrą. Przyśleła nam rentgen jego zębów. Przyszedł następnego dnia. Wszystko pasowało.

- Tak z ciekawości - spytał Quinn. - Dlaczego nie ujawniliście jego nazwiska prasie?

- Siostra nie chciała. Taggert nie był stąd, więc się zgodziłem.

- Mógłby pan zapisać mi jej numer?

- Siostry? Ten wasz znajomy nie ma jej numeru? Skoro są spokrewnieni, powinien chyba mieć.

- Pewnie ma. Ale myśli pan, że mi go dał?

Johnson zawahał się, zerknął na akta, przerzucił kilka kartek, wreszcie znalazł to, czego szukał. Zapisał numer na kawałku papieru i podał go Quinnowi.

- Nic więcej nie wiem - powiedział. - To był zwykły wypadek. Takie rzeczy się zdarzają.

- Zrobiono sekcję zwłok? Naczelnik kiwnął głową.

- To standardowa procedura.
- Kto ją przeprowadzał?
- Doktor Horner. W naszym szpitalu.
- Mógłbym z nim porozmawiać?
- Oczywiście, chociaż nie sądzę, żeby powiedział panu coś więcej.
- Pewnie ma pan rację. Ale strzeżonego pan Bóg strzeże. Johnson wyjął kolejną karteczkę i coś na niej napisał.
- Podał karteczkę Quinnowi. Adres szpitala.
- Wielkie dzięki.
- Coś jeszcze? - spytał naczelnik.
- Nie, chyba nie. - Quinn wstał, wstał i Johnson. - Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym obejrzeć ten spalony dom. Skoro już tu jestem...
- Ależ proszę bardzo. Wie pan, gdzie to jest?
- Tak.
- Tylko niech pan tam uważa. Sprawa jest już prawie zamknięta, ale oficjalnie to wciąż miejsce potencjalnego przestępstwa.
- Quinn uścisnął mu rękę.
- Dziękuję. Bardzo mi pan pomógł.

Kiedy rozmawiał z Johnsonem, nad miasto nadciągnęła burza. Chmury były ciemne i niskie, ciężkie od wilgoci. Zanosiło się na tęgą śnieżycę. Musiał się pospieszyć, żeby obejrzeć zgliszcza, zanim śnieg zasypie ślady, dowody rzeczowe, jeśli jeszcze jakieś zostały.

Jadąc przez miasto, zadzwonił pod numer siostry Tag-gerta. Po czwartym sygnale włączyła się automatyczna sekretarka:

- Halo. Proszę zostawić wiadomość, oddzwonimy. Głos jakiejś kobiety, mdły i bezpłciowy. Sam tekst też był

żałośnie nijaki. Quinn nie znał mówiącej, ale dawał głowę, że nie jest to siostra Taggerta ani jego krewna.

Dom Farnhama znalazł bez trudu. Przed bramą stała tablica z napisem zakazującym wstępu osobom nieupoważnionym. Sznur, którym prawdopodobnie zagrodzono wjazd, leżał na ziemi, z boku.

Quinn skręcił na pokrytą ubitym śniegiem drogę. Przed zgliszczami domu stał biały džip cherokee. Quinn zaparkował kilka metrów dalej i rozejrzał się.

Przed pożarem dom musiał być spory, co najmniej piętrowy. Teraz stał tam tylko czarny od sadzy komin, wskazujący niebo kamienny komin i kilka nadpalonych ścian. Reszta zmieniła się w nierówną stertę gruzu i zwęglonych śmieci.

Było jasne, że strażacy niewiele mogli tu zrobić. Pewnie skupili się nie na tym, żeby pożar ugasić, tylko żeby go opanować. Chociaż w takich warunkach - kilkadziesiąt centymetrów śniegu na ziemi i trzy, najwyżej cztery stopnie Celsjusza - prawdopodobieństwo rozszerzenia się ognia graniczyło praktycznie z zerem.

Akcja ratownicza? - pomyślał Quinn. Raczej pieczenie mięska na ruszcie.

Zapiął kurtkę z termoaktywnego goreteksu, którą kupił poprzedniego wieczoru, i wysiadł z samochodu. Zdawało się, że to niemożliwe, ale chmury były teraz jeszcze ciemniejsze i cięższe niż przedtem. Lada chwila mógł sypnąć śnieg.

Najbardziej uderzyła go cisza. Nie słychać było dosłownie nic. Ani szumu samochodów na pobliskiej szosie. Ani stukotu siekiery sąsiada rąbiącego drewno na zimną noc. Ani krzyku bawiących się dzieci, ani szeptu rozmów. Nie było słychać nawet wiatru wiejącego między gałęziami drzew. Nawet chrzęst śniegu pod nogami i szmer jego własnego oddechu był stłumiony i odległy.

Wszędzie cisza, stężały bezruch. Poruszał się tylko on i rozkołysane chmury tańczące swój upiornie bezszelestny taniec.

Ale bodźców, których nie dostarczył zmysł słuchu, z naddatkiem dostarczyły pozostałe zmysły. W powietrzu wisiał smród spalenizny, zapach stopionego plastiku i śmierci. Jakby nie chciał stąd odejść, jakby objął we władanie całą okolicę. I ten smak w ustach. Cierpki, gryzący, na czubku języka i górnym podniebieniu.

Zaczął od dżipa. Przystanął i dotknął maski. Była jeszcze ciepła. Schował rękę do kieszeni i ruszył dalej.

Według Johnsona, strażacy twierdzili, że pożar wybuchł na dole, w saloniku. Odszukał miejsce, gdzie były kiedyś frontowe drzwi i krok dalej zobaczył wydeptaną w rumowisku ścieżkę.

Wszedł nią między zgliszcza. Tu i ówdzie widać było odskrobane drewno, świeżo oczyszczone miejsca, gdzie śledczy próbowali znaleźć źródło ognia. Wiedział, czego szuka, ale jak dotąd tego nie zauważył.

W głębi domu, tuż pod resztkami ściany, podłoga była oczyszczona trochę dokładniej. Pochylił się i przykucnął. Leżała tam gula stopionego plastiku, czarna, gruzłowata bryła. Mogło to być wszystko, stos płyt kompaktowych, lampa albo nawet grzejnik, o którym wspomniał naczelnik Johnson. Żeby to sprawdzić, trzeba by przeciąć bryłę na pół.

Wstał. Tak jak podejrzewał, niżej śladów ognia nie było. Nie miał żadnych wątpliwości, że pożar wybuchł w tym miejscu. Wyraźnie widział pręgi na ścianie, czarne jęzory, które najpierw strzelały na wszystkie strony, a potem pełzły do góry, w stronę sufitu. Nie widział jednak nic, co wskazywałoby jednoznacznie na przyczynę powstania ognia.

Według dokumentów z koperty od Petera sufit sypialni, w której zginął Taggart, zawalił się na pokój rodzinny w głębi domu. Quinn zawrócił, obszedł rumowisko i znalazł się na podwórku.

Na drugim końcu pogorzelniska dostrzegł pochylonego mężczyznę, który wpatrywał się w śnieg metr od spalonej ściany domu. Mężczyzna stał tyłem do niego, a na jego plecach widniały trzy duże litery: ATF.

Quinn przyjrzał mu się obojętnie i ponownie skupił uwagę na zgliszczach. Według jego obliczeń, stał ledwie cztery metry od miejsca, gdzie znaleziono Taggerta. Niestety, niewiele tam było do oglądania. Jedyнным rozpoznawalnym meblem była na wpół spalona toaletka, cała reszta zmieniła się w kolejną górę gruzu i śmieci.

Wypatrzył inną ścieżkę przez rumowisko; tę zrobiono bez wątpienia po to, żeby wynieść ciało. Ale nie wyglądała zapraszająco. Zresztą nie było

powodu, żeby tam szedł. Wszystkie użyteczne informacje zniszczył na pewno ogień.

Zamknął oczy, szukając wewnętrznego spokoju, i spróbował sobie wyobrazić, co się tu stało. Jeśli nie był to wypadek, ktoś chciał, żeby Taggart zginął. Skoro tak, to ten, kto podłożył ogień, chciałby się prawdopodobnie upewnić, czy z iskry rozgorzeje płomień. Zabójca-podpalacz - jak by to załatwił? Wszedłby do domu albo drzwiami, albo...

Quinn otworzył oczy i stanął tyłem do pogorzelniska. Śnieg na podwórku był mocno ubity, zdeptany, zapewne przez strażaków. Mniej więcej dziewięć metrów dalej śladów było dużo mniej, ledwie kilka, a trzy, cztery metry za nimi na zupełnie płaskim terenie leżał dziewiczy śnieg, pewnie od ostatniej zamieci. Teren ten ciągnął się mniej więcej przez trzydzieści metrów, aż do końca posesji, gdzie zaczynał się las, który, otulając polanę z trzech stron, podchodził pod sam dom.

I to właśnie tam, pod rzędem drzew po lewej stronie, Quinn coś zauważył. Małe wgłębienie w śniegu, może tylko od szyszki albo gałęzi. A może od czegoś innego.

Mężczyzna w kurtce ATF wyprostował się i odwrócił w jego stronę. Miał dwadzieścia kilka lat i był dobre dziesięć lat młodszy od niego. Młodszy i z pięć centymetrów wyższy, bo miał mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu i krótkie, choć nie za krótkie kasztanowe włosy. Zobaczył go, uśmiechnął się i ruszył w jego stronę.

- Wiedziałem, że tu będziesz - powiedział. - Zobacz, co znalazłem.

Pokazał mu srebrną bransoletę. Quinn wyjął rękę z kieszeni, ale zamiast wziąć bransoletę, chwycił go za nadgarstek i pociągnął do przodu. W ostatniej chwili zwolnił uścisk. Niesiony siłą rozpędu agent pochylił się mocno do przodu, a wtedy Quinn pchnął go w pierś. Agent natychmiast stracił równowagę i upadł.

- Co jest? - sapnął.

Ale Quinn zdążył się już odwrócić i odejść.

Rozdział 3

Szedł w kierunku zagłębienia w śniegu pod lasem. Agent wstał i pobiegł za nim.

- Czemu się tak wściekasz? Quinn przystanął.

- Co ty tu robisz, Nate?

- Jak to co? Przecież kazałeś mi przyjechać.

- Kazałem ci jechać do Kolorado. Nie mówiłem, żebyś przyjeżdżał na miejsce pożaru. A już na pewno nie kazałem ci iść na policję i podawać się za agenta ATF.

- Ale w czym problem? Pomyślałem, że to dobra okazja, żeby trochę poćwiczyć. Nic się nie stało.

Za ten ostami komentarz Quinn miał ochotę mu przyłożyć, a w każdym razie zrobić coś więcej, niż tylko znowu powalić na ziemię.

- Skąd wiesz? - spytał. - Skąd wiesz, że nic? A może Johnson siedzi teraz w biurze i zastanawia się, dlaczego jednego dnia odwiedziło go aż dwóch agentów federalnych i dlaczego obydwaj wypytywali go o zwykły, jego zdaniem, pożar. A może, łażąc tu jak głupi, zdeptałeś jakiś ważny ślad. Rozmawiałeś z kimś jeszcze?

Nate pokręcił głową.

- Nie. Tylko z Johnsonem.

- Daj tę bransoletkę.

- Co?

- Bransoletkę. To, co przed chwilą mi pokazywałeś.

- Aha, tak. - Nate spojrzał na swoją rękę. Była pusta. - Musiałem ją zgubić, kiedy mnie pop... - Ugryzł się w język. - Kiedy upadłem.

- Idź poszukaj.

Nate znalazł bransoletę i wrócił. Wyciągnął rękę i tym razem Quinn dał mu spokój.

Owinął bransoletkę wokół lewej dłoni, żeby ją obejrzeć. Składała się z masywnych kwadratów o boku długości nieco ponad centymetra, ozdobio-

nych jakimś wzorem. Kilka kwadratów było nadtopionych, ale pozostałe zachowały się w zadziwiająco dobrym stanie. Quinn schował bransoletę do kieszeni.

- Myślisz, że to... coś znaczy? - spytał Nate.

- Idź i zaczekaj w samochodzie.

- To jak mam się czegoś nauczyć? Quinn spojrzał mu w oczy.

- Dzisiejsza lekcja brzmi następująco: rób, co ci każe. Nate patrzył na niego przez chwilę i spuścił wzrok. Odwrócił się bez słowa i odszedł.

Quinn ruszył w stronę linii drzew na końcu posesji. Z nieba spadły pierwsze płatki śniegu.

- Wspaniale - mruknął pod nosem i przyspieszył kroku.

Doszedł do zagłębienia i przykucnął. Natychmiast poznał, że to nie szyszka ani złamana gałąź. To był ślad stopy. W dodatku nie jeden, a kilka. Wiedząc, czego szukać, dostrzegł teraz więcej zagłębień. Ciągnęły się wzdłuż linii drzew w kierunku posesji...

Albo w stronę lasu - początkowi nie mógł tego określić. Ale przyjrzał się uważniej i przekonał się, że ślady biegną tam i z powrotem. Ktoś podszedł pod dom, a potem po tych samych śladach wrócił do lasu. W dodatku mógł tak chodzić kilka razy. On, ona albo nawet kilka osób, trudno było powiedzieć. Ale na pewno byli w butach śniegowych. Najprawdopodobniej w so-relach.

Kiedy szedł wzdłuż śladów, zostawiając obok nich swoje, powietrze zgęstniało od płatków śniegu. Ale ślady były dość głębokie i wiedział, że minie trochę czasu, zanim zupełnie znikną.

Sto metrów od domu intruz ukrył się za sosnami. Może szedł w kierunku domu, może w stronę lasu. Przystanął i potupał nogami, pewnie po to, żeby się ogrzać.

- A więc to stąd obserwowałeś dom - mruknął pod nosem Quinn, obrażając sobie tę scenę. - Chciałeś sprawdzić, czy dobrze się pali...

Tylko po co wróciłeś?

Bo teraz, kiedy mógł lepiej przyjrzeć się zagłębieniom, odkrył, że ślady, te na samym wierzchu, na pewno zawracają do domu.

Dlaczego? Próbował znaleźć jakieś sensowne wytłumaczenie, ale nie potrafił. Postanowił nie zawracać sobie tym głowy, przynajmniej chwilowo, i ruszył w głąb lasu.

Natychmiast zauważył, że ślady biegnące między drzewami są trochę inne. Że się na siebie nie nakładają. Że są to pojedyncze ślady zmierzające w kierunku posesji.

Dobra, pomyślał. A więc ktoś zakrada się do domu od strony lasu. Podkłada ogień. Wraca do lasu. Staje za drzewami i sprawdza, czy dom się zajmie. A potem?

Jedynym logicznym wytłumaczeniem było to, że pożar jednak nie wybuchł. Albo...

Albo że ktoś się tam nagle pojawił, co mogło pokrzyżować podpalaczowi plany.

Sęk w tym, że w zgliszczach znaleziono tylko jedno ciało. Roberta Taggerta. Na podstawie śladów Quinn mógł ustalić jedynie to, że podpalacz - zabójca nie uciekł z miejsca przestępstwa tą samą drogą, jaką tam przybył.

Siedział za kierownicą eksplorera parkującego przed domem Farnhama. Rozmawiał przez komórkę z Peterem, szefem agencji, którą zwano po prostu Biurem.

- To na pewno nie wypadek.
- Świadczenie? - spytał Peter.
- Wygląda na to, że nie ma.
- Jedyną ofiarą był Taggert?
- Tak. Chyba że coś przede mną zataiłeś.
- Nie. - Quinn wyczuł, że Peter kłamie. - Naczelnik powiedział coś jeszcze?
- Owszem, wspomniał o czymś, o czym nie wiedziałem.
- To znaczy?
- Podobno rozmawiali z kimś, kto podawał się za siostrę Taggerta. Wiesz coś o tym?
- Zamknij sprawę i przyślij mi raport - warknął Peter, ignorując pytanie.

- Nie interesuje cię przyczyna śmierci?

- Nie. Dowiedziałeś się wszystkiego, co chcieliśmy wiedzieć.

- Peter, co ty zrobiłeś? Żeby go sprzątnąć, wynająłeś kogoś, komu nie ufasz? I teraz martwisz się, że może coś spieprzył?

W słuchawce zapadła cisza. Ale trwała tylko chwilę.

- Nie zabiliśmy Taggerta. Martwy na nic by nam się nie przydał.

- Kim on był?

- Nie musisz wiedzieć.

- Dobra, twoja wola. Do wieczora powinienem skończyć. Rano dostaniesz raport. - Quinn zrobił pauzę. - Chcę sprawdzić jeszcze kilka rzeczy.

Peter jakby się zawahał.

- Jakich rzeczy?

- Nie ma samochodu. Ani wzmianki o samochodzie w policyjnym raporcie. Taggert nie mógł przyjść tu na piechotę.

- Może przyjechał taksówką?

- Ale potem potrzebowałby własnego wozu. Peter znowu zamilkł.

Wreszcie powiedział:

- Cadillac.

- Co cadillac?

- Jeździł białym cadillakiem.

- Dzięki. To mi pomoże.

- Pewnie rąbnął go ten podpalacz. Już dawno go tam nie ma.

Quinn myślał podobnie. Ale nie zaszkodziło sprawdzić. Uznał jednak za dziwne, że Peter kazał mu tak szybko zamknąć sprawę.

- Co jeszcze?

- He?

- Powiedziałeś „kilka rzeczy”.

- To tylko taki zwrot retoryczny - zełgał Quinn.

- Przykro mi - powiedział naczelnik Johnson. - Strażacy nie widzieli tam żadnego samochodu. Nie powinno było to nam umknąć. Nie zamierzam ni-

kogo przeproszać. Jest nas mało i niewielu ginie tu w ten sposób. Ale tak, powinienem był to zauważyć.

- Niech pan się nie martwi - rzucił do słuchawki Quinn. - Mógł go podwieźć znajomy. A może po prostu przyjechał taksówką.

- Możliwe - odparł Johnson. - Sprawdzę.

- Może jego siostra będzie coś wiedziała - zasugerował Quinn z nadzieją, że opóźni policyjne poszukiwania do czasu, aż sam się rozejrzy. - Może przynajmniej wie, czym jeździł.

- Dobry pomysł. Zadzwoń do niej.

- Proszę mnie zawiadomić, jeśli czegoś się pan dowie. - Quinn poprosił go o przefaksowanie końcowego raportu i podał mu numer telefonu z przekierowaniem na skrzynkę mailową. Pożegnał się, schował komórkę i wysiadł z samochodu.

Śnieg wciąż padał, miarowo, choć nie tak intensywnie jak przedtem. Po lewej otworzyły się i zamknęły drzwiczki dżipa. Chwilę później podszedł do niego Nate.

Stali obok siebie, patrząc na zgliszcza domu Farnhama i wsłuchując się w ciszę, którą burzył tylko ich własny oddech.

- Znalazłeś coś? - spytał parę minut później Nate. Quinn długo nie odpowiadał.

- Co ci kazałem zrobić, kiedy do ciebie zadzwoniłem? - Pytanie było ciche i spokojne.

- Wiem. Zawaliłem. Miałem czekać w hotelu.

- Dlaczego zawaliłeś? Nate lekko się zawahał.

- Bo... bo mogłem wszystko spieprzyć?

Quinn spojrzał na niego i wciąż spokojnie odparł:

- Nie. Bo kazałem ci czekać.

- Przepraszam.

- Przepraszam? Mówiłem ci, gdzie można za to skończyć.

Nate spuścił wzrok, podniósł głowę i wyrecytował:

- Za „przepraszam” można skończyć w grobie. Quinn odwrócił się bez słowa i zaczął przeszukiwać parking. Nate szedł kilka kroków za nim, też bez słowa.

Quinn nie robił sobie wielkich nadziei. Wiedział, że koleiny, których nie zasypał śnieg, zostały zatarte przez pojazdy straży pożarnej. Opuścił sobie już po kilku minutach. Jeśli Taggart jeździł cadillakiem, po samochodzie nie pozostał najmniejszy ślad.

Skoro tu go nie ma, to gdzie może być?

Quinn zapatrzył się w dal. Jeśli Peter miał rację, porzucony wóz stał teraz pewnie na jakimś przypadkowo wybranym parkingu setki kilometrów stąd. Ale istniała też inna możliwość. Im dłużej ją rozważał, tym bardziej zdawała się prawdopodobna.

Wsiadł do samochodu, odpalił silnik i skręcił w Yancy lane. Zerknąwszy w górne lusterko, zobaczył, że Nate jedzie za nim. Przynajmniej tego nie musiał mu mówić.

Wyjął telefon i zadzwonił do biura numerów.

Rozdział 4

Wiedział, że jeśli zabójca nie uciekł cadillakiem, musiał wybrać inny środek transportu, coś, czym mógłby wydostać się z miasta szybciej niż samochodem. Skoro tak, wystarczyło sprawdzić tylko jedno miejsce. Miejscowe lotnisko.

No i proszę, był tam: biały cadillac, jeden z późniejszych modeli. Stał na końcu niemal zupełnie pustego parkingu, dlatego łatwo się było domyślić, że lotnisko jest zamknięte z powodu nadciągającej śnieżycy. Zamknięte i małe, bo mogło przyjąć najwyżej kilka samolotów dziennie, głównie prywatnych.

Quinn zaparkował obok cadillaca. Nate obok niego. Nikt ich nie widział, a nawet gdyby, było wątpliwe, żeby podszedł i spytał, co tu robią. Nie w taką pogodę.

Quinn wysiadł i podszedł do cadillaca.

- Czyj to? - spytał Nate, stając obok niego.

- Nieważne.

Quinn sprawdził drzwiczki. Zamknięte. Wrócił do samochodu i wyjął z przybornika długi, elastyczny płaskownik, prosty na odcinku długości mniej więcej trzydziestu centymetrów, a na końcu pofalowany jak wykres EKG i haczykowato zakrzywiony.

Podał go Nate'owi.

- Otwórz - powiedział, wskazując drzwiczki.

Nate uśmiechnął się i wsunął płaskownik między szybę i uszczelkę. Trzydzieści sekund później zamek puścił i drzwiczki się otworzyły.

- Lepiej niż przedtem - pochwalił go Quinn. - Ale wciąż kiepsko. Musisz zejść poniżej pięciu sekund. Każdy wóz i każdy model. Inaczej możesz zgiąć.

Nate nie przestawał się uśmiechać.

- Ale było lepiej.

Quinn pokręcił głową z cieniem uśmiechu na ustach.

- Trochę.

W samochodzie panował porządek, choć daleki od ideału. Istniało prawdopodobieństwo, że zabójca Taggerta pracował na własną rękę, tak jak on, i że nie brał udziału w żadnej większej akcji. W takiej sytuacji, jeśli nie kazało mu przeszukać samochodu, to go pewnie nie przeszukał. Po co marnować czas na coś, za co mu nie płacono?

Quinn otworzył schowek na mapy. W środku znalazł nieużywany podręcznik obsługi, książkę przeglądów, kilka map, jednorazowy aparat fotograficzny w plastikowym opakowaniu, dowód rejestracyjny, umowę wynajmu - a więc jednak nie był to samochód Taggerta - kosztowne okulary przeciwsłoneczne Ray-Bana i dwa nabite magazynki. Okulary zostawił, ale magazynki i umowę schował do kieszeni.

Potem zajrzał na półkę pod deską rozdzielczą z nadzieją, że znajdzie tam pistolet. Ale półka była pusta.

Nate wciąż stał przy drzwiczkach. Quinn zerknął przez ramię.

- Otworzę bagażnik. - Wyjął z kieszeni magazynki. - Szukamy pistoletu. Dziewiątki glocka.

- Dobra.

Quinn pociągnął za dźwignię i zajrzał za fotele. Nie zdążył się nawet wyprostować, kiedy usłyszał kroki wracającego Nate'a. Spojrzał na drzwiczki.

- Co jest?

- Sam zobacz.

Quinn trochę się zirytował, lecz bez słowa poszedł z nim na tył samochodu.

- Nie żyje - powiedział Nate. Zupełnie niepotrzebnie.

Większą część bagażnika zajmowały zwłoki kobiety, szczelnie owinięte srebrzystą taśmą izolacyjną. Nie cuchnęły tylko dlatego, że było zimno.

Quinn prawie natychmiast ją rozpoznał. Oklejona taśmą czy nie, wiedział, że to ona. Jills. Zawsze uczynna, zawsze pomocna, zawsze uśmiechnięta Jills. Czasem jego współpracownica, czasem współniczka. Cmoknął językiem. Teraz już wiedział, po co podpalacz wrócił do domu. Taggert nie był sam.

Jills. Nie miał pojęcia, czy to imię, czy nazwisko. W tej branży nikt o takie rzeczy nie pytał. Ale prawdopodobnie miała na imię zupełnie inaczej. Tak jak Peter nie miał na imię Peter. I tak jak on nie nazywał się Jonathan Quinn.

Była głównie kurierką, chociaż słyszał, że ostatnio pracowała i w terenie. Ale nie z nim.

Praca operacyjna to niebezpieczny sposób na życie. Dlatego wolał swoją. Nikt nie zawracał sobie głowy facetem, który przychodził po fakcie, może trochę węsząc, ale i czyszcząc teren ku zadowoleniu miejscowych. W świecie niezależnego szpiegostwa zajęcie to należało do najmniej ryzykownych. Owszem, bywało groźnie, ale Quinn nie miał zwykle kłopotów z zaśnięciem.

To pewnie dlatego, pomyślał, patrząc na zwłoki. To pewnie dlatego Peter spytał, czy Taggert był jedyną ofiarą. Dlaczego nie powiedział, że brała w tym udział, co mu to szkodziło?

Jedno było pewne. Czekало go jednak poważne sprzątnięcie. Mimo wszystko.

- To na pewno ona? - spytał Peter.

Dochodziło południe. Quinn stał przy oknie w motelu. Był sam. Padał śnieg i nie zanosilo się, że szybko przestanie. Bojąc się, że drogi do Denver będą przez kilka godzin nieprzejezdne, posłał Nate'a po rzeczy. Swoje już spakował, czekały w samochodzie.

- Na sto procent - odparł. - Pobito ją i zamordowano. Peter zamilkł.

- Zająłeś się tym? - spytał po chwili.

- Tak. - Quinn zadzwonił do Denver, do czyściciela, z którego pomocy korzystał już przedtem. Wiedział, że za kilka godzin Jills i cadillac po prostu znikną. Jej prochy miały zostać wysłane do Biura, ale postanowił nie mówić tego Peterowi.

- A miejscowa policja?

- Niczego nie podejrzewają. Przypuszczam, że siostra Tnggorta wpuściła ich w maliny z tym samochodem.

Peter nie połknął haczyka.

- To dobrze. - Powiedział tylko tyle.
- Co Jills tam robiła? Pracowała dla niego czy dla ciebie?
- Skąd mam wiedzieć? - Odpowiedź była za bardzo przećwiczona.
- A więc to nie była wasza operacja?
- Nigdy tak nie twierdziłem.

Dlaczego Peter tak bardzo chciał go wykiwać?

- Taggert to też nie wy?
- To też nie my - powtórzył jak echo Peter.

To przeważyło. Peter kłamał. Gdyby nie kłamał, w ogóle nie odpowiadałby na pytania. Coś tu się działo.

- Zaraz wyjeżdżam - powiedział Quinn. - Po powrocie wyślę ci raport.
- Bądź w kontakcie. Kroj się coś nowego.
- Jeśli nic mi nie wyskoczy, możemy pogadać.

Rozdział 5

Peter był upierdliwy. Od zawsze. Ale zapewniał mu stałe źródło dochodów i rzadko kiedy wyklócał się o stawki. A ponieważ Quinn nie wybierał się na wcześniejszą emeryturę, w zupełności mu to wystarczyło. Już dawno uznał, że stałe, dobrze płatne zlecenia rekompensują irytację, która wiązała się z pracą dla Biura.

Sęk w tym, że pracując dla Biura, przestał pracować dla innych. Wcale tego nie planował, tak jakoś wyszło. Nie miał pojęcia, czy Peter zdaje sobie z tego sprawę, czy nie. Tak czy inaczej, nic mu było do tego, więc Quinn nigdy mu o tym nie wspominał. Im mniej wiedzano o jego życiu, tym lepiej.

Ale to samo można by powiedzieć o stanie jego wiedzy. Jediną rzeczą, za którą dawał głowę, było to, że Biuro ma siedzibę gdzieś w stolicy, nic więcej. Przyparty do muru zaryzykowałby twierdzenie, że jest to potajemnie finansowana agencja rządowa, może współpracująca z Biurem Bezpieczeństwa Narodowego, może z wywiadem wojskowym. Ale nie był tego pewny. I, szczerze mówiąc, zupełnie go to nie obchodziło.

Co wcale nie znaczyło, że nie miał zasad. Uważał się za patriotę, choć patriotę nieco zmęczonego i zobojętniałego. Gdyby jednak uznał, że robi coś, co mogłoby zaszkodzić jego krajowi, bez wahania by z tego zrezygnował. W Biurze mu się to nie zdarzyło, przynajmniej jak dotąd. I wiedział, że dopóki się nie zdarzy, będzie brał od nich i zlecenia, i pieniądze.

Jego standardowa stawka wynosiła trzydzieści tysięcy tygodniowo za minimum dwa tygodnie pracy, bez względu na to, czy wykonanie zadania zajęło mu czternaście dni, czy mniej. Brał średnio jedną fuchę miesięcznie. Co znaczyło, że nie licząc premii, zarabiał prawie siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Z premiami bez trudu zgarniał dwa razy tyle. Niezła robota - wystarczyło tylko taką znaleźć.

Wyjechali zaraz po powrocie Nate'a. Ale zamiast na międzystanówkę, Quinn skręcił w kierunku śródmieścia.

- Myślałem, że wracamy - powiedział Nate.

- Najpierw muszę gdzieś wpaść.

Dla Petera sprawa Taggerta była zamknięta. Ale Quinn pracował inaczej. Jeśli uznał, że ten czy tamten wątek śledztwa nie jest dostatecznie wyjaśniony, drażył dalej, aż do skutku. Nigdy nie zostawiał rozbabraney roboty. A skoro Peter nie chciał o tym wiedzieć, jego problem.

Szpital mieścił się niecałe dwa kilometry od posterunku policji. W porównaniu z innymi ośrodkami medycznymi był bardzo mały, nawet jak na podlegający mu rejon. Zbudowany z szarego kamienia miał tylko jedno piętro i zajmował całą długość bocznej uliczki.

Quinn zaparkował na prawie pustym parkingu dla gości. Nate natychmiast rozpiął pas i sięgnął do klamki.

- A ty dokąd? - spytał Quinn.

- Nie chcesz, żebym z tobą poszedł? Quinn lekko się zawahał.

- Pójdiesz pod warunkiem, że nie piśniesz ani słowa. Jasne?

Nate uśmiechnął się i kiwnął głową.

Recepcjonistka w holu głównym powiedziała, że doktor Horner jest w kostnicy. Tu też śmierć została relegowana do podziemi. Typowe. Zeszli schodami na dół i spytali o drogę przechodzącą pielęgniarkę. Ta wskazała drzwi do małego pokoju w połowie korytarza. Zastali tam mężczyznę w wieku czterdziestu kilku lat, rosłego, choć nie tęgiego, studenckiego sportowca, który trochę znie-dołęzniał. Siedział przy biurku i rozmawiał przez telefon. Na niebieskim identyfikatorze na piersi miał wypisane: Dr Shaun S. Horner.

- Nie sądzę - mówił do słuchawki.

Powitał ich skinieniem głowy i wskazał krzesło, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że jest ich dwóch. Usiadł tylko Quinn.

- Nie, nie. Zatrzymanie akcji serca... Nie, szanowna pani. Nie było innych przyczyn. Bardzo mi przykro. Nie, nic więcej. Dobrze. Dziękuję.

Horner odłożył słuchawkę.

- Babka z ubezpieczeń. Pewnie szukają pretekstu, żeby nie wypłacić odszkodowania.

- Chyba będą musieli - odparł Quinn.

- Mogę im powiedzieć to, co wiem, ale nie to, czego nie wiem. - Horner wyciągnął do niego rękę. - Shaun Horner.

- Frank Bennett - odparł Quinn. Spojrzał przez ramię na Nate'a. - A to jest... - Urwał. - Agent Driscoll.

- Tak myślałem. Naczelnik Johnson uprzedził mnie, że możecie wpaść. Co mogę dla was zrobić, panie Bennett?

- Agencje specjalny Bennett.

- Słusznie. Przepraszam. Quinn uśmiechnął się szeroko.

- Chodzi o pożar domu Farnhama.

Kostnica była dwoje drzwi dalej. Też mała, mieściło się tam tylko dwie szuflady na zwłoki i jeden stół sekcyjny.

- Rzadko kiedy mamy tu więcej niż trzy, cztery ciała -mówił Horner. - Raz miałem sześć. To mój rekord.

- Ile ma pan teraz? - spytał Quinn.

- Tylko dwa. Tego waszego i kobietę z drugiego końca doliny. Poślizgnęła się i upadła na własnym ganku.

Horner podszedł do chłodni pod ścianą.

- Miał pan tu już ofiary pożaru?

- Kilka. I wolałbym więcej nie mieć. To niezbyt przyjemny widok.

Nie pytając, czy są gotowi, Horner wyciągnął szufladę. Ciało, a raczej to, co z niego zostało, leżało na długiej tacy. Była to zbita, zwęglona masa. Quinn ani drgnął, ale Nate odszedł na bok, dławiąc się i krztusząc.

- Źle się pan czuje? - spytał Horner.

- To jego pierwszy raz - wyjaśnił Quinn.

- Nie, nie, wszystko w porządku - mruknął Nate, choć było widać, że zbiera mu się na wymioty.

- Może wyjdzie pan na powietrze? - zaproponował Horner.

Nate pokręcił głową i stanął przy stole.

Taggert leżał na plecach z rękami i nogami podgiętymi do góry w pozycji bokerskiej typowej dla większości ofiar ognia. Jego ciało było miejscami zupełnie spalone i zapadnięte tam, gdzie mięśnie i narządy wewnętrzne ugotowały się i skurczyły.

- Uduszenie? - spytał Quinn. Horner jakby się zawahał.

- Właściwie to nie.

- Nie?

- Dym prawie nie uszkodził płuc. Dla pewności wysłałem próbkę tkanki do Denver.

Quinn odnotował to w pamięci. Próbka musiała zaginać.

- Jeśli nie uduszenie, to co? Horner wzruszył ramionami.

- Moim zdaniem, kiedy zobaczył, że dom się pali, wpadł w panikę, potknął się i uderzył w coś głową. W nogę łóżka, w stolik...

- Ma uraz czaszki? - spytał Nate. Quinn zerknął na niego bez słowa.

- Tak - odparł Horner. - Mogło do tego dojść po zawaleniu się domu. Chociaż wątpię.

- Dlaczego?

- Wokół rany było dużo krwi. Ponieważ miał czyste płuca, jestem pewien, że kiedy dom się zawalił, nasz pan Taggert już nie żył.

- Nie uważa pan, że to dość nietypowe?

- Nie, bynajmniej - odparł Horner. - Zważywszy na okoliczności, oczywiście. Pewnie był przerażony. Wszystko się wokół niego paliło. Ludzie ogarnięci paniką popełniają błędy. - Spojrzał na Quinna. - Jeśli pyta pan, czy ktoś mógł go uderzyć, powiedziałbym, że to możliwe, ale mało prawdopodobne. Takie rzeczy się tu nie zdarzają, nie w Allyson. Za dużo czasu spędza pan w wielkich miastach.

- Przepraszam - powiedział Nate, kiedy ruszyli. - Ale nie mogłem się powstrzymać. Przecież to ewidentne morderstwo.

Quinn zjechał do krawężnika.

- Dlaczego? - spytał.

- Pęknięta czaszka. To go zabiło. Ktoś przyłożył mu w głowę.
- A więc to rana głowy jest dowodem morderstwa?
- Oczywiście - odparł Nate, choć z mniejszą pewnością siebie.
- Nie mogło być tak, jak mówi Horner?
- Ze Taggert spanikował i uderzył się? Jasne, że mogło. Ale to mało prawdopodobne.

Quinn patrzył na niego przez chwilę, potem spojrział przed siebie i wrzucił bieg.

- No co? - spytał Nate.

Quinn milczał. Taggerta rzeczywiście zamordowano i dowody na to widzieli obydwaj w kostnicy. Ale to nie uraz czaszki doprowadził Quinna do tego wniosku.

Domyślił się, co się stało, kiedy tylko zobaczył zwłoki. Uwzględniając wywołany przez gorąco przykurcz kończyn, ciało Taggerta zastygło w ogniu w takiej pozycji, w jakiej pochłonęły je płomienie. Gdyby zadusił go dym, byłoby zwinięte w klasycznej postawie obronnej. Nawet gdyby zginął od urazu czaszki, było zupełnie nieprawdopodobne, toby ułożyło się tak zgrabnie.

I na pewno się nie ułożyło. Nie samo. Ktoś chciał im podpowiedzieć, że było to morderstwo.

Przejechali przez miasto i zaparkowali przy Lake Avenue. Quinn z ulgą zobaczył w oknie napis: „Otwarte”. Spojrzął na Nate'a.

- Zostajesz.

Nate nie zaprotestował. Quinn zapiął kurtkę i wysiadł.

Dom był stary, parterowy, przerobiony na biuro. Na ścianie obok drzwi wisiała tablica: „Goose Valley. Nieruchomości i Wynajem Domów Letniskowych”. Quinn wszedł na kryty taras i otrzepał kurtkę ze śniegu. Otworzył drzwi.

Pokój od frontu był kiedyś wygodnym salonem, ale teraz upchnięto tam trzy biurka, kilka półek i rząd czarnych metalowych szafek na dokumenty. W tle sączyła się z radia stara piosenka Neila Diamonda. Na ceglany kominku trzaskał ogień.

Zajęte było tylko jedno biurko, to przy kominku. Siedziała tam czterdziestokilkuletnia kobieta o sięgających ramion jasnych, matowych włosach. Była w eleganckim niebieskim kostiumie. Uśmiechnęła się szeroko na jego widok.

- Dzień dobry - powiedziała. - Nie spodziewałam się dzisiaj nikogo.

Quinn roześmiał się przyjaźnie i podszedł bliżej.

- Tak, pogoda zupełnie zwariowała. Ale proszę się nie martwić. Ja tylko na chwilę.

- Słyszałam, że do jutra ma napadać sześćdziesiąt centymetrów śniegu. - Kobieta wyciągnęła do niego rękę. - Ann Henderson.

Uściskał jej dłoń.

- Frank Bennett.

- Proszę, niech pan usiądzie. - Wskazała krzesło i usiadli. - Z czym pan do mnie przychodzi?

Quinn pokazał jej legitymację.

- FBI? - spytała zmieszana. - Czy coś się stało? Z uśmiechem pokręcił głową.

- Nie, po prostu miałem nadzieję, że mi pani pomoże.

- Oczywiście, ale w czym?

- Chodzi o pożar domu Farnhama. Ann spoważniała.

- Prawdziwa tragedia. Straszne. - Pytająco przekrzywiła głowę. - Ale mówią, że to był wypadek.

- Na to wygląda.

- W takim razie dlaczego się tym interesujecie?

- Szczerze mówiąc, jestem tu nieoficjalnie. Pan Tag-gert był krewnym naszego kolegi. Przyjechałem tu na jego prośbę.

Ann wyraźnie się odprężyła.

- To przykre. Pan Taggert był takim miłym człowiekiem.

- Znała go pani?

- Niezupełnie. Rozmawiałam z nim tylko dwa razy. Kiedy zadzwonił do mnie w sprawie wynajmu i kiedy wpadł podpisać umowę i wziąć klucz.

- Właśnie dlatego do pani wstąpiłem, po tę umowę. Kolega prosił mnie o kopię.

Ann odchyliła się do tyłu.

- Po co mu umowa?

- Po nic. Jest po prostu skrupulatny, to wszystko.

- Chce mnie podać do sądu? Quinn roześmiał się dobrodusznie.

- Ależ skąd. Rodzina chce mieć to już za sobą. Pomagam im zakończyć tę sprawę, żeby mogli żyć dalej. Gwarantuję, że żadnego pozwu nie będzie.

Ann ulżyło jeszcze wyraźniej niż przedtem.

- W takim razie nie widzę problemu.

Wstała i podeszła do szafki. Otworzyła trzecią szufladę od góry i zaczęła przeglądać dokumenty. Po chwili wyjęła cienką, żółtą teczkę.

- Zaraz wracam. Kopiarka jest na zapleczu.

- Mógłbym najpierw zerknąć? Może nie warto zawracać sobie głowy.

- Oczywiście.

Podawała mu teczkę. Były w niej tylko dwie kartki. Na wierzchu leżała standardowa umowa wynajmu. Wynikało z niej, że Taggert mieszkał w Campobello w Nevadzie. Quinn nigdy nie słyszał o Campobello, ale przecież nie mógł znać wszystkich miast w Nevadzie. Zresztą adres i tak był pewnie fałszywy. W rubryce: „Kontakt awaryjny” napisano: „Siostra”. Był tam również numer telefonu, ten sam, który dał mu naczelnik Johnson.

- A więc to od pani policja ma numer jej telefonu.

- Tak. Pan Taggert nie chciał mi go początkowo dać. Musiałam obiecać, że zadzwonię do niej tylko w razie absolutnej konieczności.

Quinn kiwnął głową i przeniósł wzrok na umowę. Zawierała tylko podstawowe informacje, nic, co mogłoby mu się przydać. Spojrzał na drugą kartkę. Była to kserokopia prawa jazdy wystawionego w Nevadzie. Robert William Taggert. Ważność dokumentu wygasła 22 listopada następnego roku. Zdjęcie było ziarniste, lecz rozpoznawalne. Przedstawiało dobijającego sześćdziesiątki mężczyznę o krótkich włosach i szczupłej, zniszczonej twarzy.

- To pan Taggert? Ann zerknęła na zdjęcie.

- Tak.
- Mogłaby pani skserować i to?
- Nie ma pan jego zdjęcia? Quinn pokręcił głową.
- Nie dali mi - odparł zgodnie z prawdą. - Nikt o tym nie pomyślał.
Ann wzruszyła ramionami.
- Niech pan weźmie to. Na ksero wyjdą same smugi.
- Dzięki. - Ostrożnie złożył kartkę, żeby nie pozaginać zdjęcia, i schował ją do kieszeni.

Zdążyli do Denver w sam raz na wieczorny samolot do Los Angeles. Podczas gdy Nate siedział ściśnięty jak sardynka w tylnej części kabiny, on odpoczywał wygodnie przy kieliszku chablis w pierwszej klasie. Godzinę po starcie wyjął komputer i napisał raport.

Całość miała tylko jedną stronę. Lubił pisać krótko i treściwie.

- Fakty. Same fakty - powiedział kiedyś Durrie, jego nauczyciel i mentor.
- Za to nigdy cię nie opieprzą. Zapomnij o opiniach, ozdobnikach i dupere-lach. Nikt nie chce tego czytać. A jeśli spotkasz kogoś, kto chce, nie warto dla niego pracować.

Dobra rada, ale minęło sporo czasu, zanim Quinn wcielił ją w życie. Kiedy zaczynał pracować jako czyściciel, wiedział, że ma tylko przekazać zle-ceniodawcy to, co zebrał, i ruszać dalej. Ciekawość była źle widziana. I właśnie to go frustrowało. Bo zawsze dręczyło go mnóstwo pytań.

- Kurwa mać, po co ci to? - spytał go raz Durrie, kiedy Quinn chciał cią-gnąć prawie zamknięte śledztwo.

- Bo to jakieś takie... niedokończone - odparł Quinn. -Choć raz chciałbym wiedzieć, o co chodzi.

- O co chodzi? - powtórzył Durrie. - Chcesz wiedzieć, o co tu chodzi? Dobrze. Powiem ci. Widzisz tego faceta?

Stali w niebrukowanym zaułku w południowej dzielnicy Tijuany. Było dobrze po północy. Parę metrów dalej leżał na ziemi trup mężczyzny pod trzydziestkę.

- Widzę - oparł Quinn.

- To goniec. No wiesz, kurier. Ale równie dobrze mógł być czyścicielem.
- Takim jak my?
- Takim jak ja. Ty jesteś tylko uczniem. Praktykantem. I jeśli tak dalej pójdzie, nie dożyjesz końca roku.
- Jestem ostrożny - bronił się Quinn.
- Nie jesteś. Co gorsza, nawet o tym nie wiesz. Quinn milczał. Stężała mu twarz.
- Chcesz wiedzieć, o co tu chodzi, chłopcze? - ciągnął

Durrie. Wskazał martwego kuriera. - O to. Im więcej wiesz, tym większe prawdopodobieństwo, że skończysz tak jak on. Przychodzimy i robimy to, o co nas proszono: zbieramy informacje. I w razie potrzeby trochę czyścimy teren. A potem spadamy. Na tym polega nasza praca. - Spojrzał Quinnowi prosto w oczy. - Zabij tę ciekawość, chłopcze. Dla swego własnego dobra. Mojego też. Bo dopóki nie zaczniesz pracować na własną rękę, będę odpowiedzialny za wszystkie twoje wpadki.

Lekcja dotarła do niego dopiero pół roku później, kiedy omal go nie postrzelono. Mimo to nie wyzbył się do końca silnego głodu wiedzy. Później zdał sobie sprawę, że wbrew temu, co mówił Durrie, ciekawość jest ważną częścią ich pracy. Musiał się tylko nauczyć, jak nad nią panować. Czytając raport o śmierci Taggerta, wiedział, że jest w nim wiele dziur. Bo kto podłożył ogień? Co robiła tam Jills? I wreszcie, kim, do diabła, był Taggert? Pytania te nie dawały mu spokoju, choć wiedział, że prawdopodobnie nigdy nie pozna odpowiedzi.

Pozostałe informacje, te, które zdołał zebrać i zamieścić w raporcie, przekazał już Peterowi przez telefon. Nie wspomniał tylko o wizycie w kostnicy i w agencji wynajmu domów letniskowych. Ale wizyty te potwierdziły jedynie to, co już wiedział, czyli tyle, co nic. No, może z wyjątkiem próbki tkanki płucnej, o czym napomknął naczelnik Johnson.

Dopiero kiedy wyłączył komputer, przypomniało mu się, że nie napisał o czymś jeszcze: o srebrnej bransoletce, którą Nate znalazł w spalonym domu Farnhama. Początkowo myślał, że to tylko zwykła bransoleta, ale w świetle tego, że znaleźli tam również Jill, może się jednak mylił.

Rozdział 6

Na lotnisku kazał Nate'owi przyjechać do swojego domu za dwie godziny, żeby wszystko dokładnie omówić, i rozdzielili się. Przed spotkaniem chciał spokojnie zjeść kolację. Sam.

Z parkingu dla VIP-ów odebrał samochód, czarny kabriolet BMW M3, który zostawił tam przed wylotem na urlop. Przejazd przez miasto zajął mu trochę więcej czasu, niżby chciał, ale i tak dotarł na miejsce w miarę szybko. Smak Syjamu przy Bulwarze Zachodzącego Słońca w Hollywood nie należał do największych ani do najpopularniejszych tajskich restauracji w Los Angeles, ale on bardzo ten lokal lubił. Jego stolik był wolny, więc usiadł i zamówił *pad kee mao* z kurczakiem, a do tego jak zwykle piwo syngaleskie.

Od czasu do czasu obok stolika przystawała któraś z kelnerek, żeby się z nim przywitać. Uśmiechały się, mówiły, jak to miło znowu go widzieć i pytały, dlaczego tak dawno u nich nie był. Za każdym razem dziękował, tłumaczył, że musiał wyjechać i obiecywał, że niedługo zajrzy do nich ponownie.

Przed paroma laty zrobił jednej z nich przysługę. Otóż przyczepił się do niej „wielbiciel”, który wmówił sobie, że dziewczyna czuje do niego to samo, co on do niej. Chodził za nią dzień i noc. Kiedyś wróciła do domu i zastała go w kuchni: robił dla niej kolację. Dowiedziawszy się o sprawie, Quinn odbył z nim rozmowę i przekonał go, że są lepsze sposoby na spędzanie wolnego czasu. Od tamtej pory nie było już żadnych kłopotów.

Chociaż kelnerka, której pomógł, wróciła w końcu do Tajlandii, pozostała część personelu nie zapomniała, że jej pomógł. Zawsze go chętnie witali i nigdy nie musiał płacić za posiłek. Była to jedna z żelaznych zasad Durriego, którą świadomie złamał: „Nigdy nie wykorzystuj swych umiejętności, żeby pomóc autsajderowi”. „Autsajderowi”, czyli komuś spoza branży albo komuś niezwiązanemu bezpośrednio z wykonywanym zadaniem. Według

teorii Durriego, gdy się to robi, ujawnia się swój słaby punkt i przeciwnik może to wykorzystać.

Dlatego chociaż Smaki Syjamu bardzo go kusiły, starał się bywać tam jak najrzadziej. Ale czasem nie mógł po prostu wytrzymać. Jedzenie zawsze było świetne, a kelnerki miłe dla oka.

Czekając, wyjął z kieszeni bransoletkę, którą Nate znalazł w Kolorado. Tak jak zauważył już wcześniej, była to w zasadzie pętla z metalowych kwadracików, połączonych haczykami z cieniutkiego drutu, dzięki czemu całość była bardzo elastyczna. Na każdym kwadraciku wyryto inny wzór. Teraz miał więcej czasu i przyjrząwszy im się dokładniej, uznał, że przypominają herby rodowe. Ale nawet jeśli rzeczywiście były herbami, to żadnego z nich nie znał. Kwadraciki, dość solidne, miały trzy, może nawet cztery milimetry grubości.

Początkowo myślał, że wszystkie są zrobione z litego metalu, ale na bocznej ściance tego najbliższej klamerki odkrył cieniutką, ledwo widoczną rysę. Plater? Zanim zdążył to sprawdzić, kelnerka przyniosła jedzenie. Schował bransoletkę do kieszeni, żeby zbadać ją później.

Jedzenie było jak zawsze pyszne - tego mu było trzeba. Kiedy poprosił o rachunek, dostał uśmiech i standardowe: „Na koszt firmy”. Zostawił na stole dwadzieścia dolarów napiwku i wyszedł.

Dzięki swojej pracy mógłby zamieszkać praktycznie w każdym zakątku kuli ziemskiej. Po długim namyśle wybrał Los Angeles. Lokalizacja była optymalna. Z tamtejszego lotniska mógł dostać się prawie wszędzie, w dodatku szybko, co w jego fachu miało zasadnicze znaczenie. Poza tym pogoda. Ciepło, niska wilgotność. Mało owadów. I brak śniegu. Podstawa jego życia osobistego.

Urodził się w Warroad w Minnesocie, miasteczku nad brzegiem Lake of the Woods, o rzut kamieniem od granicy kanadyjskiej. W porywach parę tysięcy mieszkańców walczących albo z upałem i hordami komarów - latem - albo z mrozem i śniegiem zimą. Parę tysięcy mieszkańców i wszyscy wdzięczni Bogu za to, że nie muszą mieszkać w wielkim mieście.

Wszyscy poza nim. Kiedy tylko mógł, natychmiast się stamtąd wyniósł. Teraz jego domem była Kalifornia.

Mieszkał w Hollywood Hills, przy spokojnej, krętej ulicy wysoko nad chaosem kotliny Los Angeles. Dom stał na zboczu wzgórza, za wysokim kamiennym murem ze stalową bramą. Podjechawszy bliżej, zobaczył czekającego przy niej Nate'a.

Jedno musiał mu oddać: chłopak nigdy się nie spóźniał. Był nadgorliwy, może trochę nieokrzesany, ale zawsze punktualny.

Nacisnął guzik pilota pod deską rozdzielczą i zaczekał, aż brama się rozsunie. Kiedy otworzyła się na szerokość wozu, wjechał na podjazd. Zerknął w górne lustro i gdy upewnił się, że Nate idzie za nim, zamknął pilotem bramę.

Wysiadł i wyjął walizkę z bagażnika.

- Masz. Ponieś. - Podał mu walizkę i wszedł na schody.

- Napijesz się czegoś? - spytał, otwierając drzwi.

- Chętnie.

- Jadłeś?

Nate pokręcił głową.

- Zdążyłem tylko zostawić torbę w domu. Miałem coś do załatwienia.

- W kredensie powinna być puszka zupy. Jeśli nie, masz pecha.

Quinn przekroczył próg i przystanął przy centralce systemu alarmowego tuż za drzwiami. Przytknął kciuk lewej ręki do ekranu dotykowego monitora i wystukał kod. On i Nate byli jedynymi ludźmi, których system rozpoznawał.

Chwilę później rozległy się dwa ciche piski, co oznaczało, że alarm jest wyłączony. Nate wszedł do środka.

Chcąc sprawdzić, czy podczas jego nieobecności nie działo się nic podejrzanego, Quinn otworzył komputerowe menu i przejrzał ostatnie raporty. Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, przełączył system na „Czowanie”. Liczba obecnych: dwóch. Dzięki temu alarm mógł wciąż działać, uwzględniając obecność jego i Nate'a.

- I jak ci smakowało tajskie jedzenie? - spytał Nate.

- Podobno miałeś coś do załatwienia.

- Bo miałem.

- Aha, postanowiłeś mnie śledzić, tak?

- Chciałem trochę poćwiczyć. - Zadowolony Nate z trudem ukrył lekki uśmiezek. - Początkowo myślałem, że mnie namierzyłeś. Bo nie pojechałeś prosto do restauracji. Ale kiedy przestałeś kluczyć, dotarło do mnie, że jednak mnie nie zauważyłeś. - W jego głosie zabrzmiała triumfalna nutka.

- Co ci powiedziałem o śledzeniu kogoś w dużym mieście?

Uśmiech na twarzy Nate'a trochę zbladł.

- Że to łatwe. Dużo samochodów. Można się dobrze ukryć.

- Zwłaszcza wieczorem, tak?

- Tak.

- Więc jakiej wprawy potrzebowałby ktoś, żeby mnie śledzić?

Nate wzruszył ramionami.

- Chyba niewielkiej.

- A jakiej potrzebowałbym ja, żeby cię wypatrzeć?

- Cholernie dużej - przyznał Nate.

- Chcesz się sprawdzić, to spróbuj kiedyś śledzić mnie o trzeciej nad ranem. - Quinn zrobił pauzę. - Poza tym przez cały czas jechałeś co najmniej trzy samochody za mną. Granatowym nissanem altimą.

Nate wytrzeszczył oczy.

- Z arizońskimi tablicami rejestracyjnymi. Jak chcesz, podam ci numer. - Teraz to Quinn się uśmiechnął. - To co, napijemy się czegoś?

Nate wytrzeszczył oczy jeszcze bardziej.

- Wiedziałeś, że za tobą jadę?

- Mógłbyś nadać za rozmową? Czego się napijesz?

- Eee... Może szkockiej z wodą? Quinn przyjrzał mu się ciekawie.

- To dla emerytów. Od kiedy to pijesz? Nate pokręcił głową.

- Nigdy nie piłem.

- To dlaczego chcesz zacząć?

- Widziałem, jak piją to w telewizji. Chciałem spróbować.
- Spróbujesz na swoje sześćdziesiąte urodziny. Zrobię ci *mai tai*.
- Tego też nie piłem - odparł z ulgą Nate.

Quinn podszedł do wbudowanego w ścianę barku przy dużym kamiennym kominku w lewej części salonu i zaczął przygotowywać drinki.

- Jak myślisz, jaki był twój największy błąd? - spytał.
- Kiedy cię śledziłem?
- W Kolorado. W którym momencie najbardziej spieprzyłeś?
- Aha. Chyba wtedy, kiedy poszedłem na policję.
- Ciepło, ale nie, ten błąd był trochę mniejszy, Strzelaj dalej.
- Kiedy nie zrobiłem tego, co mi kazałeś?
- Parzy, ale to też nie to. Nate zamilkł.
- W takim razie nie wiem.

Quinn wyszedł zza lady z dwoma drinkami. Podszedł do niego i podał mu szklankę.

- Jakiego nazwiska tam używałeś? Nate uciekł wzrokiem w bok.
- Nathan Driscoll. Wiem, już nic nie mów. Nigdy nie używaj nawet części własnego nazwiska.
- To bardzo prosta zasada.
- Nie chciałem się pomylić. Poza tym użyłem tylko imienia.
- To wystarczy. - Quinn pociągnął łyk drinka. - Pomylić się w Kolorado czy dziesięć lat później dać się zabić w St. Petersburgu, bo ktoś skojarzył cię z nazwiskiem, które podałeś naczelnikowi policji: na jedno wychodzi, prawda? - Szyderczym gestem uniósł kieliszek jak do toastu. - Oby ten błąd nie odbił ci się czkawką.

W chwili kupna jego dom był studwunastometrową ruiną. Po wszystkich odbudowach i przebudowach miał prawie dwukrotnie większą powierzchnię i zupełnie nie przypominał oryginalnego.

Parter, wielka, otwarta przestrzeń zajmująca prawie całą szerokość domu, był na poziomie ulicy. Murki, półki na książki i meble dzieliły go na jadalnię, salon, gabinet i kuchnię. Całkowicie odosobniona była tylko łazienka.

Biuro i trzy sypialnie mieściły się na dole, poniżej poziomu ulicy, jedno pomieszczenie nad drugim, zgodnie z nachyleniem zbocza.

Dom był ciepły i przytulny, głównie dzięki dużej ilości ładnie wyeksponowanego drewna. Nate powiedział kiedyś, że przypomina mu wiejską chatę na wzgórzu. Obraz ten za bardzo kojarzył się Quinnowi z jego rodzinnymi stronami. Wolał porównywać dom z wygodnym domem w stylu alpejskim.

Ze szklanką w ręku przeszedł przez salon i rozsunął kotary na tylnej ścianie.

- Ten widok nigdy nie przestanie mnie zachwycać - powiedział Nate.

Prawie cała ściana była ze szkła. Nate miał rację, widok był rzeczywiście oszałamiający. Jak okiem sięgnąć, wszędzie, w całej kotlinie, rozlewało się morze światła. Najbliżej był Sunset Strip. Dalej Century City, a bardziej na prawo ziała ciemna pustka Pacyfiku.

- To była udana wyprawa - powiedział Quinn. - Dla ciebie. Jeśli jesteś bystry, dużo się nauczyłeś.

Nate już miał pociągnąć łyk drinka, gdy nagle opuścił rękę.

- Jestem bystry.

- Udowodnij.

- Nigdy nie używaj swego prawdziwego nazwiska ani imienia. Nigdy się nie odzywaj, chyba że za przyzwoleniem. Nigdy nie chodź bez nadzoru na miejsce akcji. - Chwilę milczał i dodał: - Nigdy nie okazuj inicjatywy, chyba że ty mi każesz.

- Bardzo dobrze. Fakt, jesteś bystry. Pewnego dnia będziesz mógł okazywać tyle inicjatywy, ile tylko zechcesz. Pewnego dnia od tego będzie zależało twoje życie. Ale teraz?

- Teraz życie twoje i moje zależy od tego, co postanowisz - odparł Nate, recytując starą maksymę, którą Quinn wbijał mu do głowy od pierwszego dnia szkolenia.

Zanim Quinn zdążył to skomentować, zadzwoniła komórka. Zerknął na zegarek. Dochodziła północ. Podeszedł do stołu i podniósł telefon.

- Halo?

- Jesteś mi potrzebny. - Dzwonił Peter. - Tutaj, w Waszyngtonie.

- Do późna pracujesz.

- Szykuje się duża operacja i wygląda na to, że możesz nam się przydać. To priorytetowa sprawa.

- Ma coś wspólnego z naszym przyjacielem z Kolorado?

- W tej chwili nie powinno cię to obchodzić. Wprowadzę cię, kiedy przyjedziesz. Zarezerwowałem ci bilet na samolot o siódmej rano. Szczegóły masz w e-mailu.

- Chyba coś przeoczyliśmy. Ja u was nie pracuję. Najpierw musisz mnie poprosić. Złożyć mi propozycję, tak się to nazywa.

- Technicznie rzecz biorąc, twój kontrakt jeszcze nie wygasł.

Quinn zmrużył oczy. Peter pił do dwutygodniowego minimum na zlecenie w sprawie Taggerta, które Quinn załatwił w dwa dni. Ale według niepisanej umowy, której jak dotąd zawsze przestrzegali, minimum to dotyczyło tylko jednego, konkretnego zadania. Peter wyraźnie przeginał.

Biorąc jego milczenie za znak zgody, Peter dodał:

- Do zobaczenia jutro. - I zakończył rozmowę.

- Co jest? - spytał Nate, kiedy Quinn odłożył komórkę.

Wyjaśnił mu, o co chodzi i doszedł do wniosku, że powinien jednak definitywnie rozważyć, czy warto pracować dla jednego klienta.

- I co? - spytał Nate. - Polecisz?

- Tak. - Quinn dopił drinka. - Polecę. - Zerknął na Nate'a, który uśmiechał się lekko, wyczuwając irytację szefa. - A ty odwieziesz mnie na lotnisko.

- No co ty? - Nate przestał się uśmiechać. - Chcę do domu i spać.

- Prześpisz się na sofie. Wyjeżdżamy o piątej.

Pogrążony w nicości Quinn poczuł, że ktoś nim potrząsa. Potrząsaniu towarzyszył głos.

- Obudź się. Wstawaj.

Momentalnie ocknął się i usiadł. Przy łóżku stał Nate.

- Co się stało?

- Przed chwilą włączył się alarm - odparł szeptem spięty Nate. - Ktoś jest pod domem.

Alarm? Quinn powinien był to usłyszeć. W sypialni miał drugą centralkę.

Wstał i podszedł do panelu. Błyskało na nim czerwone światelko. Dopiero teraz zrozumiał, że dziwne pulsowanie, które od jakiegoś czasu rozrywało mu głowę, nie było zwykłym pulsowaniem. Był to cichy sygnał alarmowy. W Kolorado źle spał, zmęczyło go śledztwo i długa podróż. Dotarłszy do domu, zasnął tak głęboko, że niczego nie słyszał. Tracisz czujność, człowieku, pomyślał. Tracisz czujność.

- Sprawdziłeś monitor na górze? Nate kiwnął głową.

- „Intruz: tylne ogrodzenie”. Taki napis się wyświetlił. Skierowałem tam kamerę, ale nic nie widać. Może to kot?

- Wątpię - odparł Quinn. System zaprogramowano tak, że ignorował obiekty tej wielkości. - Która godzina?

- Prawie trzecia.

Quinn musiał pójść na górę i rzucić okiem na ekran monitora. Już od dawna chciał zainstalować dodatkowy monitor tutaj, w sypialni, ale nie mógł się do tego zabrać.

- Masz broń? - spytał.

Nate podniósł prawą rękę. Ścisnął w niej walthera p99 kalibru dziewięć milimetrów. Broń Quinna, sig sauer p226, leżała w sejfie w salonie.

Włożył czarne spodnie od dresu, które zawsze trzymał na komodzie, i pobiegł na górę. Na szczycie schodów przystanął i wyteżył słuch.

Cisza.

Mrok rozpraszało tylko słabe, migotliwe światło telewizora i księżycowa poświata wlewająca się do salonu przez czarne okna. Nie licząc tego, parter domu tonął w ciemności.

Quinn podszedł na palcach do centralki przy drzwiach i kciukiem lewej ręki dotknął prawego górnego rogu ekranu. Ekran ożył. Najpierw alarm. Szybko go wyłączył. Potem przejrzał zdjęcia z kamer monitorujących teren działki. Na podwórzu nikogo nie było, ani pod ścianą domu, ani pod ogro-

dzeniem. Gdyby ktoś przez nie przeskokzył, komputer zarejestrowałby to na twardym dysku. W razie potrzeby Quinn mógł sprawdzić to później.

Nate spoglądał mu przez ramię.

- Może to jednak kot? - rzucił.

- Może.

Quinn przełączył się na obraz od frontu i lekko postukał w ekran, robiąc najazd na dom. Potem zaczął przesuwac kamerę od lewej do prawej, bardzo powoli, tak żeby niczego nie przeoczyć. Pokonawszy mniej więcej dwie trzecie odległości, zatrzymał obraz i zmrużył oczy.

- To nie kot.

Na tarasie pod oknem łazienki ktoś był. Nate zaczął coś mówić, ale Quinn przytknął palec do ust. Łazienka była tuż za rogiem. I choć to mało prawdopodobne, tamten mógł ich usłyszeć. Quinn szybko sprawdził pozostałe kamery, żeby upewnić się, czy intruz jest sam. Gdy okazało się, że tak jest, wrócił do obrazu z kamery od frontu. Tamten nie drgnął z miejsca.

Gestem ręki Quinn poprosił Nate'a o pistolet. Nie musiał wyjmować z sejfku sauera, wystarczył walther. Nate podał mu broń.

- Tłumik?

Nate kiwnął głową i podbiegł do sofy, gdzie zostawił skórzaną kurtkę. Z kieszeni wyjął długi, cylindryczny tłumik. Podał go Quinnowi, a on nakręcił go na lufę walthera.

Potem nachylił się ku Nate'owi i szepnął:

- Zostań tu. Kiedy usłyszysz pojedyncze pukanie do frontowych drzwi, wpuść mnie.

- A jeśli on dopadnie cię pierwszy?

Quinn łypnął na niego spode łba i powtórzył:

- Kiedy usłyszysz pojedyncze pukanie do drzwi, wpuść mnie. Jasne?

Nate kiwnął głową.

- Jasne.

Rozdział 7

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że z domu można wyjść tylko frontowymi drzwiami albo przez garaż, duży, bo aż na trzy samochody. Ale w zachodniej ścianie było ukryte jeszcze jedno wyjście. Quinn nazywał je „lukiem awaryjnym”. Małe drzwiczki, które niemal idealnie wtapiały się w tynk i kamienie, zamontował własnoręcznie, ale korzystał z nich pierwszy raz.

Otworzyły się do wewnątrz na dobrze naoliwionych zawiasach. Quinn znieruchomiał i wyteńczył słuch. Cisza. Wyszedł na dwór i zanurzył się w mrok.

Skradając się jak kot, doszedł do końca ściany domu. Ostrożnie wyjrzał zza rogu.

Intruz wciąż był na tarasie, ale nie klęczał już pod oknem łazienki. Przesunął się w stronę drzwi, bliżej okna do przedpokoju. Ale ponieważ drewniane okiennice były zamknięte, nie mógł zajrzeć do środka.

Quinn już miał wyjść zza rogu, gdy niechciany gość wyjął z płóciennej torby coś, co wyglądało jak małe, czarne pudełko. Quinn znieruchomiał. Intruz delikatnie przytknął pudełko do okna. Gdy przyłgnęło do szyby, wyjął z kieszeni słuchawkę i podłączył ją do pudełka. Drugą końcówkę wetknął sobie do ucha.

To nie jest przypadkowy włamywacz, pomyślał Quinn. To zawodowiec.

Widywał już takie pudełka. Co więcej, sam takie miał. Było to tak zwane echo, urządzenie podsłuchowe wzmacniające dźwięki dochodzące z obserwowanego budynku. Do szyby mocowało się je specjalną przyssawką. Wychwytowało niemal każde wypowiedziane w środku słowo.

Quinn, nisko pochylony, skreślił na podjazd, gdzie stało jego bmw. Nie zbliżył się do sukinsyna, ale zaszedł go przynajmniej od tyłu. Sprawdzał, czy tłumik jest dobrze przykręcony, i ruszył w stronę domu.

Intruz wyjął słuchawkę z ucha i ponownie sięgnął do torby. Quinn szedł bezszelestnie przed siebie i zatrzymał się niecałe dwa metry od niego.

- Odłóż to - powiedział cicho i spokojnie. Mężczyzna zamarł i opuścił ręce. W lewej trzymał coś,

co przypominało sznur. Quinn natychmiast to rozpoznał: lont wybuchowy. Nie wiedział, co tamten knuł, ale nie było wątpliwości, po co się tu zakradł.

- Rzuć to.

Mężczyzna rzucił lont na ziemię.

- Odwróć się i wstań. Tylko powoli. Z rękami w górze. Wypełnił polecenie. Szczupły i dobrze umięśniony miał

sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Nie mógł ważyć więcej jak sześćdziesiąt osiem kilo. Był ubrany na czarno. Nawet twarz miał wysmarowaną czymś czarnym i lepkiem jak tłuszcz czy pasta do butów.

- Pięć kroków - powiedział Quinn. - Dwa od okna, trzy w stronę drzwi.

Mężczyzna zrobił, co mu kazano. Jak dotąd był posłuszny. Nie spuszczając go z oczu, Quinn podszedł bliżej.

- Stań tyłem do mnie.

Kiedy intruz się odwrócił, Quinn szybkim pchnięciem między łopatki rzucił go na ścianę domu. Ze względu na kąt nachylenia ciała prawie cały ciężar mężczyzny spoczywał teraz na rękach, co uniemożliwiało mu obronę.

Quinn szybko go obszukał. W kaburze pod pachą znalazł glocka, w skórzanej pochwie na pasku prawie osiemnasto-centymetrowej długości nóż bojowy Ka-Bar. Zabrał mu to i zapukał do drzwi.

Nate otworzył niemal natychmiast.

- Cholera, co się z tobą... - Urwał i wybałuszył oczy.

- Ręce do tyłu - rozkazał Quinn. - Wchodzimy.

- Do kuchni - warknął, gdy znaleźli się w środku.

Nate ruszył przodem. Mijając salon, Quinn rzucił na sofę Glocka i nóż.

Kuchnia była prawdziwym dziełem sztuki: piękne drewno, nierdzewna stal, jasnobrązowa hiszpańska terakota na podłodze. Przestronna, funkcjonalna, z dużym, półokrągłym blatem pośrodku przypominała kuchnię, jakie widuje się w kolorowych czasopismach. Po prawej stronie była wnęka jadalna z dziewiętnastowiecznym stołem i eklektycznymi krzesłami. Nate wysunął jedno i Quinn pchnął na nie nocnego gościa.

- Zapal światło.

Nate podszedł do ściany i trzasnął włącznikiem. Dopiero teraz Quinn mógł się przyjrzeć swojemu więźniowi. Mimo czernidła na twarzy od razu go rozpoznał, i to bez specjalnego zdziwienia.

- Się masz, Gibson.

- Witaj- odparł tamten. - Jak leci? Quinn sięgnął po papierowy ręcznik.

- Trzymaj. - Rzucił mu rolkę. - Zetrzyj to świństwo z twarzy.

Gibson uśmiechnął się łagodnie, lecz ani drgnął. Rolka odbiła się miękko od jego kolan i spadła na podłogę.

- Jak chcesz - mruknął Quinn. Wyjął z lodówki butelkę wody i ponownie skupił na nim uwagę. - Co tu robisz?

- Nudziło mi się.

- I postanowiłeś do mnie wpaść?

- Właśnie. Czemu nie?

- Nie wiedziałem, że znasz mój adres.

- Zajrzałem do książki telefonicznej. Quinn uśmiechnął się i wypił łyk wody.

- Kto cię nasłał? Gibson cicho prychnął.

- Już ci mówię.

Quinn spokojnie podniósł pistolet i wycelował w jego głowę.

- Kto cię nasłał?

- Śmiało. Pociągnij za spust. Zabijesz mnie i robotę dokończy ktoś inny.

Quinn celował w niego jeszcze przez chwilę, a potem, wciąż z uśmiechem na twarzy i palcem na osłonie spustu, opuścił rękę.

- Chcesz powiedzieć, że jest na mnie kontrakt? Gibson tylko wzruszył ramionami.

- Kto go wystawił?

- Nie powiedziałbym ci, nawet gdybym wiedział -odparł Gibson. - Ale nie wiem. W tej sytuacji to chyba nieważne, prawda?

Quinn spojrzał na Nate'a.

- Pamiętasz, jak dzwoni się do Petera? Nate kiwnął głową.

- Zadzwoń. Komórka jest w salonie. Spytaj, czy może tu kogoś przysłać. Najlepiej kogoś stąd. Nie chcę, żeby ten dupek siedział w moim domu dłużej, niż to konieczne.

Nate już się odwracał, gdy wtem Gibson odezwał się ponownie.

- Peter jest pewnie bardzo zajęty. Nate lekko się zawahał.

- Idź - powiedział Quinn. - I spojrzał na Gibsona. -Nigdy cię nie lubiłem.

- Nie widzę powodu, dla którego miałyby mi na tym zależeć.

- No właśnie, w tym cały problem. - Quinn pociągnął długi łyk wody i postawił butelkę na blacie. - Powiadają, że coraz częściej zawałasz. Coś w tym chyba jest.

- Wal się - syknął Gibson.

- Nawet prosta solówka ci nie wychodzi. Gibson zmarszczył czoło.

- Wiem, co robię.

- Tak? Skoro jesteś taki dobry, to czemu dałeś się złapać?

- Siedzę w tym prawie tak długo jak ty. Gdybym nie wiedział, co robię, już dawno bym nie żył.

- Zważywszy na okoliczności, powiedziałbym, że głupi ma szczęście.

W sąsiednim pokoju Nate rozmawiał z kimś przez komórkę. Po chwili wrócił do kuchni.

- No i? - spytał Quinn.

Nate spojrzał na Gibsona, potem na niego.

- Peter nie może podejść do telefonu.

- A nie mówiłem? - rzucił Gibson. Teraz się uśmiechał.

Quinn spojrzał na niego i warknął:

- Pytałem cię o coś? Gibson wzruszył ramionami.

- To się zamknij. - Quinn przeniósł wzrok na Nate'a. -Z kim rozmawiałeś?

- Z Misty. - Misty była główną asystentką Petera.

- Powiedziałeś jej, o co chodzi?

- Próbowałem, ale nie dała mi dojść do słowa.

- A więc nikt nie przyjedzie? Nate pokręcił głową.

Quinn zamknął oczy, żeby spokojnie pomyśleć. Po chwili otworzył je i podał mu pistolet.

- Nie pozwól mu się poruszyć. Jeśli choćby drgnie, zastrzel go.

Nate zostawił komórkę na podłokietniku sofy. Quinn podniósł ją i naciśnął guzik ponownego wybierania. Misty odebrała piętnaście sekund później.

- Tak?

- Mówi Quinn.

- Peter nie ma teraz czasu. Trochę się tu porobiło.

- Tu też.

Misty westchnęła.

- Co się dzieje?

- Nie licząc tego, że ktoś próbuje mnie zabić?

- Ciebie też?

- Jak to „też”?

- Zaczekaj - powiedziała szybko Misty. - Zobaczą, może Peter jednak pojejdzie.

Zanim podszedł, minęła prawie minuta. Podniósł słuchawkę i bez wstępów spytał:

- Co się stało?

- Przed chwilą zastałem u siebie Martina Gibsona. Czaił się pod domem. I nie była to raczej wizyta towarzyska.

- Gdzie teraz jest?

- W kuchni.

- Nie żyje?

- Żyje.

- To już coś.

- Jezu Chryste, Peter. Kto mógłby chcieć mnie zabić?

- Nie tylko ciebie. Dziś wieczorem inni też mieli gości. Niestety, większość... - Peter zawiesił głos.

- Inni? - powtórzył Quinn. - Konkurencja? Peter jakby się zawahał.

- Wygląda na to, że polują tylko na naszych.

- Na pracowników innych agencji nie? Znowu krótka pauza.

- Nie.

Quinna zmroziło.

- Robią nam... kipsisz?

- Jeszcze nic nie wiemy - odparł Peter z wyraźną nutką niepewności w głosie.

- Ale kto?

- Gdybym teraz z tobą nie gadał, mógłbym się tego dowiedzieć. - Wzjął głęboki oddech. - Nawet gdybym coś wiedział, to nasza wewnętrzna sprawa. Nasza, nie...

Z kuchni dobiegł głośny hałas, a zaraz potem sykliwy trzask przelatującej przez tłumik kuli. Sekundę później Quinn usłyszał charakterystyczny odgłos, jaki wydaje padające na podłogę ciało. Rzucił telefon i chwycił z sofy pistolet Gibsona.

- Nate? - zawołał.

Odpowiedziała mu cisza.

Kryjąc się za dzielącym pomieszczenie murkiem, szybko ruszył do kuchni. Od wejścia dzieliło go ledwie kilka kroków, gdy w ścianę tuż za nim pacnęła kula.

Bez namysłu rzucił się na podłogę. Sekundę później tuż nad jego głową świsnęły dwie kolejne kule. Doczołgał się do końca murku i ostrożnie zajrzał do kuchni. Nate. Leżał na podłodze. A na nim krzesło, na którym jeszcze niedawno siedział Gibson. Z tej odległości - i z tej pozycji - nie mógł

stwierdzić, czy Nate oddycha, czy nie. Zerknął w lewo, potem w prawo. Gibson zniknął.

Nisko pochylony wrócił do salonu. Tu mógł ukryć się tylko za sofą. Przystanął i wyteżył słuch.

Nic. Cisza.

Gibson uciekł, ale na pewno nie uciekł daleko. I chociaż miał pistolet Nate'a, on miał glocka i nóż. Poza tym jak nikt inny znał rozkład domu. Wszystkie kryjówki, wejścia i wyjścia. A Gibson przeszedł tylko od drzwi do kuchni. Będzie musiał poruszać się po omacku, na oślep.

Księżyc skrył się za pobliskimi górami. Jedyne światło sączyło się teraz z ekranu telewizora i z kuchni.

Quinn zaryzykował i wyjrzał zza sofy. Wszystko wyglądało normalnie. Na wszelki wypadek sprawdził dokładniej. Tym razem jego wzrok spoczął na skórzanym fotelu, który stał trzy metry dalej. Coś mu nie pasowało. Tak, nie podobał mu się cień, cień pękatego fotela. Zmieniał się w migotliwym świetle z telewizora i chwilami był większy, niż powinien.

Obserwował go przez chwilę, prawie pewien, że to nie złudzenie. I nagle cień się poruszył.

Quinn powoli wyszedł zza sofy. Zbliżając się do fotela, usłyszał czyjś oddech - cichy, ale na pewno prawdziwy.

Podniósł pistolet.

- Wstawaj - powiedział.

Gibson wychylił się zza fotela i wypalił. Spudłował, ale tylko o centymetry. Quinn pociągnął za spust. Pokój wypełnił przeraźliwy huk wystrzału i smród spalonego prochu. Kula przeszła prawie przez sam środek fotela.

- Ty skurwysynu - syknął boleśnie Gibson.

- Wystarczy? Rzuć broń i powoli wyjdź. Gibson wstał z bezwładnie zwisającą ręką.

- Teraz odłóż pistolet.

Przez chwilę się zdawało, że Gibson posłucha rozkazu. Lecz nagle odepchnął się od fotela i szybko podniósł broń.

Ale Quinn był na to przygotowany. I pierwszy pociągnął za spust.

Uderzając w okno, Gibson był już martwy. Kuloodporna szyba zadygotała pod ciężarem jego ciała, ale nie pękła.

Quinn popędził do kuchni. Nate wciąż leżał na podłodze, a na nim krzesło. Quinn odrzucił je na bok i przytknął rękę do szyi pomocnika. Puls był silny i równy. Pierś podnosiła się i opadała. Szybkie oględziny nie ujawniły ran wlotowych ani wylotowych, a na podłodze pod ciałem nie było kałuży krwi.

Quinn zbliżył usta do jego lewego ucha.

- Nate.

Pomocnik nie zareagował.

- Nate. Obudź się.

Cichy jęk. Chwilę później Nate zatrzepotał powiekami.

- Spokojnie. Leż. Oberwałeś? Nate otworzył oczy.

- Quinn? - wybełkotał z ustami przyciśniętymi do podłogi.

- Oberwałeś? Postrzelił cię?

- Chyba nie.

- Może lepiej sprawdź.

Nate zamknął oczy. Z trudem przetoczył się na plecy.

- Kurwa mać! - wykrzyknął, krzywiąc się z bólu.

- Co?

Nate potarł policzek.

- Walnął mnie w szczękę.

Na policzku miał czerwoną plamę, ale poza tym nic mu chyba nie dolegało. Quinn wstał.

- Przyłóż sobie lód.

Wrócił do salonu. Komórka wciąż leżała na sofie. Podniósł ją i już miał wybrać numer, gdy nagle dobiegł go czyjś stłumiony głos.

- Quinn? - Peter.

- To ty? Czekales?

- Co się tam dzieje?

- Gibson próbował uciec.

- No i?
- Nie żyje. Peter zamilkł.
- Lepiej by było, gdybyś wziął go żywcem - mruknął po chwili.
- Kurczę. Szkoda, że nie powiedziałeś mi wcześniej. A może powinienem był jeszcze poprosić go, żeby raczył zaczekać, aż się z tobą skonsultuję?

- Podaj mi szczegóły.

Quinn wziął głęboki oddech i zapoznał go z sytuacją.

- Przysłać kogoś po ciało?
- Nie, jakoś sobie poradzę. - Quinn zrobił pauzę. - Powiesz mi, co jest grane?

Peter długo nie odpowiadał.

- Nie jesteśmy pewni.
- W tej sytuacji nie przyjadę do Waszyngtonu. Chyba to rozumiesz.
- Teraz to i tak kiepski pomysł. Powinieneś zniknąć.
- To oficjalne polecenie?
- Powiedzmy, że nieoficjalnie oficjalne. Zniknij. Zaszyj się gdzieś. Wszystko mi jedno gdzie. Nie chcę nawet tego wiedzieć.
- Ten sukinsyn znał mój adres - powiedział Quinn bardziej do siebie niż do niego.

- Tym bardziej powinieneś wyjechać. Ci, którzy za tym stoją, mogą spróbować znowu. I jeśli cię namierzą, tym razem może im się udać. Ale to twój wybór.

- Fakt - odparł Quinn. - Mój. - I przerwał połączenie. Przez kilka sekund patrzył przez okno na pogrążone

w mroku miasto. Peter miał rację. Jeśli rzeczywiście ktoś chciał wyeliminować ich z gry, jedynym wyjściem był wyjazd.

- Nate! - zawołał w stronę kuchni.

Nate wszedł chwiejnie do pokoju i ciężko opadł na sofę.

- Co?

- Mam nadzieję, że się nie rozpakowałeś.

Rozdział 8

Do międzynarodowego terminalu Toma Bradleya na lotnisku w Los Angeles weszli tuż przed dziesiątą. Przebijając się przez poranny tłum, Quinn musiał ciągle walczyć z pokusą zerknięcia przez ramię. Nie miał wątpliwości, że ktoś ich szuka. A jeśli nie ich, to na pewno jego. Wiedział, że musi zachować delikatną równowagę między czujnością i naturalnym zachowaniem. Agenci terenowi potrafili to robić nawet przez sen, ale jego - zwłaszcza odkąd zaczął szkolić Nate'a - kosztowało to dużo wysiłku.

Właśnie, Nate. Mógłby zostawić go w Los Angeles, ale nie było to dobre wyjście. Ci, którzy chcieli go zabić, musieli wiedzieć, że ma pomocnika. Dlatego, gdyby kazał mu zostać, wystawiłby go na cel. Gdyby Nate miał trochę więcej doświadczenia, może spróbowaliby się rozdzielić. Ale praktykował u niego dopiero od czterech miesięcy i miał przed sobą jeszcze trzy, cztery lata nauki. Cztery miesiące to tyle co nic. Nie był przygotowany, żeby poradzić sobie z taką sytuacją. W przeciwieństwie do niego, trafił do zawodu zaraz po studiach z rekomendacji znajomego. Dlatego gdyby go zostawił, równie dobrze mógłby przywiązać go do krzesła pośrodku swego salonu i położyć mu pod nogi wielką matę z napisem: WITAJCIE. Rezultat byłby taki sam.

Nie miał wyboru. Nate musiał mu towarzyszyć do chwili, aż wszystko ucichnie.

Przystanęli przed monitorem z godzinami odlotów. Gjuinn udawał, że coś na niej sprawdza, ot, jak zwykły urlopowicz, jeden z setek innych. Od niechcienia zerknął na zegarek, a potem rozejrzał się, jakby na kogoś czekał.

Nie zatrzymując wzroku na nikim konkretnym, parę razy sprawdził teren i doszedł do wniosku, że jak na razie są sami.

- No i co? - spytał Nate.

- Co co?

Ruchem głowy Nate wskazał monitory.

- Gdzie lecimy?

- Daj paszport.

Nate wyjął z kieszeni niebieską książeczkę, jeden z dwudziestu fałszywych paszportów, które przy sobie mieli. Dzieło znajomego Quinna, właściciela drukarni przy promenadzie w Venice Beach, tak jak wszystkie pozostałe było najwyższej jakości.

Lotnisko obsługiwało samoloty kilkunastu międzynarodowych linii lotniczych. Zwykłego dnia otworem stałby przed nimi cały świat. Ale ten dzień zwykły nie był, dlatego do chwili odwołania alarmu Quinn musiał zakładać, że świat nie jest bezpieczny, a przynajmniej nie cały. Polecieć tam, gdzie nikt by ich nie szukał, a nawet nie podejrzewał, że mogą tam być - oto, co musieli zrobić.

Europa odpadała. Podobnie jak Stany czy Kanada. Jakimś wyjściem byłaby Ameryka Południowa - jakimś, ale nie za dobrym. Za dużo tam wszelkiej maści szpiegów, za duże prawdopodobieństwo, że ktoś mógłby go namierzyć. Rosja, Australia, Chiny, Japonia - fatalne miejsca. Tak naprawdę rozwiązanie było tylko jedno. Rozejrzał się jeszcze raz i znalazł to, czego szukał.

- Dobra - powiedział. - Chodźmy.

- Tak bez żadnej podpowiedzi? - spytał Nate. Quinn zignorował go i zanurzył się w tłum. Niecałe dwie minuty później stali już w kolejce do stanowiska Tajskich Linii Lotniczych.

- I wszystko jasne - rzucił z uśmiechem Nate.

- Ani słowa, dopóki nie wejdziemy na pokład, rozumiesz?

- Rozumiem. Ani słowa.

Kiedy nadeszła ich kolej, Quinn posłał mu ostrzegawcze spojrzenie i stanął przed ladą.

- Czym mogę służyć? - spytała agentka, Azjatka w wieku trzydziestu kilku lat.

- Czy są jeszcze wolne miejsca na dwunastą zero pięć do Bangkoku?

- W klasie biznesowej już nie, ale są jeszcze dwa w pierwszej.

- Świetnie - powiedział z uśmiechem Quinn. - W takim razie poproszę.

- Miejsca nie są razem. Może być?

- Absolutnie.

- Poproszę o paszporty.

Quinn podał jej paszporty i znowu się uśmiechnął. Agentka przejrzała je, po czym wystukała coś na klawiaturze komputera.

- Pan Hayden... Jak będzie pan płacił?

Quinn miał paszporty na wiele nazwisk. Na czas tej wyprawy postanowił zostać Louistem Haydenem, a ponieważ używał tego nazwiska pierwszy raz, miało to dodatkowe plusy; Nate występował jako Raymond James.

- Kartą kredytową - odparł, wyjmując z portfela jedną z kilku kart na swoje nowe nazwisko.

Kiedy zapłacił, agentka zaczęła przygotowywać bilety. Quinn odwrócił się i obojętnie powiódł wzrokiem po sali. I już niebawem zauważył dwa podejrzane typy przy głównym wejściu. Krzepcy i rośli, obydwaj w ciemnoszarych garniturach, ze szczególną uwagą przyglądali się wchodzącym do terminalu pasażerom. Co dziwne, Nate też ich wypatrzył. Spojrzał na Quinna, na próżno próbując ukryć niepokój. Quinn wzruszył ramionami i posłał mu lekki uśmiech.

- Proszę. - Agentka położyła na ladzie bilety i paszporty. - Mają panowie bagaż?

Quinn pokręcił głową.

- Tylko podręczny.

Azjatka uśmiechnęła się z aprobatą, najwyraźniej biorąc ich za wytrawnych podróżników.

- Miłego lotu.

- Dziękujemy - odparł Quinn. - Na pewno będzie przyjemny.

Odchylił do tyłu oparcie fotela i spojrzał przez okno na Pacyfik dziewięć tysięcy metrów niżej. Po raz pierwszy od prawie dwunastu godzin nic nie robił. Był wykończony fizycznie.

Nate siedział trzy rzędy za nim. Przed wejściem na pokład Quinn dał mu proszek nasenny, silny i - jak się okazało - bardzo skuteczny. Nate miał zamknięte oczy, głowa opadła mu na bok.

Quinn próbował nie myśleć o niczym konkretnym, próbował nie myśleć wcale. Musiał się odprężyć i zrelaksować. A przede wszystkim przespać.

Ale nic z tego. Jego umysł ciągle odtwarzał wydarzenia ostatnich dwunastu godzin: Gibson na tarasie jego domu, telefoniczna rozmowa z Peterem, nieprzytomny Nate na podłodze...

Ktoś dotknął jego ramienia. Stewardesa.

- *Pad Thai* czy curry z kurczaka z ryżem?

Quinn spojrział na zegarek i ze zdziwieniem spostrzegł, że lecą już kilka godzin. Podczas tych burzliwych rozmyślań musiał się chyba zdrzemnąć.

- *Pad Thai*.

- A do picia?

- Tylko woda.

Jedząc, znowu skupił się na Gibsonie, na tym, dla kogo mógł pracować i dlaczego kazano mu go zabić.

Zanim przekazał ciało miejscowemu „grabarzowi”, dokładnie je obszukał. Nie oczekiwał żadnych rewelacji -i słusznie. Nie licząc sprzętu i narzędzi, znalazł tylko trzysta dolarów w gotówce.

Łatwo się można było domyślić, że ten, kto go wynajął, miał sporo forsy, bo tylko ktoś taki mógłby sfinansować tę jednonocną wojenkę z Biurem. Ilu agentów wzięli na muszkę? Pięciu? Sześciu? Dwunastu? Więcej? Wszystko wskazywało na to, że był wyjątkiem, że tylko jemu udało się wyjść z tego cało. Inni nie mieli tyle szczęścia. Kipisz, pomyślał.

Trudno było uwierzyć, że ktoś mógłby nawet o tym pomyśleć. Tymczasem wyglądało na to, że nie tylko pomyślał, ale i przeprowadził. Co więcej, z dobrym skutkiem.

Niesamowite. Przecież to się prawie nigdy nie udawało. Celem kipiszu było zasianie jak największego zamętu w tej czy innej organizacji. Powodów mogło być wiele: żeby zatuszować coś, co się aktualnie działo albo coś, co dopiero miało się wydarzyć, żeby zepsuć jakąś operację, pozbyć się wkurzającej konkurencji albo po prostu wyeliminować kogoś z rynku, ot tak, bez żadnego powodu. Mówiono o tym każdemu nowicjuszowi. Każdy znał teorię. Każdy słyszał, że w przeszłości bywały takie próby i że wszystkie - z bardzo nielicznymi wyjątkami - kończyły się fiaskiem. I że już nigdy potem nikt po tę broń nie sięgał. Historia nie wróżyła nikomu sukcesu.

Najwyraźniej znalazł się ktoś, kto nie uważał na lekcjach, a przynajmniej na tej.

Kiedy stewardesa zabrała tacę, jeszcze bardziej odchylił do tyłu oparcie fotela. Myślał, myślał i nic nie wymyślił, pewnie dlatego, że był niewyspany. Zamknął oczy z nadzieją, że umysł trochę się uspokoi i pozwoli mu odpocząć. Ale kiedy tylko zacisnął powieki, pytanie powróciło.

Dlaczego akurat on? Przecież nie był pracownikiem Biura. Był wolnym strzelcem. Powinni go z tego wyłączyć. Prawda?

Odpowiedź wynurzyła się z niebytu, gdy zaczął ogarniać go sen. Odpowiedź, a właściwie jej cień. Albo przeczucie.

Taggert.

Gdzieś między Los Angeles, krótkim postojem w Osace i lądowaniem w Bangkoku zgubili niedzielę. Podróżowanie ze Stanów do Azji zawsze było pod tym względem dość przykre, bo międzynarodowa linia zmiany dat bez pardonu karała śmiałków, którzy odważyli się wsiąść do samolotu i za jednym zamachem przelecieć pół świata.

W Tajlandii spędzili ledwie kilka godzin. Nate był chyba rozczarowany i skonsternowany, gdy Quinn oznajmił, że to jeszcze nie koniec podróży. Ale trzeba oddać mu sprawiedliwość, że o nic nie spytał. Ten lot był krótki, ale przeniósł ich o tysiące kilometrów od wszystkich i wszystkiego.

Kiedy samolot wylądował i zaczął kołować po pasie, z głośników popłynął głos stewardesy.

- Tajskie Linie Lotnicze witają państwa w mieście Ho Chi Minha.

W Wietnamie było wczesne przedpołudnie i z asfaltu biły fale gorąca. W oddali wisiało kilka chmur, ale poza tym niebo było czyste. Quinn rozejrzał się po kabinie. Niektórzy wyjmowali już torby i torebki ze schowków pod fotelami. On spokojnie siedział i czekał.

Przed wyjazdem oczyścił sejf, zabierając wszystko oprócz pistoletu. Wziął laptop i kilkanaście paszportów, amerykańskich, kanadyjskich, szwajcarskich, fińskich, niemieckich i rosyjskich. Do tego zestaw kart kredytowych odpowiedni do każdego paszportu, dziesięć tysięcy dolarów gotówką, dwa dwugigabajtowe pendrive'y z setkami adresów i telefonów oraz

notes z wizami niemal do wszystkich krajów świata. Cały ten gorący towar ukrył między plastikowymi ściankami walizki. Gdyby na punkcie kontroli bezpieczeństwa poproszono go o włączenie komputera, ukazałby się pulpit typowy dla każdego biznesmena. Wykresy, diagramy i arkusze kalkulacyjne, wszystkie bardzo profesjonalnie wykonane, jednak nie na tyle ważne, by zwrócić na siebie uwagę.

Tuż przed lądowaniem w Bangkoku poszedł do toalety i wkleił do paszportów wietnamską wizę. Następnie, za pomocą miniaturowego zestawu do drukowania, wstemplował odpowiednie daty, po czym uważnie przyjrzał się swemu dziełu, żeby sprawdzić, czy wszystko gra.

W Bangkoku, gdzie musieli okazać ważną wietnamską wizę, żeby odebrać bilety, wszystko poszło jak z płatka. Ale tam obsługiwał ich pracownik Tajskich Linii Lotniczych. Natomiast tutaj, w mieście Ho Chi Minha, musieli stawić czoło rodowitym Wietnamczykom.

Schował paszport do kieszeni koszuli i wyjął torbę z górnego schowka. Potem, wraz z Nate'em kilka kroków za nim, stanął w kolejce do wyjścia.

- To chyba jakiś żart - mruknął Nate, gdy doszli do drzwi.

Rękaw? Rękawa nie było. Pasażerowie opuszczali samolot, schodami na kółkach.

Quinn zerknął przez ramię i spiorunował Nate'a spojrzeniem.

- Przepraszam - wymamrotał tamten.

Bez słowa zeszli na dół i ruszyli w stronę terminalu. Quinn wmieszał się w tłum pasażerów.

- Pewnie o to nie pytają - powiedział - ale gdyby pytali, przyjechałeś tu w interesach. Badasz możliwości inwestycyjne. Ale to ja będę mówił. Ty tylko dobrze wyglądaj. Poważnie. Rzeczowo.

Terminal przypominał magazyn. Stary, wielki i zapuszczony, miał pokryte pleśnią ściany. Nie było w nim żadnych udogodnień ani wyblęszczonego luksusu zachodnich lotnisk.

Zaraz za drzwiami czekała ich odprawa paszportowa. Chociaż stanowisk było kilkanaście, działały tylko dwa, dlatego przed obydwojma stała długa kolejka. Na wszelki wypadek Quinn wybrał tę, którą obsługiwał bardziej

znudzony urzędnik. Gdy podeszli bliżej, włożył do paszportu dwadzieścia dolarów, co było tutaj dość pokaźną kwotą.

Zerknął na Nate'a.

- Podchodzimy po kolei - powiedział. - Nie odzywaj się. Nie mów nawet dzień dobry. W razie czego daj mi znać i wszystkim się zajmę.

- Dobra - odparł Nate z mniejszą pewnością siebie, niż Quinn by sobie tego życzył.

Stojąca przed nim kobieta skończyła odprawę. Podeszedł do stanowiska. Położył paszport na ladzie i przytrzymał go do chwili, gdy Wietnamczyk go wziął. Wziął, otworzył, zerknął na Quinna i szybko schował banknot do kieszeni. Potem sięgnął po gumową pieczętkę, grzmotnął nią w podkładkę z tuszem, wbił stempel do paszportu i bez słowa położył dokument na ladzie. Quinn uprzejmie skinął mu głową i odszedł.

Sześć metrów dalej przystanął, udając, że szuka czegoś w kieszeni. I kiedy Nate podał tamtemu paszport, spojrzął za siebie. Tym razem odprawa trwała znacznie dłużej.

Nate zerknął w jego stronę. Miał niespokojne oczy. Ale chwilę później urzędnik podstemplował wizę i położył paszport na ladzie.

Potem była odprawa celna, ale trwała jeszcze krócej. Nate poszedł pierwszy i niecałą minutę później było już po wszystkim. Bagaż Quinna sprawdzono równie szybko.

Wilgotność wietnamskiego poranka, nawet w styczniu, była nie do zniesienia. Pot wystąpił Quinnowi na czoło, kiedy tylko wysiedli z samolotu, a teraz przykleiła mu się do pleców koszula.

Przed głównym wyjściem stał wysoki do pasa płot, który, biegnąc równoległe do przeszklonej ściany terminalu, tworzył pasaż trzymetrowej szerokości. Jak się po chwili przekonali, to nietypowe wyjście z lotniska było jednak konieczne. Po drugiej stronie płotu, w głębokich na pięć, sześć osób szpalerach tłoczyły się setki ludzi. Ludzie ci pchali się, przepychali i napierali na siebie, próbując podejść jak najbliżej ogrodzenia. Ilekroć z terminalu

wychodził ktoś nowy, krzyczeli do niego, proponowali napoje, wodę, owoce czy taksówkę.

Na końcu przejścia był parking. Tam też panował tłok, choć dużo mniejszy niż w „rękawie” przed terminalem. Podbiegł do nich mały chłopiec w czystym, lecz znoszonym ubraniu, ciemnowłosy i szeroko uśmiechnięty.

- Tolba - powiedział po angielsku z silnym akcentem. - Wskazał walizkę Quinna. - Ja pomóc.

- Dziękuję, nie trzeba - odparł Quinn. - Poradzę sobie.

Ale chłopak albo go nie zrozumiał, albo celowo zignorował. Sięgnął po walizkę. Quinn odsunął się kilka kroków dalej.

- Powiedziałem, że nie trzeba.

Niezrażony tym Wietnamczyk szybko zmienił taktykę, skupiając uwagę na jego towarzyszu. I zanim Nate zdążył zareagować, mocno chwycił za rączkę jego torby.

- Hej! - Nate spróbował ją wyszarpnąć.

- Ja pomóc - powtórzył chłopiec. - Pomóc.

- Nie trzeba.

- Mister. To nie problem. Ja pomóc. Nate szarpnął jeszcze raz.

- No? Puszczaj.

Ale chłopiec trzymał mocno. Quinn obserwował ich przez chwilę, w końcu sięgnął do kieszeni i wyjął jedno-dolarowy banknot.

- Chłopcze - rzucił.

Spojrzeli na niego, Wietnamczyk i Nate. Quinn podał mu pieniądze. Chłopcu pojaśniały oczy. Wyciągnął wolną rękę, lecz w tym samym momencie Quinn zabrał swoją. Wskazał torbę i powiedział:

- Ty nie pomóc i ja tobie to dać. OK? Chłopiec natychmiast puścił torbę.

- OK, ja nie pomóc.

Wyciągnął rękę i tym razem dostał upragniony banknot.

Otrzymawszy zapłatę, popędził przed siebie w poszukiwaniu kolejnej ofiary.

- Dzięki - powiedział Nate.

- Wisisz mi dolara - odparł Quinn.

W pobliżu czekały tabuny taksówek. Kierowcy wołali do nich, chcąc zwrócić ich uwagę. Quinn wybrał najbliższą i już wkrótce siedzieli z tyłu z bagażem na środkowym fotelu.

- Witam, witam, witam! - Taksiarz usadowił się za kierownicą. Był mężczyzną starszym, niskim i chudym. -Z Ameryki?

- Z Kanady - odrzekł Quinn. Taksówkarz uśmiechnął się szeroko.

- Witam w Wietnamie. Dokąd jechać?

- Do hotelu Rex.

TLR

Rozdział 9

Quinn wziął dwa sąsiadujące pokoje.

- Mógłbym spać przez cały dzień - powiedział Nate, kiedy jechali windą na górę.

- Ale nie będziesz.

- Dlaczego?

Quinn głęboko odetchnął, pamiętając, że Nate jest jeszcze surowy i musi się dużo nauczyć.

- Jest dopiero południe. Pójdiesz spać teraz i nigdy nie przystosujesz się do nowego czasu. Za pół godziny czekaj na mnie na dole. Pójdziemy na spacer, zapoznamy się z terenem.

Otworzyły się drzwi i wysiedli.

- To taki żart, tak? - spytał Nate. Quinn spojrzał mu prosto w oczy.

- Czy ty rozumiesz, co się tu dzieje?

Nate chciał odpowiedzieć, ale on spiorunował go wzrokiem.

- To jest to - ciągnął. - Na to się pisałeś. Chciałeś sobie pograć, no i grasz. Wszystko to, co działo się do chwili, kiedy Gibson próbował złamać ci szczękę, było tylko teorią. Ale już nie jest. Rozumiesz?

Nate patrzył na niego przez chwilę, wreszcie leciutko skinął głową.

- To jest to - powtórzył Quinn. - Radzenie sobie ze zmianą czasu. Wtapienie się w tło. Pilnowanie swego tyłka przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, bo jeśli choć na chwilę przestaniesz, będziesz trupem. Teraz już rozumiesz?

- Rozumiem - odparł Nate szeptem tak cichym, że prawie niesłyszalnym.

Quinn patrzył na niego jeszcze przez chwilę, wreszcie odwrócił się i ruszył przed siebie.

- Na dole - rzucił, nie odwracając głowy. - Za pół godziny.

Kiedy wysiadł z windy, Nate już na niego czekał. Obywaj przebrali się w świeże ubranie. Nate trzymał w ręku małą, srebrzystą kamerę cyfrową. Quinn zerknął na nią i uniósł brew.

- Za miejscowych nikt nas nie weźmie - wyjaśnił Nate. -Bez tego wyglądalibyśmy podejrzanie.

Kąciki ust Quinna podjechały do góry.

- Nieźle.

I bez dalszych komentarzy wyszli na ulicę.

Według wszystkich książek i podręczników Wietnam był krajem komunistycznym. Ale co komunistycznego było w mieście Ho Chi Minha, tego Quinn nie wiedział.

Rozglądając się, zaczynał się zastanawiać, czy ktokolwiek poza członkami wietnamskiego rządu słyszał tu kiedykolwiek o Karolu Marksie. Uliczni handlarze, sklepy, sklepiki, restauracje, kluby, bary, hotele i chmary biegających po ulicach dzieciaków, które próbują wcisnąć przyjezdnym pamiątki i kradzione egzemplarze *Spokojnego Amerykanina* Grahama Greena - oto jakie powitało ich miasto.

- Pocztówki... Kup pocztówkę... Pocztówka baldzo ładna... Ty zobacz.

- Mister. Mister. Ty Amerykanin?

- Prawdziwa zapalniczka dobra. Zippo. Jeszcze z wojny. Dobrze działa.

- Numer jeden w Ameryce. Spider-Man. Michael Jordan.

- Ja głodny. Ty kupić.

Niemal równie nachalni byli rikszarze. Mijając ich, ci bez pasażerów zwalniali, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Dzień dobry. Wy zwiedzić miasto. Ja was zabrać. Dwa dolary tylko. Tanio.

- Znam dobry bar. Szybko zawiozę. Bardzo tanio.

- Za gorąco na nogi. Ja zawieźć.

- Szukacie dziewczyn? Wiem, gdzie są. Chodźcie, chodźcie...

Quinn był w Azji wiele razy - w Bangkoku, Singapurze, Hongkongu, Tokio i Seulu - ale tutaj wszystko zdawało się trochę bardziej żywiołowe. Było tu więcej energii, więcej wigoru. Czuł się tu jak w mieście, które choć

prastare, właśnie odkrywało siebie na nowo. Starożytne świątynie, a tuż obok dopiero co otwarte uliczne restauracje. Rzeka Sajgon, która wyłobila tu koryto na długo przed pojawieniem się człowieka, była teraz terenem działania ambitnych przedsiębiorców oferujących łodzie do wynajęcia i grupowe przejażdżki dla turystów. No i dzieci. Wszędzie dzieci. Szczęśliwe, figlarne, głodne, podekscytowane, ciekawskie dzieci. Quinn nie mógł sobie wyobrazić, jak odbiera to wszystko Nate.

Kupili colę od kobiety, która rozstawiła mały japoński grill tuż obok pobijanego metalowego pojemnika na lód na rogu ulicy. Piekła coś, co wyglądało na kurczaka albo wieprzowinę. Proponowała, żeby tego spróbowali, ale Quinn odmówił. Otworzył puszkę i za jednym zamachem wypił połowę coli. Popołudniowy upał i wilgotność wysuszyły mu organizm. Najlepsza byłaby woda, ale na bezrybiu i rak ryba.

Po kolejnych dwudziestu minutach zwiedzania uznał, że wystarczy.

- Jesteś głodny?

- Bardzo - odparł Nate.

Na ulicy roilo się od grillów, ale Quinn nie był jeszcze na tyle zdesperowany, żeby skorzystać z ich usług. Poza tym, żaden nie dawał cienia.

Zaczęli szukać „prawdziwej” restauracji. Nieco dalej, ulicę za Hai Ba Trung Street, z dala od obłędu głównego bulwaru, Nate wypatrzył mały lokal. Na szyldzie widniał napis: Mai 99. Podeszli bliżej i natychmiast skusił ich bijący zza drzwi aromatyczny zapach.

W środku zobaczyli kilka młodych kobiet w tradycyjnych wietnamskich strojach, luźnych kolorowych tunikach wyłożonych na białe spodnie. Jedna z nich, starsza od pozostałych, z kokiem na karku, stała przy wejściu. Powitała ich lekkim skinieniem głowy.

- Dzień dobry - powiedziała. - Mówić po angielsku?

- Tak - odrzekł Quinn.

- Wyjeść?

- Chętnie.

Wietnamka uśmiechnęła się i odwróciła.

- Chodźcie - rzuciła przez ramię.

Zaprowadziła ich do stolika przy barze. Wysunęła krzesło, gestem ręki poprosiła, żeby Quinn zechciał usiąść, potem obeszła stół i wysunęła krzesło dla Nate'a.

Restaurację urządzono w stylu tropikalnym. Belki na suficie były obite bambusem, ściany zasłonięto ratanowymi matami. Wszędzie wisiały zdjęcia pięknych plaż.

Podeszła do nich młoda kelnerka w ciemnozielonej tunice. Powiedziała coś po wietnamsku, a kiedy zrozumiała swój błąd, podniosła szklanekę do ust, udając, że coś pije. Quinn zorientował się, o co chodzi.

- Piwo. - Wskazał neon za barową ladą. - Tygrysie. - Dziewczyna poszła za jego wzrokiem i kiwnęła głową.

- Dla mnie też - dodał Nate, wskazując palcem neon, a potem siebie.

Wietnamka uśmiechnęła się i odeszła.

- Mogę o coś spytać? - rzucił cicho Nate.

- Skoro musisz - odparł Quinn.

- Często ci się to przydarza?

- Co?

- No, wiesz. Próba zamachu we własnym domu. Ucieczka na koniec świata...

- Nie więcej jak dwa razy w roku - odrzekł Quinn z kamienną twarzą.

- Poważnie?

Quinn uśmiechnął się i wyjął z kieszeni srebrną bransoletkę. W samolocie do Bangkoku obudził się z niejasną myślą, że Nate miał jednak rację. Że bransoletka ma coś wspólnego z całym tym bałaganem.

- To ta, którą znalazłem?

Nie zwracając na niego uwagi, Quinn ponownie przyjrzał się metalowemu kwadracikowi i odszukał ten z ledwo widoczną rysą na bocznej ścianie. Tak, to było coś w rodzaju dodatkowej warstwy, nie miał co do tego wątpliwości. Szybko porównał kwadracik z sąsiednimi. Na żadnym innym szczeliny nie było.

Rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby ją poszerzyć. Przydałby się scyzoryk, a nawet pilnik do paznokci. Znalazł tylko pałeczki do

jedzenia i widelec. Zęby widelca były stanowczo za grube, ale pałeczki wyglądały obiecująco. Zrobione z twardego plastiku były ostre jak świeżo zatemperowany ołówek.

Już miał sprawdzić, czy się nadadzą, gdy spostrzegł, że idzie ku nim kelnerka. Położył bransoletkę na kolanach i jakby nigdy nic przykrył ją ręką.

Kelnerka - inna niż ta, u której zamówili piwo - była w pięknej błękitno-złotej tunice i niosła na tacy dwie wysokie szklanki pełne bursztynowego piwa. Miała ciepłą, przyjazną twarz i długie, czarne włosy. Gdy podeszła bliżej, wolną ręką założyła za ucho niesforny kosmyk. Postawiła tacę na stole, uśmiechnęła się i spytała:

- Czy już się panowie zdecydowali?

- Mówi pani po angielsku? - zdziwił się Nate.

- Tak. Przepraszam. Moja koleżanka bardzo chciała panów obsłużyć, ale mówi tylko po wietnamsku. Mam nadzieję, że panowie jej wybaczą.

Jej angielszczyzna była po azjatycku urywana, lecz zrozumiała.

- Ależ oczywiście - odrzekł Quinn.

- Czy chcielibyście panowie już zamówić?

- Chętnie, ale nie widzieliśmy jeszcze menu - odparł Nate.

Kelnerce rozszerzyły się oczy.

- Bardzo przepraszam. Proszę zaczekać. Jedną chwileczkę, sekundkę.

Szybko odeszła i wróciła z dwoma jadłospisami. Quinn otworzył swój i ze zdziwieniem zobaczył, że opisy są po angielsku. Były trochę niezgrabne stylistycznie, lecz zrozumiałe. Jednakże nazwy potraw były po wietnamsku.

- Śliczne ubranie - powiedział Nate. Quinn jęknął w duchu, lecz nie okazał irytacji. Dziewczyna zerknęła na swoją tunicę.

- To jest *ao dai* - odrzekła; zabrzmiało to jak „ou zeje”. -Nasz tradycyjny strój.

- Piękny.

- Dziękuję.

Nate niechętnie przeniósł wzrok na menu. Quinn zamówił coś, co nazywało się *bun th.it nuong* z nadzieją, że będzie mu smakowało. Nate wybrał *com chien thap cam*.

- Jeśli zechcą panowie zamówić coś jeszcze - powiedziała Wietnamka - mam na imię Anh. Proszę wezwać którąkolwiek kelnerkę, natychmiast mnie poprosi.

- Dziękujemy - odrzekł Nate, odprowadzając ją wzrokiem.

- Wstrzymaj konia - mruknął Quinn.

- Co?

- Innego dnia, może nawet w innym życiu.

- Ale co?

- Teraz musisz skupić się na przeżyciu. - Quinn spojrział w stronę baru, gdzie Anh rozmawiała z koleżanką. - Twoja nowa przyjaciółka. Rozprasza cię. Odwraca uwagę.

- Aha. Brak skupienia może cię zabić - wyrecytował z pamięci Nate. - Idąc tym torem myślenia, zabić cię może nawet oddychanie.

- Bywa - odparł Quinn. Nate zmarszczył czoło.

- Byłem tylko uprzejmy.

- Od tego się zaczyna. - Quinn przeniósł wzrok na bransoletę. - Powiedz, kiedy ruszy w naszą stronę.

Wymagało to trochę pracy, ale metal był zaskakująco miękki i szybko poszerzył szparę. Miał rację, to było coś w rodzaju powłoki, może nawet pokrywki czy wieczka. Wsunął czubek pałeczki głębiej, odchylił pokrywkę od kwadratowej podstawy. Stwierdził, że można w ten sposób odchylić je ze wszystkich stron i kiedy to zrobił, wystarczyło tylko poluznić metal w miejscach, gdzie jeszcze trzymał.

- Co to, do diabła, jest? - spytał Nate, zerkając na bransoletę.

- Patrz na salę - warknął Quinn.

Położył bransoletę na stole, tak żeby na wpół rozlupany kwadracik leżał zupełnie płasko. Wziął oddech i do połowy wypuścił powietrze. Kiedy ręce przestały mu drżeć, przytrzymał bransoletę jedną ręką, a drugą wziął pa-

łeczkę i wsunął jej czubek między metalowe płytki. Wystarczył lekki nacisk i górna odskoczyła. Odskoczyła i zabrzączała na stole.

Tak jak się spodziewał, nie był to lity metal. To był pojemnik. Wewnątrz zobaczył coś, co wyglądało jak kawałek szkła pokrytego przezroczystą, gumowatą substancją. Doszedł do wniosku, że substancja ta miała pewnie zabezpieczyć szkło, tyle tylko, że go nie zabezpieczyła. Szkło się co prawda nie rozleciało, ale było pęknięte. Co dziwne, gumowata substancja zdawała się nienaruszona. Pożar, pomyślał. Gorąco. Stąd to pęknięcie.

Nachylił się, żeby przyjrzeć się dokładniej i szybko zrozumiał, że to nie jeden kawałek cieniutkiego szkła, tylko dwa, każdy grubości najwyżej półtora milimetra. Całość wyglądała jak szklana kanapka.

Albo jak szkiełko mikroskopowe, pomyślał.

Z ociąganiem przyjrzał się jeszcze raz, jeszcze dokładniej niż poprzednio, szukając plamy albo smużki między szkiełkami. Ale to górne, pęknięte, przesłaniało widok.

Kiedy na powrót przykrył spód kwadracika odłupaną płytką, ogarnął go dziwny spokój. Wiedział, że jeśli się tylko poruszy, płytka spadnie, ale to, że przykrył nią zawartość miniaturowego pojemnika, pozwoliło mu znowu odetchnąć. Nie miał pojęcia, co jest między szkiełkami, ale instynkt podpowiadał mu, że gumowata substancja nie odgrywa jedynie roli kleju. Że jej zadaniem jest również ochrona przed niepożądaną ekspozycją.

- Co to jest? - powtórzył Nate.

- Nie jestem pewien - odparł Quinn.

Jasna cholera, pomyślał. W co myśmy wdepnęli?

Pierwszym odruchem była chęć ukrycia się, przy warowania, zapadnięcia się pod ziemię tak głęboko, że bez względu na intensywność poszukiwań, nikt by ich nie znalazł. Mogliby po prostu zaczekać, aż wszystko przycichnie.

Jeszcze raz spojrział na bransoletę.

Pod warunkiem, że w ogóle przycichnie.

Rachunek był zaskakująco niski: 150 tysięcy dongów, mniej więcej pięć dolarów na głowę za jedzenie i piwo. Quinn położył na stole dziesięć i wstał. Nate poszedł w jego ślady.

Anh przebiegła przez salę, żeby otworzyć dla nich drzwi.

- Na długo panowie przyjechali?

- Jeszcze nie wiemy - odrzekł Nate. Zerknął na Quinna.

- Chyba raczej nie - powiedział Quinn. Wietnamka posłała im kolejny uśmiech.

- Mamy nadzieję, że odwiedzicie nas przed wyjazdem.

- Proszę się nie martwić - odparł Nate. - Na pewno odwiedzimy.

TLR

Rozdział 10

Wróciwszy do hotelu, Quinn wziął plan miasta i dał Nate'owi trochę wolnego.

- Tylko nie śpij - ostrzegł.
- Nie będę.
- Mówię poważnie.
- Powiedziałem, że nie będę.

Plan nie był zbyt szczegółowy, ale bez trudu znalazł na nim ulicę, której szukał. Początkowo zamierzał odłożyć tę wyprawę na później, do następnego dnia rano. Przespać się najpierw, zaczekać, aż odzyska pełną czujność. Zastanawiał się nawet, czy w ogóle z niej nie zrezygnować. Instykt podszeptował mu, że to błąd, ale przyjechali do Wietnamu nie tylko po to, żeby przeczekać, ale i po to, żeby poszukać pomocy. A po tym, jak odkrył w bransolecie tajny schowek, wiedział, że będą jej szybko potrzebowali.

Wyszedł z hotelu, skręcił w stronę rzędu taksówek, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i postanowił pojechać riksą. To, że chciał złożyć komuś wizytę, nie znaczyło, że musi się spieszyć.

Rikszarz, mężczyzna pod trzydziestkę, nie znał angielskiego, więc Quinn wyjął z kieszeni długopis i napisał adres na okładce planu miasta. Wietnamczyk uśmiechnął się i kiwnął głową.

Sajgon - Quinn nie mógł zmusić się do tego, że nazywać to miasto inaczej - był prawdziwym domem wariatów. Zatloczonym, zdezorganizowanym domem wariatów. A jemu bardzo się to podobało. Zewsząd biła rozdrzana energia i podniecenie tak rzadkie w innych metropoliach.

Na ulicach tłoczyli się ludzie, motocykle, rowery – zwykłe i przerobione na riksze - skutery, a nawet samochody i ciężarówki, chociaż tych ostatnich było bardzo mało. I chociaż w Azji widywał już podobne zbieraniny pojazdów, dopiero tutaj pierwszy raz w życiu zobaczył pięcioosobową rodzinę jadącą na małym motorowerze.

Nie tylko ten widok zwrócił jego uwagę. Jeździły tu również duże trzykołowe rowery przerobione na coś w rodzaju małych ciężarówek. W przedniej

części miały zamontowaną dużą, płaską platformę, na której Wietnamczycy wozili dosłownie wszystko, poczynając od klatek z kurczakami, kończąc na stertach starych opon i jakichś puszkach. Towar był ułożony na dwa metry wzdłuż, wszerz i w górę, tak że kierowca prawie nic nie widział.

Kolejną rzeczą, jaką Quinn zauważył - typową dla wielu innych krajów trzeciego świata - było to, że znaki drogowe traktowano tu bardziej jak sugestię niż prawo. Na chodnikach kręciło się sporo policjantów, ale ci interweniowali tylko wtedy, kiedy ulica zupełnie się zakorkowała.

Rikszarz wiozł go przez wyjątkowo zatłoczoną część miasta. Wszędzie roiło się od handlarzy, u których można było kupić żywe zwierzęta, fajerwerki, garnki i patelnie. Zmysły nie wytrzymały. Szczególnie dokuczał smród. Odór ryb, potu i śmieci zmieszany ze słodkim zapachem kwiatów, owoców i piekącego się chleba.

Rikszarz nachylił się do przodu.

- Cholon - powiedział.

Quinn znał tę nazwę z hotelowej broszury. Chinatown, chińska dzielnica Sajgonu.

Dwadzieścia minut później skręcili w mniej zatłoczoną boczną ulicę i stanęli przed długim piętrowym budynkiem.

- To tu? - spytał Quinn, zapominając, że Wietnamczyk nie zna angielskiego. Podniósł plan miasta i postukał palcem w adres.

Rikszarz uśmiechnął się szeroko i ruchem głowy wskazał budynek.

- *Ici.*

- *Parlez-vous français?* - spytał Quinn.

- *Un peu, monsieur.*

Quinn włożył rękę do kieszeni.

- *Combien?*

- Dwa dolary - odparł po angielsku tamten.

Kiedy tylko wysiadł, zaczęło padać. Szybko ruszył przed siebie popękanym chodnikiem i schronił się w drzwiach w chwili, gdy niewinny deszczyk przeszedł w ulewę. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Na końcu holu była recepcja. Zza lady spoglądała na niego ubrana po europejsku młoda Wietnamka. Quinn uśmiechnął się i podszedł bliżej.

- Czy mówi pani po angielsku?

- Tak - odrzekła. - Czym mogę służyć?

- Nie wiem, czy dobrze trafiłem.

- Kogo pan szuka?

- Agencji Humanitarnej Tri-Continent.

- Tak, to tu - odrzekła z uśmiechem kobieta. - Na piętrze proszę skrócić w lewo. Pokój dwieście czternaście. Zaprowadzić pana?

Quinn pokręcił głową.

- Na pewno znajdę, dziękuję.

- Bardzo proszę.

Wszedł na schody po prawej stronie recepcji. Na piętrze skrócił w korytarz i odszukał pokój 214.

Drzwi były z litego drewna. Na środku przykręcono do nich mosiężną tabliczkę z angielskim napisem: Agencja Humanitarna Tri-Continent, oddział w mieście Ho Chi Minha. Poniżej, mniejszymi literami, dodano wietnamski odpowiednik nazwy.

Quinn już miał zapukać, lecz się zawahał. Dotarł do punktu, z którego nie było odwrotu. Wiedział, że jeśli nie dotknie drzwi, może jeszcze odejść i wrócić do hotelu. Wszystko odwołać.

Wzjął głęboki oddech, poniósł rękę i zapukał.

Chwilę później drzwi się otworzyły i zobaczył niskiego Wietnamczyka w średnim wieku. Mężczyzna patrzył na niego wyczekująco.

- Czy to siedziba Agencji Humanitarnej Tri-Continent?

Wietnamczyk rozciągnął usta w uśmiechu.

- Tak, proszę. - Zrobił mu przejście i Quinn wszedł do środka.

Pokój był mały. Niewiele większy od tego w hotelu. Przy ścianie stało stare drewniane biurko zavalone stertami papierów, teczek i broszur. Jeszcze więcej papierzysk, książek i czasopism piętrzyło się z boku, pod ścianą. Naprzeciwko drzwi było kilka okien, przez które wpadało ponure światło dnia.

Drzwi po prawej stronie, najwyraźniej prowadzące do sąsiedniego pokoju, były lekko uchylone. Płynęła zza nich cicha muzyka. Chyba Edith Piaf.

- Nazywam się Vo - powiedział Wietnamczyk. - Czym mogę panu służyć?

- Czy zastałem panią dyrektor Zhang?

- Tak. Pańskie nazwisko?

- Proszę jej powiedzieć, że przyszedł Quinn. Wietnamczyk czekał, aż Quinn coś doda, ale kiedy stało

się jasne, że tego nie zrobi, odwrócił się i wszedł do sąsiedniego pokoju.

Quinn podszedł do dużej tablicy na ścianie. Pokrywały ją dziesiątki ogłoszeń i zawiadomień. Wszystkie dotyczyły klęsk żywiołowych w Azji Południowo-Wschodniej.

Właśnie czytał zawiadomienie o zbliżającym się spotkaniu poświęconemu problemom miejscowej służby zdrowia, gdy nagle drgnął. Nie słyszał, jak weszła do pokoju, ale wyczuł jej obecność. Powoli się odwrócił. W drzwiach sąsiedniego pokoju stała drobna Azjatka.

Patrzyli na siebie, jakby nie mogli wykonać żadnego ruchu. W końcu Quinn uśmiechnął się i powiedział:

- Witaj, Orlando.

Azjatka pokręciła głową i ruszyła do wyjścia.

- Nie tutaj - odparła.

Wyszli na dwór. Deszcz prawie ustał, więc Orlando, znana w Wietnamie jako Keira Zhang, zaprowadziła go do małego parku kilka ulic dalej. Szli bez słowa, ani razu się do siebie nie odezwali. Idąc, Quinn dyskretnie ją obserwował.

Prawie się nie zmieniła od ich ostatniego spotkania przed czterema laty. Nie miała już rudych pasemek w sięgających ramion włosach. I nosiła wąskie okulary w niebieskiej oprawce. To było nowe. Ale poza tym wyglądała tak samo. Miała skórę koloru bielonej sośniny, zupełnie gładką, nie licząc drobnych zmarszczek, które pojawiały się nad grzbietem nosa, kiedy marszczyła czoło. Niska i drobna - miała ledwie metr pięćdziesiąt wzrostu -

mogła uchodzić za Japonkę, Chinkę, Filipinkę, a nawet za Wiet-namkę czy Malajkę. Tak naprawdę jej matką była Korean-ka, a ojciec pół Tajem, pół Amerykaninem irlandzkiego pochodzenia. Quinn należał do garstki osób, które o tym wiedziały.

Kiedy zaczęli pracę w tej branży, kiedy stopniowo zdobywali coraz więcej doświadczenia, była jego przyjaciółką, powiernicą i koleżanką. Wspierała go w złych czasach, on próbował wspierać ją. Ale robił to chyba z mniejszym zaangażowaniem, dlatego od czterech lat ze sobą nie rozmawiali.

Był jeszcze inny powód. Instykt samozachowawczy. Kiedy z nią był, pragnął czegoś, czego nigdy nie mógł mieć. Nie wytrzymałby takiej tortury psychicznej. Orlando była dla niego niedostępna. Zakazana. Zawsze. I czuł, że zawsze będzie.

Zanim znaleźli w parku spokojny zakątek, znowu się przejaśniło.

- Jak mnie znalazłeś? - spytała. Nie było żadnych uśmiechów, żadnych: „Co słyszeć?”, nie było nawet krótkiego: „Cześć”. Fakt, kiedy rozmawiali ostatni raz, umówili się, że zerwą ze sobą kontakt. Tylko w tym byli wtedy zgodni.

- Naprawdę musisz o to pytać? Agencja humanitarna to dobra przykrywka.

- To nie przykrywka - odparła szybko. Quinn uniósł brew.

- Może niezupełnie. - Pomaganie ludziom w potrzebie Orlando miała we krwi. Zrozumiał to już dzień po ich pierwszym spotkaniu. Dlatego nie było w tym nic dziwnego, że nawet wyjechawszy i usunąwszy się w cień, znalazła sposób, żeby dalej pomagać innym.

- Po co przyjechałeś? - spytała.

- Chciałem cię zaskoczyć. Patrzyła na niego bez słowa.

- Rozumiem, że mi się udało - dodał. Orlando wciąż milczała.

Quinn spojrzał na ziemię, potem na nią.

- Potrzebuję pomocy.

- Wal się.

- Ktoś próbuje mnie zabić.

- A co mnie to obchodzi? - Miała kamienną twarz. Nie było na niej ani śladu współczucia.

- Ciebie może nie. Ale mnie bardzo.

- To poproś o pomoc kogoś innego i daj mi święty spokój. Obiecałeś, że nie będziesz mnie szukał. Ale widzę, że jesteś kłamcą.

- Nie przyjechałbym, gdybym miał gdzie pójść. Patrząc mu prosto w oczy, Orlando pokręciła głową.

- To nie moja sprawa.

- Potrzebuję pomocy - powtórzył.

- To fatalnie. Bo ja ci nie pomogę. Koniec dyskusji. Odwróciła się i ruszyła do bramy.

Już wychodziła z parku, gdy zawołał:

- Gdybym mógł przywrócić go do życia, to bym to zrobił.

Wtedy trochę zwolniła. Przez sekundę myślał, że zawróci, ale przyspieszyła kroku i odeszła.

Gdy kilka minut po piątej wyszła z biura i wsiadła na stary, czarny skuter, już na nią czekał. Wynajął młodego Wietnamczyka na dobitym motocyklu, który zgodził się zawieźć go, dokąd tylko zechce. Znał angielski na tyle dobrze, że zrozumiał, iż ma kogoś śledzić. Myślał pewnie - Quinn miał taką nadzieję - że z powodów romantycznych, a przynajmniej seksualnych, dlatego chętnie na to przystał.

Dat - tak miał na imię - prowadził jak zawodowiec. Nigdy nie podjeżdżał za blisko, ale też nigdy nie tracił jej z oczu. Pomagało mu to, że Orlando się nie spieszyła, jechała ani za szybko, ani za wolno. Przejechali tak przez cały Cholon, potem skręcili na północ, jeszcze potem na wschód.

Ale Quinna szybko ogarnął niepokój. Szło im stanowczo za łatwo. Dlatego gdy dziesięć minut później Orlando gwałtownie skręciła w prawo, powitał to niemal z ulgą. Manewr był nagły, niespodziewany. Typowy dla kogoś, kto wie, że jest śledzony.

Dat był dobry, lecz nie miał z nią szans. Ale chociaż szybko się od nich oddalała, Quinn kazał mu jechać dalej.

W końcu skręciła w prawo, w kolejną ulicę. I kiedy tylko dojechali do rogu, przekonali się, że czarnego skutera już tam nie ma. Quinn myślał, że ją zgubili, ale tylko przez sekundę. Bo nagle ją zobaczył. Parkowała przy krawężniku, podpierając nogą skuter.

- Stań - rzucił.

Dat najwyraźniej też ją zauważył. Natychmiast zwolnił i zaparkował za skuterem. Quinn zsiadł i dał mu dziesięć dolarów. Wietnamczyk uśmiechnął się szeroko.

- Mam zaczekać? - spytał. Quinn pokręcił głową.

- Dzięki za pomoc.

- Nie ma sprawy. Jak będę potrzebny, ty zadzwoń.

Wyjął zza pazuchy plik karteluszków i podał jeden Quinnowi. Na karteluszkach był numer telefonu. Quinn uśmiechnął się i schował „wizytówkę” do kieszeni.

Kiedy Dat odjechał, ruszył w stronę skutera, zatrzymując się kilka kroków za nim. Orlando miała pozbawioną wyrazu twarz, tak jak w parku. Patrzyła na niego przez chwilę, a potem zerknęła na budynek, przed którym stali. Quinn poszedł za jej wzrokiem.

Hotel Rex. Domyśliła się, gdzie mieszka.

- Nie traciłaś czasu - powiedział.

- Dlaczego Gibson chciał cię zabić?

- Oho! Naprawdę nie traciłaś czasu.

- Odpowiedz na pytanie.

- Nie wiem.

- Co się stało w Biurze?

- Ditto.

- Stać cię na więcej.

- Kipisz.

Orlando prychnęła krótkim, szyderczym śmiechem.

- Bzdura.

- Kiedyś też tak myślałem.

Zamilkli. Wokół nich toczyło się życie: taksówki zabierały i wysadzały pasażerów przed hotelem, uliczni handlarze zaczepiali przechodniów, ludzie szli do pracy, szukali rozrywki albo wracali do domu. Ale on i ona utkwili na chwilę w kapsule czasu, widząc świat, lecz do niego nie przynależąc.

- Dlaczego do mnie przyszedłeś? Quinn lekko się zawahał.

- Z dwóch powodów. To ostatnie miejsce, gdzie ktoś będzie mnie szukał. I potrzebowałem kogoś, komu mógłbym zaufać, kto mógłby mi pomóc.

- A twoi koledzy? Quinn znowu się zawahał.

- Nie mam ich zbyt wielu.

- Nie przyjechałeś sam. - To nie było pytanie, tylko stwierdzenie.

- Nie, z Nate'em - odparł. - Moim praktykantem. Gdybym go zostawił, prawdopodobnie już by nie żył.

Orlando wzięła głęboki oddech i po raz pierwszy, odkąd się spotkali, twarz jej złagodniała, choć tylko trochę.

- Nic się nie zmieniłeś. Wzruszył ramionami.

Spojrzała na niego i pokręciła głową.

- Ty sukinsynu - mruknęła. - Wsiadaj, zanim się rozmyślę.

Chciał się uśmiechnąć, ale wsiadł na skuter z obojętną miną.

Zawiozła go do domu. Było to duże, urządzone w stylu zachodnim mieszkanie w dzielnicy imigrantów. Nie zaproponowała, że mu je pokaże. Wiedział, że wciąż jest na okresie próbnym, dlatego za punkt odniesienia mógł mu służyć jedynie salon. Był wygodny, z długą, tapicerowaną sofą i dwoma brązowymi krzesłami do kompletu. Niemal każdy centymetr kwadratowy ścian zajmowały zapchane książkami półki. Na jednej z nich stał srebrzysty pojemnik. Była to jedyna rzecz, jaką pamiętał z dawnych czasów, lecz nie wspomniał o tym ani słowem.

Kazała mu usiąść na sofie, zniknęła w sąsiednim pokoju i po chwili wróciła z dwiema butelkami wody.

- Opowiadaj. - Podała mu butelkę i usiadła na krześle. - Od początku.

I Quinn opowiedział. Niczego nie zataił; nie było powodu. Jeśli miała mu pomóc, i tak musiała wszystko wiedzieć. Trwało to prawie godzinę.

- Wygląda na to, że świetnie się bawisz - powiedziała, kiedy skończył.

- Tak, jak na radosnej przejażdżce kradzioną bryką.

- Myślisz, że to wszystko się z sobą wiąże? Kolorado, Biuro, Gibson, kieszonki?

- Absolutnie.

- Masz tę bransoletkę?

Sięgnął do kieszeni i wyjął małą, plastikową torebkę ściśniętą dwiema gumkami.

Chciał jej podać, ale kazała mu zaczekać. Wstała i wyszła na korytarz prowadzący w głąb mieszkania. Wróciła z dwiema parami rękawiczek chirurgicznych. Jedną rzuciła mu na kolana.

- Nic nam chyba nie grozi - powiedział, mimo to włożył rękawiczki.

Ona włożyła swoje i wzięła torebkę. Powoli zdjęła gumki. Z torebki ostrożnie wyjęła bransoletkę.

- To nie jest prawdziwe srebro - powiedziała.

- Wiem.

- Ciekawe wzory.

- Skądś je chyba znam. Nie, żebym widział akurat te, ale wydają się znajome.

- Niemieckie. Stare znaki herbowe sprzed trzystu, czterystu lat.

- Na pewno?

Zerknęła na niego i na powrót zajęła się bransoletką.

- Na pewno. - Przyglądała się jej przez chwilę, zatrzymując wzrok na kwadraciku częściowo uszkodzonym przez ogień.

- To jakiś napis? - spytała.

- Gdzie?

Pokazała mu miejsce na nadpalonym fragmencie ogniwa. Początkowo nic nie widział, ale kiedy obróciła bransoletkę tak, że światło padło na dolną część kwadracika, zrozumiał, o co jej chodzi. Wzdłuż krawędzi ogniwa biegła cieniutka linia. Czarna od sadzy, która się w nią wgryzła, prawie gi-

nęła na tle zmatowiałego metalu. Nie pamiętał, żeby widział ją przedtem, a jeśli nawet widział, pomyślał pewnie, że to tylko zadrapanie. Ale teraz, przyjrząwszy się dokładniej, wiedział, że Orlando ma rację. To nie było zadrapanie, tylko jakiś napis. Sęk w tym, że za mały, by odczytać go bez lupy, a może nawet mikroskopu.

- Może to tylko podpis jubilera?

- Może - odparła, najwyraźniej odrzucając tę hipotezę. Wzięła bransoletkę i tym razem skupiła wzrok na ogniwie tuż przy zapięciu. Ono też było zabezpieczone gumką. - To ten schowek, tak?

- Tak.

Ostrożnie zdjęła gumkę. Odłożyła ją na bok i z jeszcze większą ostrożnością podniosła wierzchnią płytkę, odsłaniając wnętrze miniaturowego pojemnika. Przyglądała mu się pięć minut, zanim wreszcie coś powiedziała.

- Tak. To chyba szkiełko mikroskopowe.

- Masz kogoś, kto mógłby to sprawdzić? Kogoś zaufanego?

- Górne jest pęknięte, będzie trudno. Jeśli preparat jest uszkodzony, mogą go nie zidentyfikować.

- A więc jednak kogoś masz.

Nie odpowiedziała od razu. Nie odrywała wzroku od otwartego schowka.

- Tak, mam. Ale nie tutaj. Muszę to gdzieś wysłać.

- W kieszeni nic z tym nie zrobię.

Owinęła ogniwo gumką i włożyła bransoletkę do torebki. Torebkę ścisnęła dwiema recepturkami.

- Wyślę jutro rano.

- Dzięki. Przy okazji niech sprawdzą ten napis.

Nie odpowiedziała, lecz jej wzrok mówił: nasz mnie za idiotkę? Oczywiście, że sprawdzą.

Quinnowi zachciało się spać. Zupełnie nagle i niespodziewanie. Próbował stłumić ziewnięcie, ale nie zdołał, a przynajmniej nie do końca. Było dopiero wpół do ósmej, mimo to organizm domagał się snu. Czuł, że zaraz znowu ziewnie, gdy wtem z głębi mieszkania dobiegł jakiś hałas.

- Co to? - Zaniepokojony usiadł prosto.

- Trinh? - zawołała Orlando.

Chwilę później w drzwiach pokoju stanęła młoda Wietnamka. Orlando zagadała do niej po wietnamsku. Dziewczyna odpowiedziała i wyszła.

- Gospoia? - spytał Quinn.

- Coś w tym rodzaju. - Wstała i spojrzała na niego, jakby się nad czymś zastanawiając. - Chodź.

Zatrzymała się pod drzwiami w połowie korytarza. Były uchylone, więc lekko je pchnęła. Pokój tonął w półmroku. Na krześle siedziała Trinh. Cierowała koszulę. Kiedy weszli do środka, lekko skinęła im głową i znów zajęła się szyciem.

Quinn zmrużył oczy. Chwilę trwało, zanim przywykły do słabego światła, ale kiedy przywykły, zobaczył coś, czego powinien był się domyślić już na samym początku. Po lewej stronie Wietnamki, w małym, niskim łóżeczku spało dziecko.

Orlando podeszła bliżej i ukłękła. Lekko pocałowała dziecko w czoło, wstała i wyszli na korytarz.

- Co on tu robi? - spytał Quinn.

- To mój syn.

- Wiem. Ale myślałem, że jest z twoją ciotką w San Francisco.

- Ciotka jest już za stara, żeby się nim opiekować. Zdrowie jej nie dopisuje.

- Czy to bezpieczne? Orlando długo milczała.

- Mam tylko jego.

Rozdział 11

Obudził się przed wschodem słońca. Wyciągnął rękę i wymacał zegarek na stoliku nocnym. Wpół do piątej.

Westchnął i przewrócił się na plecy. Przez kilka minut gapił się w sufit, potem zamknął oczy z nadzieją, że zaśnie i jeszcze trochę pośpi. Ale organizm odmówił współpracy. Czy tego chciał, czy nie, jego dzień już się zaczął.

Zapalił lampkę i wstał. Wyłożona terakotą podłoga była przyjemnie chłodna. Na komodzie naprzeciwko łóżka stał telewizor. Włączył go pilotem ze stolika. CNN, raport finansowy. Chociaż tu, w Wietnamie, był wtorek, na nowojorskiej giełdzie właśnie zadzwonił dzwon kończący poniedziałkową sesję. Po ekranie telewizora sunęły kolumny liczb, ale on nie zwracał na to uwagi. Nie grał na giełdzie. Za duże ryzyko.

Ze stojącej na podłodze torby wyjął komputer, pager i pendrive'a. Pendrive wisiał na pustym kółku na klucze. Klucze leżały teraz w jego bmw w Los Angeles, w bezpiecznym schowku, niewielu dałoby radę go znaleźć.

Usiadł przy stole po prawej stronie łóżka. Otworzył i włączył laptop.

Przed zaśnięciem przez dwadzieścia minut czytał *Native Speaker* Changrae Lee. W tym czasie trzy razy przygasło światło. Dlatego nie ufając hotelowemu systemowi elektrycznemu, postanowił skorzystać tymczasem z akumulatora. Mógł to zrobić bez obawy. Akumulator był naładowany i laptop mógł pracować przez kilka godzin.

Wetknął pendrive'a, a do bocznego portu. Zaczął od zaszyfrowanego pliku z informacjami, które zbierał od wielu lat. Była to lista banków i kont, adresy potencjalnych kryjówek i skrytek z pieniędzmi, które mógł w każdej chwili podjąć. Nie wiedział, jak długo będą mogli zostać w Wietnamie, dlatego musiał być gotowy do szybkiej ewakuacji. Wybrał z listy trzy namiary.

Zamknął dokument i uruchomił program obsługi modemu. Wprowadził hasło, kliknął przycisk „Połącz” i na ekranie pojawił się komunikat: „Błędna konfiguracja modemu”.

Pager pełnił również funkcję szybkiego modemu satelitarnego. Odwrócił go, zdjął z zawiasów malutką klapkę w lewym górnym rogu i zsunął ją w dół, odsłaniając trzy małe przyciski. Czubkiem długopisu nacisnął środkowy, potem ten po lewej stronie. Następnie otworzył ekran.

Mrugał na nim napis: „Szukam...”. Kilka sekund później pojawił się inny: „Łączę...”. Ten zamrugał gwałtownie i zniknął, ustępując miejsca komunikatowi: „Połączenie nawiązane”.

Quinn przysunął bliżej komputer, zalogował się i wszedł do skrzynki pocztowej.

W skrzynce czekało kilkanaście wiadomości. Tę, którą otworzył pierwszą, wysłano ledwie przed kilkoma godzinami.

Zadzwoń do mnie, kiedy się obudzisz. O.

Orlando. Na pewno nie spodziewała się, że obudzi się tak wcześnie. Gdybym zadzwonił do niej teraz, pomyślał, już nigdy by się do mnie nie odezwała. Uśmiechnął się, nie mógł się powstrzymać. I nagle zdał sobie sprawę, że uśmiechnął się nie tylko na tę myśl - zrobił to, bo znowu ją widział, znowu z nią rozmawiał. Bo znowu była tak blisko, że gdyby tylko chciał, w każdej chwili mógłby jej dotknąć. Wróc, poprawka. Owszem, chciał, ale nie pozwalało mu na to sumienie.

W telewizji skończył się raport finansowy i rozpoczął dziennik - właśnie puszczali reportaż o nowo wybranym prezydencie Serbii. Najwyraźniej wielkim zwolenniku reform. W próbie zagojenia starych ran wyciągnął rękę do byłych wrogów swego kraju, obiecując wysłać delegację cywilno-rządową na zbliżającą się konferencję Unii Europejskiej w sprawie Bałkanów.

Quinn ściszył telewizor i spojrzał na ekran komputera. Ze wszystkich nowych wiadomości tylko ta od Orlando trafiła bezpośrednio na jego adres.

Pozostałe musiały przejść przez szereg adresów fikcyjnych, które okrężną drogą kierowały je na ten właściwy. Była wśród nich wiadomość od ojca. Kawał - bynajmniej nie śmieszny - o niedźwiedziach polarnych i łowieniu ryb pod lodem. I list od matki, która dawała mu do zrozumienia, że już nie wytrzymuje i aż trzykrotnie powtórzyła, że ojciec jest do niczego. Stare żale i pretensje.

Odpisał im szybko, że jest w podróży służbowej i że zadzwoni zaraz po powrocie. Myśleli, że jest prywatnym konsultantem bankowym i ma klientów na całym świecie. Była to jego standardowa przykrywka, chociaż dla rodziców trochę ją upiększył.

Sześć z pozostałych dziewięciu wiadomości pochodziła od wolnych strzelców, których kiedyś zatrudniał: wszyscy pytali, czy nie ma dla nich jakiejś fuchy.

Nie było w tym niczego dziwnego. Ciągłe go o to pytano z nadzieją na zlecenie. Ostatnio otrzymywał takich wiadomości więcej niż zwykle, średnio jedną dziennie. Od kilku miesięcy nie działa się nic ciekawego, więc wszyscy chcieli zarobić. Na rynku szpiegowskim zapanowało coś w rodzaju recesji. Jego zdaniem dlatego, że chcąc ograniczyć koszty, coraz więcej organizacji i agencji rządowych próbowało załatwiać sprawy we własnym zakresie. Wiedział jednak, że to się wkrótce zmieni. Że znowu obowiązywać będzie zasada: „Masz to, za cę płacisz”.

Niezwykłe jednak było to, że ostatnią wiadomość wysłano przed dwoma dniami, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy wyjeżdżał z Los Angeles. Od tamtej pory nic, cisza.

Czyżby koledzy dowiedzieli się jakoś o jego „sytuacji”? To by wyjaśniało, dlaczego przestali pisać. Mimo to sprawa była dość dziwna. Chociaż plotki i pogłoski rozchodziły się w ich światku lotem błyskawicy, tak jak w każdym innym, przerwa w komunikacji była zbyt nagła i gwałtowna. Było niemożliwe, żeby wieść o jego nowym położeniu rozniosła się ledwie w dwa dni. Ktoś musiał tego chcieć i najprawdopodobniej pomógł ją rozposzechnić. Brak e-maili mógł być oczywiście dziełem przypadku, ale bardzo w to wątpił.

Zmarszczył czoło. Kipisz. Znowu ten kipisz. Wyglądało na to, że sukiny, który zamieścił jego nazwisko na liście przeznaczonych do odstrzału, podjął dodatkowe starania, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli, skutecznie odcinając go od kontaktów i robiąc z niego kogoś w rodzaju persona non grata. No i wciąż nie mógł dociec, jakim cudem się na tej liście znalazł. Według Petera, trafił na nią jako jedyny nieetatowy pracownik Biura. Ale to nie miało sensu.

Gdyby był agentem operacyjnym, dobra, zgoda, mogliby wrzucić go do worka razem z innymi. Agenci operacyjni nadstawiali karku i bywało, że ich usuwano. Nawet tych pracujących na własną rękę. Ryzyko zawodowe, i tyle. Ale on zawsze pracował w cieniu, za kulisami. Był śledczym, rzeczoznawcą, aranżerem, wizażystą, bywał nawet specem od zasadzek. Innymi słowy, był czyścicielem. Niezależnym czyścicielem. Żadnych zabójstw, żadnych wymian, żadnych spotkań twarzą w twarz. Mokra robota? Nigdy. To nie on.

Chociaż nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi, podejrzewał, że ma to coś wspólnego z jego wyprawą do Kolorado. Z niejakim Taggertem, który zmienił się w bryłę węgla, i Jills, która skończyła karierę zawodową szybciej, niż zamierzała. Może ten, kto to zrobił, dowiedział się czegoś, co wymusiło konieczność jego likwidacji? Gdyby Peter zadzwonił do kogoś innego, Quinn siedziałby teraz na egzotycznej plaży, rozkoszując się urlopem, a tamten walczyłby o życie. Albo - co bardziej prawdopodobne - już by nie żył.

Przejrzał trzy ostatnie wiadomości. Pierwsza, od naczelnika Johnsona, zawierała kopię policyjnego raportu na temat pożaru w domu Farnhama. Nie znalazł tam niczego podejrzanego. W razie konieczności zawsze mógł wrócić do niej później. Drugą był e-mail ze szczegółami lotu do Waszyngtonu, który Peter wysłał mu jeszcze przed kipiszem.

Adresu nadawcy trzeciej nie znał, ale nie było w tym niczego niezwykłego. Nadano ją ledwie przed sześcioma godzinami. Quinn kliknął myszką.

Xavier,

Peter prosił, żebym się z Tobą skontaktował. Chodzi o pewien projekt. Proszę o jak najszybszą odpowiedź. P4J

Quinn usiadł prosto. Źródło wyszło, ale może jednak nie do końca. Imienia „Xavier” używał w e-mailach -czasem, choć nie ostatnio. Natomiast „P4J” było ksywką pewnego europejskiego pośrednika, niejakiego Duke'a. Ostatni raz pracowali razem przed dwoma laty. Nad prostym zleceniem. Quinn założył podsłuch i Duke spokojnie nagrał przebieg całego spotkania. Bezbolesna operacja.

Mimo to Quinn cieszył się, że ma już to za sobą. W Duke'u było coś obłego. Może ten sztuczny akcent, który tak starannie pielęgnował, a może prawie stuczterdziestokilogramowa tusza przy wzroście ledwie metr siedemdziesiąt pięć. Nie wiedział dlaczego, ale w jego obecności nigdy nie czuł się swobodnie.

Jednakże wiadomość była intrygująca. „Peter prosił, żebym się z tobą skontaktował”. Co to znaczy? Czyżby Biuro wznowiło działalność? Mało prawdopodobne. A może Duke chciał go tylko wy badać i posłużył się imieniem Petera jak przynętą? Jeśli tak, był głupszy, niż przewiduje to ustawa.

Sięgnął po komórkę i wystukał numer Petera. Po dziesięciu sygnałach zrezygnował. Zważywszy na okoliczności, to, że nikt nie odbierał telefonu, nie było może czymś nieoczekiwanym, ale na pewno dziwnym. W głowie zamrugał mu neonowy napis: Zachować ostrożność.

Sprawdził trasę, jaką przebył e-mail Duke'a. Tu też nie znalazł niczego niezwykłego. Wiadomość wysłano na anonimowe konto w Microsoftzie, które założył przed wielu laty. Traktował je jako rezerwową skrytkę kontaktową dla starych klientów. Dla klientów takich jak Duke.

Zamyślony, mlasnął językiem. Mógł albo próbować dodzwonić się do Petera, albo wyciągnąć coś bezpośrednio od Duke'a. Oczywiście bardzo ostrożnie.

Kliknął myszką.

Jestem zainteresowany. Przyślij szczegóły. X.

Dołączył do tego adres bezpiecznego konta, na które Duke mógł wysłać poufne informacje, i nacisnął przycisk ENTER. Komputer automatycznie przekierował wiadomość tak, że trafiła do odbiorcy z oryginalnego adresu.

Pojaśniało niebo, wstawał świt. Już teraz wilgotność była prawie nie do zniesienia i Quinn zaczynał się pocić. Z telefonem do Orlando musiał czekać jeszcze godzinę. Miał mnóstwo czasu na prysznic.

Od lat ich życie toczyło się równoległym torem. Chociaż był cztery lata starszy, obydwójce zaczęli pracować w tej branży mniej więcej w tym samym czasie, on jako praktykant u Durriego, ona jako asystentka Abrahama Delgera, przyjaciela i współnika tego pierwszego.

Quinn był przedtem policjantem w Phoenix. Pracował w wydziale kontroli tłumy i kiedy przydzielono mu sprawę pewnego morderstwa, jak zwykle uległ ciekawości. Pokopał głębiej na własną rękę i natknął się na coś, co nie powinno było wypłynąć.

Namierzył zabójcę w hotelu w Mesa, po czym znalazł jego zdjęcia na taśmach hotelowego monitoringu. Przez kilka dni ślęczał nad policyjnymi zdjęciami przestępców i przeszukiwał bazy danych, próbując dopasować twarz do nazwiska i kiedy ją wreszcie dopasował, poszedł z tym do detektywa prowadzącego śledztwo. Natychmiast wylądował na dywaniku u naczelnika wydziału, gdzie powiedziano mu, że przekroczył swoje uprawnienia. I że jeśli powtórzy się to jeszcze raz, będzie pilnował parkingów. To było we wtorek.

W środę wezwano go ponownie. I bez żadnych wyjaśnień oznajmiono, że dziękują mu za służbę. Był tam nawet przedstawiciel związku zawodowego policjantów, który potulnie kiwał głową, całkowicie zgadzając się z szefem.

- Chcieli cię zabić - powiedział Durrie wiele miesięcy później. - Rozumiesz to, tak? Ktoś z Biura kazał cię wyrzucić, a potem przeznaczili cię na odstrzał.

- Jasne, jasne - mruknął Quinn przekonany, że Durrie próbuje go tylko nastraszyć. Był wtedy zupełnie zielony i nie znał świata, do którego trafił.

- Twoja wola, nie chcesz, to nie wierz. Chodzi o to, że za szybko wpadłeś na coś naprawdę dużego. Byłeś jak wrzód, który musieli przeciąć. Tak się to tu robi. - Zrobił pauzę. -Pamiętasz tę rozmowę w sprawie pracy w Houston? Tę, na którą miałeś lecieć?

Quinn zmarszczył czoło i kiwnął głową.

- A gdybym ci powiedział, że żadnej pracy nie było?

- Jak to?

- Tak to. Gdybym się tobą nie zainteresował, już dawno byś nie żył. No i gdybyś nie był bystry, bo wtedy miałbym to gdzieś.

Quinn pamiętał, że rewelacje Durriego porządnie go otrzeźwiły. Od tamtej chwili świat stał się dla niego bardziej rzeczywisty.

Jeśli zaś chodzi o Orlando, wyłowiono ją spośród studentów z komputerowej szkoły handlowej w San Diego.

Była hakerką i ciągle miała na karku kuratora sądowego. Podobnie jak Quinna, ją też bardzo ciekawiły sprawy, których inni na ogół nie tykali.

Ponieważ ich prowadzący często ze sobą współpracowali i ponieważ obydwójce było „nowi”, naturalną kolejną rzeczą z czasem połączyła ich przyjaźń. Ale bardziej zaskakujące było to, że specyficzna więź połączyła również Orlando i Durriego. Lata później, kiedy Quinn był już wziętym agentem, a gwiazda Durriego nieco przygasła, zmieniło się życie ich trojga.

Kiedy Quinn zaczynał, Durrie był najskuteczniejszym agentem w branży. Ale potem przestał nim być. W którymś momencie - Quinn pracował już wtedy na własną rękę -stracił parę. Krążyło o nim wiele plotek: podobno zawałał zlecenie za zleceniem, przeoczał coraz więcej szczegółów, angażował coraz więcej ludzi, żeby zatuszować pewne sprawy.

Quinn nie słyszał tego od Orlando. Mówił mu o tym Peter, który coraz częściej musiał zatrudniać go zamiast Durriego.

Orlando początkowo milczała, kiedy do niej dzwonił. Ale w końcu powiedziała mu o narastającej frustracji Durriego. Myślała, że to przez pracę, zlecenia, które przeszły mu koło nosa, przez fatalne wyniki. Nie, żeby o tym jej mówił; po prostu umiała czytać między wierszami. Ale ponieważ szło mu coraz gorzej, zrozumiała, że nie tylko o pracę tu chodzi. Durrie za-

chowował się tak, jakby do wściekłości doprowadzało go życie jako takie. A kiedy wściekłość przeszła w depresję, było to niemal naturalne.

Kiedy Quinn zadzwonił do Orlando z wiadomością, że ma coś na oku i chce zaangażować Durriego, ta uznała, że to świetny pomysł. Obiecała nawet, że go do tego zachęci. I kiedy Durrie się zgodził, Quinn założył, że zrobił to pod jej wpływem.

Zlecenie było proste. Ale gdzieś po drodze kompletnie sparszywiało. W magazynie, gdzie mieli założyć podsłuch, ukrywał się zabójca. Mimo to powinni byli wyjść z tego cało. Ale Durrie wpadł do budynku, zanim zdążyli zrobić rozpoznanie. Quinn próbował go powstrzymać, ale tamten tylko go wyśmiał.

Pół minuty później w magazynie wybuchła strzelanina. Rzucając się na ziemię, Quinn widział, jak ciałem Durriego szarpia kule.

Wiedział, że jest za późno, zanim zdołał do niego dotrzeć. Durrie był cały we krwi i chociaż Quinn rozpaczliwie szukał, nie mógł wyczuć pulsu. Wstrząśnięty ukląkł. Jego nauczyciel i mentor nie żył. Orlando, pomyślał, jak ja jej to powiem? Poczucie winy, przekonanie, że mógł go uratować, zderzyło się ze świadomością, że nie ma to najmniejszego znaczenia. Bo przecież nic nie mógł...

Coś grzmotnęło go w tył głowy. Zaczął widzieć jak w tunelu.

A potem pochłonięła go ciemność.

Nawalili na całego. Ocknął się w furgonetce. Za kółkiem siedział Ortega, facet, który miał ich ubezpieczać i prowadzić wóz. Z tyłu leżał martwy Durrie. Kiedy dojechali do zaufanego lekarza, Ortega spojrzął przez ramię i spytał:

- Co z nim zrobić?

Quinn zastanowił się i odparł:

- To, co zwykle. Ale przywieź mi prochy.

Ortega wrócił po kilku godzinach i znalazł go w małej, prowizorycznej separacie na tyłach gabinetu. Na stole obok łóżka postawił kartonowe pudło i wyjął z niego stalową urnę.

- Tak bez uprzedzenia nic innego nie mieli - powiedział.

- Dobrze jest - odrzekł Quinn.

Tak się to u nich załatwiało. Musieli sprzątać po sobie nawet wtedy, kiedy zginął jeden z nich. Jedyna różnica polegała na tym, że zamiast wyrzucić prochy, Quinn zachował je dla Orlando.

Ale kiedy przyjechał do jej domu, już jej tam nie było. Zdażyła się o wszystkim dowiedzieć i zniknęła. Znalazł ją dopiero dziesięć miesięcy później, z synem, którego tymczasem urodziła, chociaż żadne z nich nie wiedziało, że jest w ciąży. Mieszkała w San Francisco, u ciotki. Początkowo nie chciała go widzieć. I nawet wtedy w końcu zgodziła się, by przyszedł, nie wpuściła go do domu.

- Byłeś tam - powiedziała, oskarżając go nie tylko słowami, ale i gniewem, który emanował z każdego skrawka jej ciała. - Powinieneś był go obronić. A teraz mój syn nigdy nie pozna ojca.

Zrobiła to zupełnie niepotrzebnie. Bo chociaż Quinn nie mógł ocalić swego mistrza, i bez tego miał wyrzuty sumienia, obwiniając się o jego śmierć.

Mimo to próbował z nią rozmawiać, przekonać ją, że czuje się paskudnie, tak jak ona. Ale nie chciała go słuchać. Nie chciała nawet przyjąć urny.

- Daj mi spokój - powiedziała. - Już nigdy więcej nie chcę z tobą rozmawiać.

A ponieważ była jedyną osobą, której nie potrafił odmówić, odparł:

- Dobrze.

Wtedy zamknęła drzwi. Stał przez chwilę z nadzieją, że wróci. W końcu postawił urnę na progu i odszedł. Odrętwiały i wypalony.

Rozdział 12

Spotkali się w holu, znowu w południe.

- Wyglądasz upiornie - powiedział. - Nie spałeś? Nate miał ciemne worki po oczami. I chociaż się ogolił,

parę miejsc zdecydowanie przeoczył.

- Zrobiłem, co kazałeś - odparł. - Nie spałem, dopóki mogłem wytrzymać. Ale o ósmej poległem. O dwunastej otworzyłem oczy i do siódmej rano nie mogłem zasnąć. O siódmej znowu zasnąłem, ale wtedy zadzwoniłeś. - Spojrzał na niego i dodał: - Wielkie dzięki.

- Nie ma sprawy. Zamilkli.

- Wspominałeś coś o lunchu - powiedział w końcu Nate.

- Fakt.

- Ktoś go nam poda? - spytał z uśmiechem. - Tutaj? Quinn przewrócił oczami i skupił uwagę na drzwiach.

Obserwował wchodzących i wychodzących z hotelu ludzi. Wietnamczyków, Europejczyków, Amerykanów, mężczyzn, kobiety, a nawet dzieci. Kiedy do holu weszła Orlando, zerknął na Nate'a i rzucił:

- Pora iść. - I ruszył do drzwi.

Nate, który też je obserwował, zdawał się zaskoczony tą nagłą decyzją. Dlatego kiedy Quinn przystanął, on jeszcze szedł i był dwa kroki za nim.

- A więc to jest ten albatros - powiedziała Orlando, uważnie mu się przyglądając.

- Tak - potwierdził Quinn. - To on.

- Co to, do diabła, znaczy? - spytał Nate. Orlando wyciągnęła do niego rękę.

- Miło cię poznać, Al.

- Nate - poprawił ją Nate.

- Wszystko jedno.

Nate spojrzał na Quinna, potem znowu na nią.

- A ty jesteś...

- To jest Orlando - powiedział Quinn. - Moja stara przyjaciółka.

Ruszyli do wyjścia, on i ona.

- Zaczekajcie. - Nate dogonił ich i z uśmiechem dodał: -Nie wiedziałem, że masz przyjaciół.

Puszczając tę uwagę mimo uszu, Quinn wyszedł na ulicę.

- No to dokąd? - spytała Orlando.

- Może gdzieś blisko - zaproponował Quinn.

- Hmm... - Nate się zamyślił. - Chyba znam taki lokal. Quinn przeszył go wzrokiem.

- Naprawdę? - spytała Orlando. - Gdzie?

Taksówką dojechali tam w kilka minut.

W drzwiach powitała ich ta sama Wietnamka. Uśmiechnęła się szeroko, najwyraźniej ich rozpoznając i zaprowadziła do stolika. Podała menu i wróciła na posterunek.

- Widzę, że często tu bywasz - powiedziała Orlando. Nate tylko się uśmiechnął.

Chwilę później do stolika podeszła Anh.

- Witamy ponownie - powiedziała, patrząc na Quinna. Przeniosła wzrok na Nate'a. - Witaj, Raymondzie.

- Cześć, Anh - odparł Nate.

Kiedy wypowiedział jej imię, uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Potrzebujecie państwo więcej czasu, czy chcecie już zamówić?

- Nie, chyba już możemy - odparł obojętnie Quinn. Zamówili.

- Miło widzieć was ponownie - powiedziała Anh. -Zaraz podam napoje. - Zostawiła ich samych.

- Śliczna - rzuciła Orlando. - To dlatego tu jesteśmy?

- Chcesz mi coś powiedzieć Nate? - spytał Quinn.

- Zabroniłeś mi spać, więc przyszedłem tu na kolację -odrzekł Nate. - No co? Przynajmniej nie użyłem mojego prawdziwego imienia.

Quinn już otwierał usta, żeby go objechać, ale zamknął je bez słowa. Chwilę później Anh przyniosła napoje, piwo dla nich i butelkę wody dla Orlando.

Quinn pociągnął łyk i spytał:

- Dowiedziałaś się czegoś?

- Niewiele - odparła Orlando. - Biuro jest zamknięte. Deleon, Collins, Markiewicz, Costello, Holton, Dyke. Prawdopodobnie wszyscy nie żyją.

- Cholera - mruknął Nate.

Quinn był tak samo zaskoczony jak on i nie potrafił tego ukryć. Orlando wymieniła sześciu najlepszych agentów.

- To są tylko nazwiska, które udało mi się potwierdzić, ale są jeszcze inne.

- Durrie powiedział kiedyś, że bez względu na to, jak trafiłeś do tej branży, wyjść z niej można tylko na parę sposobów. - Quinn odstawił szklanę.

- Śmierć jest po prostu najbardziej prawdopodobna.

Zmarszczył czoło. Było gorzej, niż myślał.

- Co z tym kipiszem? - spytał. - Ktoś się przyznał?

- Jak dotąd nie. - Spojrzała na niego i dodała: - Może lepiej sobie odpuść. Zostańcie tu parę tygodni. Do tego czasu wszystko powinno przycichnąć i wrócicie do domu.

- Ktoś chce mnie zabić. - Quinn wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze. - Muszę się dowiedzieć kto.

Skinęła głową. Wiedział, że na jego miejscu zrobiłaby to samo. Zamilkli.

- Co to właściwie znaczy? - spytał cicho Nate.

- Szczerze? - Quinn sięgnął po piwo.

- Szczerze.

Wypił łyk i odstawił szklanę. Potem odwrócił się i spojrzał Nate'owi prosto w oczy.

- To znaczy, że masz teraz dwa wyjścia. Wyjście pierwsze: zostać tutaj. Ukryć się, tak jak proponowała Orlando. I za dwa, trzy tygodnie wrócić do domu. O nic się nie martw, dam ci pieniądze. Ale kiedy już wrócisz do Sta-

nów, będziesz musiał poszukać sobie innej pracy. Życie, które rozpocząłeś, pracując ze mną, dobiegnie końca.

- A wyjście drugie to zostać z tobą - domyślił się Nate. Quinn pokręcił głową.

- Nie tylko zostać. Wykonywać każdy mój rozkaz. Niczego nie kwestionować. A wszystko to z pełną świadomością, że mimo to do końca tygodnia możesz już nie żyć.

Przy stoliku zapadła pełna napięcia cisza. Orlando chciała chyba coś powiedzieć, ale Quinn lekko pokręcił głową.

- No więc? - spytał, uznawszy, że dał Nate'owi wystarczająco dużo czasu do namysłu.

- Zostanę z tobą. Quinn odczekał chwilę.

- Jesteś pewny?

- Tak.

- Imponujące - powiedziała Orlando, kiedy Nate wyszedł do toalety.

- Źle wybrał.

- Założę się, że teraz rzyga.

Quinn się roześmiał, ale szybko spoważniał.

- Skontaktował się ze mną Peter.

- Tak? - Na twarzy Orlando pojawił się wyraz zaskoczenia i czujności.

- Nie bezpośrednio. - Powiedział jej o e-mailu od Duke'a. - Ale nie udało mi się dodzwonić do Waszyngtonu, żeby to potwierdzić.

- I co o tym myślisz?

- Sam nie wiem. Pogrzebała widelcem w talerzu.

- Duke napisał, co to za zlecenie?

- Nie.

- Napisał przynajmniej gdzie? Quinn pokręcił głową.

- Ponieważ nie mogłem dodzwonić się do Petera, wysłałem do niego e-mail z prośbą o szczegóły. Jeszcze nie odpisał.

Nad nasadą nosa Orlando pojawiły się głębokie zmarszczki.

- On ciągle siedzi w Berlinie?

- Chyba tak. - Quinn poczuł, że włoski na karku stają mu dęba. - Niemcy. Wzory na bransolecie.

- To pewnie nic nie znaczy. Peterowi o tym nie mówiłeś.

- Nie. Ale to tym ciekawsze. - Zawahał się. Już postanowił nic nie mówić, ale zmienił zdanie i wywalił kawę na ławę. - Zrobisz dla mnie coś jeszcze?

Atmosfera momentalnie stężała. Przez kilka sekund siedzieli w zupełnej ciszy. Wreszcie odezwał się Quinn. Szeptem.

- Tuż zanim wyszliśmy z hotelu, mogłem kazać mu zostać. Poradziłbym sobie z Ortega.

Orlando siedziała bez ruchu ze wzrokiem wbitym w stół, jakby go nie słuchała.

- Pamiętam, pomyślałem wtedy, że nie jest jeszcze gotowy. Ale nic nie powiedziałem. To był mój mistrz. To był Durrie.

- I tak by cię nie posłuchał - odrzekła cicho Orlando. Quinn milczał. Czekał.

- Nie potrafił wziąć się w garść - ciągnęła Orlando. - Bywało, że przez kilka tygodni wszystko było dobrze. Zachowywał się zupełnie normalnie. Tak jak stary Durrie. Ten, w którym się zakochałam. I nagle zamykał się w sobie, nagle wpadał w depresję. Całymi dniami nie wychodził z pokoju. Czasem znikał. Nawet na parę tygodni. Mexico City. Pamiętasz?

Quinn kiwnął głową. Oczywiście, że pamiętał. Pojechali tam razem, on i Orlando. Durrie powiedział, że nie może. Ponieważ nie chcieli rzucać się w oczy, wynajęli jeden pokój. Kiedy Durrie się o tym dowiedział, nie krzyczał ani nie zażądał, żeby wzięli osobne; po prostu zamknął się w sobie jak ostryga.

- Po powrocie oskarżył mnie, że z tobą spałam. Przez tydzień przekonywałam go, że to nieprawda. W końcu przeprosił mnie i powiedział, że wie, że nigdy bym mu tego nie zrobiła.

- Dlaczego z nim zostałaś? - spytał Quinn. Wypowiedział te słowa, zanim zdał sobie sprawę, że je wypowiada.

Orlando podniosła wzrok. Dopadły ją wspomnienia i miała smutne, zmęczone oczy.

- Byłam z nim wtedy prawie od pięciu lat. Nie mogłam tak po prostu odejść. Potrzebował mnie.

- Przepraszam. Nie myślę. Znowu zamilkli.

Wreszcie podniosła głowę, spojrzała na niego i powiedziała:

- Chciałam zrzucić winę na ciebie. Chciałam cię znienawidzić. I przez jakiś czas nienawidziłam. Wtedy, w San Francisco, miałeś szczęście, że cię nie zabiłam.

- Co się zmieniło?

Przez chwilę patrzyła na niego bez słowa.

- Czas. Wiedziałam, jaki był pod koniec. Po prostu nie chciałam w to uwierzyć. Dobrze mnie zrozum. Wciąż jestem wkurzona. Na ciebie. Ale i na siebie. A najbardziej na niego. Czasem się zastanawiam, czy gdyby nie zginął i dowiedział się o Garrecie, czy to by go odmieniło. Wiesz, gdyby miał po co żyć.

- Przykro mi - powiedział Quinn.

- Mnie też.

- A więc pomożesz mi?

Roześmiała się drwiąco, ale kiedy na niego spojrzała, na jej ustach błędził figlarny uśmiezek.

- Za kasę?

On też się roześmiał.

- Nie.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i nagle spoważniała.

- Czego potrzebujesz?

Westchnął w duchu. Przez kilka sekund było tak jak dawniej, jak kiedyś. Daj jej trochę czasu, pomyślał. Trochę czasu.

- Muszę dowiedzieć się wszystkiego o Gibsonie. Dla kogo pracował. Co ostatnio robił. Czy łączyło go coś z tym Taggertem.

- Dobra, ale to była pewnie jednorazowa robota. On takie lubi. - Orlando zrobiła krótką pauzę. - A raczej lubił.

- Sprawdź go mimo to. Dobrze?
- Przez chwilę patrzyła na niego bez słowa.
- Czemu nie? Da się zrobić.

Kiedy zbierali się do wyjścia, Nate powiedział:

- Anh chce pokazać mi miasto.
- Naprawdę? - rzucił bez zdziwienia Quinn. - Niby kiedy?
- Teraz... jeśli to możliwe.
- A myślisz, że możliwe?
- Przestań - wtrąciła Orlando. - Puść go. Quinn ją zignorował.
- Związki uczuciowe. Pamiętasz tę zasadę?
- To nie jest żaden związek - odparł Nate.
- Prawie.
- Będę o tym pamiętał.

Quinn skinął głową, krótko i lakonicznie.

- Dzięki. - Nate uśmiechnął się, wstał i poszedł do baru, gdzie czekała Anh.

- Nic mu nie będzie - powiedziała Orlando, kiedy wyszli z restauracji. - Przestań mu ojcować.

- Odpowiadam za niego.
- Mówisz jak... Wiesz kto?

Quinn wiedział. Mówił jak Durrie.

- Idź do diabła.

Mieli jechać do hotelu, ale kiedy wsiedli do taksówki, Orlando spytała:

- Możemy przedtem gdzieś wpaść?
- Jasne.

Podana kierowcy adres i ruszyli. Dziesięć minut później zatrzymali się przed dużą pagodą. Orlando zapłaciła i wysiedli.

- Świątynia?

Kiwnęła głową i weszli na schody.

Główna sala była olbrzymia, oświetlona jedynie promieniami słońca wpadającymi do środka przez duże, otwarte drzwi. Ale już kilka kroków dalej światło rozmywało się w warstwie wiszącego w powietrzu dymu. Quinn nie widział jego źródła, lecz natychmiast rozpoznał ten zapach, ostry i słodki. Kadzidło. Zapach zapraszał, rozluźniał, uspokajał.

Orlando poprowadziła go do ołtarza. Miał co najmniej sześć metrów szerokości i prawie tyle samo wysokości. Pośrodku stał naturalnej wielkości posąg Buddy.

Ale zamiast się zatrzymać, Orlando poszła dalej, za ołtarz. Quinn ruszył za nią. Z tyłu, przed drugim, dużo mniejszym ołtarzem, modliło się kilkanaście osób. Tam też był Budda, ale dużo mniejszy, wielkości małego dziecka. Na podłodze stał rząd okrągłych naczyń z piaskiem, w który wetknięto dziesiątki kadzidełek. Wiele było już wypalonych, szerniałych i przekrzywionych, lecz z czubka pozostałych, niczym sięgające nieba zwiewne warokocze, płynęły ku sufitowi, ku unoszącej się tam mgiełce, spiralne strużki dymu.

Wokół Buddy były półki ze zdjęciami zmarłych ostatnio i dawniej. Orlando przystanęła daleko po lewej stronie, po czym uklękła i zaczęła się modlić. Ale zamiast pochylić głowę, utkwiała wzrok w wiszącym na górze zdjęciu. Nie chcąc jej przeszkadzać, Quinn po cichu podszedł bliżej i stanął z tyłu, żeby lepiej widzieć.

Było to zdjęcie mężczyzny. Ale w przeciwieństwie do pozostałych, mężczyzny białego. Pokrywające je szkło było tak brudne od dymu palących się ciągle kadzideł, że większość ludzi pewnie tego nie zauważyła.

Quinnem miotały sprzeczne uczucia. Na zdjęciu był Durrie. Durrie na kilka lat przed śmiercią. Miał niemal siwe włosy, tak jak wtedy, gdy zginął, ale uśmiechał się i był odprężony.

Oderwał od niego wzrok i wyszedł ze świątyni. Kupił colę od staruszka, który rozłożył swój kramik u stóp schodów, i znalazł trochę cienia.

Próbował nie myśleć o wrażeniu, jakie zrobiło na nim zdjęcie. Próbował, ale nie mógł. Miał wyrzuty sumienia. Odczuwał smutek. Smutek i nienawiść. Nienawiść do człowieka, który porzucił swego nienarodzonego syna. Który nauczył go, jak przetrwać i żyć, i który zginął, nie pamiętając wła-

snych nauk. Ale najbardziej nienawidził go za to, że zostawił Orlando samą, załamana i rozbita.

Wyszła ze świątyni chwilę później; nie zdążył jeszcze otworzyć puszek.

- Dziękuję - powiedziała.

- Często tu przychodzisz?

- Codziennie.

Chciał powiedzieć: „On na to nie zasługuje”, a nawet: „On na ciebie nie zasługuje”. Ale zamiast tego podał jej colę, stanął na krawężniku i zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

TLR

Rozdział 13

W komputerze czekały dwa e-maile. Pierwszy był od Duke'a.

Pliki wysłane, tak jak chciałeś. Proszę o szybką odpowiedź. P4J

Drugi od Petera.

Zadzwoń.

Zanim to zrobił, przez chwilę przedzierał się przez cyberprzestrzeń, by dotrzeć do adresu, gdzie Duke miał zostawić wiadomość. Ściągnięcie pliku trwało trzydzieści sekund. W tym czasie komputer automatycznie sprawdził, czy nie ma w nim wirusów. Upewniwszy się, że nikt nie zgotował mu paskudnej niespodzianki, Quinn wylogował się z poczty.

Tak jak się spodziewał, w pliku były informacje na temat zlecenia. Zlecenia w Berlinie. Polegającego na monitorowaniu czyichś „dziwnych poczynań”. Czyich, tego Duke nie napisał, chociaż nadmienił, że będzie to wymagało sprzętu audio i wideo, jak i obserwacji bezpośredniej w kilku punktach miasta.

Nie wiedział, kto jest motorem tych działań, ale domyślał się, że JLK, wielki gracz niemieckiego półświatka. Jeśli tak, mogło to oznaczać, że brać w tym będą udział jakieś podejrzane typy, Anglicy, Hiszpanie albo Rosjanie.

Ale jeszcze bardziej mętne było to, co JLK ma wspólnego z kłopotami Petera. Czyżby Biuro wkurzyło czymś Niemców? Możliwe, ale on nic o tym nie słyszał. Oczywiście nie musiał, bo - jak zauważył Peter - sprawy Biura nie były jego sprawami. Wyjął komórkę.

- Problemy? - zaczął Peter.

Quinn stanął przy oknie i z telefonem przy uchu spojrzął na rozciągający się przed hotelem skwer.

- Nie licząc tego, że musiałem zabić kogoś we własnym salonie i nagle wyjechać? Nie. Żadnych.

- Nie wiedziałem, że interesuje cię zabijanie.

- Bo mnie nie interesuje.

- Miałbyś większe pole działania.

- Nie jestem rolnikiem. - Quinn zrobił pauzę. - Duke do mnie napisał.

- To dobrze. Kiedy wyjeżdżasz?

- Kto powiedział, że wyjeżdżam? Peter długo nie odpowiadał.

- Zrób to dla mnie.

- Przecież sam kazałeś mi zniknąć.

- Duke ma dowody, że ci z Niemiec mogą stać za tym przeklętym kipi-
szem. Z próbą zamachu na twoje życie.

- „Mogą”, Peter. Tylko „mogą”. Peter znowu zamilkł.

- To nasz najlepszy trop.

- I fajnie. Wyślij tam kogoś innego.

- Kogo? Mam tylko ciebie.

- A jeśli odmówię?

- Wtedy Duke zrobi to na własną rękę. To znaczy, spieprzy.

- No to masz problem.

- Chryste, Quinn. Jeśli Duke czegoś nie przekreślił, to jest nasza jedyna okazja, żeby się dowiedzieć, kto tym wszystkim kręci. Musisz tam pojechać. Zrób mi przysługę.

- Nie robię przysług.

- Kiedy zaczynałeś pracować na własną rękę, zatrudniłem cię, chociaż nikt inny nie chciał dać ci szansy. - W głosie Petera słychać było stłumiony gniew. - Dzięki mnie stałeś się bogaty. Jesteś mi winien przynajmniej tyle.

Quinn zamknął oczy. Mógłby powiedzieć, że Peter angażuje go tylko dlatego, że jest najlepszy w branży i że bogactwo zawdzięcza swemu talentowi. Ale fakt, to on dał mu pierwszą szansę, chociaż za namową Durriego. Po prostu wkurzyło go, że zagrał akurat tą kartą.

- Będziesz mi musiał zapłacić - odparł.

- A już myślałem, że zrobisz to gratis.
- Podwójnie.
- Dobrze. - Peter jakby się tego spodziewał.
- Poza tym będę musiał skrzyknąć zespół.
- To skrzyknij, rusz dupę i leć do Berlina. Z tymi słowami odłożył słuchawkę.

Quinn jeszcze raz spojrział w okno, wrócił do stolika i obudził komputer. Otworzył e-mail od Duke'a i kliknął myszką ikonkę ODPOWIEDZ.

Przyjadę. Dam znać kiedy. Rozmawiałem z Peterem i uprzedziłem go, że będę potrzebował pełnej ekipy. Zbiorę wszystkich przed wyjazdem. Czekam na potwierdzenie przelewu. I tym razem załatw mi porządny hotel. Bez żadnych nor, OK?

Xavier

Kopię listu przesłał do Petera i Orlando.

- I nawet ze mną nie pogadałeś? - spytała poirytowana Orlando.

Wciąż był w hotelu. Zadzwoiła do niego dziesięć minut po tym, jak wysłał e-mail do Duke'a.

- Zaraz, chwileczkę - odparł. - Nie proszę cię, żebyś ze mną jechała. Nie chcę, żebyś jechała. Chcę tylko, żeby ktoś wiedział, co się dzieje.

- Czasem zachowujesz się jak ostatni dupek.

- Co to, do diabła, znaczy?

- Sam nie dasz rady.

- Coś ty? Naprawdę? - Quinn też się zirytował. - Mam Nate'a. Wystarczy mi jeszcze jeden.

- Wiem. Technik.

- No to znajdę technika. Jest ich od cholery. Orlando milczała.

- Jadę tam tylko dlatego, że Peter nie ma nikogo innego.

- Jasne.

- Co „jasne”?
- Że to jeden z powodów - odparła. Miała rację, więc szybko zmienił temat.
- Masz dla mnie coś nowego?
- Jeszcze nie.
- To spotkajmy się później.
- Będę coś wiedziała dopiero rano.
- Dobra. Spotkamy się na śniadaniu. U ciebie? O wpół do ósmej?
- Może o dziewiątej?
- Jutro lecimy, im wcześniej, tym lepiej.
- Dobrze, niech będzie o wpół do ósmej. - Nie była z tego zadowolona. Quinn już miał się pożegnać, gdy nagle dodała: - Ja też się rozejrzę. Zobaczę, kto jest do wzięcia.
- Nie musisz.
- Wiem.

Kiedy Nate wrócił wreszcie do hotelu, Quinn wysłał go po rzeczy, których mogli potrzebować w kolejnym etapie ich długiej podróży. Sam zaś zasiadł przy komputerze, stawiając przed sobą dwa cele. Po pierwsze, miał nadzieję znaleźć kogoś, kto pomógłby im w Berlinie, po drugie, chciał jeszcze raz sprawdzić, czy uda mu się dociec, kto na niego poluje. Niestety, nie poszczęściło mu się ani w jednym, ani w drugim.

Kiedy się w końcu poddał, nad Sajgonem zapadła już noc. Bolały go nogi, oczy piekły od gapienia się w ekran. Nic więc dziwnego, że naszła go ochota na spacer. Chciał się trochę przewietrzyć i oczyścić umysł.

Zadzwoił do Nate'a, żeby zaprosić go na drinka, ale Nate nie podniósł słuchawki. Pewnie był z tą swoją tymczasową dziewczyną.

Gdyby Orlando go nie powstrzymała, Quinn przycisnęłaby go trochę mocniej. Tak czy inaczej, czekała ich kolejna pogawędka na temat związków uczuciowych.

Wyglądało więc na to, że został sam. Przed hotelem zatrzymał taksówkę, ale zaraz potem musiał zatrzymać jeszcze dwie, bo kierowcy dwóch pierwszych nie znali angielskiego.

- Dokąd?
- Do jakiegoś baru.
- Do dziewczyn? Wiem, gdzie są.
- Nie. Gdzieś, gdzie można odpocząć.
- Dobrze, dobrze. Żaden problem. Ruszyli.

Pierwszy lokal wyglądał tak obskurnie, że Quinn nawet nie wysiadł. Następny był niewiele lepszy. Mimo to Quinn nie chciał spędzić nocy na tylnym siedzeniu taksówki.

Taksiarz musiał wyczuć jego wahanie.

- Nie, nie - powiedział. - Znam lepszy. Blisko hotel. On będzie zadowolony.

Kwadrans później zatrzymali się przed kolejnym klubem. Ten mieścił się w ciemnym zaułku kilka ulic od rzeki Sajgon. Pod drzwiami stała grupka ludzi, Wietnamczyków i obcokrajowców. Wszyscy byli dobrze ubrani.

- Apokalipsa - powiedział kierowca. - Ona bardzo popularna.

Przed klub zajęły dwie kolejne taksówki. Z pierwszej wysiadła młoda wietnamska para. Z drugiej trzech hałaśliwych białych, sądząc po akcencie, Australijczyków. Taksiarz miał rację przynajmniej co do jednego: klub był rzeczywiście popularny.

W drzwiach stał bramkarz, ale wpuścił go bez słowa. Obcokrajowiec to pieniądze.

Sala była nabita w siedemdziesięciu procentach Wietnamczykami, w trzydziestu mieszaniną innych narodowości, lecz głównie białymi. Ryczała muzyka, *Clint East-wood* Gorillaz. Pod ścianami stały stoliki, pośrodku był parkiet. Quinn zaczął przebijać się przez tłum w stronę baru.

Mniej więcej w połowie drogi ktoś położył mu rękę na ramieniu.

- Mówisz po angielsku?

Stał przed nim młody mężczyzna. Biały. Sądząc po akcencie, Niemiec albo Holender. Miał ciężkie powieki. Musiał sporo wypić.

- Tak?
- Amerykanin, co? Quinn nie odpowiedział.
- Potrzebujesz czegoś? Quinn pokręcił głową.
- Nie, dzięki.
- Haszu? Opium? Zostało mi chyba kilka smerfów... -Zaczął grzebać w kieszeni.
- Nie, dzięki - powtórzył Quinn i poszedł dalej.
- Nie ma sprawy - zawołał za nim tamten. - Jakby co, wiesz, gdzie mnie szukać.

Zamówił rum z colą. Ze szklanką w ręku odwrócił się, żeby popatrzeć na salę. Był niezadowolony. Nie tego szukał. I nagle zdał sobie sprawę, że chciałby robić to, co prawdopodobnie robił teraz Nate: siedzieć w Mai 99, pić tygrysie piwo i gawędzić z kelnerkami. Tak było wygodniej. Bezpieczniej. Mniej gorąca atmosfera. Niezobowiązujący flirt z nieznajomą. Związek z góry skazany na niepowodzenie. Samotne noce. Noce z książką. Z telewizorem. Z komputerem. Ale bez kobiecego ciepła u boku. Tak było łatwiej.

Po jego lewej stronie kolejny obcokrajowiec - dobrze zbudowany i wysoki - rozmawiał z filigranową kobietą. A właściwie dziewczyną. Nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat. Grała głośna muzyka i nie słyszał, o czym rozmawiają, chociaż domyślał się, że dobijają targu.

Chwilę później Wietnamka pocałowała tamtego w policzek i odeszła. Mężczyzna wyprostował się z drwiącym uśmiechem i pochwycił jego spojrzenie Quinna.

- Hej, jak leci? - rzucił.

Australijczyk, upewnił się Quinn. Jeden z tych, którzy przyjechali do klubu tuż po nim.

- Dobrze - odparł.

- Widziałeś ją?

Quinn bez słowa kiwnął głową.

- Prawdziwa profesjonalistka. Chciała sto pięćdziesiąt dolców. Kurde, w Phnom Penh można wynająć za to laskę na cały tydzień. Ale ona wróci. Chyba że znajdzie frajera, który nie zna tutejszych cen.

Quinn ze współczuciem pokręcił głową. Temat zupełnie go nie interesował.

- Skąd jesteś? - spytał tamten.

- Z Kanady. Z Vancouver.

- No to za królową. - Australijczyk podniósł szklanke i Quinn trącił się z nim swoją. - Leo Tucker. To ja.

- Tony Johnson.

- Przyjechałeś tu w interesach? Quinn kiwnął głową.

- **A ty?**

- Nie. Chciałem się trochę zabawić. Tutejsze dziewczyny są boskie, ale kurwa, ceny to biorą z sufitu. Ty na długo?

- Rano wyjeżdżam.

- Szkoda. Jutro wieczorem jest imprezka. Mam nadzieję, że uratuje to moją wyprawę. Kumpel coś organizuje. Powinno być fajnie. Będzie wiele dziewczyn.

Quinn wyraził swoje rozczarowanie i udając, że jest zmęczony, uciekł z klubu. Gdy wyszedł na ulicę, poczuł ulgę. Ale nie na długo. Pod drzwiami stał handlarz, ten od haszu i smerfów. W pobliżu nie było nikogo innego. Zniknęli nawet bramkarze. Quinn natychmiast wzmógł czujność.

- Dokąd to, Amerykaninie? - spytał handlarz.

- Do domu.

- Jeszcze wcześniej. Zabawa dopiero się zaczyna. Przyćmisz dzointa?

- Nie, dzięki.

Na rogu ulicy stała taksówka. Quinn ruszył w tamtą stronę.

Ale daleko nie zaszedł. Handlarz podbiegł do niego i chwycił go za ramię. Quinn przeszył go gniewnym spojrzeniem.

- Nie tak szybko. - W ręku tamtego błysnął nóż. - Najpierw się trochę przejdziemy. Dobra?

Quinn odwrócił się błyskawicznie, obiema rękami chwycił go za nadgarstek i przygniótł do ściany.

Zaskoczony handlarz zaklął, najwidoczniej nie spodziewając się tak szybkiej reakcji.

Quinn trzymał go ze wszystkich sił. Wiedział, że nie może puścić. Gdyby puścił, skończyłby na chodniku zakrwawiony albo nawet martwy.

Tamten też o tym wiedział. Dlatego próbując się wyszarpnąć, zaczął okładać go wolną ręką. Quinn odwrócił się i wtulił w niego, tak że ciosy trafiały w plecy. Handlarz coraz bardziej się irytował. Miał przyspieszony oddech, coraz głośniejszą sapnął.

Quinn wykręcił mu rękę, żeby go rozbroić. Ale nic z tego, tamten za mocno trzymał. Zmieniając taktykę, Quinn odsunął się lekko, po czym całym ciałem grzmotnął go w pierś. Raz i jeszcze raz. Za trzecim razem handlarz stracił oddech. Ale co zaskakujące, wciąż kurczowo ścisnął nóż. Co za kutas.

Podczas gdy stękał i charczał, z trudem łapiąc oddech, Quinn rozejrzał się wokoło. Dwa kroki dalej na ścianie budynku zobaczył starą rurę; miała może dziesięć centymetrów średnicy i biegła w górę. Pchnął handlarza w tamtą stronę i kilka razy uderzył w nią jego nadgarstkiem.

Rozległ się suchy trzask i bolesny krzyk. Nóż zaklekotał na chodniku. Quinn wymacał go nogą, kopnął najdalej, jak tylko zdołał i dopiero wtedy zrobił krok do tyłu. Niepotrzebnie zawracał sobie głowę. Handlarz osunął się na ziemię i usiadł z bezwładną ręką na kolanach.

- Ty skurwysynu - syknął.

Quinn chwycił go za włosy, odchylił mu do tyłu głowę i spojrzał w oczy.

- Kiedy ktoś ci odmawia - powiedział - powinieneś zbastować.

Puścił go i stanął prosto.

- Co się tu dzieje? - zawołał ktoś po angielsku. Czyjeś kroki. Leo Tucker.

- Jesteś cały? - Tucker szybko podbiegł bliżej.

- Tak.

Tucker spojrzał na wijącego się z bólu handlarza.

- Kto to, kurwa, jest?

- Nie wiem.

- Widziałem, jak wyciągnął nóż. - Tucker z podziwem pokręcił głową. - Ładnie go załatwiłeś.

- Bez przesady, jest nawalony. Z oddali dobiegł ryk syren.

- Chryste - powiedział Tucker. - Policja. Tylko tego brakowało. Chodź.

Ruszył do taksówki, która właśnie podjechała. Quinn nie miał ochoty zadzierać z tutejszą policj'a, więc ruszył za nim. Tucker otworzył drzwiczki.

- Dzięki - rzucił Quinn. - Masz u mnie kielicha.

- Dobra, dobra, wskakuj. Quinn wsiadł.

Tucker zajrzał do środka.

- Będziesz się musiał przesunąć.

- Dzięki, ale poradzę sobie sam.

Wtedy Quinn zobaczył pistolet w jego ręku. Australijczyk uśmiechnął się i Quinn zrobił mu miejsce.

TLR

Rozdział 14

Lucker zagadał po wietnamsku do kierowcy, usiadł wygodniej i znowu się uśmiechnął.

- Rozchmurz się, kolego. Załatwimy sprawę i pójdziesz swoją drogą.

- Sprawę? Niby jaką? Tucker nie odpowiedział.

Quinn wzruszył ramionami, jakby nic go to nie obchodziło. I praktycznie nie obchodziło. Jego głównym celem było teraz przetrwanie. Nie wierzył, że załatwiwszy „sprawę”, Tucker po prostu go wypuści. Ale wiedział, że dopóki nie nadarzy się okazja do ucieczki, musi tańczyć, jak mu zagrają.

Jechali w milczeniu. Nie patrząc na zegarek, Quinn obliczył, że dochodzi dziesiąta. Przez cały czas zerkał w okno, starając się zapamiętać trasę. Hotel, bambusowe rusztowanie, trypoziomowa pagoda, niebieska latarnia w oknie - chociaż nigdy nie był w tej części miasta, wiedział, że w razie czego potrafi wrócić na znajomy teren.

Po dziesięciu minutach jazdy znaleźli się w dzielnicy mieszkaniowej, gdzie stały nie tylko bloki, ale i zwykłe domy. Tucker nachylił się do przodu i powiedział coś do kierowcy, który kiwnął głową i skręcił w najbliższą ulicę. Tu domy były inne, większe i lepiej utrzymane. Dwie ulice dalej zatrzymali się przed długim, białym parkanem. Na jego lewym końcu była brama. Przed bramą stało dwóch Wietnamczyków. Patrzyli na nich podejrzliwie. Sądząc po ich postawie, obydwaj byli uzbrojeni.

Tucker zapłacił za kurs.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział.

Quinn otworzył drzwiczki i wysiadł. Jeden z Wietnamczyków zrobił krok w jego stronę. Miał spiętą twarz, ale kiedy z taksówki wysiadł Tucker, natychmiast się odprężył.

- Co teraz? - spytał Quinn.

- Teraz sobie pogawędzimy. - Tucker wskazał bramę. - Ty pierwszy.

Wietnamczyk dokładnie obszukał Quinna, znalazł w kieszeniach zwitek dongów i złożony plan miasta. Podał to Tuckerowi. Quinn ucieszył się w duchu, że zrobił sobie wolny wieczór i zostawił w pokoju wszystkie narzędzia. Problemem był tylko plan. Na okładce był adres biura Orlando. Musiał go odzyskać.

Kiedy już go obszukano, drugi Wietnamczyk otworzył bramę, ale tylko na tyle, żeby mogli przejść. Za parkanem, w dobrze utrzymanym ogrodzie, stał wielki, biały dom. W kilku oknach paliło się światło. Z jednego dochodziła muzyka: Ennio Morricone, ścieżka dźwiękowa z *Misji*.

Kiedy podeszli bliżej, otworzyły się frontowe drzwi i wyrósł w nich wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna. Podobnie jak Tucker, był biały, chociaż miał mniej ziemistą cerę. Pewnie Latynos, pomyślał Quinn. Jakiś mieszaniec. Albo dużo przebywa na słońcu.

- To jest Perry - przedstawił go Tucker. - Perry pilnuje, żeby nic się tu nie stłukło ani nie zbiło.

- Łącznie ze mną? - spytał Quinn. Tucker roześmiał się wesoło.

Perry z ponurą miną zrobił im przejście. I nagle Quinn poczuł się tak, jakby prosto z Wietnamu trafił do angielskiego dworku. Tuż za wejściem był wielki salon pełen ciemnych antycznych mebli. Jednakże, przyjrząwszy się dokładniej, stwierdził, że są to meble francuskie, że to wiszące na ścianach obrazy wytwarzają tę specyficzną angielską atmosferę - obrazy przedstawiające psy myśliwskie, ptaki łowne i konie. Na żadnym nie było ludzi.

- Mieszkasz tu? - spytał. - Nie ma to jak dziewiętnasty wiek, co?

- Tędy - odparł Tucker, wskazując korytarz na końcu salonu.

Quinn wzruszył ramionami. Idąc w stronę korytarza, uważnie rejestrował w pamięci wszystko to, co w razie potrzeby mogłoby mu się przydać. Wa-

zon, mały, brązowy posążek śpiącego psa, szklana popielniczka - tępy przedmiot to niezła broń. Niestety, wszystkie były poza zasięgiem ręki.

W korytarzu Tucker zaprowadził go do otwartych drzwi po lewej stronie. Za drzwiami był gabinet z wielkim biurkiem. Za biurkiem siedział mężczyzna, też biały. Był w granatowej koszuli i wyglądał na sześćdziesiąt kilka lat - głównie dlatego, że miał siwawe, krótko ostrzyżone włosy. Kiedy weszli, wstał.

- Proszę. - Wskazał dwa krzesła przed biurkiem.

Quinn usiadł na tym po prawej, Tucker po lewej. Mężczyzna zaczekał, aż się usadowią i dopiero wtedy usiadł. Spojrzał na Quinna i spytał:

- Napije się pan czegoś? - Mówił z akcentem ni to angielskim, ni amerykańskim. - Może wody? Albo soku? Boję się, że alkoholu nie mamy.

- Nie, dziękuję - odrzekł Quinn.

Z boku stał dzbanek z wodą. Mężczyzna podniósł go i nalał trzy szklanki. Jedną postawił przed nim, drugą przed Tuckerem, trzecią zostawił dla siebie.

- Gdyby zachciało się panu pić.

- Dziękuję. - Quinn nawet się nie poruszył.

- W takim razie chyba możemy zaczynać... - Mężczyzna zrobił krótką pauzę. - Leo, gdzie jest Art? Nie było go z tobą?

- Pewnie u lekarza. - Tucker zerknął na Quinna. - Nasz chłoptaş dał mu wycisk przed Apokalipsą.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Straszny lokal. Za głośno tam, za dużo podejrzanych typów... Wyjdzie z tego?

- Nic mu nie będzie - odparł Tucker. - Ma złamaną rękę.

- Nadgarstek - poprawił go Quinn.

- Nadgarstek długo się goi - zauważył mężczyzna.

- Kim pan jest?

Tamten roześmiał się dobrodusznie.

- Przepraszam, powinienem był się przedstawić. Nazywam się Piper.

- Pied Piper?*¹

- Pan Piper.

To nazwisko coś Quinnowi mówiło. Na pewno z nim nie pracował, bo gdyby tak było, natychmiast by go sobie skojarzył. Ale skądś je znał.

- Może teraz pan się przedstawi? Quinn wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Tony Johnson. Piper znowu się roześmiał.

- Nie wygląda pan na Johnsona. Leo, czy on wygląda na jakiegoś... Johnsona?

- Nie, absolutnie.

- To Leo pana zauważył. - Piper przeniósł wzrok na Quinna. - Ma pamięć do twarzy. Wczoraj był na lotnisku, sprawdzał, kto do nas przyleciał. Robi to prawie codziennie. No i wypatrzył pana.

- Absolutnie - potwierdził Tucker.

- Słynnego Jonathana Quinna - dodał Piper. Quinn nawet nie drgnął.

- I postanowił pan zaprosić mnie na szklanekę wody?

- Na pogawędkę. Woda to tylko podarunek.

- Czego pan ode mnie chce?

- To zależy.

- Od czego?

- Wie pan, że wyznaczono za pana nagrodę? - spytał z uśmiechem Piper.

- To mnie nie dziwi - odparł spokojnie Quinn. - Ile jestem warty?

- Za mało, żeby zastrzelić pana na miejscu, ale wystarczająco dużo, żeby wzbudzić moją ciekawość. Leo, ile tego jest?

- Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów - odrzekł Tucker. - Amerykańskich.

- Widzi pan? - Ciągnął Piper. - Kieszonkowe. Nie warto zawracać sobie głowy.

Quinn usiadł wygodniej.

- A więc kto chce mnie zabić?

¹ *Pied Piper, Grajek z Hamelin - bohater niemieckiej baśni, która jest kanwą jednej z opowieści braci Grimm.*

- Dobre pytanie. Na... kontrakcie nie było nazwiska zleceniodawcy. Miałem nadzieję, że pan je zna.

Quinn wzruszył ramionami.

- Wygląda na to, że nikt nic nie wie.

- Ciekawe jest to - ciągnął Piper - że wymienia się tam tylko pana. Pański przyjaciel jest pewnie mniej ważny.

- Przyjaciel? - Quinn zeszywniał.

- Nie przyleciał pan sam. Towarzyszył panu... młody mężczyzna? Tucker mówi, że miał kłopoty z jakimś chłopcem na parkingu.

Jeśli zauważyli mnie, pomyślał Quinn, musieli zauważyć i jego.

- To pański kolega? - drażył Piper.

- Mogłem poznać go w samolocie.

- Jasne - prychnął drwiąco Tucker.

Piper sięgnął do szuflady i położył coś na bibularzu. Było to zdjęcie Quinna i Nate'a przed hotelem Rex. Piper obrócił je i postukał w nie palcem.

- Jeszcze go nie zidentyfikowałem, ale instynkt podpowiada mi, że to pana współpracownik.

Quinn tylko się uśmiechnął.

- Co tu robicie? - spytał Piper.

Quinn zerknął na lewą rękę i przesunął kciukiem po opuszkach palców.

- Co tu jest grane? - spytał, podnosząc wzrok. - Czekamy na kogoś? Na kogoś, kto przyjdzie i zabierze mnie na przejażdżkę za miasto? On wróci, ja nie. Tak? Tucker parsknął śmiechem.

- Rany, ty naprawdę miałeś ciężki tydzień. Piper odchylił się do tyłu i zmrużył oczy.

- Jak się pan zapewne domyśla, prowadzę tu nader delikatne interesy. Siedzę w tej dziurze od dwóch miesięcy i nie chcę, żeby ktoś taki jak wy wszystko mi zepsuł. Rozumie pan zatem, że ciekawią mnie wasze zamiary. Tylko to mnie interesuje, nic więcej.

- W takim razie nie ma problemu - odparł Quinn. - Dopóki pański Romeo nie poderwał mnie w barze, nie wiedziałem nawet, że pan tu jest.

- Dlaczego miałbym panu wierzyć?

- Nie obchodzi mnie, czy pan mi uwierzy, czy nie.

- A powinno - wtrącił Tucker.

- Nie, nie powinno. Myślicie, że przyjechałem tu, żeby zepsuć wam interesy i chcecie się mnie pozbyć. Jeśli nie zrobicie tego dzisiaj, jutro strzeli mi w łeb ktoś, kto poleci na te dwadzieścia pięć kawałków, więc co to za różnica? Wierzycie mi albo nie. Zdecydujcie się na coś i lećmy dalej.

Tamci milczeli, więc Quinn wstał.

- Wielkie dzięki za pogawędkę, ale mam trochę roboty.

Tucker natychmiast zerwał się z krzesła, ale Piper wciąż siedział.

- Który z was wezwie dla mnie taksówkę? - spytał Quinn.

Wreszcie wstał i Piper, z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Najlepiej by było, gdybyście wyjechali z Wietnamu.

- Może jutro? - odparł Quinn. - Nie za szybko?

- Jutro w zupełności wystarczy. - Piper roześmiał się cicho. - Dam panu radę.

Quinn czekał.

- Niech pan weźmie innego współnika. Ten jest do niczego. Leo chodził za nim prawie przez cały dzień, a on niczego nie zauważył. Sklepy z ubra-
niem, parę stoisk z kosmetykami, stragany z podkoszulkami... Tucker wzru-
szył ramionami.

- Kiedy go zostawiłem, jadł kolację przy Hai Ba Trung.

- Jeśli jutro wyjedziecie - ciągnął Piper - jakoś to przeżyję. Ale niech pan nie przeciąga struny. Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów to za mało, żebym kiwnął palcem. Ale nie mogę mówić w imieniu innych, choćby obecnego tu Leo. Albo Art. Złamał mu pan rękę i Art może pomyśleć, że te pieniądze mu się należą. Jeśli pojutrze wciąż tu będziecie, nie gwarantuję wam bezpieczeństwa.

- Mam nadzieję, że się na mnie nie gniewasz? - Tucker wyciągnął rękę.

Quinn niechętnie ją uścisnął.

- Mogę prosić o moje pieniądze?

- Słucham? A tak, oczywiście. - Tucker wyjął zwitek dongów i plan miasta. Quinn schował je do kieszeni. - Odprowadzę cię. Dopilnuję, żebyś zła-
pał taksówkę.

Ruszyli do drzwi.

- Panie Quinn - powiedział Piper. Quinn się odwrócił. -Nie wiem, kto wyznaczył tę nagrodę, ale to nie znaczy, że nie dochodzą mnie różne pogłoski.

- Na przykład jakie?

Zapadła cisza. I wtedy Piper powiedział:

- Borko.

- Borko?

- Nie jest moim przyjacielem, a sądząc po pańskiej reakcji, nie jest również pańskim. Na pana miejscu byłbym ostrożny.

Quinn stał przez chwilę bez ruchu, trawiając tę informację, potem skinął głową i wyszedł.

Rozdział 15

Dopiero w drodze do hotelu skojarzył sobie, kto zacz. Reuben Piper. To nie mógł być nikt inny. Pierwszy partner Durriego, facet, z którym Durrie pracował na długo przed nim. Durrie rzadko o nim wspominał, ale od czasu do czasu coś tam opowiadał. Quinn pamiętał niewiele szczegółów. Ich współpraca źle się skończyła. Tyle wiedział na pewno.

Wysiadł przed hotelem o wpół do dwunastej. Od jedenastej w całym mieście obowiązywała godzina policyjna, ale tylko teoretycznie, bo na ulicach wciąż panował ruch, a jadąc taksówką, widział kilka otwartych restauracji i nocnych klubów. Od ostatnich rewelacji kręciło mu się w głowie i ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, było siedzenie w pustym pokoju, ale szukać jakiegoś klubu też nie chciał. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie pójść do Mai 99, lecz w końcu wylądował w barze na hotelowym dachu.

Pijąc tygrysie piwo, nie mógł nie myśleć o konsekwencjach spotkania z Piperem. Przyjechał do Wietnamu, sądząc, że znajdzie tu bezpieczne schronienie. Tymczasem zauważono ich, kiedy tylko wysiedli z samolotu. Na domiar złego Piper twierdził, że za kipiszem mógł stać Borko, a to było już co najmniej niepokojące.

Jedynym pozytywem tego zaimprovizowanego spotkania było to, czego Piper nie powiedział. Nie wspomniał mianowicie o Orlando. Ani słowem. Gdyby wiedział, że ona też jest w Sajgonie, nie wypuściłby go tak szybko. Fatalne było już samo to, że przyjechał tu on, Quinn, ale żeby w tym samym czasie znalazło się tu ich dwoje? Dwoje najlepszych agentów, którzy nie tylko się dobrze znali, ale i wiele razy z sobą pracowali? Tego byłoby już za dużo. Ale chociaż

Piper siedział tu od dwóch miesięcy, ich ścieżki najwyraźniej się nie przecięły. Jak dotąd.

Borko. Borko był problemem, i to niemałym. Quinn czuł się tak, jakby poszedł do dentysty na zdjęcie kamienia na-zębnego i dowiedział się, że czeka go leczenie kanałowe. Zmarszczył czoło. Nie. Czuł się tak, jakby poszedł do dentysty i dowiedział się, że czeka go ekstrakcja totalna.

Mimo to musiał przyznać, że pojawienie się Borki ma pewien sens. Zorganizowanie kipsiszu było przedsięwzięciem na olbrzymią skalę, na skalę tak wielką, że zwykle niewartą ryzyka. Ale serbska organizacja Borki była kapelą punkową ich światka i robiła rzeczy, których prawie nikt inny robić nie chciał. Strategia ta miała swoje plusy i minusy. Większość klientów trzymała się od Borki z daleka. Ale od czasu do czasu wypływało coś nietypowego i wtedy na jego biurku dzwonił telefon.

Quinn miał z nim do czynienia tylko raz - to wystarczyło. I chociaż usilnie próbował, wciąż nie mógł o tym zapomnieć.

Zdarzyło się to przed sześciu laty w Toronto...

Zaczął tak jak zwykle, w furgonetce z baterią monitorów tymczasowo zamontowanych na ścianie. Tym razem ich ekrany pokazywały fragmenty hali naprawczej jednego z warsztatów mechanicznych w Toronto. Nie tylko on je obserwował. W furgonetce tłoczyło się z nim jeszcze dwóch.

- Ile strzałów? Osiem?

- Dziewięć - odparł Quinn.

Dan Skyler, ten, który o to spytał, siedział po jego prawej stronie. Pochodził z Toronto i był między innymi „grabarzem”, chociaż angażując go, Quinn nie zamierzał wykorzystywać jego umiejętności, a przynajmniej nie w tym zakresie.

Zlecenie miało być bardzo proste. Obserwować wymianę, a potem, kiedy tamci skończą, dokładnie oczyścić teren: usunąć ślady opon, odciski palców i butów, wszystkie dowody fizyczne, które mogły naprowadzić na trop obserwowanej. Gdyby komuś udało się potem trafić na miejsce wymiany, warsztat musiał okazać się ślepą uliczką. Quinn nazywał to kąpielą. Tak jak na filmie, kiedy ktoś wjeżdża samochodem do strumienia, żeby zatrzeć ślady opon i ślady zapachowe, jakie mógłby zostawić. On odgrywał rolę takiego strumienia.

Tylko że sądząc po tym, co widział na ekranach monitorów, w tej sytuacji mycie mogło nie wystarczyć. Czuł, że będzie musiał jednak wykorzystać Skylera.

Po jego lewej stronie siedział Joseph Glaze, przedstawiciel klienta, grupy V12, który miał go nadzorować i o wszystkim meldować szefostwu. Quinn nie lubił takich sytuacji, ale czasem się zdarzały.

- Jezu Chryste. - Glaze wytrzeszczył oczy. - Trzeba coś zrobić.

Chciał wstać, ale Quinn chwycił go za rękę.

- Zaczekaj.

- Ale...

- To nie nasza sprawa.

Glaze niechętnie opadł na krzesło.

Przez prawie minutę na ekranach nic się nie działo. Nie było żadnego ruchu, z głośników nie płynęły żadne odgłosy. Nie odrywając oczu od monitorów, Quinn wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. To, co miało być zwykłą wymianą, przekształciło się w masakrę. Podłoga warsztatu była zaplamiona nie tylko ropą i smarami.

- Naliczyłem trzech - powiedział.

- To cała ekipa - odparł Glaze. Pochylił się do przodu, żeby lepiej widzieć. - Gdzie jest towar?

Przez kilka sekund wpatrywali się w ekrany.

- Tutaj - powiedział wreszcie Skyler, wskazując jeden z monitorów.

Kobieta leżała na podłodze, na wpół ukryta w cieniu za stalowymi beczkami. W pewnej chwili drgnęła jej lewa stopa.

- Żyje - rzucił Quinn.

- Na pewno? - spytał Skyler. Quinn kiwnął głową.

- Trzeba coś zrobić - powtórzył Glaze.

- Na przykład?

- Nie możemy tak tu po prostu siedzieć.

- Możemy.

- Mamy ruch - przerwał im Skyler.

W kadr kamery pokazującej plan ogólny weszło czterech mężczyzn. Wszyscy byli ubrani na czarno, wszyscy identycznie uzbrojeni: w karabiny szturmowe G36K Hecklera & Kocha. Ci z V12 mieli inną broń.

Ostrożnie szli przed siebie, omiatając lufami wnętrze warsztatu. Kiedy doszli do ciała leżącego najbliżej wejścia, jeden z nich trącił je nogą. Nic, brak reakcji. Drugi z leżących też nie zareagował. Ale kiedy ubrany na czarno napastnik kopnął trzeciego, ten cicho jęknął. Bez chwili wahania mężczyzna wycelował mu w głowę i pociągnął za spust.

Kiedy obeszli stertę beczek, kolby karabinów momentalnie przywarły im do ramion, a lufy powędrowały w dół.

- W porządku - rzucił jeden. - Jest czysta. - I trochę ciszej dodał: - Wstawaj. Powoli.

Kobieta wstała. Ten, który do niej zagadał, kazał jej wyjść zza beczek. Kobieta wyszła z cienia, tuląc do siebie prawą rękę. Miała zakrwawiony rękaw, ale poza tym nic jej chyba nie było.

- Kto to? - spytał Quinn. Na ekranie bocznego monitora dostrzegł ruch.

Od strony drzwi, którymi weszło czterech zabójców, zbliżał się ktoś piąty. Różnił się od pozostałych. Był w kosztownym szarym garniturze i w przeciwieństwie do tamtych, nie miał karabinu. Za to lekko wybrzuszoną marynarkę, z tyłu, w okolicy krzyża. Nie był więc tak zupełnie bezbronny. Wysoki i szczupły - metr dziewięćdziesiąt wzrostu, siedemdziesiąt siedem kilo wagi - miał brązowe, kręcone włosy, które spływały kaskadą aż na ramiona, przez co zdawały się dłuższe niż w rzeczywistości. Chociaż się nie uśmiechał, widać było, że jest z czegoś zadowolony. Nie, bardziej niż zadowolony - z każdym krokiem biło z niego poczucie wyższości i niezwykłej pewności siebie.

- Musimy wiać - szepnął Glaze.

- Co ty gadasz? - rzucił Skyler.

- Wiejemy - powtórzył Glaze. - Szybko.

- Przed chwilą chciałeś biec im na pomoc - zauważył Quinn.

- Mój błąd. - Glaze wstał i tym razem zamiast do tylnych drzwiczek, ruszył w stronę szoferki.

- Zaczekaj - powstrzymał go Quinn. - Nigdzie nie idziemy.

- Nie wiecie, kto to jest? - Glaze patrzył na nich rozgorączkowanymi oczami. - To jest Borko.

Zapadła cisza. Quinn i Skyler spojrzeli na ekran.

- Pieprzysz - mruknął Skyler.

Quinn wyteżył wzrok. Do tej pory widział tylko zdjęcia Borki, nigdy Borki na żywo. Fakt, mężczyzna w szarym garniturze mógł być Serbem. Pasował do rysopisu.

- Skąd wiesz? - spytał. Glaze drgnął.

- Bo z nim pracowałem, stąd - odparł, jakby chciał się pokłócić. - W zeszłym roku. Dostał od nas zlecenie. Poznałem go na odprawie. Nie posłuchał nas, zrobił wszystko po swojemu. Zginęli ludzie, którzy nie powinni byli zginąć. Ale on miał to gdzieś. On ma wszystko gdzieś.

Glaze był autentycznie przerażony, nie mógł tego udać. I prawie na pewno nie kłamał. Quinn przeniósł wzrok na ekran.

Borko miał opinię kompletnie porąbanego sukinsyna. Nie wszyscy z branży wiedzieli, kim jest, ale Quinn słyszał o nim z kilku wiarygodnych źródeł. Miał jakoby uczyć się fachu u speców Slobodana Miloszewicza, tych od czystek etnicznych. Podobno był nawet funkcjonariuszem Służby drzawne bezbednosti, cieszącej się złą sławą służby bezpieczeństwa, i na początku lat dziewięćdziesiątych zaczynał od infiltrowania organizacji studenckich, żeby stłumić bunt, który groził obaleniem reżimu.

Powinni go aresztować lata temu. Powinien był stanąć przed trybunałem do spraw zbrodni wojennych w Hadze. Powinno się było zabić go tysiąc razy, ale stało się inaczej.

Po wojnie Borko po prostu zniknął, a jego nazwisko nigdy nie trafiło na listę poszukiwanych zbrodniarzy. Wychynął z ukrycia kilka lat później, tym razem jako szef małej organizacji. Za odpowiednią cenę on i jego ludzie odwalali za innych brudną robotę. Brał każde, najohydniejsze nawet zlecenie, jedynym ograniczeniem była cena, jaką musiał zapłacić klient.

- Nie rozumiecie? - spytał Glaze. - Teraz zajmie się nami.

- Nie - odparł Quinn. - Nami się nie zajmie.

- Kurwa, odwaliło ci, czy co? On nas zabije.

Quinn nawet nie mrugnął. Patrzył na niego długo i spokojnie, i wreszcie w oczach Glaze'a zamiast strachu zagościł przebłysk zrozumienia.

- Gdyby wiedział, że tu jesteśmy, już by tu był, prawda? Zanim weszliby do warsztatu. - Glaze powoli usiadł.

- Właśnie.

- Jesteś pewny?

- Jestem.

Skupili uwagę na ekranach. Dwóch ubranych na czarno mężczyzn zaprowadziło kobietę na środek warsztatu. Była przerażona i nawet nie próbowała tego ukryć. To, co się stało, nie było częścią planu. Ci z V12 mieli po prostu przekazać ją ludziom z SCG, którzy z kolei mieli wywieźć ją bezpiecznie z kraju. Za tę usługę im zapłacono. Tego się spodziewała.

Podszedł do niej Borko.

- Karina Sanchez? - spytał

- Nie wiem, kto to jest. - Za szybko. Powiedziała to stanowczo za szybko.

Borko uśmiechnął się, niedbałym ruchem wyjął spod marynarki pistolet i uderzył ją lufą w twarz. Pod kobietą ugięły się nogi i upadła na podłogę. Podniosła głowę. Ze świeżej rany na policzku płynęła krew.

- Karina Sanchez? - powtórzył Borko.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, rozległ się jakiś hałas. Otworzyły się drzwi. Ubrani na czarno mężczyźni odwrócili się na pięcie z wycelowaną bronią.

Quinn przeniósł wzrok na inny ekran. Do warsztatu weszło dwóch mechaników. Początkowo rozmawiali, jak dwóch znajomych, którzy przyszli wcześniej do pracy. Jeden niósł kubek kawy, drugi skrzynkę z narzędziami.

Ujrzawszy Borkę i jego ludzi, ten z kawą rzucił kubek i popędził do drzwi. Nie zdążył, kula roztrzaskała mu potylicę. Jego przyjaciel zmarł, nogi wrosły mu w ziemię. Kiedy w końcu spojrzął przed siebie, powitał go rząd czterech luf.

- Hej, spokojnie - powiedział. - Słuchajcie, nie obchodzi mnie, co tu robicie. Wypuście mnie, nikomu nic nie powiem.

Borko pomógł kobiecie wstać i przeniósł wzrok na nowo przybyłego.

- Mógłby pan tu podejść? - poprosił. - Tylko na chwilę. Tamten lekko się zawahał.

- Będzie lepiej, jeśli sobie pójdę.
- Jest pan mechanikiem? Pracuje pan tu? Mężczyzna kiwnął głową.
- Przyszedł pan trochę za wcześnie, prawda?
- Chciałem napykać trochę nadliczbowek, to wszystko. Wrócę później, dobrze?

- Przeprowadźcie go tu - rozkazał Borko.

Jeden z ubranych na czarno wycelował mechanikowi w głowę.

- Ruszaj - rzucił.

Mechanik podszedł bliżej i zatrzymał się dwa kroki przed Serbem.

Ten spojrzał na jego skrzynkę.

- Niech pan to postawi.

Mechanik przypomniał sobie nagle, że ma coś w ręku i szybko postawił skrzynkę na podłodze.

- Przysięgam, jeśli mnie wypuścicie, zapomnę, że was widziałem.

- Panno Sanchez, ten, kto zapłacił mi, żebym panią znalazł, jest bardzo niezadowolony, że postanowiła pani poszukać pracy gdzie indziej. I, jak się pani zapewne domyśla, nie chce, żeby inni członkowie jego organizacji poszli w pani ślady. Dlatego w jego imieniu mam dopilnować, żeby przyznała się pani do błędu, tak dla przykładu.

Borko skinął głową. Dwóch „czarnych” szybko zarzuciło karabiny na ramię i przytrzymało mechanika za ręce. Wtedy Borko ukucnął i otworzył skrzynkę.

- Co pan tu ma? - Zanim mechanik zdążył odpowiedzieć, coś z niej wyjął.
- Może być to.

Kiedy wstał, Quinn zobaczył w jego ręku śrubokręt. Borko spojrzał na kobietę.

- Proszę się nie martwić. Nie oczekuję od pani przemówień. Jest wiele sposobów na przekazywanie wiadomości. Może zaciekawi panią choćby ten.

I odwrócił się do mechanika.

- Co jest? - powiedział tamten. - Przestań. Ja nic nie zrobiłem. Proszę...

Serb położył mu rękę na ramieniu, uśmiechnął się i wbił śrubokręt w brzuch.

Mechanik przeraźliwie krzyknął i zgiął się wpół. Ale tamci przytrzymali go i wyprostowali, żeby Borko mógł wyciągnąć ostrze z rany. Wyciągnął je, odczekał chwilę i dźgnął ponownie, z drugiej strony.

Mężczyzna zwymiotował i jego śniadanie omal nie ubrudziło Serbowi butów. Borko wyjął śrubokręt. Ale tym razem podniósł go na wysokość twarzy.

- Widzi pani? - powiedział. - Jeszcze raz i zemdleje. Nie umrze, ale omi nie go cała zabawa. Ta metoda jest skuteczna, ale największe urazy powstają w środku, w brzuchu. A na zewnątrz? Ot, dwie małe dziurki. Niezbyt to dramatyczne. Żeby wiadomość odniosła pożądany skutek, dramatyzmu musi być trochę więcej.

Zacisnął rękę i bez ostrzeżenia chlasnął mechanika po twarzy, rozpruwając mu policzek. Chlasnął jeszcze raz, i jeszcze raz. Po twarzy, po szyi, po ramionach i piersi. W końcu wbił śrubokręt pod żebra, celując w serce.

Mężczyzna skonał w kilka sekund.

Kiedy ci z karabinami go puścili, upadł na podłogę. Wtedy Borko wyciągnął śrubokręt z rany, z uśmiechem spojrzał na kobietę i spytał:

- A więc, panno Sanchez? Jest pani gotowa? I znowu podniósł zakrwawione ostrze.

Kiedy wyszli z warsztatu, Quinn kazał Skylerowi usiąść za kółkiem, ale zabronił mu odpalać silnik. Spojrzał na zegarek, potem na ekran pokazujący panoramę rzezi. Z każdą mijającą sekundą przeżywał coraz większe katusze. Wciąż siedzieli na stanowisku i z każdą sekundą rosło prawdopodobieństwo, że do warsztatu ktoś wejdzie, ochroniarz albo jakiś mechanik - wejdzie i zobaczy, co się tam stało. Ale jako dobrze wyszkolony specjalista rozumiał, że konieczność zachowania ostrożności jest w tej pracy najważniejsza.

Cierpliwość się opłacała. Prawie kwadrans później z cienia za ciężarówką ktoś wyszedł. Borko, uzbrojony teraz w karabin. Wyglądało na to, że jest

sam. Czy ten skurwysyn myśli, że poradziłby sobie z całą ekipą ratunkową? Quinn zmarszczył czoło. Tak, pewnie tak myślał i pewnie by sobie poradził.

Serb obszedł warsztat, kopiąc leżące na podłodze ciała, a potem wyszedł z budynku.

Minął kolejny kwadrans. Quinn chciał czekać dłużej, ale nie mogli aż tak ryzykować. W końcu zdecydował:

- Teraz.

Skyler uruchomił silnik i ruszyli.

- Jedź powoli - przypomniał mu Quinn. - Spokojnie i powoli. Jakbyś jeździł tak codziennie.

Zgodnie z planem Skyler nie podjechał od razu do wejścia. Najpierw okrążył kilka sąsiednich budynków, sprawdzając, czy nie ma tam Borki i jego ludzi.

Nikogo podejrzanego nie zauważyli.

- Gdzie są ci z SCG? - spytał Glaze. - Mieli ją odebrać. Muszą tu być.

Quinn pokręcił głową.

- Już ich nie ma.

Kiedy Skyler skręcił w stronę warsztatu, Quinn podał Glaze'owi dwie pary rękawiczek. Jedne były cienkie, gumowe, takie, jakich używają lekarze. Drugie też gumowe, ale grubsze, takie dla sprzątaczy, dużo wytrzymalsze. On i Skyler mieli podobne.

- Po co to? - spytał Glaze.

- Pomożesz nam. Ani na chwilę ich nie zdejmuj. Cienkie pod spód, grube na wierzch. Grube zdejmuj tylko wtedy, kiedy będziesz musiał podnieść coś małego. Ale bądź ostrożny. Żadnych śladów czy odcisków. Podrzesz je, natychmiast daj mi znać. Dostaniesz nowe.

Glaze wciąż się bał, Quinn poznał to po jego oczach. Ale trzeba oddać mu sprawiedliwość, że nie zaprotestował.

- Jeszcze jedno. Kiedy tam wejdziemy, mówię tylko ja. Żadnych komentarzy. Żadnych niepotrzebnych hałasów. Jeśli będziesz musiał o coś spytać, pytaj. Ale najpierw dobrze wszystko przemyśl, żeby pytanie było jak najkrótsze. Jasne?

- Jasne - odparł suchym szeptem Glaze.

Quinn wszedł pierwszy. Wślizgnął się do środka i szybko obszedł halę. Nie licząc zabitych, byli sami.

Chociaż nie spodziewał się rzezi, na wszelki wypadek zabrał ze sobą spory zapas plastikowych płacht. On, Skyler i Glaze szybko owinęli w nie ciała, zabezpieczyli pakunki taśmą, po czym włożyli do furgonetki. Ledwo się zmieścili, ale się zmieścili. Wszystkie z wyjątkiem ciała mechanika z odstrzeloną potylicą.

- Tego jeszcze nie - rzucił Quinn, kiedy tamci ruszyli w stronę drzwi.

Kazał im zająć się krwią na cemencie i kiedy zaczęli ją zmywać, on przeszukał warsztat. Znalazł kilka worków piasku, którym zasypywano pewnie rozlany płyn hamulcowy czy olej. Wziął jeden i przydźwigał do na środek hali.

Kiedy Skyler i Glaze skończyli, posypał mokre miejsca, żeby piasek wchłonął jak najwięcej krwi. Wiedział, że plama nie zniknie, ale miał pewien plan.

Kiedy piasek zrobił swoje, jeszcze raz przeszukali całe pomieszczenie i pozbierali wszystkie łuski. Potem Quinn stanął na środku hali i rozejrzał się wokoło.

- Skrzynka - rzucił.

Skyler natychmiast postawił skrzynkę pod drzwiami, żeby mogli ją zabrać, wychodząc. Znaleźli również śrubokręt, który ku ich wygodzie Borko zostawił w nosie kobiety.

- Zbierz piasek - rzucił Quinn do Glaze'a. - Pod stołem widziałem grube worki. Jeśli nie napełnisz ich po brzegi, powinny wytrzymać. Jak skończysz, przeleć się tu z odkurzaczem. Jest w furgonetce.

- A co z nim? - spytał Skyler, ruchem głowy wskazując martwego mechanika.

- Zostawimy go - odparł Quinn. - W skrzynce z tyłu furgonetki jest farba w spreju. Popsikaj na ściany i na ciężarówki.

Chciał upozorować akt wandalizmu, który przypadkiem zmienił się w jatkę. Żeby ukryć plamy krwi, zamierzał otworzyć kilka dwustudwudziesto-

siedmiolitrowych beczek zużytego oleju i zalać nim całą podłogę, jedno przestępstwo zakamuflować innym. Dzięki temu przynajmniej jedna rodzina będzie mogła opłakać swego zmarłego.

Zanim wyszli, ostatni raz powiódł wokoło wzrokiem. Odwalili kawał dobrej roboty i - o dziwo - uwinęli się błyskawicznie. Zajął im to tylko osiemnaście minut. Ale to nie o ich biegłości myślał, wsiadając do furgonetki. Myślał o Borku i jego przeklętym śrubokręcie.

Karma - był pewien, że istnieje. Ale uważał, że nie jest doskonała. Bo niektórym udawało się wyjść cało z niełichego gówna. Jeśli więc karma kiedykolwiek się na Borku zemści, facet będzie miał się z pyszna. I przez jedną krótką chwilę Quinn nie miał nic przeciwko temu, żeby samemu odplacić mu za niektóre grzechy.

- Robiłeś kiedyś coś takiego? - spytał Glaze, gdy ruszyli.

- Taką mamy pracę.

- Zawsze tak jest?

- Bywa gorzej.

Zamówił jeszcze jedno piwo. Dochodziła północ i sajgoński wieczór zrobił się wreszcie przyjemny. Wciąż było gorąco, ale wilgotność spadła do znośnego poziomu. Na dachu restauracji siedziało kilkunastu gości, lecz przy barze był tylko on i barman.

Pociągnął długi łyk piwa i postawił butelkę na ladzie. Od Toronto minęło sześć lat, ale już nigdy potem nie widział niczego równie okrutnego.

Borko.

Kurwa.

Podniósł butelkę i dopił piwo.

- Jeszcze jedno - rzucił do barmana.

Rozdział 16

Nazajutrz rano dostał kolejny e-mail od Duke'a.

Xavier,

Umowa stoi. Bądź w Berlinie w niedzielę. Hotel Dorint Am Gendarmenmarkt. Masz rezerwację na nazwisko Donald Bragg. Po przyjeździe zadzwoń do informacji. Potrzebna mi lista spraw do załatwienia dla zespołu.

P4J

Quinn mu odpisał.

- Jutro definitywnie wyjeżdżamy - oświadczył. Siedzieli u Orlando przy *pho*, wietnamskiej zupie, którą ugotowała Trinh. Opowiedział im już o spotkaniu z Pipe-rem, pomijając tylko fragment o tym, jak Leo Tucker śledził Nate'a. Chociaż Orlando słyszała, że Piper jest w mieście Ho Chi Minha, ucieszyła się, że nic o niej nie wie. Quinn przeszedł do tematu.

- Znalazłaś kogoś?

- Nie chcę się z tobą kłócić. - Orlando spojrzała mu prosto w oczy. - Tak jest najsensowniej.

- Nie - odparł, wiedząc, do czego to zmierza.

- To jedyne logiczne wyjście. Obserwacja, monitoring: trzeba będzie przetworzyć i przeanalizować mnóstwo danych. A ja się na tym znam. Jestem najlepsza i dobrze o tym wiesz. - Odchrząknęła. - Nie masz wyboru. Potrzebujesz mnie. Pojadę.

- Damy sobie radę bez ciebie. Są inni. Podniosła swój talerz.

- Mam już bilet. Jutro wyjeżdżam.

Nate gapił się w zupę, jakby nagle odkrył najciekawszą rzecz na świecie.

- Cholera jasna! - Quinn wstał i poszedł za Orlando do kuchni. - Powiedziałem, że dam sobie radę sam!

- Mojemu synkowi nic się nie stanie.

- Nic o nim nie mówiłem. Orlando wstawiła talerz do zlewu.

- Nie, ale się o niego martwisz.

Wziął głęboki oddech. Miała rację, przynajmniej częściowo. Ale bał się nie tylko o Garretta. Orlando wróciła do pokoju. On za nią.

- Pamiętasz tę hinduską restaurację niedaleko Oranienburg Strasse?

- Restaurację? - Zmarszczył czoło. - O czym ty mówisz?

- Na północ od Mitte. Zamknął oczy i zebrał myśli.

- Amit? Amid? Coś w tym stylu.

- Amirit. Spotkamy się tam w sobotę o dziewiątej wieczorem.

- Orlando...

- Przestań. Po prostu powiedz, że przyjdiesz. Nawet nie próbował ukryć irytacji.

- Niechętnie.

- Świetnie. Dzisiaj kompletuję sprzęt. Masz jakieś życzenia?

Potał czoło.

- Zestaw do monitoringu. Broń. I kamery.

- Ile?

- Nie wiem. Co najmniej piętnaście. Na wszelki wypadek.

Spojrzała na Nate'a.

- Czego używasz?

Skonsternowany milczeniem Nate podniósł wzrok dopiero po kilku sekundach.

- Co? Mówisz do mnie?

- Jakiej broni?

- W domu mam walthera. Orlando zmarszczyła brwi.

- Lepszy będzie glock. Ma napinany kurek. Jest lżejszy. Łatwiejszy w obsłudze.

- Z waltherem nigdy nie miałem kłopotów.

- Lepszy jest glock. Nate lekko się zawahał.

- Dobra.

Orlando niczego nie notowała, ale Quinn nie miał wątpliwości, że wszystko zapamięta.

- Coś jeszcze? - spytała.
- Jeśli znajdziesz czas, przydałoby się trochę informacja o Borku.
- Lepiej nie przeginaj.
- Borko - wtrącił Nate. - Co to za nazwisko?
- Głupie pytanie - mruknął Quinn.

Nate poczuł się chyba dotknięty, ale zmrużył oczy, pomyślał chwilę i powiedział:

- Dobra. Warto się nim przejmować?
- To już lepiej - odrzekł Quinn. - A odpowiedź brzmi: warto.
- Dowodził grupą bośniackich Serbów podczas wojny - dodała Orlando. - Specjalizowali się w czystkach etnicznych.
- Fajnie. - Nate raczej się z tego nie ucieszył. Quinn spojrzał na Orlando.
- No więc? Poszukasz?
- Będę musiała poprosić kogoś z zewnątrz.
- Tego paranoika?
- On nie jest paranoikiem. Jest tylko ciekawy. Zresztą i tak ślęczy już nad tym szkieletem.

Facet miał ksywkę Kret. Quinn nigdy z nim nie rozmawiał. Wiedział tylko, że to komputerowy maniak, pewnie student, który bawi się w szpiega w akademiku. Ale zważywszy na to, jaki wybrał sobie pseudonim, Quinn nie byłby zaskoczony, gdyby tak było.

- Tylko niech to zrobił dyskretnie, dobra?
- Mamo?

Dziecięcy głosik. Quinn odwrócił głowę. W drzwiach jadalni stał syn Orlando. Kiedy nie spał, jego twarz miała jeszcze bardziej europejskie rysy niż we śnie.

- Garrett. - Orlando wstała.
- Głośno rozmawiacie - powiedział chłopiec po angielsku. - Jesteś zła?
- Nie, kochanie, nie jestem. Chodź. Przywitaj się z Jonathanem i Nate'em.

Chłopiec ostrożnie podszedł bliżej i wyciągnął do nich rączkę.

- Dzień dobry, panie Jonathan. Dzień dobry, panie Nate.

Quinn ukucnął.

- Dzień dobry, Garrett.

- Jest pan przyjacielem mamy?

- Tak.

Garrett przeniósł wzrok na Nate'a.

- A pan?

Nate kiwnął głową.

- Tak, oczywiście.

- Chce pan obejrzeć ze mną film? - Chłopiec spojrzał na matkę. - Możemy obejrzeć *Incredibolls*?

- Bardzo chętnie, ale zaraz musimy iść - odrzekł Quinn. Rozczarowany Garrett nachmurzył czoło.

- Może innym razem - powiedziała Orlando. - Ale możesz obejrzeć film w moim pokoju. Dobrze?

- Super. - Chłopiec od razu się rozpromienił. Quinn delikatnie położył mu rękę na ramieniu.

- Miło było cię poznać, Garrett. Uważaj na siebie, dobrze?

- Dobrze, proszę pana. Quinn spojrzał na Orlando.

- Nie chcę, żebyś jechała. Orlando spojrzała na niego.
- Ja też nie. Do zobaczenia w Berlinie. Przyciągnęła synka bliżej i potar- gała mu włosy.
- Mamo, przestań - zaprotestował z uśmiechem Garrett.

Wróciwszy do hotelu, Quinn zebrał swoje rzeczy i wrzucił je do torby. Nowe ubranie i drobiazgi, które kupił Nate, podzielili już między sobą i spakowali. Potem spotkał się z Nate'em na dole, żeby spytać o bilety.

- Możecie panowie lecieć kilkoma liniami - poinformowała ich recepcjo- nistka. - Choćby Air France czy Tajskimi Liniami Lotniczymi. Air France ma biuro po drugiej stronie ulicy, w hotelu Continental.

Quinn podziękował i ruszyli do wyjścia. Chociaż Taj-skie Linie Lotnicze należały do jego ulubionych, wybrał Air France. Powinni bez kłopotu dole- cieć do Europy. A gdyby musieli lecieć przez Francję, tym lepiej. Dwóch białych, europejskie paszporty, francuskie linie lotnicze - nie będą rzucali się w oczy.

Przedstawicielka Air France poinformowała ich, że wieczorem jest lot do Bangkoku, gdzie będą mogli złapać samolot do Paryża.

- Są jeszcze wolne miejsca? - spytał Quinn.
 - Ile biletów pan potrzebuje? - Kobieta wyglądała na Wietnamkę i mówi- ła po angielsku z francuskim akcentem.
 - Dwa.
 - W takim razie nie ma problemu. Mogę prosić o paszporty?
- Pięć minut później mieli już bilety.

Quinn pozwolił Nate'owi pójść do Mai 99, ale nie samemu. Oczywiście była tam Anh. Na swój sposób zazdrościł mu tej rozrywki. Jemu też czasem tego brakowało: chwil, kiedy mógłby zapomnieć o swoim parszywym ży- ciu. Tych kilka kobiet, do których się trochę zbliżył, było jedynie nieudaną próbą oszukania samego siebie, bo żadna z nich nie pomogła mu na tyle, by zapomniał, że przez cały ten czas chciał być z kimś innym. Były czymś w rodzaju mostu spinającego jeden punkt z drugim. Niczym więcej. Prawdzi-

wa łączność duchowa, coś głębszego, coś, co mogłoby przetrwać dłużej niż kilka miesięcy czy nawet rok, wciąż była dla niego nieosiągalna.

Próbował wmówić sobie, że to praca wszystko mu utrudnia.

- Baba na stałe to ostatnia rzecz, jakiej potrzebujesz -przestrzegł go Durrie, kiedy Quinn mimochodem wspomniał, że podoba mu się jakaś kobieta. - Zanim się obejrzysz, stanie się twoim słabym punktem. A kiedy masz słaby punkt, jesteś skończony. Pieprz się, z kim chcesz. Dup jest pełno. Ale nigdy nie trzymaj się jednej. To cię zabije. Rozumiesz?

Zważywszy na jego związek z Orlando, było to dość ironiczne, ale zapadło mu w pamięć. Ukuł nawet z tego swoistą mantrę i wykorzystywał jako pretekst do samotniczego życia. Ale w głębni duszy, w zakamarku, który starał się omijać, zawsze wiedział, jak jest naprawdę. Wiedział, dlaczego nie układa mu się z kobietami. Nie miało to nic wspólnego z ostrzeżeniami mistrza Durriego.

Niestety, nic nie mógł na to poradzić. Złożył obietnicę i złamałby ją, słuchając głosu serca. Nie miało znaczenia, że Durrie już nie żył. Quinn dał mu słowo, że się z nią nie zwiąże.

- Jesteś jej najlepszym przyjacielem - powiedział Durrie tydzień przed śmiercią; prosił, żeby Quinn przyleciał do San Diego, omówią plan działania. - Jeśli będzie czegoś potrzebowała, a mnie trafi szlag, zrób wszystko, żeby jej pomóc.

- Wiesz, że zrobię - odparł Quinn.

- Ale nie wprowadzaj się do niej, nie o taką pomoc mi chodzi. Jasne?

Quinn zamarł.

- Ja...

- Zamknij się - przerwał mu Durrie. - Nie jestem głupi. Wiem, że ją kochasz. Ale ona zawsze będzie moja. Dotarło?

Quinn tylko skinął głową. Durrie był sukinsynem do samego końca. Za dobrze go znał. Wiedział, że jeśli Quinn coś obieca, na pewno dotrzyma słowa. Nawet po jego śmierci.

No i dotrzymał. Przez te wszystkie lata, kiedy się do siebie nie odzywali, pilnował jej na odległość. Płacił innym, żeby do niej jeździli i sprawdzali, jak żyje. Ale nigdy nie przyjechał sam. Bał się, że nie będzie potrafił wrócić.

Kiedy skończył jeść i dopił resztkę piwa, włożył rękę pod stół i podał Nate'owi pięćset dolarów.

- Co to? - spytał Nate.

- Zostaw to pod talerzem. - Nate gapił się na niego tępym wzrokiem. - To napiwek.

- To nie jest napiwek.

- Ale tak to potraktuj - odparł Quinn. - Możesz jej już nie zobaczyć, ale ona nigdy cię nie zapomni.

- Myślałem, że chodzi o to, żeby zawsze zapominały. Quinn wstał, uśmiechnął się leciutko i ruszył do wyjścia.

Rozdział 17

W Bangkoku się rozdzielili: on poleciał Air France do Paryża, a Nate British Airways do Londynu, gdzie miał się przesiąść do samolotu British Midland.

Quinn czekał na niego w sali przylotów i z zadowoleniem odnotował, że Nate posłuchał jego wskazówek. Znikły dzinsy i podkoszulek, które nosił w Wietnamie. Zastąpił je elegancki granatowy garnitur, biała koszula i dobrze dobrany wzorzysty krawat. Znikły również rozczochrane brązowe włosy. Teraz były starannie uczesane, z przedziałkiem z boku. Żel bardzo je przyciemnił.

- Dobra robota - powiedział, zrównując z nim krok.

- Dzięki - odparł Nate. - W Londynie miałem góra piętnaście minut, żeby przebrać się, pofarbować i złapać samolot. Gdy podawałem bilet stewardesie, miałem pewnie to świństwo na rękach.

- Naprawdę? - Quinn nagle się zaniepokoił.

- Nie, tatusiu, żartowałem. Masz ładne okulary.

- Kiedy skończymy, dam ci je ponosić.

- Aż tak mi się nie podobają.

Podobnie jak Nate, Quinn też zmienił wygląd. Kupił okulary w czarnej oprawie, wąskie i stylowe. I garnitur, z tym że czarny, a do tego ciemnoszarą koszulę. Ale w przeciwieństwie do Nate'a mógł poświęcić więcej czasu na włosy. Ostrzygł się na krótko, na jakieś pięć, sześć milimetrów ze wszystkich stron.

- Lecimy o piątej - powiedział. - Lufthansa.

Gdy szli, zauważył, że Nate'owi zmienia się nastrój, chłopak robi się coraz bardziej spięty. Do tej pory bawili się w chowanego. Ale w Berlinie czekała ich prawdziwa robota - i prawdziwe niebezpieczeństwo. Wiedział, że Nate wciąż ma przed oczami Gibsona.

- Mały kwiz - rzucił.

- Słucham?

- *Akta Odessy*. Co Peter Miller, grany przez Jona Voigta, zrobił dobrze w zakładzie drukarskim?

- Hmm... - Nate szybko zamrugął. - Wziął broń.

- Tak. A co zrobił źle podczas włamania do domu Ro-schmanna?

- To łatwe. Nie zamknął za sobą drzwi. Ale i tak mu się udało.

- Fakt. A gdybyś był na jego miejscu?

- Ja zamykam drzwi. Zawsze.

- Bardzo dobrze. W takim razie nie musimy się niczym martwić.

W przeciwieństwie do Wietnamu, gdzie nawet w styczniu było jak w lecie, w Europie panowała prawdziwa zima. Kiedy wylądowali, było kilka stopni poniżej zera i Quinn natychmiast pomyślał o Kolorado.

Według międzynarodowych standardów lotnisko Tegel nie należało do dużych, mimo to o lata świetlne wyprzedzało port lotniczy Tan Son Nhat w mieście Ho Chi Minha. Na Tegel były wszystkie udogodnienia, jakich mogli oczekiwać podróżni: restauracje, bary, księgarnie, sklepy z pamiątkami i punkty informacyjne. Natomiast Tan Son Nhat było jak magazyn albo rozdzielnia, gdzie przrzucano ludzi z ulicy na samolot i z samolotu na ulicę.

Wchodząc do hali przylotów, Quinn przestawił się na inny sposób myślenia. Przyjechał do Niemiec, do kraju, który dobrze znał. Niemcy mówili językiem, którym on mówił jak tubylec. Niemcy były prawie jak dom. Oczywiście, jeśli lubi się mieszkać w domu, w którym trzeba nieustannie mieć się na baczności. Swoje przedstawicielstwa miały w Berlinie dziesiątki organizacji, dlatego nigdy nie wiedziało się na pewno, kto się akurat napotoczy. I tak jak myślał, że Wietnam będzie dla nich najbezpieczniejszym miejscem na świecie - iluzja, którą odebrali mu Tucker i Piper - tym razem nie miał wątpliwości, że Niemcy będą miejscem najbardziej niebezpiecznym.

Jak zwykle czujny, poprowadził Nate'a przez terminal w stronę głównego wyjścia. Był w Berlinie już tyle razy i często lądował na Tegel. Dlatego kiedy wyszli na zimną, chmurną noc, od razu skrzył w lewo. Na końcu bu-

dynku czekał rząd beżowych taksówek. Oczywiście mercedesów, jak to w Niemczech.

- *Guten Tag* - powiedział kierowca, gdy wsiedli. Quinn kiwnął głową.
- *Guten Tag*.

Hotel Four Seasons mieścił się przy Charlottenstrasse, na rogu Gendarmenmarkt, ulicę od hotelu Dorint. Duke zarezerwował mu tam pokój, ale Quinn miał się zjawić dopiero w niedzielę. Przyleciał wcześniej celowo, bo nie chciał sugerować się jego opinią. Zanim się zameldowali i zanim zaprowadzono ich na górę, było już po ósmej.

Apartament miał dwie sypialnie. On wprowadził się do tej po lewej i, postawiwszy torbę na łóżku, poszedł do łazienki wziąć gorący prysznic.

Gdy pół godziny później wrócił do saloniku, zobaczył, że jest sam.

- Nate? - zawołał. Odpowiedziała mu cisza.

Drzwi do drugiej sypialni były uchylone. Zajrzał do środka. Nate leżał w poprzek łóżka. W butach i ubraniu -zdażył zdjąć tylko marynarkę - oddychał wolno, rytmicznie i głęboko. Quinn zamknął drzwi. Fakt, było późno. Dla nich. Po co miał go budzić.

Zamówił kolację do pokoju i wyjął komputer. Postawił go na biurku, uruchomił i wszedł do Internetu. Tak jak się spodziewał, od kilku godzin czekał na niego e-mail od Orlando.

Potwierdzam przylot. Jesteśmy umówieni na kolację.

Dobre nowiny. Z kilku źródeł słyszałam, że nie jesteś już trefny. Możesz znowu wyjść na ulicę. Ale byłabym ostrożna. Nie wszyscy mogą o tym wiedzieć.

Teraz Borko. Zniknął z pola widzenia. Nikt z tych, z którymi rozmawiałam, nie kontaktował się z jego grupą od ponad półtora miesiąca. Myślę, że coś w tym jest. Więcej na miejscu.

Szkiełko. Mój znajomy mówi, że to kompletny syf. Więcej będzie wiedział dopiero za kilka dni, może nawet później. To chyba próbka tkanki. Twierdzi, że ryzyko zarażenia jest zerowe.

Przy okazji, w Biurze ciągle burdel.

Przylatuję do Berlina wczesnym wieczorem. Do zobaczenia o dziewiątej. Mam nadzieję, że załatwiłeś mi pokój. Nie zamierzam spać na podłodze.
O.

Jeśli ktoś miałby już spać na podłodze, to na pewno Nate. Ale Quinn wiedział, że po jego przeprowadzce do hotelu Dorint wystarczy miejsca i dla niego, i dla niej. Apartament w Four Seasons znakomicie nadawał się na stałą bazę operacyjną, gdzie Orlando mogła rozłożyć sprzęt.

Wiadomość o szkiełku bardzo go ucieszyła i wylogował się z poczty z ulgą większą, niż się spodziewał.

Chociaż był zmęczony podróżą, nie chciał jeszcze iść spać, dlatego otworzył wyszukiwarkę. Wystukał: „Robert Taggert” i komputer wyświetlił prawie dziesięć stron wyników. Najwyraźniej było to popularne nazwisko. Znalazł nawet Taggerta z osiemnastego wieku. I Taggerta, który służył w armii republikańskiej podczas Amerykańskiej Wojny Domowej. Szybko wykluczył z poszukiwań Taggertów, którzy albo już nie żyli, albo byli zbyt młodzi jak na ofiarę pożaru w Kolorado.

Jego Taggert miał prawdopodobnie pięćdziesiąt kilka lat. Przynajmniej tak wyglądał na kserokopii zdjęcia w prawie jazdy od Ann Henderson. Na wszelki wypadek zastosował dziesięcioletni margines wiekowy, ale po namyśle zmniejszył go, zawężając poszukiwania do mężczyzn między czterdziestym ósmym i sześćdziesiątym piątym rokiem życia. Lista znowu się skróciła. Teraz pozostało na niej tylko dwadzieścia pięć linków.

Siedem dotyczyło tego samego Taggerta, profesora wydziału zarządzania na uniwersytecie w Clemson. Dwa inne zaprowadziły go do Michigan, do człowieka, który protestował przeciwko budowie wielkiego marketu w East Lansing. Dwanaście dotyczyło sieci warsztatów samochodowych należących do Roberta Taggerta z Kentucky. Cztery ostatnie odesłały go do artykułów, w których wspomniano o czterech różnych Taggertach.

Przerwało mu pukanie do drzwi. Kolacja. Kiedy kelner postawił tacę obok komputera, Quinn wyjął z kieszeni pięć euro. Kelner uśmiechnął się usłużnie, wziął pieniądze i wyszedł.

Quinn usiadł wygodniej, zjadł kawałek steku i ponownie spojrzął na ekran. Przeszedłszy na linki graficzne, znalazł pięć zdjęć: profesora, organizatora protestu w Michigan, króla warsztatów samochodowych i dwóch innych. Żaden nie pasował do zdjęcia z prawa jazdy. Zdjęć czterech ostatnich nie było, ale gdy przeczytał artykuły, uznał, że to na pewno żaden z nich.

Tego spodziewał się od samego początku: o jego Taggercie nie było żadnej wzmianki. Mogło tak być z dwóch powodów. Po pierwsze, człowiek ten nie trafił do Internetu dlatego, że nie zrobił w życiu nic, żeby tam trafić. Quinn doszedł do wniosku, że to mało prawdopodobne. Drugi powód był o wiele sensowniejszy: prawdziwe nazwisko ofiary pożaru w Kolorado musiało brzmieć zupełnie inaczej.

Założywszy, że jest fikcyjne, przez następną godzinę szukał osób zaginionych, które pasowałyby zarówno do rysopisu, jak i wieku „Taggerta”. Znalazł kilka i zanotował wszystkie dane. Chciał przekazać je Orlando, żeby się im przyjrzała.

Po kolejnych czterdziestu pięciu minutach surfowania wylogował się i zamknął komputer. Potem wstał i przeciągnął się leniwie. Jego ciało, zdeorientowane długą podróżą, nie wiedziało, gdzie jest góra, gdzie dół. Prawie nic nie zjadł. Kusiło go, żeby paść na łóżko i zasnąć, ale zamiast tego usiadł na sofie i wyjął komórkę.

- Gdzie jesteś? - spytał bez wstępów Peter.
- W drodze - odparł Quinn.
- Jeszcze nie dojechałeś do Berlina?
- Duke powiedział, że mam tam być w niedzielę.
- Tak? To trzyma się kupy.
- Dlaczego?

- Napisał, że w przyszłym tygodniu odbędzie się tam jakieś spotkanie. Podobno są dowody, że ma to coś wspólnego z naszą... sytuacją. Próbuje namierzyć lokal. Kiedy namierzy, pójdziesz tam, założysz podsłuch i sprawdzisz, czy czegoś nie zmyślił.

- Dowiedziałeś się, kto za tym stoi?
- Jak dotąd nie.

Quinn chciał wspomnieć mu o Borku, ale postanowił poczekać. Przed dołaniem oliwy do ognia lepiej się dobrze zastanowić.

- Podobno przestali na mnie polować.
 - Też tak słyszałem. Masz fart.
 - Rozumiem, że u was wciąż kiepsko. Peter nie odpowiedział.
 - Kogo dopadli? - spytał Quinn.
 - Prawie wszystkich z pierwszej linii. Szkody poniósł każdy zespół.
 - Ilu zabitych?
 - Siedmiu na pewno. Z trzema nie możemy się skontaktować. Kolejnych trzech leży w szpitalu. Czwarty w domu ze wstrząśnieniem mózgu.
 - A co słyhać w Waszyngtonie?
 - Od kilku dni jest spokój. Ale staram się nie wychodzić na ulicę.
 - Ile operacji udało ci się zmontować?
 - Żartujesz? Jedyne, co mam, i to w powijakach, to twoja fucha z Duke'em. Nie mam ludzi. Nie mogę zorganizować najprostszego gówna. Nie musieli zabijać tych z Waszyngtonu. I bez tego wygryźli nas z rynku. Przy najmniej na jakiś czas.
 - A więc została tylko kadra... - powiedział Quinn bardziej do siebie niż do niego.
 - Ciebie wplątano w to pewnie przez przypadek. Wszystko jedno. Jesteś już czysty.
- Zamilkli, a potem Peter dodał:
- Zadzwoń, kiedy będziesz na miejscu.

Większość soboty Quinn poświęcił na zapoznanie Nate'a z Berlinem. Miasto miało świetnie zorganizowaną sieć transportu publicznego, której klejnotem były U-bahn i S-bahn. U-bahn to zwykłe metro, S-bahn - pociągi naziemne. Oczywiście były takie miejsca, gdzie te naziemne jechały pod ziemią, a podziemne po ziemi. Najwyraźniej nawet genialni niemieccy planiści nie zawsze są doskonali.

Jeździli metrem godzinami, od czasu do czasu wysiadając, żeby odwiedzić bary i restauracje, gdzie kiedyś bywał. Chociaż nie zaglądali nigdzie

tam, gdzie ktoś mógł go rozpoznać, miło było zobaczyć, że większość jego lokali kontaktowych wciąż istnieje. Niemal zrezygnował z wizyty w Der Goldene Krug, ulubionej knajpce, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i wysiedli, żeby chociaż zerknąć na nią z drugiej strony ulicy. Miał wielką ochotę wpaść tam na drinka - Krug kusił go bardziej niż inne bary - ale w końcu zawrócił i znowu zeszli pod ziemię.

Pokusa to jedno, głupota drugie.

- Proszę - wyjęczał Nate. - Powiedz, że to tylko żart.

- Kazałem ci się ciepło ubrać.

- I się ubrałem.

Stali w ciemnej niszy, wejściu do starego, kamiennego biurowca. Kilkadziesiąt metrów dalej, po drugiej stronie ulicy, mieściła się restauracja Amirit, gdzie Quinn miał spotkać się z Orlando. Wieczór był wyjątkowo zimny - zapowiadano pięć stopni mrozu. Nate był w długiej angielskiej kurtce i grubym swetrze. Na głowie miał kominiarkę. W jednym ręku trzymał kubek gorącej kawy, drugą schował do kieszeni.

- Powinienem wrócić za półtorej godziny - powiedział Quinn. - Jeśli zauważysz coś podejrzanego - pamiętaj, coś, cokolwiek - natychmiast wyślij mi SMS.

Nate wyjął rękę z kieszeni. Trzymał w niej komórkę.

- Wiem, dziewięćset jedenaście. Wystarczy tylko nacisnąć guzik.

- Dobra. - Quinn odwrócił się, zrobił krok i przystanął. - Od czasu do czasu potup nogami - poradził. - To cię rozgrzeje.

Kiedy wszedł do środka, Orlando już na niego czekała. Siedziała przy stoliku pod ścianą, w miejscu, skąd dobrze widziała frontowe drzwi. Quinn usiadł na wolnym krześle naprzeciwko. Natychmiast wyrósł przed nimi kelner. On zamówił Hefeweizen, ona nie była jeszcze zdecydowana. Kelner zniknął tak szybko, jak się pojawił.

- Miałaś przyjemną podróż?

- Podobno. Przez cały czas spałam.

- Gdzie twoje rzeczy?

Pod stolikiem coś głucho stuknęło. Quinn podniósł obrus i u jej stóp zobaczył brązową płócienną torbę.

- Lubię podróżować z małym bagażem.

- Ktoś cię śledził? Orlando szybko zamrugła.

- Tak - odparła. - Siedzi przy stoliku za tobą. Chcesz, to cię przedstawię.

Quinn uśmiechnął się lekko.

- Wystarczyłoby samo „nie”.

- Myślisz, że przyszedłbym tu, gdyby ktoś za mną szedł?

- A więc jednak sprawdziłaś.

- Czasem jesteś irytujący, wiesz? Gdzie Nate?

- Na straży.

- Zostawiłeś go na dworze? Quinn wzruszył ramionami.

- Dobrze mu to zrobi.

Zanim zdążyli powiedzieć coś więcej, kelner przyniósł mu piwo.

- Czy chcą już państwo zamówić?

Orlando wzięła jagnięce curry i kieliszek cabernet sau-vignon. Quinn curry z kurczaka i chleb z czosnkiem. Do chwili, kiedy podano jedzenie, rozmawiali o niczym, jakby się tak umówili.

Curry serwowano w miedzianych półmiskach i aromatyczny zapach jagnięciny, kurczęcia i czosnku czuć było na długo przed tym, nim znalazło się na stoliku. Kiedy już się znalazło, Quinn podsunął Orlando swój półmisek.

- Spróbuj.

Nabrała łyżką trochę curry, polaćła sosem ryż na swoim talerzu i spróbowała. Wyraz zadowolenia na jej twarzy mówił wszystko. Przez kilka minut jedli w milczeniu.

- Dowiedziałaś się czegoś nowego? - spytała w końcu.

- Od Duke'a nie. - Wypił łyk piwa. - Ale wczoraj wieczorem rozmawiałem z Peterem. Duke ma na oku jakieś spotkanie. Peter chce, żebyśmy założyli podsłuch i sprawdzili, co jest grane. - Ułamał kawałek chleba, umoczył w sosie i włożył do ust.

- Jak myślisz? - spytała. - To ci?
 - Nie wiem. Możliwe. - Znowu sięgnął po chleb.
 - A jeśli tak?
- Quinn nie odpowiedział.

Za kwadrans druga w niedzielę wyszedł z hotelu wyjściem od strony Friedrichstrasse i pojechał metrem do Charlottenburga. Tam złapał taksówkę i wysiadł naprzeciwko hotelu Dorint, praktycznie w tym samym miejscu, skąd wyjechał.

Może przesadził, ale zawsze istniała możliwość, że ktoś przejrzał plany Duke'a i dowiedział się tym samym o jego przyjeździe. Jeśli tak, nie chciał, żeby ten ktoś odkrył, że po sąsiedzku mieszkają jego najbliżsi współpracownicy.

W ramach dodatkowego zabezpieczenia, na skwerze naprzeciwko hotelu, czuwała Orlando, która opisywała mu sytuację przez mikronadajnik. Słuchawka idealnie mieściła się w uchu, była prawie niewidoczna, a ukryty pod kołnierzykiem koszuli mikrofon miał wielkość guzika. Wyposażony w podobny sprzęt Nate siedział w hotelowym holu, przeglądając czasopisma i udając, że na kogoś czeka.

Quinn zameldował się szybko i bez problemów. Pokój był przygotowany i opłacony. Spytał, czy są dla niego jakieś wiadomości, ale nie było żadnych. Pokój mieścił się na piątym piętrze. Też apartament, chociaż mniejszy od tego w Four Seasons. Wchodząc do środka, pomyślał, że pewnie znajdzie tam kopertę ze wskazówkami, jednak niczego nie było.

Położył walizkę na podwójnym łóżku i usiadł na sofie w saloniku. Włączył telewizor i zobaczył, że są tylko dwa kanały po angielsku, CNN International i BBC World. W broszurze, która leżała na stoliku, wyczytał, że jest również płatny kanał filmowy i że w tym miesiącu puszczają stare filmy Stanleya Kubricka, w tym *2001: Odyseję kosmiczną* i *Fuli Metal Jacket*.

Bawiąc się pilotem, trafił na końcówkę spotu o strajku kierowców we Francji i na początek reportażu o bałkańskiej konferencji pod patronatem

Gunnara Van Voorena, przewodniczącego Unii Europejskiej. Bez zainteresowania zmienił kanał i znalazł się na stacji kosmicznej Kubricka.

- Taksówka. - W słuchawce odezwał się głos Orlando. -Dwóch mężczyzn w garniturach. Bez bagażu, jeden z dyplomatką. - Już trzeci raz meldowała mu o zajeżdżających przed hotel gościach. - Wchodzą do środka.

- Mam ich - powiedział kilka sekund później Nate. -Minęli recepcję, idą do wind.

Niedługo potem Quinn usłyszał kroki na korytarzu. Ucichły pod jego drzwiami. Prawie przez pół minuty nic się nie działo. Nagle ktoś wsunął kopertę pod drzwi. Kroki oddaliły się i ucichły.

- Chyba miałem gości - powiedział Quinn.

- Są tam? - spytała Orlando.

- Nie. Ale coś mi zostawili.

Podszedł do drzwi. Koperta nie była zbyt gruba. Widniała na niej czerwona litera X. Quinn pokręcił głową. Czasami się zastanawiał, czy ludzie, z którymi pracował, szkolili się tylko na powieściach Iana Fleminga.

- Wyszli z windy - szepnął Nate. - Nie mogliby chociaż raz się uśmiechnąć?

- Wsiadają do taksówki - zameldowała Orlando.

- Zrobiłaś zdjęcie?

- Oczywiście.

Quinn podniósł kopertę i usiadł przy biurku za sofą. Wyjął z szuflady nóż do papieru, rozciął kopertę i ostrożnie wyjął zawartość. Pięć kartek. Dwie pierwsze przedstawiały fragment planu Berlina, jedna okolice Mitte z hotelem Dorint, druga dzielnicę Neukölln. Trzecia była potwierdzeniem przelewu na jedno z jego kont bankowych; rano zajrzał do Internetu i wiedział, że pieniądze rzeczywiście wpłynęły. Czwarta zawierała szczegóły operacji. Na piątej, ostatniej, widniał pomniejszony plan jakiegoś budynku. Prawdopodobnie tego, gdzie miało dojść do spotkania.

Jeszcze raz przejrzał wszystkie dokumenty i wreszcie znalazł to, czego szukał.

- Wygląda na to, że Duke dowiedział się czegoś więcej -powiedział do mikrofonu. - Jego zdaniem, spotkanie odbędzie się we wtorek wieczorem.

- Jego zdaniem?

- „Spotkanie we wtorek wieczorem, na dziewięćdziesiąt procent” - zacytował. - W Neukölln.

- Wie, kto tam będzie? - spytała Orlando.

- Nie do końca. Podobno ktoś z Afryki Południowej. Ale nawet to nie jest pewne.

- Dziwne.

- Wiem.

- Pisze coś o Borku? Quinn zerknął na kartkę.

- Nie.

- Może Piper się mylił?

- Może - odparł obojętnie Quinn. Przeczytał ostatni akapit. - Duke chce się tam ze mną przejechać.

- Kiedy?

- Dzisiaj. Za godzinę.

- Mogę już wejść do środka? - spytała Orlando. - Tyłek sobie odmrozę.

- Możesz. Jak już będziesz na górze, prześlij mi e-mailem zdjęcia tych dwóch. Chcę się im przyjrzeć przed spotkaniem z Duke'em.

- Nie wpadniesz tu? Przy okazji mógłbyś przynieść mi duży kubek gorącej kawy.

Quinn uśmiechnął się lekko. Berlińska zima dawała się Orlando we znaki.

- Prześlij zdjęcia. Kawę przyniesie ci Nate.

- Nienawidzę cię.

- Już mi to mówiłaś.

Rozdział 18

Duke zajechał przed hotel mercedesem C320, dziesięć minut spóźniony.

- Quinn, jak miło cię widzieć - powiedział.

- Nic się nie zmieniłeś - odrzekł z uśmiechem Quinn. Nie musiał kłamać.

Odkąd widzieli się ostatni raz, grubas

nie zrzucił ani kilograma. Duke roześmiał się i ruszyli.

- Były jakieś kłopoty?

- Najmniejszych.

- Z daleka przyleciałeś?

- Jak można żyć w takim klimacie? - spytał Quinn, ignorując pytanie.

Duke roześmiał się jeszcze głośniej.

Wtorkowe spotkanie miało odbyć się w starym, nieczynnym zakładzie wodociągowym w Neukölln. Zakład mieścił się przy Schandauer Strasse, w połowie krótkiej, brukowanej uliczki. Duke zaparkował na rogu i podał Quinnowi małą lornetkę.

- Są tam jacyś ochroniarze?

- Jeden z przodu, drugi z tyłu - odparł z uśmiechem Duke. Mówił chyba z jeszcze silniejszym akcentem niż przed dwoma laty. Czeskim albo słowackim. Rozmawiali po angielsku. Quinn podejrzewał, że to jego ojczysty język. - Ten z przodu siedzi zwykle w samochodzie przed bramą.

Quinn przytknął lornetkę do oczu. I rzeczywiście, przed bramą zobaczył zdezelowane volvo, a w nim mężczyznę czytającego gazetę.

- W środku ktoś jest? - spytał.

- Nie, przynajmniej według moich ustaleń. - Duke wzruszył ramionami. - Ale kto wie.

Teren zakładu był otoczony wysokim na metr osiemdziesiąt ogrodzeniem z kutego żelaza. Duke twierdził, że brama otwiera się do wewnątrz i że w połowie wysokości zamontowano na niej zasuwę czy zatrzask. Sam budynek miał trzy piętra, nie licząc strychu, i był wyższy niż szerszy. Elewację wykonano z cegieł i betonu. Mniej więcej co dziewięćdziesiąt centymetrów

osadzono w niej rzędy wąskich, wysokich okien. Okna miały metalowe ramy pomalowane na niebiesko.

Według Duke'a, gdyby podszedł bliżej, w ceglach zobaczyłby dziury od kul z ostatnich dni przed upadkiem Berlina podczas drugiej wojny światowej.

- Nie daj się zwieść - dodał. - Pod spodem jest warstwa zbrojonego betonu. Półmetrowej grubości.

- Jaki jest rozkład pomieszczeń? Przeanalizował plan, ale miał nadzieję, że Duke poda mu więcej szczegółów.

Grubas wskazał południowo-zachodni róg budynku.

- Tutaj. Wejście jest za rogiem. W środku do dwóch trzecich wysokości jest pusta przestrzeń, potem strych. Cztery piętra, mniej więcej dwadzieścia metrów długości, dwadzieścia szerokości.

- Mnóstwo miejsca.

- Kiedyś stały tam maszyny, ale już ich nie ma. Z tyłu, na południowej ścianie, są schody. Na każdym piętrze dwa pomieszczenia. Jedno małe, sześć metrów na osiem. Drugie większe, dziesięć na dwadzieścia.

- Wszystkie są używane?

- Nie sądzę. Pewnie tylko te na pierwszym i drugim piętrze. - Zmarszczył czoło. - Przepraszam, zapomniałem, że jesteś Amerykaninem. Na drugim i trzecim piętrze.

W Europie pierwsze piętro jest parterem, i tak dalej. Ale Quinn już wziął na to poprawkę.

- To wszystko?

- Strych - dodał Duke. - Jest bardzo duży. Rozciąga się nad całym budynkiem. Ale myślę, że jest pusty, nie używany. Nie radziłbym tam chodzić. Byłem w tym budynku wiele lat temu. Ale już wtedy strop się zapadał. Jeśli nie wytrzyma, do ziemi jest kawał drogi.

- A piwnice? - spytał Quinn, Grubas pokręcił głową.

- W piwnicach nie byłem.

Plan wskazywał tylko, że pod budynkiem znajduje się duża, pusta przestrzeń. Nic więcej.

- Kiedy miałbym tam wejść?

- Jeśli jesteś gotowy, najlepiej dzisiaj. Im bliżej spotkania, tym będzie trudniej. Prawda?

- Dobrze - odparł Quinn. - Taki miałem plan. Jak się tam dostanę?

Duke uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni, co kosztowało go dużo wysiłku. Po chwili w jego rękę błysnął srebrzysty klucz.

- Do frontowych drzwi - powiedział. - Na szczęście Berlin jest teraz moim domem. - Cicho zachichotał. - Wszystkich tu znam. Skrzyknąłeś zespół?

- Tak.

- Mogę spytać, kto w nim jest?

- Klucz - odparł Quinn. Duke podał mu klucz.

- Jak się tam dostaniesz, nie wzbudzając podejrzeń ochroniarzy?

- Nie twoje zmartwienie.

Quinn jeszcze raz przyjrzał się budynkowi. Potem oddał lornetkę Duke'owi.

- Napatrzyłeś się? - spytał Duke.

Quinn zmrużył oczy, popatrzył jeszcze przez chwilę, w końcu kiwnął głową.

- Chwilowo.

Quinn poprosił Duka, żeby podrzucił go do Charlottenburga, pod pretekstem, że przed nocną wyprawą do wodociągów musi coś jeszcze załatwić. Ale kiedy tylko Duke odjechał, on zszedł do metra i wsiadł do pociągu jadącego na wschód. Wysiadł na Berliner Strasse, żeby sprawdzić, czy nikt mu nie towarzyszy. Nikogo nie zauważył.

Przesiadł się na U9, pojechał na Kurfürstendamm w zachodniej części miasta, tam wysiadł i znowu sprawdził teren. Wciąż nikogo podejrzanego. Wyszedł na ulicę i prawie na pół godziny wmieszał się w tłum. Udając, że ogląda wystawy sklepowe, przez cały czas dyskretnie sprawdzał, czy nikt za nim nie idzie. Wreszcie, upewniwszy się, że jest sam, złapał taksówkę i pojechał do Mitte. Kazał taksówkarzowi stanąć dwie ulice przed hotelem i resztę drogi przeszedł piechotą.

Miał klucz, więc po prostu otworzył drzwi i wszedł. Nate zerwał się z sofy; pewnie oglądał jakiś film. Natychmiast chwycił pilota i ściszył telewizor. Orlando natomiast siedziała pochylona nad komputerem, ze wzrokiem wbitym w ekran.

- Jak poszło? - Nawet na niego nie spojrzała.

Złożył krótkie sprawozdanie z przejażdżki do wodociągów.

- Wciąż brak związku z kipiszem - zakończył.

- Powiedział coś jeszcze? Quinn pokręcił głową.

- Nie. Nie słyszał, żeby ktoś wspominał o Biurze, ale jest pewny, że chodziło właśnie o Biuro, że stąd to całe zamieszanie. „Takie mam przeczucie”, powiedział.

- Nie wspomniał o Borku? - spytał Nate.

- Nie. A ja o niego nie pytałem. Ten człowiek wzbudza przerażenie i bałem się, że jeśli spytam, Duke wystraszy się i zniknie. Można go lubić albo nie, ale jest nam potrzebny. - Na stoliku obok Nate'a stała butelka wody. - Pijesz to?

Nate rzucił mu butelkę.

- I co o tym myślisz? - spytała Orlando. Quinn wzruszył ramionami.

- Lepsze to, niż zakładać, że to ślepa uliczka. Na dwoje babka wróżyła. Sęk w tym, że mamy za mało danych. - Otworzył butelkę i wypił łyk wody. - Dowiedziałaś się czegoś?

Orlando zastukała w klawiaturę.

- Tak. Ale nie tego, czego się spodziewałam. Quinn czekał.

- Krążą plotki, że Borko zniknął na dwa i pół miesiąca, bo lizał rany.

- Rany?

- Od kuli w ramieniu i biodrze. Robił coś dla Syryjczyków. Pewnie źle mu poszło.

- Ale kto go postrzelił?

- Nie wiem. Ale wiem, że w Rzymie. W ekipie sprzątającej był Zeus. Ledwo zdążył go stamtąd wyciągnąć, zaraz potem zjawiała się policja.

- Rozmawiałaś z nim?

- Uhm. Ale nic więcej nie chciał powiedzieć. Nie wie, z kim Borko się spotkał. Przynajmniej tak mówi.

- To była wymiana? - Quinn podszedł do okna i spojrział w niebo. Nad miastem zbierały się ciemne chmury. Na wieczór zapowiadano śnieg. - Na pewno nie odstrzał?

- Że niby ktoś chciał zlikwidować jego?

- Jego albo tego, z kim miał się spotkać.

- Zeus mówi, że to była zwykła wymiana. Nie wie, co poszło nie tak.

- I Borko pracował dla Syryjczyków?

- Tak twierdzi Zeus. Quinn odwrócił się od okna.

- Wierzysz mu?

Zawahała się i pokręciła głową.

- To co się mogło stać?

- Nic.

- Nic?

- Trochę poszperałam. Rzymska policja nie ma ani jednego meldunku, który choćby wspominał, że coś takiego miało miejsce. A skoro omal ich nie złapano, coś powinno być.

- Myślisz, że w Rzymie nie było żadnej operacji?

- Właśnie.

Quinn zerknął w okno.

- To ciekawe. A więc Zeus kłamie. Skinęła głową.

- Ale dlaczego?

- Zasłona dymna? - rzuciła. - Żeby Borko mógł zejść ludziom z oczu i skupić się na czymś większym?

- Na przykład na kipiszu w Biurze. Zmarszczyła czoło.

- Trochę to naciągane. Quinn ciężko westchnął.

- Fakt. Byłoby dużo łatwiej, gdyby ktoś się do tego przyznał.

- Łatwiej, ale mniej zabawnie.

Pociągnął łyk wody i postawił butelkę na stoliku przy sofie.

- Dobra. Wciąż podejrzewamy Borka, ale pozostajemy otwarci na inne możliwości.

- Zgoda - odparła Orlando.

- Ale jeśli to Borko, czegoś tu brakuje.

- Motywu?

- Nie. Jego jedynym motywem są pieniądze. Bardziej interesuje mnie, kto mu płaci. Borko to tylko najemnik.

Orlando się zawahała.

- Nie wiem, ale mam pewne podejrzenia.

- No?

- Znalazłam parę wzmianek o tym, że Borko może kręcić z Dahlem.

- Z Dahlem? - powtórzył Quinn. - Znajome nazwisko.

- Właśnie. Mnie też wydało się znajome, dlatego trochę o niego popytałam. Działa od końca lat osiemdziesiątych. Zakulisowy gracz. Nie udało mi się porozmawiać z nikim, kto by z nim pracował, ale może kogoś znajdę. Mam wrażenie, że Dahl kryje teraz Borka, że go firmuje. Jeśli nie zawsze, to na pewno często.

- No to mamy kolejnego kandydata. - Zamyślony, zamknął oczy. - Ale syf...

- Mogę się mylić. Roześmiał się smutno.

- Dobra. Na razie skupmy się na Duke'u. Może stoi za tym Borko. Może ktoś inny. Może ten Dahl. Mam nadzieję, że prędzej czy później to się wyjaśni. Jeśli nie i Borko nie ma z tym spotkaniem nic wspólnego, spróbujemy zapolować bezpośrednio na niego.

Kiwnęła głową.

- Nate - dodał Quinn. - Dzisiaj pójdziesz ze mną.

- Dobra.

Quinn spojrzał na Orlando.

- Ty będziesz pilnowała nas przez radio. Dam ci znać, jeśli znajdę coś ważnego.

- Ale ze mnie szczęściara - mruknęła.

Rozdział 19

Kwadrans po dziesiątej. Na Schandauer Strasse było cicho i ciemno. Uliczkę oświetlało tylko kilka lamp systemu alarmowego domów kilkadziesiąt metrów dalej. Latarni nie było.

Po obu stronach ulicy stały samochody i nie było miejsca na zaparkowanie, ale oni nie musieli parkować. Wysiedli z taksówki kilka ulic wcześniej, przed gmachem zarządu miasta przy Karl Marx Strasse. Byli w ciepłych, ciemnych ubraniach. Quinn niósł czarny plecak. Ciężki, ale poręczny.

- Powtórzmy jeszcze raz? - spytał.

Szli brukowanym chodnikiem w kierunku Schandauer Strasse.

Nate pokręcił głową.

- Nie rzucam się w oczy, obserwuję ulicę i daję ci znać, jeśli zauważę coś podejrzanego.

- Nie - poprawił go Quinn. - Jeśli zauważysz cokolwiek. Jasne?

- Jak słońce.

Parę godzin przedtem zaczął padać śnieg. Początkowo lekki, potem coraz gęstszy, padał tak intensywnie, że przybywało go w tempie ponad dwóch centymetrów na godzinę. Quinn obliczył, że rano ziemię będzie pokrywało ponad trzydzieści centymetrów białego puchu.

Na rogu Schandauer Strasse przystanęli, żeby przyjrzeć się budynkowi. Tak jak niemal wszystkie pozostałe na ulicy, był ciemny.

- Tam - powiedział cicho Quinn. - Przy bramie. Volvo, które stało tam po południu, zniknęło. Zastąpił je ford, sedan. Za kierownicę widać było sylwetkę mężczyzny.

- Widzę - szepnął Nate.

- Weszliście? - spytała przez radio Orlando.

- Jesteśmy na rogu ulicy - odparł Quinn.

- Opisz, co widzisz. Quinn rozejrzał się wokół.

- Schandauer Strasse. Brukowana jezdnia. Szeroka na tyle, że chociaż po obu stronach parkują samochody, ruch jest dwukierunkowy. Cisza i spokój.

Zakład jest kilkadziesiąt metrów dalej. Po prawej mamy dwupiętrowy budynek. Wygląda na biurowiec. Po lewej mniejszy. Z cegły. Zamiast volvo przed bramą parkuje teraz ford.

- A sam zakład?
- Wygląda tak samo, jak ci opisywałem. Tyle że teraz jest tam ciemno.
- Coś jeszcze?
- Nie licząc tego, że jest zimno i mokro, że pada śnieg i chciałbym być teraz na Maui?
- Tak.
- Nic.

Wzdłuż rzędu samochodów ostrożnie doszli do forda. Odczekali chwilę, by się upewnić, że kierowca ich nie zauważył, a potem Quinn wyjął z kieszeni małą kulkę substancji przypominającej kit okienny. Przytknął ją do dolnego rogu tylnej szyby. Podgrzany „kit” roztopił gumową uszczelkę, wypełniając samochód bezzapachowym gazem. Gaz działał błyskawicznie i pozbawiał przytomności co najmniej na dwie godziny.

Quinn sprawdził, czy „kit” dobrze trzyma, po czym wyjął z kieszeni małą plastikową torebkę. Ostrożnie otworzył ją i wysunął płatek cieniutkiego materiału. Starannie przykrył nim kulkę „kitu”, docisnął i cofnął się kilka kroków.

Patrzyli, jak kulka zaczyna się zmniejszać - materiał nie tylko ją podgrzewał, ale i kierował gaz do wnętrza samochodu, zamiast na ulicę. Kiedy kulka się roztopiła, Quinn spojrzął na zegarek, odczekał trzy minuty, wreszcie dał znak Nate'owi.

- Śpi - szepnął Nate, zajrzawszy do samochodu. - Ten „kit” jest ekstra.
 - Gotowy? - spytał krótko Quinn. Nate kiwnął głową.
- Quinn położył mu rękę na ramieniu.
- Pamiętaj, masz mi...
 - O wszystkim meldować.
 - Grzeczny chłopiec. - Quinn jeszcze raz rozejrzał się wokoło. Wszędzie panowała cisza i spokój. - Dobra, na stanowiska.

Nate przeszedł na drugą stronę ulicy i stanął we wcześniej ustalonym miejscu. Quinn zerknął na ochroniarza. Mężczyzna miał odchyloną do tyłu głowę i lekko otwarte usta. Pierś unosiła mu się i opadała. Żył.

Quinn pomachał Nate'owi ręką i podbiegł do ogrodzenia. Wypatrując innego ochroniarza, szybko spojrzął na ulicę i na budynek zakładu wodociągowego. Ale nikogo tam nie było.

Wziął głęboki oddech, podciągnął się, wszedł na ogrodzenie i zeskoczył po drugiej stronie. Stał teraz na krótkim podjeździe, który wzdłuż budynku powinien doprowadzić go do drzwi.

W lewej kieszeni kurtki miał klucz od Duke'a i małą, lecz mocną latarkę. Klucz wyjął, latarkę zostawił. Wiedział, że na razie wystarczy mu światła. Gdy podszedł do drzwi, śnieżna cisza otulająca ulicę ustąpiła miejsca przytłumionemu buczeniu. Dopiero po kilku sekundach zorientował się, że odgłos ten dochodzi z budynku.

Włożył do dziurki klucz i ostrożnie go przekręcił. Zamek stawiał opór, ale ponieważ był stary, nie wzbudziło to jego niepokoju. Gdy kliknęła zapadka, powoli otworzył drzwi. Z wnętrza nie dochodził najmniejszy nawet promyk światła. Nabrał powietrza, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Momentalnie pochłonęła go ciemność. Stał przez chwilę bez ruchu i nasłuchiwał. Poza monotonnym buczeniem nie słyszał żadnego innego dźwięku. Schował klucz do kieszeni i wyjął latarkę. W jej świetle zobaczył, że jest sam.

- Nate, jak tam na ulicy? - spytał.

- Zimno - odrzekł Nate. I szybko dodał: - Cisza i spokój.

- Powinieneś już przywyknąć do mrozu - odezwała się Orlando.

- Jeśli pamiętam, ty też nie skakałaś z radości, kiedy musiałaś stać przed hotelem - odparł Nate.

- Udawałam. Myślałam, że to cię pocieszy.

- Cicho - przerwał im Quinn. - Gdyby kogoś to interesowało, jestem w środku.

Skierowawszy latarkę przed siebie, zaczął badać teren. I szybko odkrył, dlaczego w budynku jest tak ciemno. Wszystkie okna zasłonięto drewnianymi płytami mocno przytwierdzonymi do ścian. W ramach dodatkowego zabezpieczenia każdą płytę uszczelniono grubymi paskami materiału, co gwarantowało całkowite zaciemnienie.

Z framugi wystawała stalowa płyta na kółkach. Można ją było łatwo wysunąć i zablokować wejście, odcinając pomieszczenie od świata zewnętrznego.

- Po diabła im to? - mruknął.

- Ale co? - spytała Orlando.

Quinn opisał jej zasłonięte płytami okna i stalowe drzwi.

- Wszystko jest nowe, niedawno zamontowane -dodał.

Wszędzie unosił się dziwny zapach. Zapach niezbyt przykry. Przeciwnie, czysty i antyseptyczny. Ale nie taki jak w szpitalu. Szpital pachnie środkami odkażającymi, lekarstwami i śmiercią. Tu pachniało jak w pokoju, który dokładnie zdezynfekowano, wyszorowano od podłogi po sufit, a następnie przetarto amoniakiem.

- Co to może być? - spytała Orlando.

- Nie wiem.

- Opisz resztę pomieszczenia. Quinn wycelował latarką w sufit.

- Fakt, jest duże. Tak jak mówił Duke. Olbrzymie. Ma ponad dwadzieścia metrów wysokości...

- Co to za hałas? - przerwała mu Orlando.

Powoli, żeby niczego nie przeoczyć, Quinn skierował latarkę w prawo.

- Ki diabeł?

- Co to?

- Nie wiem. Daj mi parę minut.

Początkowo nie wiedział, na co patrzy. Obiekt zajmował prawie połowę długości hali i sięgał stropu. Była to gigantyczna kula, trochę przypominająca balon, z tym że balon spoczywający na czarnej podstawie. Gdy patrzył od drzwi, z miejsca, gdzie stał, wydawało mu się, że jest zrobiona z grubej

białej tkaniny. Przymuszczalnie z płótna. Podstawa, coś w rodzaju szerokiego pierścienia, miała ponad dwa metry wysokości. W przeciwieństwie do kuli była zrobiona z czegoś twardego, z metalu, drewna albo plastiku. Musiałby przyjrzeć się z bliska, żeby to sprawdzić. Całość przypominała monstrualnej wielkości piłeczkę do golfa na czarnej podstawie.

Powiódł światłem w poprzek kuli. Po jej lewej stronie zobaczył solidne rusztowanie. I stalowe schody po prawej stronie rusztowania. Poświecił wyżej. Schody kończyły się pomostem, który łączył się z kulą rękawem czteroipółmetrowej długości.

Ciekawe, pomyślał.

Kiedy znowu powiódł światłem po rusztowaniu, zauważył coś jeszcze. W rusztowaniu była winda.

Pomyślał, że konstrukcja jest czymś w rodzaju prowizorycznej komory bezpieczeństwa, służącej na przykład do transportu czy przechowywania materiałów radioaktywnych. Albo - przed oczami znowu stanęło mu szkieleto mikroskopowe z naszyjnika - materiałów biologicznych.

Ruszył przed siebie. Hałas dochodził z naprzeciwka, z głębi hali. Zrobił jeszcze kilka kroków i omijając kulę, poświecił tam latarką.

Urządzenie wyglądało na pompę. To miało sens. Inaczej kula by się po prostu zapadła. Trochę mu ulżyło. Pompa tłoczyła powietrze do kuli, nadymała ją jak balon. Panujące w niej ciśnienie musiało być większe niż to na zewnątrz, zupełnie inaczej niż w komorze bezpieczeństwa do prac nad niebezpiecznymi materiałami biologicznymi. W takiej komorze ciśnienie wewnętrzne musiałyby być niższe od zewnętrznego, żeby zapobiec przypadkowej ucieczce jakiegoś paskudztwa, skutkiem czego całość miałaby zupełnie inną konstrukcję.

Bez wchodzenia do środka trudno było powiedzieć, czemu to wszystko służy. Możliwe, że nie miało nic wspólnego ze spotkaniem. Możliwe też, że miało. Na wszelki wypadek postanowił założyć podsłuch i zamontować kamery.

- No i? - spytała Orlando.

- Nie wiem - odparł. - Nie jestem pewny.

- To za mało.

- Chcesz, to ci pokażę.

Zdjął plecak, otworzył go i wyjął dwa przedmioty. Jeden był mały i czarny, drugi przypominał prostokątne pudełko wielkości czekoladowego batonika. Następnie skierował latarkę w stronę kuli, położył ją na plecaku i podniósł z podłogi mniejszy przedmiot. Obrócił go powoli i odczytał liczbę wyrytą u podstawy.

- Siedemnastka - rzucił.

- Musisz włączyć wzmacniacz.

- Zaraz. - Podniósł prostokątne pudełko i pstryknął małym przełącznikiem. Wzmacniacz ożył i pudełko lekko zawibrowało.

Pięć sekund później Orlando zameldowała:

- Mam sygnał.

Quinn postawił pudełko na podłodze obok plecaka.

- Potrzebujesz dużo światła?

- Wpada tam jakieś?

- Nie.

- Skieruj latarkę w stronę tego, co chcesz mi pokazać. Powinno wystarczyć.

Wbudowane w kamery noktowizory były najlepsze z najlepszych. Innych Orlando by nie kupiła. Quinn obrócił plecak i wycelował latarką w kulę. Potem wstał i powoli omiół kamerą wnętrze hali.

- Co to, do diabła, jest? - wymamrotała Orlando. Quinn pokazywał jej kulę.

- Nie mam pojęcia. Są schody i winda. - Skierował tam kamerę. - A na górze rękaw i wejście.

- Duke nic o tym nie mówił?

- Nie był tu od lat. Pewnie nie wie nawet, że coś takiego tu jest.

- Nie podoba mi się to - powiedziała Orlando. - Może lepiej to odwołajmy. Zdobądźmy najpierw trochę więcej informacji.

Quinn zastanowił się i odrzekł:

- Nie. Już tu jestem. Zrobimy to teraz. - Jeszcze raz pokazał jej kulę. - Ile dałaś mi kamer?

- Dwadzieścia.

Pięć więcej, niż chciał.

- Dobra. Na halę wystarczy siedem. - Miał to już rozpracowane, ale teraz musiał wprowadzić kilka poprawek. - Nie widziałem jeszcze reszty pomieszczenia, ale według planu, na biura powinno wystarczyć osiem. Zostaje pięć. Jedna pójdzie na zewnątrz, nad drzwi od frontu. Druga nad te z tyłu. Trzecia naprzeciwko bramy, czwarta i piąta na końcu ulicy. Cholera, to już pięć. - Zmarszczył czoło. - Dobra, powiedzmy, że na resztę budynku pójdzie siedem. Jedną zamontuję w kuli.

- Wykluczone - zaprotestowała. - Do kuli nie wejdiesz.

- Jeśli ogarną mnie złe przeczucia, natychmiast zawrócę, dobra?

- Świetny plan - mruknęła gniewnie.

- Cieszę się, że ci się podoba.

Zamontowanie kamer zajęło mu godzinę. Każda współpracowała z mikrofonem, malutkim krążkiem, który trzeba było przykleić taśmą do podłogi. Mikrofon wychwytywał dźwięki w promieniu trzech metrów.

Okazało się, że siedem kamer to za mało, żeby pokryć wszystkie pomieszczenia trzypiętrowego budynku - po dwa na każdym piętrze - ale nic nie mógł na to poradzić. Wzmacniacz ukrył na strychu, wtykając go między krokwie, gdzie trudno go było znaleźć. Duke miał rację. Strop był rzeczywiście słaby. Kilka razy omal się nie zapadł.

Skończył i zszedł na dół. W plecaku miał jeszcze sześć kamer: pięć chciał zamontować na zewnątrz budynku, jedną w kuli. Stanął u stóp schodów prowadzących na pomost.

Gdy na nie wchodził, Orlando spytała:

- Nie możesz bardziej hałasować? - Musiała obserwować go przez kamery, które rozmiścił w hali. Schody, choć solidne, miały luzy. I bez względu na to, jak cicho starał się iść, metalicznie stukwały przy każdym kroku.

Wszedł na pomost. Przed nim było wejście do... śluzy powietrznej? Od kuli dzieliło go teraz ledwie kilkanaście kroków i spostrzegł, że materiał, z którego zrobiono rękaw i samą kulę, nie jest zwykłym płótnem. Był grubszy, jakby gumowaty.

Do śluzy wchodziło się drzwiami z twardego plastiku, wbudowanymi w równie solidną framugę. Zamka chyba nie było. Quinn przekreślił klamkę.

- Wchodzę do rękawa - zameldował.

Z latarką w ręku wszedł do środka i zamknął drzwi.

Rękaw był wyłożony ciemnym, nieprzezroczystym materiałem. Na próbę zgasił latarkę. Podniósł rękę do twarzy, lecz jej nie zobaczył.

Zapalił latarkę i ruszył przed siebie wąskim metalowym pomostem. Zerknąwszy w górę, przekonał się, że jest tam coś, czego przedtem nie zauważył. Coś równie czarnego jak sam rękaw. Dostrzegł to nie tylko na suficie, ale i na ścianach. Podeszedł bliżej.

Cienkie pręty. Z twardego, elastycznego materiału dającego się dopasować do kształtu konstrukcji. Tworzyły sieć trójkątów pokrywających wnętrze śluzy. Ki czort? Siatka geodezyjna?

Ruszył dalej. Na końcu były drzwi podobne do tych, jakimi tu wszedł. Kiedy przed nimi stanął, na framudze zapaliło się zielone światełko. Było wielkości półdolarowej monety. Czujnik ruchu?

- Wchodzę do kuli - rzucił do mikrofonu. Przekreślił klamkę, otworzył drzwi i poczuł podmuch powietrza. Ostrożnie przekroczył próg i zamknął za sobą drzwi.

Niemal natychmiast strzeliło mu w uszach. Dotarło to do niego już po chwili: strzeliło mu w uszach. Co więcej, czy powietrze, którego ruch poczuł, wchodząc, nie wpadało przypadkiem do środka? Odwrócił się i ponownie otworzył drzwi. Podmuch nie był tak silny jak przedtem, ale tak, powietrze na pewno wpadało do kuli, do jej wnętrza.

Zamknął drzwi i powiódł wokoło światłem. Powłoka kuli była zrobiona z materiału identycznego jak ten w śluzie, czarnego i nieprzezroczystego, i podobnie jak śluzę, podtrzymywał ją metalowy szkielet. Wszystko to mogło znaczyć jedno. Ciśnienie w kuli było niższe niż na zewnątrz.

- Jezu Chryste - wymamrotał.

- Co się stało?

Złożył Orlando krótki meldunek.

- Dobra, nie panikuj.

- Nie panikuję - odparł i wziął głęboki oddech. Instynkt go jednak nie zawiódł. To był klasyczny moduł

bezpieczeństwa mikrobiologicznego. Oparł się o drzwi i poświecił latarką przed siebie. Pomost, na którym stał, miał trzy metry długości. Na jego końcu były drzwi do czegoś, co wyglądało jak duże kwadratowe pudło. Tego się spodziewał. Komora właściwa. Panujące w niej ciśnienie musiało być jeszcze niższe od tego w śluzie. To właśnie tam przeprowadzano najbardziej niebezpieczne prace.

Zerknął w dół, i spostrzegł, że cała struktura spoczywa na skomplikowanym metalowym rusztowaniu, którego podstawa ginęła w czeluściach kuli. Trochę mu ulżyło. Jeśli w komorze przechowywano groźne dla życia czynniki biologiczne, tu powinien być bezpieczny.

Szukali czegoś, co pomogłoby im wytropić organizatorów kipsiszu, tymczasem znaleźli coś, co miało związek z pożarem w Kolorado. Bransoletę. Potem szkiełko mikroskopowe, a teraz to. Nie mogli tego zlekceważyć. I chociaż jak dotąd brakowało dowodów, Quinn był pewny, że wszystko to łączy się jakoś z kipsiszem.

- Zrób kilka zdjęć - rzucił do mikrofonu. - Kiedy wrócę, wyślę je Peterowi. Dobra?

Orlando nie odpowiedziała. Quinn postukał w słuchawkę.

- Słyszysz mnie? Ciągłe nic.

- Nate, jesteś tam?

Słyszał tylko własny oddech. Poczul, że stają mu włoski na karku.

- Orlando? Cisza.

- Orlando? Żadnej reakcji.

I wtedy coś usłyszał. Ale nie w słuchawce, tylko za ścianą kuli. Metaliczny stukot metalu o metal. Ktoś wchodził schodami na górę.

Rozdział 20

Spojrzał w lewo, potem w prawo. Ale już widział, co tam zobaczy. Z kuli było tylko jedno wyjście, to, którym do niej wszedł. Cholera, pomyślał, to zasadzka. Wciągnęli nas w zasadzkę.

- Ty skurwysynu - mruknął.

Kroki brzmiały coraz głośniejsze. Tamci byli już na szczycie schodów i wiedział, że zaraz wejdą na pomost, do łączącej się z kulą śluzy. Gdyby był na dole, w hali, mógłby łatwo uciec. Ale tutaj miał bardzo ograniczone pole manewru.

Znieruchomiał. Miał szansę, choć tylko jedną. W podstawie kuli, w szerokim pierścieniu, na którym spoczywała, widział drzwiczki. Nie miał pojęcia, jak się tam dostać, ale lepsze było to, niż stać tu i czekać, aż go złapią.

Podbiegł do komory, zatrzymał się pod drzwiami, ukląkł na krawędzi wąskiego pomostu i spojrzał w dół.

Skomplikowane rusztowanie, które widział chwilę przedtem, ginęło w czarnej otchłani. Łatwo mógł nim zejść. Szybko poświecił latarką i chociaż nie był tego do końca pewny, zdawało mu się, że widzi jakiś właz. Jeśli był to właz, musiał prowadzić do wnętrza okrągłej podstawy, na której spoczywała kula.

Odkrył potencjalną drogę ucieczki, sęk w tym, że za nic nie zdążyłby uciec. Ten, kto wchodził schodami na górę, zauważyłby go, zanim Quinn pokonałby połowę rusztowania.

Jeszcze raz spojrzał w dół.

Dobra, pomyślał. Da się zrobić. Ale co, jeśli...

Nie, na „jeśli” nie było czasu. Schował latarkę i szybko opuścił się za krawędź pomostu. Potem, najciszej, jak umiał, wpełznął pod pomost.

Znieruchomiał, żeby się zorientować, gdzie jest i, niczym po drabince na dziecięcym placu zabaw, szczebel po szczeblu zaczął przesuwać się po rusztowaniu w kierunku komory. Zatrzymał się dopiero pod nią.

Miał spocone czoło i krótki, urywany oddech. Ale wiedział, że zwisając jak małpa pod komorą, daleko nie ucieknie.

Podciągnął nogi, zarzucił je na biegnącą poprzecznie rurę i ułożył się równolegle do podłogi. Nie był zupełnie niewidzialny, ale nic więcej nie mógł zrobić.

Otworzyły się drzwi śluzy. Usłyszał szum powietrza i kroki dwóch ludzi wchodzących na pomost. Zapadła cisza, potem jeden z nich coś powiedział i zrobiło się jaśniej. Zapalili latarkę. Promień światła przesuwiał się powoli po krawędzi pomostu i odbijał od rur rusztowania.

Chwilę później znowu rozległy się kroki: szli w kierunku komory. Otworzyły się kolejne drzwi, rozległ się cichy syk i znowu zaszumiało powietrze wpadające z jednego pomieszczenia do drugiego. Minęło kilka sekund i drzwi się zamknęły.

Zaczęła drętwieć mu lewa łydka. Zaryzykował i żeby ją rozluźnić, poruszył nogą, ale kiedy tylko przesunął ją nieco dalej i ponownie zarzucił na rurę, otworzyły się drzwi do komory.

- Jedyńka, tu Matz.

Mężczyzna. Mówił po niemiecku, głośno i wyraźnie, pewnie przez radio. Sądząc po tym, że głos nie był zniekształcony, na pewno nie miał na twarzy maski. Znaczyło to, że laboratorium jeszcze nie działa, że nie ma tam groźnych dla życia substancji. Na pewno by mu ulżyło, gdyby nie to, że wisiał kilkadziesiąt metrów nad ziemią, zastanawiając się, kiedy tamci przestrzelą mu czaszkę.

Zatrzeszczało radio i rozległ się inny głos, też po niemiecku, ale z obcym akcentem.

- Dobrze sprawdziłeś?

- Tak - odparł Matz. - Oprócz nas nikogo tu nie ma.

- A pod spodem?

Cisza. I znowu głos Matza:

- Właśnie patrzymy.

Quinn zeszywniał. Mógł zrobić tylko jedno: znieruchomieć. Nie mógłby nawet wyjąć pistoletu, bo straciłby równowagę.

Zza krawędzi pomostu buchnął strumień światła. Coś głucho stuknęło i domyślił się, że jeden z tamtych ukląkł. Promień latarki przemknął po rusz-

towaniu tuż obok niego i śmignął w dół. Zatrzymał się na dnie kuli i zaczął omiatać je centymetr po centymetrze.

- Niczego nie widać - powiedział ten drugi.

- Na pewno? - spytał Matz.

- Chcesz spojrzeć?

- Jedyńka, tu Matz. Na dole nikogo nie ma.

- Musi gdzieś tam być - odparł przez radio wyraźnie zirytowany głos. - Nie wyszedł z budynku.

- Może wspólnik go ostrzegł? - myślał na głos Matz.

- Wykluczone. Wyjdźcie i zaczekajcie na zewnątrz. Jakoś go wypłoszymy.

- Zrozumiałem.

Kroki oddaliły się i ucichły.

Wisiał pod pomostem przez pół godziny, starając się nie poruszać. Z zamkniętymi oczami, oddychając równo i spokojnie, recytował po cichu słowa piosenek z *Changes One*, albumu z największymi hitami Davida Bowiego. W połowie *John, I'm Only Dancing* znowu złapał go skurcz. Pokiwał stopą, żeby rozluźnić łydkę, ale ani Bowie, ani ból nogi nie pomogły mu zapomnieć o tym, co się stało.

Operację szlag trafił, wpadli w gówno.

Kipisz, pomyślał. Znowu ten cholerny kipisz, tylko że tym razem było oczywiste, kto ich zrobił.

Duke.

- Teorie spiskowe? - powiedział kiedyś Durrie. - Pieprz to. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach słuszne jest to, co najbardziej oczywiste.

Podpucha. Od pierwszego e-maila, którego przysłał mu Duke, wszystko to było jedną wielką podpuchą. Jedynym powodem, dla którego nie zdjęli go, kiedy tylko wsiadł do jego samochodu, było to, że chcieli zlikwidować całą ekipę. Jego ludzi.

Zmrużył oczy. Czy znaczyło to, że siedział w tym i Peter? Ostatecznie to on namówił go na wyjazd do Berlina. Idąc krok dalej, czy znaczyło to rów-

niez, że Peter maczał palce w czymś, co doprowadziło do rozbicia własnej organizacji?

Przeszedł go zimny dreszcz, ale jakoś nie mógł w to uwierzyć. Wszystko jedno, jak było naprawdę, nie dowie się tego, wisząc pod podłogą tej cholernej komory. Dość już się naczekał. Nadeszła pora działania.

W kuli było zupełnie ciemno, ale nie mógł ryzykować i zapalić latarki. Zaczął schodzić na dół po omacku, przenosząc ciężar ciała z miejsca na miejsce, powoli i ostrożnie, żeby robić jak najmniej hałasu. Wreszcie dotknął nogami ziemi.

Dopiero teraz wyjął latarkę. Ale zanim ją zapalił, osłonił ręką reflektor. Kiedy pstryknął włącznikiem, dłoń rozjarzyła mu się czerwonożółtawym blaskiem.

Powiódł światłem po podłodze. Twardy, czarny plastik dopasowany do krzywizny kuli. Stał na szczycie podstawy, którą widział przedtem od zewnątrz, ponad dwa metry nad poziomem podłogi.

Po prawej stronie zobaczył coś, co przypominało okrętowy luk. Był osadzony w podłodze i otwierał się do góry. Brakowało tylko uchwytu. Zamiast uchwytu na środku drzwiczek były dwa przyciski. Jeden czerwony, drugi zielony.

Nacisnął zielony. Przez pół sekundy nic się nie działo. Potem puściła uszczelka i właz odskoczył. Do kuli znowu wpadł podmuch powietrza.

Quinn oparł się o obudowę i poświecił latarką do środka. Zobaczył małą, ciasną komorę, gdzie mógł stanąć tylko jeden człowiek. Do ściany przymocowano drabinkę. Naprzeciwko drabinki były drzwiczki, a na ich framudze czerwone światelko.

Spuścił nogi, wymacał drabinkę i zszedł na dół. Spróbował otworzyć drzwiczki, ale tak jak się spodziewał, nie ustąpiły. Wyciągnął rękę i zamknął właz. Na jego wewnętrznej stronie też były przyciski, identyczne jak te na zewnętrznej. Nacisnął czerwony i właz się uszczelnił. Kiedy się odwrócił, na drzwiczkach paliło się już zielone światelko. Jeśli miał rację, tym razem powinny się otworzyć.

I otworzyły się.

Pchnął je i znalazł się w okrągłym pomieszczeniu. Tylko dwie rzeczy były idealną krzywizną ścian: drzwiczki, którymi wszedł, i drugie drzwiczki kilkanaście kroków w lewo. Te ostatnie widział przedtem z zewnątrz.

Idąc w tamtą stronę, o coś się potknął. Poświecił latarką, żeby sprawdzić, co to takiego.

Był to betonowy występ mniej więcej dziesięciocentymetrowej wysokości. Brzeg dużego, prostokątnego włazu w podłodze. Poświecił latarką i zobaczył prowadzące w ciemność schodki.

Piwnica. Zbudowali kulę nad wejściem do piwnicy.

Pieprzyć boczne drzwi, pomyślał. Miał przed sobą lepszą drogę ucieczki. Z piwnicy też musiało być jakieś wyjście. Gdyby wyszedł drzwiczkami w podstawie, trafiłby prosto do hali. A wiadomo, kto mógł tam na niego czekać?

Już miał postawić nogę na schodkach, gdy usłyszał znajomy stukot. Ktoś wchodził schodami na górę. Znowu. Najwyraźniej jedno przeszukanie ich nie zadowoliło.

Szybko zszedł na dół. Były tam stalowe drzwiczki, stare, zardzewiałe i zamknięte.

Wyjął z plecaka zestaw wytrychów. Znalazł ten, którego potrzebował, i szybko otworzył zamek. Tamci byli tuż-tuż, szli prosto do służby w podstawie kuli.

Zgasił latarkę. Nie wiedział, co jest za drzwiczkami, ale światło stanowiło znakomity cel. Ostrożnie pociągnął za klamkę i wślizgnął się do piwnicy.

Przystanął, uważnie nasłuchując, żeby sprawdzić, czy jest sam. Potem zamknął drzwiczki od środka. Schował wytrychy do plecaka i zapalił latarkę.

Był w dużym pomieszczeniu, które zajmowało prawie połowę długości budynku, rozciągając się mniej więcej od środka do końca hali. Pod przeciwległą ścianą stało kilka metalowych szafek, a pośrodku cztery białe plastikowe stoły. Pod każdym stał duży pojemnik, też z plastiku. Tu też coś

monotonnie buczało. Ale na pewno nie pompy. To buczenie było inne, głębsze i nie tak głośne.

Instynkt kazał mu zajrzeć do pojemników pod stołami i do szafek. Mógł w nich znaleźć coś ważnego. Ale się powstrzymał. Musiał przeżyć i wydostać się na wolność - to było teraz ważniejsze.

Rozglądał się dalej. Początkowo wydawało się, że nie ma stąd innego wyjścia. Dopiero kiedy przyjrzał się ścianom jeszcze raz, w tej po lewej stronie zauważył drzwi. Pomalowane na beżowo, tak jak reszta pomieszczenia, miały wpuszczoną klamkę i były prawie niewidoczne. Podeszedł bliżej. Nie miały żadnego mechanizmu zamykającego, więc po prostu otworzył je i przekroczył próg.

Kolejne ciemne pomieszczenie, o wiele zimniejsze niż poprzednie. Zamknął drzwi i rozejrzał się. Tam, w przeciwległym kącie: słabiutkie światło.

Uśmiechnął się do siebie. Okno.

Idąc, omiatał teren latarką. Długie stoły robocze. I coś, co wyglądało na wielką lodówkę po prawej stronie, źródło monotonnego buczenia. Chłodnia? Przystanął, żeby się jej przyjrzeć.

Była z tych, do których się wchodzi. Pasowałyby bardziej do piwnicy sklepu mięsnego niż do podziemi nieczynnych zakładów wodociagowych.

Wiedział, że musi wydostać się z budynku, ale korciło go, żeby do niej zajrzeć. Tym razem ciekawość wzięła górę nad chęcią ucieczki.

Pociągnął za uchwyt. Drzwi ani drgnęły. Wtedy zobaczył stalowy trzpień, blokującą klamkę zatyczkę. Wyjął ją i drzwi się otworzyły.

Z wnętrza buchnął podmuch lodowatego powietrza. W środku było zimno - nie zimno, ale cholernie zimno. Jak na Alasce.

Stojąc w drzwiach, powiódł wokoło światłem. Chłodnia miała dwa i pół metra długości i półtora metra szerokości. Pod ścianami stały grube, ciężkie stojaki. Na każdym zamontowano cztery szerokie metalowe półki. Wszystkie były puste. Mimo to panowała tam straszliwa ciasnota.

Już zamykał drzwiczki, gdy z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł jakiś hałas. Zerknął na drzwi, którymi tu wszedł, niemal widząc, jak wpada nimi banda uzbrojonych oprychów. Ale drzwi pozostały zamknięte.

Zamknął chłodnię i zablokował klamkę zatyczką, żeby wszystko wyglądało tak jak przedtem. Spojrzał na okno w kącie. Było wysoko, tuż nad poziomem ziemi.

Nęciła go wolność niemieckiej nocy. Odwrócił się i jeszcze raz zerknął na drzwi dzielące go od tamtych. Nie mógł aż tak ryzykować.

Kurwa mać! - pomyślał. Zaczyna mnie to wkurzać.

Wcisnął się w szparę między stropem i chłodnią. W prawej ręce miał pistolet od Orlando, sig sauera z tłumikiem. Strzelanina była ostatnią rzeczą, jakiej by chciał, ale gdyby go znaleźli, nie zamierzał się łatwo poddawać.

Trzydzieści sekund później drzwi się otworzyły. W piwnicy natychmiast zatupotały kroki. Błysnęło światło latarek omiatających każdy centymetr kwadratowy powierzchni. Świeciły wszędzie - ale nie tam, gdzie leżał.

Liczył kroki. Czterech ludzi. Po kilku chwilach ruch ustał.

- Widzisz? - To był Matz, ten, który szukał go w kuli. -Mówiłem. Tu go nie ma.

- To gdzie jest? - spytał mężczyzna, którego Quinn słyszał przedtem przez radio. Matz nazywał go „jedyнкą”. Ale teraz, bez trzasków, syków i innych zakłóceń, jego głos brzmiał bardzo znajomo.

- Może udało mu się wykołować tych na górze?

- Myślisz?

- Nie wiem. Ale tu na pewno go nie ma. Drzwi do piwnicy były zamknięte. Jeśli nie uciekł, musi być gdzieś na górze. Mówiłeś, że jest dobry.

- Prosiłem o zawodowców, a Duke dał mi idiotów. Quinn zacisnęła usta. Znowu Duke.

Zapadła cisza.

- A tam?

- W chłodni?

- Tak.

Podeszli bliżej.

- Ta zatyczka działa jak zamek. Gdyby tu był, nie mógłby jej włożyć.

- Chodźmy.

Quinn wyteżył słuch. Wyszli. Zamknęły się drzwi, ale on nie drgnął. Coś mu tu nie grało.

Wreszcie, kilka minut później, usłyszał czyjeś kroki. Drzwi się otworzyły i ten, który na niego czyhał, wyszedł z piwnicy.

Quinn odczekał jeszcze chwilę, myśląc gorączkowo. Głos z radia. Jedynka. Człowiek, przed którym ostrzegał go Piper.

Człowiek, którego ostatni raz widział w Toronto. Borko.

TLR

Rozdział 21

Kiedy w końcu wyszedł z budynku, była prawie pierwsza. Borko zostawił ochroniarzy, ale jak sam zauważył, ludzie Duke'a nie należeli do najbardziej rozgarniętych. Quinn bez trudu prześlizgnął się między nimi.

Ze stacji Rathaus Neukölln złapał ostatni pociąg na północ. W wagonie była tylko garstka pasażerów. Przez jakiś czas po prostu jechał - jechał i intensywnie myślał. Wiedział, że musi dotrzeć do awaryjnego punktu kontaktowego, ale wciąż trudno mu było uwierzyć w to, co się stało.

Borko go pokonał, nie mógł temu zaprzeczyć. Uspiał jego czujność, upewnił w przekonaniu, że on, Quinn, nad wszystkim panuje. Ale to Borko nad wszystkim panował, i to przez cały czas. I chociaż udało mu się uciec, Serb wciąż miał go w garści.

Nie był idiotą. Jeśli schwytał Orlando i Nate'a, na pewno ich nie zabił - jeszcze. Wiedział, że dopóki oddychają, są świetnym zabezpieczeniem na wypadek kłopotów z ich szefem.

Quinn wysiadł na Bismarck Strasse. Wyszedł na ulicę, złapał taksówkę i pojechał na Ku'damm. Jadąc, wyjął z plecaka mały, kwadratowy papierek, fioletową naklejkę, jedną z kilkunastu, które przy sobie miał. Orlando i Nate mieli podobne, ona szare, a on czarne. Ciemne kolory mniej rzucały się w oczy.

Wysiadł dwie ulice od Kaiser Wilhelm Gedächtniskirche, kościoła pamięci Cesarza Wilhelma. Za dnia była to jedna z najpopularniejszych atrakcji turystycznych miasta. Ruiny tej zbombardowanej podczas wojny świątyni miały przypominać o tym, co się stało i co już nigdy nie może się stać. Ale o tej porze nie było tam nikogo.

Na prawo od kościoła było centrum handlowe. Na jego dolny poziom schodziło się zewnętrznymi schodami. Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, Quinn zbiegł na dół.

Im niżej, tym było zimniej. Gorzej niż w Kolorado, pomyślał. Jak w środku zimy z dzieciństwa na kanadyjskiej granicy.

W połowie schodów do prawej poręczy przykleił fioletowy kwadracik. Miał nadzieję znaleźć tam naklejki Orlando i Nate'a, ale jego była pierwsza. Próbował nie myśleć, co to może znaczyć. Rano miał zamiar wrócić i sprawdzić ponownie. Do tej pory ich naklejki na pewno tu będą. Z całą pewnością.

Tymczasem on musiał się gdzieś przespać. Powrót do Dorint czy Four Seasons nie wchodził w grę. Na dobrą sprawę w grę nie wchodził żaden hotel, przynajmniej tymczasem.

Pozostawało mu tylko jedno.

Niechętnie wrócił na ulicę i zatrzymał taksówkę.

- *Pilsner, bitte* - rzucił, siadając na wolnym stołku w Der Goldene Krug.

Barman, niski, chudy wąsacz, miał trzydniowy zarost. Nalał piwa z beczki i postawił przed nim kufel.

- *Zwei euro.*

Quinn wyjął z kieszeni garść monet, gdy nagle usłyszał czyjś głos.

- *Nein, Max.*

Barman spojrzał przez ramię na kobietę, która właśnie wyszła z zaplecza.

- Na koszt firmy - dodała po niemiecku.

Max wzruszył ramionami i odszedł, by obsłużyć kogoś innego.

Kobieta, brunetka o talii osy, prawdopodobnie młodsza, niż na to wyglądała, wyszła zza lady i stanęła tuż za Quinnem. Klepnęła w ramię mężczyznę siedzącego na stołku obok, każąc mu zmienić miejsce. Ten już miał za protestować, ale wtedy zobaczył, kto go wyprasza. Bez słowa wziął swoje piwo i przesiadł się do stolika w kącie. Kobieta usiadła.

- To samo co zwykle, Max. - Barman skinął głową. Kobieta spojrzała na Quinna. - Witaj, Jonathanie.

- Jak się masz, Sophie?

- Jak widzisz, wciąż jestem tu, gdzie widziałam cię ostatni raz. Nic się nie zmieniło. Mam stałych klientów. Jakoś żyję.

Max postawił przed nią koktajl na likierze orzechowym. Sophie podziękowała mu ruchem głowy, a gdy odszedł, wypła łyk i odsunęła kieliszek. - Interesy?

- Słucham?

- Jesteś tu w interesach?

- W Berlinie?

- W moim barze.

- Tak. Tu i tu.

- To dobrze. Bo gdybyś powiedział, że wpadłeś tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć, posłałabym cię do diabła. - Sophie powiedziała to bardzo swobodnie, niemal mimochodem.

Quinn uśmiechnął się lekko.

- Ile to już? - spytała. - Dwa lata?

- Coś koło tego.

- Co tutaj robisz? - Znowu wypła łyk koktajlu.

- Szukam noclegu.

- Na dzisiaj?

- Tak. - Zrobił pauzę. - Może na jutro też.

- Co powie na to mój mąż?

- Ty nie masz męża.

- A właśnie, że mam.

- Tak jak ja żonę.

Chciała coś dodać, lecz nagle się roześmiała.

- Ciągłe dupek z ciebie, wiesz?

- Tak. Podobno.

Ostatnich klientów udało im się wyprosić dopiero po trzeciej nad ranem. Max i Sophie sprząтали, a on sączył piwo w kącie sali. W końcu Max poszedł do domu, a Sophie zaprowadziła go na górę. Miała dwupokojowe mieszkanie nad barem. Można się tam było dostać na dwa sposoby. Od-

dzielnym wejściem prosto z ulicy albo schodami obok podręcznego magazynu na zapleczu.

Przystanąwszy na półpiętrze, Sophie wyjęła klucz z kieszeni spodni. Otworzyła drzwi i wprowadziła go do środka. W korytarzu otarła się o jego ramię, pochyliła do przodu i nagle przywarła ustami do jego ust.

W pierwszej chwili chciał się cofnąć. Nie tego szukał. Szukał zwykłego noclegu. Noclegu gdzieś, gdzie nikt by go nie znalazł.

Poza tym ich znajomość, znajomość sprzed dwóch lat, trwała ledwie kilka miesięcy i była dla niego kolejną nieudaną próbą nawiązania z kimś kontaktu psychicznego. Przyszedł do niej tylko dlatego, że nie miał dokąd pójść.

Ale zamiast się cofnąć, poczuł, że usta rozwierają mu się i miękną. Zanim się spostrzegł, miał już ręce na jej plecach, już przytulał ją i pieścił, już rozpinał jej bluzkę. Pożądanie - nie, nie pożądanie, tylko pragnienie kontaktu z drugim człowiekiem - zawładnęło nim i całkowicie go pochłonęło.

Zsunął z ramion jej bluzkę i sunąc za nią ustami, odnalazł lewą pierś. Pamiętał, że sutki, niewielkie i sztywne, były najwrażliwszymi obszarami jej ciała. Powoli powiódł wokół nich językiem, nie dotykając ich jednak, tylko jeszcze bardziej ją prowokując. On ją pieścił, ona go rozbierała.

Już wkrótce ich zmięte ubrania leżały na podłodze. Wtedy przenieśli się na sofę, gdzie centymetr po centymetrze zaczął badać zakamarki jej ciała. Ustami i językiem, poszukując, całując i pieszcząc. Jej zapach, mieszanina zapachu piwa, potu i lawendowych perfum, obudził dawne wspomnienia.

- Teraz - szepnęła mu do ucha. - Weź mnie.

W sypialni zrobili to jeszcze raz, tym razem wolniej, leniwiej. Kiedy skończyli, Sophie poszła po wodę. Wróciła uśmiechnięta.

- Ćwiczyłeś - powiedziała.

- Od czasu do czasu - odrzekł, próbując ukryć nutkę żalu w głosie.

- Masz. - Podała mu szklanekę. - I nie martw się.

- Czym?

- Wyglądasz na takiego, co to się boi, że kobieta, z którą się właśnie przespał, powie mu, że go kocha. - Prychnęła pogardliwie. - Spokojnie, ja nie powiem. Nic się nie zmieniło, zgoda? Jesteśmy dwojgiem starych przyjaciół, którzy długo się nie widzieli.

- A więc tak witasz się z przyjaciółmi?

- Jeśli jutro też zechcesz przenocować - ciągnęła - będziesz musiał zrobić to jeszcze raz. Potraktuj to jako czynsz.

Quinn uśmiechnął się słabo, ale nie odpowiedział. Upił łyk wody i oddał jej szklankę. Wypiła resztę i postawiła szklankę na stoliku. Położyła się i nakryła ich kołdrą.

- Miło cię widzieć - szepnęła.

- Ciebie też. - Nie skłamał, chociaż nie powiedział też prawdy.

Odwróciła się tyłem do niego, żeby mogli położyć się „na łyżeczkę”. Objął ją i oparł rękę na jej brzuchu. Pamiętał, że lubiła tak zasypiać. I rzeczywiście, zasnęła już chwilę później. On miał mniej szczęścia.

Nawet kiedy w końcu udało mu się zasnąć, była to raczej płytka drzemka niż sen. Śnili mu się Orlando i Nate. Martwi. Umierający. Torturowani. Tymczasem on stał z boku i spokojnie się im przyglądał.

Rozdział 22

Obudził się cztery godziny później. Było rano i sypialnię rozświetlało słabe zimowe słońce. Sophie leżała obok pod puchową kołdrą. Wiedział, że jeśli nie zmieniła zwyczajów, nie poruszy się jeszcze przez wiele godzin.

Swoje ubranie znalazł na podłodze w saloniku, wraz z jej ubraniami. Wkładając spodnie, rozglądał się wokoło. W ciągu tych lat niewiele się u niej zmieniło. Obrazy, szpary w ścianach, tapicerowany fotel - wszystko wyglądało tak jak wtedy, kiedy przyprowadziła go tu pierwszy raz, dawno temu.

Poznał ją między zleceniami. Krótki urlop, jak początkowo to nazywał, zmienił się w dwumiesięczny romans. Ale nawet wtedy nie wiedział, dlaczego został w Berlinie. Lubił ją, dobrze się z nią czuł. Ale nic więcej. Pewnie zrobił to tylko dlatego, że przed Sophie długo był sam. Kiepski to powód, jednak w jego sytuacji aż banalny.

Pierwszy raz zobaczył ją na targu staroci, na rynku koło stacji metra Tiergarten. Była ze znajomymi, więc szedł za nimi, aż przystanęła samotnie przed stoiskiem z książkami.

Łatwo nawiązali rozmowę. Użył standardowej przykrywki, podając się za konsultanta bankowego, który pomaga swemu zagranicznemu klientowi w interesach w Berlinie. Sophie nie drażyła tematu - niewielu drażyło. Bankowość to dla większości ludzi zupełna enigma, chyba że jest się akurat bankowcem. Ale nawet gdyby natknął się na kogoś, kto się na tym znał, potrafiłby przekonująco udawać.

Wprowadził się do niej już pod koniec pierwszego tygodnia znajomości. Kochali się godzinami. Potem często prowadziła go do jadalnej niszy w kuchni, a stamtąd przez okno na mały dach od podwórza. Urządziła tam coś w rodzaju prowizorycznego patio z drewnianym stołem, kilkoma zdezelowanymi krzesłami i pomidorami w doniczkach. Nazywała to „ogródkiem”. Siedzieli tam, pili wino albo piwo, patrzyli w gwiazdy i rozmawiali o wszystkim i o niczym.

Ale potem wszedł zakaz romantycznych związków Durriego i pewnego ranka, kiedy Sophie jeszcze spała, po prostu zniknął, zostawiając jej tylko krótki list.

Teraz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że robi to znowu. Włożył buty i znieruchomiał, myśląc, że się obudziła. Ale z sypialni dobiegał tylko oddech głęboko śpiącej kobiety.

Podniósł z podłogi plecak i otworzył drzwi.

Na Ku'damm było już tłoczno. Krokiem szybkim i zdecydowanym, lecz spokojnym, wprawnie omijał grupki turystów i miejscowych. Ale gdy zszedł na dół i zerknął na poręcz schodów, wciąż była tam tylko jego nalepka. Nakleił przy niej drugą, dając przyjaciołom znać, że wciąż jest bezpieczny, a potem wmieszał się w tłum spieszących do marketu.

Jego jedynym dobytkiem było tymczasem to, co miał w plecaku: telefon, pistolet z trzema zapasowymi magazynkami, sześć miniaturowych kamer, przenośny monitor do sprawdzania kąta ich ustawienia, komplet dokumentów, nóż, komplet wytrychów, mała apteczka i mała lornetka z kiepskim noktowizorem. Pieniądze nie stanowiły problemu. Miał mnóstwo kont bankowych na fałszywe nazwiska, a ponieważ nazwiska te znał tylko on, konta były praktycznie nie do namierzenia.

Nie miał jedynie komputera. Kłopot, ale nie koniec świata. Nikt oprócz niego nie potrafiłby zdobyć dostępu do danych na twardym dysku. Gdyby ktoś spróbował, dysk uległby automatycznemu skasowaniu. Poza tym w Los Angeles miał kopię większości zawartych w komputerze informacji. Te, których potrzebował najbardziej, miał na pen-drivie w kieszeni. W razie potrzeby mógł wpaść do jednej z dziesiątek kafejek internetowych w Berlinie.

Ubranie - to musiał załatwić już teraz, natychmiast. W najbliższym domu towarowym kupił rzeczy na parę dni. Zapłacił gotówką i przebrał się w toalecie. Potem poszedł poszukać budki telefonicznej.

- Czy może mnie pan połączyć z pokojem Herr MacDo-nalda?

Dzwonił sprzed piekarni niedaleko sklepu, gdzie kupił ubranie. Komórkę miał w plecaku. Musiał oszczędzać baterię, bo nie miał ładowarki.

- Bardzo mi przykro - odparł recepcjonista - ale Herr MacDonald wypro-wadził się dziś rano.

- *Danke*. - Quinn powiesił słuchawkę.

Wziął głęboki oddech. MacDonald - pod tym nazwiskiem zameldował się w Four Seasons. Nawet gdyby ze względów bezpieczeństwa Orlando mu-siała zmienić lokal, na pewno by się nie wymeldowała. Co potwierdzało tylko to, czego się spodziewał. Borko rozgryzł ich system łączności, prze-chwycił zaszyfrowany sygnał i podczas gdy on był w zakładach wodocią-gowych, Serb jak po sznurku trafił do hotelu. I znalazł Orlando.

Telefon do hotelu Dorint przyniósł ten sam rezultat.

Ktoś zapukał w ścianę budki. Quinn zerknął przez ramię. Za szybą nie-cierpliwie się jakiś nastolatek.

Quinn kiwnął głową, otworzył drzwi i wyszedł.

Musiał znaleźć Orlando i Nate'a, to było teraz najważniejsze. I wiedział już, od czego zacząć.

Duke siedział w Berlinie od Bóg wie ilu lat. Na pewno za długo. Ale to dobrze, bo zdążył przez ten czas narobić głupstw. Wielu głupstw. Głupstw, których fachowiec bystry i rozgarnięty nigdy by nie narobił bez względu na to, jak długo działałby w jednym miejscu. Duke nie był ani bystry, ani roz-garnięty. Po prostu miał szczęście.

Quinn siedział za kierownicą dużego volvo, które pół godziny wcześniej ukradł na Ku'damm. Zaparkował naprzeciwko klubu nocnego przy Kaiser Friedrich Strasse. Było jeszcze wcześniej i mieli go otworzyć dopiero za kil-ka godzin. Mimo to dużo się tam działo: wnoszono skrzynki z alkoholem, myto okna, zamiatano chodnik przed wejściem.

Był to klub Duke'a. Według niego dobra przykrywka, według Quinna wystawianie się na odstrzał.

- Zawsze trzymaj się w cieniu - powtarzał mu Durrie. -Nie rzucaj się w oczy. Bo to cię zabije. W tym fachu zarobisz tyle pieniędzy, że nie będziesz musiał się szarpać. Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Quinn słuchał go i posłuchał. Ale najwyraźniej nikt nie miał czasu wytłumaczyć tego Duke'owi. Bo tak jak co rano przyjechał do klubu tym samym mercedesem, którym poprzedniego dnia zabrał go na przejażdżkę do zakładów wodociagowych.

Był sam. Jego buta jego zgubą. Postawa z cyklu: „Berlin to moje miasto i mogą mi tu naskoczyć”. Głupota. Ostatnia głupota.

Przyjechał tak wcześnie, żeby sprawdzić rachunki z poprzedniego wieczoru. Tak jak wtedy, kiedy Quinn pracował z nim ostatni raz. Duke chwalił się wtedy swoimi interesami, opowiadał, że zawsze lubi wiedzieć, co, gdzie i jak. I że zawsze zaczyna o jedenastej, od La Maison du Chat - niezbyt subtelna nazwa jak na klub.

Nawyki. Idiotyczne, bezmyślne nawyki.

Patrzył, jak grubas wysiada z samochodu i człapie do wejścia. Dwadzieścia minut później ponownie stanął w drzwiach. Odwrócił się, z uśmiechem rzucił coś przez ramię i poczłapał z powrotem do samochodu.

Kiedy ruszył, Quinn odpalił silnik. Zaczekał, aż mercedes znajdzie się pół ulicy dalej, zawrócił i pojechał za nim.

Przejechali prawie przez całe miasto, nim zatrzymali się wreszcie przed sklepem jubilerskim. Duke wszedł do środka i Quinn znowu musiał na niego czekać. Ale tym razem czekał krócej. Najwyraźniej utarg był mniej niż zadowolający. Grubas wsiadał do samochodu z ponurą miną.

Jeździli tak przez dwie godziny. Duke nie był może najlepszym szpiegiem, ale trzeba przyznać, że umiał dbać o interesy. Miał wszystkiego po trochu: nocny klub, kilka sklepów jubilerskich, kilka restauracji, biuro rachunkowe, agencje reklamową i kilkanaście kiosków z prasą. Ale nawet gdyby wszystko to znakomicie prosperowało, na niczym nie zarobiłby tyle, ile na jednej dobrze zaplanowanej i zorganizowanej tajnej akcji. Oczywiście, z jego punktu widzenia, prowadzenie żadnego z tych interesów nie groziło śmiercią.

Kilka minut po drugiej znaleźli się w dzielnicy mieszkaniowej i mercedes stanął przed dużą, starą kamienicą na końcu bocznej ulicy. To było coś nowego. Quinn nie wiedział, czy Duke tu mieszka, czy przyjechał tylko po pieniądze, ale to idiotyczne jeżdżenie zaczynało go już męczyć. Ale w

przeciwieństwie do poprzednich miejsc miał tu okazję do rozmowy w cztery oczy.

Wyjął z plecaka pistolet, tłumik, nóż i wytrychy. Schował to do kieszeni, wszystko oprócz pistoletu. Kiedy Duke wysiadł z samochodu, wysiadł i on, po czym zatknął pistolet za pasek spodni na plecach.

Kamienica miała cztery piętra i obłaziła z farby. Sąsiednie budynki były w niewiele lepszym stanie. Do niebieskich drzwi prowadziły schody.

Kiedy Duke na nie wszedł, Quinn szybko podbiegł bliżej. A kiedy grubas otworzył drzwi i zniknął w środku, on do-skoczył do nich i przytrzymał, żeby się nie zamknęły.

Zastygł bez ruchu, wyęzając słuch, sprawdzając, czy Duke niczego nie zauważył. Ale nie, z wnętrza dobiegały jego kroki, powolne i naturalne. Kroki człowieka przekonanego, że nic mu nie grozi. Quinn zaczekał, aż ucichną i wślizgnął się do środka.

Znalazł się w zapuszczonym holu. Pod ścianą stał rower przywiązany łańcuchem do metalowej rury ginącej pod sufitem. Po lewej stronie był rząd zdezelowanych skrzynek pocztowych wbudowanych w ścianę. Naprzeciwko zaś drzwi prowadzące w głąb budynku, uchylone i podparte cegłą. Sądząc po zapuszczonym wnętrzu, nie zamykano ich pewnie od lat. Za drzwiami były skracające w prawo schody i korytarz.

Quinn przeszedł przez drzwi i stanął u stóp schodów. Wszędzie cuchnęło pleśnią, smażeniną i moczem. Jeszcze trochę i nie dałoby się tu mieszkać. A już na pewno nie mieszkałby tu Duke, nie w takim domu. Przyszedł tu po coś innego.

Quinn oparł się o poręcz, wychylił się i spojrzał w głąb korytarza, spodziewając się, że go tam zobaczy, jednak korytarz był pusty. Ale dochodził stamtąd cichy, metaliczny jęk. Quinn ostrożnie podszedł bliżej i w połowie korytarza odkrył jego źródło.

Winda.

Po chwili odgłos ucichł. Duke najwyraźniej wysiadł. Niestety, nie było tam żadnych cyferek, żadnej lampki czy strzałki, która by wskazywała, na którym piętrze. Ale kamienica miała ich tylko cztery i w przeciwieństwie

do Duke'a, on był w niezłej formie. Wszedł na schody i ruszył na poszukiwanie swego byłego klienta.

Znalazł go już na trzecim, pod drzwiami na końcu korytarza. Czekał, przycisnął się w cieniu za rogiem. Zza drzwi wysunęła głowę starsza kobieta.

- *Frau Russ* - powiedział Duke. - *Ich muss mit Ihnen reden.*

- *Ja, Herr Reimers* - odparła kobieta. - *Eine Moment, bitte.*

Zniknęła w pokoju, nie zamykając drzwi. Quinn bezszelestnie wychynął za rogu. Żeby ukryć twarz, spuścił głowę i udając, że szuka czegoś w kieszeni, ruszył w tamtą stronę. Grubas zerknął na niego i odwrócił się.

Mijając go, Quinn przystanął. Chwilę trwało, zanim Duke się zorientował, że coś jest nie tak. Wtedy Quinn uśmiechnął się i powiedział:

- *Guten Tag, Herr Reimers.*

TLR

Rozdział 23

Wepchnął go do mieszkania i zamknął kopniakiem drzwi. W drzwiach po prawej wyrosła staruszka.

- *Was ist los ?*

Duke potknął się o stare tapicerowane krzesło i upadł. Zerknął na Quinna i zaczął niezdarnie wstawać.

- Leż! - warknął Quinn i spojrzał na staruszkę. - *Was ist hinter dieser Tür?* - spytał, ruchem głowy wskazując drzwi naprzeciwko.

- *Wer sind Sie?* - zapiszczała staruszka. Quinn przeszył wzrokiem Duke'a.

- Co jest za tamtymi drzwiami? - powtórzył po angielsku.

- Łazienka - odparł grubas.

Quinn kazał staruszce tam pójść. Ta nie drgnęła z miejsca.

- Może ciebie posłucha - zwrócił się do Duke'a. - Powiedz, że inaczej ją zastrzelę.

- O co ci chodzi? - Grubas udawał, że nic nie rozumie.

- Powiedz jej! Duke odchrząknął.

- *Frau Russ, bitte gehen Sie in's Bad, während wir uns unterhalten.*

Tym razem kobieta posłuchała. Kiedy weszła do łazienki i zamknęła drzwi, Quinn przeniósł wzrok na grubasa.

- Wstawaj - rozkazał.

Duke przytrzymał się krzesła i wstał.

- Co się dzieje? - wysapał. - Co się stało? Quinn bez słowa zmarszczył brwi.

- Jestem skonsternowany. Przerażasz mnie.

- I bardzo dobrze - warknął Quinn. - Najpierw skończmy z bzdurami z cyklu: „Nie wiem, po co tu przyszedłeś”, zgoda?

Ręka Duka wślizgnęła się błyskawicznie pod kurtkę, ale Quinn był już w ruchu, on już wyjmował z kieszeni nóż. Chwycił grubasa za włosy i przytknął mu nóż do szyi.

- Kiepski pomysł. Duke zeszywniał.

- A teraz powoli. Ręce na bok.

Grubas zaczął coś mówić, ale mu przerwał.

- Cicho.

Duke odsunął ręce od kurtki.

Quinn puścił go i wolną ręką sięgnął za pazuchę. Wyjął stamtąd pistolet. Glocka. Schował go do kieszeni.

- Masz coś jeszcze?

- Nie - wycharczał grubas. Quinn mocniej przycisnął nóż.

- Nie! - powtórzył Duke. - Miałem tylko to.

- Na krzesło. - Quinn zabrał nóż.

Grubas usiadł. Miał spocone czoło. Naprzeciwko krzesła stał stolik do kawy. Quinn zrzucił na podłogę leżące tam czasopisma i przysiadł na brzegu.

- Dla kogo pracujesz? - spytał.

- Nie twoja sprawa. Quinn pomachał nożem.

- To głupie, wiesz? Jestem trochę wkurzony. I z trudem nad sobą panuję.

- Dla Borki - wypalił Duke.

- Tylko?

Grubas nerwowo obserwował ostrze noża.

- Tylko z nim mam kontakt.

- A z Dahlem?

- Nie znam. Nie wiem, kto to taki.

- Boże, nie znoszę, kiedy kłamiesz.

- Nie kłamię!

Quinn przysunął nóż trochę bliżej.

- Dobrze, już dobrze. Słyszałem to nazwisko? Zadzwoił, jak gadałem z Borkiem. Kiedyś, tylko raz, to wszystko.

Quinn patrzył na niego bez słowa.

- Przysięgam.

- W takim razie porozmawiajmy o tych zakładach wodociągowych. Co się tam dzieje?

- Myślisz, że by mi powiedzieli? Borko nawet mnie tam nie wpuścił.

- Trudno w to uwierzyć. Borko tu nie pracuje. Potrzebuje kogoś miejscowego. Kogoś, kto zna miasto i umie załatwiać sprawy. - Wycelował w Duke'a nożem. - Czyli ciebie. Dlatego nie pieprz mi bzdur.

- Quinn, ja jestem nikim. Jestem najemnikiem. Takim samym jak ty. To wszystko. - Grubas coraz bardziej się pocił. Nagle zaczął mówić bez akcentu. - Borko nic mi nie mówi. Jasne, załatwiam dla nich różne rzeczy, ale to wszystko. Nie mam pojęcia, co robią.

- Dobrze pomyśl. Może o czymś zapomniałeś. O czymś, czego dowiedziałeś się od kogoś innego. Może na przykład coś podsłuchałeś, wykombinowałeś?

Duke milczał, ale jego oczy mówiły wszystko.

- No?

Grubas zawahał się i odparł:

- Ale to tylko domysły...

- No to się domyślaj.

- Chcieli ich usunąć. Tych z Biura. Nie wiem kto. Borko to załatwiał. Współpracuje z nim ktoś z wewnątrz. Chyba.

- Kto? Peter?

Duke nie odpowiedział.

- Dobrze - nie ustępował Quinn. - Ale dlaczego akurat mnie? Ja tam nie pracuję.

Grubas jakby się zawahał.

- Co?

- Zrobili to na specjalne zamówienie.

- Na specjalne zamówienie? To znaczy, że potraktowali mnie szczególnie?

- To wszystko, co słyszałem. Nic więcej nie wiem. Quinn zmarszczył czoło. Specjalne zamówienie? Czy to możliwe? Nawet jeśli tak, dalej wiedział tyle co nic.

- Co oni kombinują?

- Już o to pytałeś - odparł Duke.

Jednym szybkim, płynnym ruchem Quinn musnął nożem jego ucho. Na szyję spłynęła krew.

- Kurwa mać! - Duke zacisnął ranę. - Przestań!

- Co oni kombinują? - powtórzył Quinn.

- Już ci mówiłem... Nóż znowu drgnął.

Grubas poniósł ręce dłońmi do zewnątrz.

- Zaczekaj! Dobrze. Coś słyszałem. Ale to nie ma sensu.

- Co słyszałeś?

- Tylko jakieś inicjały albo skrót. - Duke zamknął oczy, jakby wyteżał pamięć.

- Jaki skrót?

- Daj mi chwilę, co? - zapiszczał. - Coś jakby... MIFM... MISM. Nie, nie MI. MO. MOSM. Tak, chyba tak. MOSM.

- Co to znaczy?

- Skąd mam wiedzieć?

- Kłamiesz. - Quinn wiedział, że Duke coś ukrywa. - Co to znaczy?

- Nie wiem.

- To co wiesz?

Grubas zwiesił głowę, ale nie odpowiedział.

- No?

- Słyszałem nazwę. Samą nazwę. Nie wiem, co to jest.

- Mów.

- Campobello.

Quinn zmrużył oczy. Campobello. Natychmiast to sobie skojarzył.

- Dalej.

- Nie wiem - wyjęczał grubas. - Naprawdę! - Quinn przysunął nóż trochę bliżej. - Przysięgam!. Słyszałem tylko to!

- Nie pomagasz mi, Duke.

- Powiedziałem wszystko, co wiem!

- Wątpię. Gdzie jest Borko?

- Spotykamy się w różnych miejscach, nigdy dwa razy w tym samym. Dzwoni do mnie. Jadę. Do restauracji. Do baru. Tam, gdzie każe. Nie mam pojęcia, gdzie teraz jest. Spróbuj w tych wodociągach. Musi tam czasem bywać.

Quinn wpadł na to i bez niego. Patrzył na grubasa, aż ten odwrócił wzrok.

- Jeszcze jedno. Ile ci zapłacili, żebyś nas wystawił?

- Ja... - wyjąkał Duke. - Oni nie...

- Ile? Dziesięć tysięcy od głowy? Dwadzieścia? Mam nadzieję, że za mnie dali co najmniej dwadzieścia pięć. Tyle zaproponowali Gibsonowi.

Duke zacisnął usta.

- Gdzie są moi ludzie? Grubas potrząsnął głową.

- Nie wiem.

- Kłamiesz.

- Nie kłamię! - wyjęczał błagalnie Duke.

- Nie wierzę ci. - Quinn wyjął z kieszeni jego pistolet.

- Co chcesz zrobić? - wysapał grubas.

- To, co ty chciałeś zrobić nam.

Quinn wycelował w czoło i pociągnął za spust.

Rozdział 24

Kompletując niezbędne narzędzia, tego popołudnia zajrzał w kilka miejsc. Wpadł również na Ku'damm, ale na poręczy schodów wciąż były tylko jego nalepki. Wiedział, że powinien założyć najgorsze, ale nie potrafił. W końcu znalazł małą restaurację na południe od Tiergarten i czekając na zachód słońca, zjadł wczesną kolację.

Pił kawę i myślał o rozmowie z Duke'em. MOSM. Może to nic nie znaczyło. Duke mógł to zmyślić z nadzieją, że ocali życie. Jeśli tak, znowu popełnił błąd. Ale jeśli nie, nie wolno tego zlekceważyć. Wyteżał pamięć, by coś sobie skojarzyć, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Za to drugi kąsek od Duka'a był dużo bardziej smakowity. Campobello. Nazwa miasta z prawa jazdy Roberta Tag-gerta. Campobello w Nevadzie. Ale co to dokładnie znaczy, nadal nie wiedział.

Z drugiej strony, mogło nic nie znaczyć. I czy naprawdę obchodziły go poczynania Borki? Czy był jakiś powód, żeby się nad tym zastanawiać?

Doszedł do wniosku, że tak - jeśli miało mu to pomóc znaleźć Orlando i Nate'a. Jeśli nie, to nie.

O zmierzchu złapał taksówkę i pojechał do Neukölln. Taksjarszowi powiedział, że nie pamięta dokładnego adresu, ale że to gdzieś przy Wildenbruchstrasse na wschód od Sonnenalle.

Gdy jechali przez miasto, zamknął oczy, żeby skupić się na tym, co go czekało. Próbował zaplanować krok po kroku, ale nie mógł, bo przez cały czas wyobrażnia podsuwała mu obrazy Orlando i Nate'a, martwych, leżących w ciemnym zaułku miasta. Kiedy otworzył oczy, byli już w Neukölln. Nachylił się i kazał taksówkarzowi zwolnić, bo nie chce przegapić domu, którego szuka.

Na południowym końcu Schandauer Strasse zaczął się uważnie rozglądać. I bez trudu wypatrzył dwóch obserwatorów na rogach ulicy. Jeden siedział w parkującym przy krawężniku audi. Drugi czał się w bramie.

Założył, że jest ich więcej. Borko nie chciałby ryzykować, nie wtedy, kiedy Quinn wciąż był na wolności. Musiała tam być co najmniej jedna kamera, może nawet dwie. I na pewno ktoś na ulicy przed bramą zakładów wodociągowych. Wejście od frontu nie wchodziło w rachubę.

Bawił się w tę maskaradę jeszcze przez dwie ulice. Tuż za kanałem na chybił trafił wybrał jakiś dom i kazał taksjarsowi stanąć.

Zadanie, jakie sobie wyznaczył, było proste: wejść do zakładów, poszukać śladów Orlando i Nate'a, zamontować kamery i wyjść.

Przed wyjazdem sprawdził sygnał z tych, które ukrył tam poprzedniej nocy, nocy, kiedy wpadli. Odebrał tylko szумы i trzaski. Ludzie Borki musieli usunąć sprzęt zaraz po tym, jak uciekł. Ale teraz nie miało to już znaczenia. Bo teraz chciał ukryć kamery gdzie indziej, tam, gdzie nie zdążył zamontować ich poprzednim razem. W piwnicy i w kuli, w miejscach przypuszczalnie najważniejszych dla przedsięwzięcia Borki, które mogły mu dużo zdradzić.

Wieczorna śnieżycą się przetoczyła, zrobiło się za to bardzo zimno. Postawił kołnierz kurtki, bezskutecznie próbując nie zwracać na to uwagi.

Przeszedł przez most nad kanałem i skręcił w prawo, w Weigandufer. Po jednej stronie ulicy był sztuczny kanał, po drugiej rząd pięcio-, sześciopiętrowych domów mieszkalnych. Szedł dalej, obojętnie omiatając je wzrokiem. W połowie ulicy znalazł to, czego szukał.

Kamienica o musztardowych ścianach i prowadzące do drzwi schody - dobre wejście, ale trochę zbyt publiczne. On chciał tylko dostać się na drugą stronę, na podwórze.

Lepszą drogę wypatrzył na lewo od drzwi, na poziomie ulicy. Było to coś w rodzaju tunelu, podziemnego przejazdu prowadzącego na znajdujący się za domem parking. Wejścia do tunelu strzegła duża, drewniana, dwuskrzydłowa brama, otwarta, bo było jeszcze wcześniej.

Przeszedł tunelem, jakby tam mieszkał. Przystanął na końcu i powiódł wokoło wzrokiem. Parking nie był duży, mieścił najwyżej dziesięć samochodów i kilka motocykli. Na obydwu końcach zamontowano dwa reflektory. Jeden mrugał; żarówka nadawała się do wymiany. Z tyłu rósł rząd

drzew. Za drzewami była pusta działka, otwarta przestrzeń. A dalej zakłady wodociągowe.

Wyszedł z cienia, chcąc przeciąć parking i skryć się pod drzewami. Ale ledwie zrobił kilka kroków, gdy usłyszał skrzypienie zardzewiałych zawiasów. Po prawej stronie otworzyły się drzwi. Na parking wychodził jakiś mężczyzna.

Quinn zanurkował za najbliższy samochód. Ostrożnie wyjrzał przez okno. Mężczyzna miał pięćdziesiąt kilka lat, był zmęczony i otyły. Przytrzymał drzwi i na podwórze wybiegł pies, zwykły kundel.

Mężczyzna zapalił papierosa. On palił, a pies biegał, węsząc i szukając miejsca na siusiu. Podbiegł do samochodu i nagle przystanął z pyskiem w górze. Quinn zaklął w duchu, szykując się do szybkiej ucieczki przez tunel na ulicę. Ale zamiast warknąć, pies podszedł bliżej i zaczął lizać mu rękę.

Mężczyzna z papierosem zrobił kilka kroków w głąb podwórza.

- Charlie? - zawołał.

Ale Charlie najwyraźniej polubił nowego znajomego. Quinn próbował delikatnie go odepchnąć, jednak kundel ani myślał odejść. Quinn jeszcze raz zerknął przez okno. Mężczyzna z papierosem szedł w jego stronę. Zaciągnął się ostatni raz, pstryknął niedopałkiem na ziemię i rozgniół go butem. Podniósł głowę i zawołał:

- Charlie!

Tym razem pies postawił uszy.

- *Bei Fuss.*

Kundel odwrócił się niepewnie i przystanął.

- Charlie!

Pies posłał Quinnowi ostatnie spojrzenie i pobiegł do swego pana.

Mężczyzna ruszył z powrotem do domu. Otworzył drzwi i kilka sekund później zniknął za nimi wraz z psem. Quinn odczekał jeszcze chwilę i przebiegł przez parking.

Tuż za drzewami była siatka. Chwycił ją i delikatnie potrząsnął. Mógłby się na nią wspiąć, ale była bardzo luźna i narobiłby hałasu. Na zapleczu zakładów wodociągowych musiał czuwać co najmniej jeden z ochroniarzy

Borka. Brzęczenie siatki zdradziłoby Quinna, zanim zdążyłby zeskoczyć na drugą stronę. Nie, nie tędy droga.

Powiódł wzrokiem po płocie, szukając innego rozwiązania. Mógłby przeciąć siatkę, ale przecięta siatka to wyraźny ślad. A on nie chciał zostawiać śladów.

Najbardziej logicznym miejscem był metalowy słup. Quinn wyjął z plecaka nożyce i zaczął przecinać metalowe uszka mocujące doń siatkę.

Okazało się, że to trudniejsze, niż myślał. Aby zagłuszyć odgłos cięcia, czekał, aż ulicą przejedzie samochód. Śnieg też nie pomagał. Musiał ostrożnie go odgarnąć, żeby mieć łatwiejszy dostęp do słupa. Przejście na drugą stronę zajęło mu pięć minut.

Pusta działka za siatką tonęła w nikłej poświacie sączącej się zza drzew i z Schandauer Strasse. Nie była duża, ledwie sześćdziesiąt metrów od prawej do lewej i trzydzieści do budynków po drugiej stronie. Na ziemi leżała gruba warstwa śniegu, a po prawej stronie sarta grubych metalowych rur, pewnie pozostałość z okresu, kiedy zakłady jeszcze działały.

Skupił wzrok na budynku głównym, wypatrując ruchu, oznak, że ktoś go pilnuje. Po chwili coś zauważył. Delikatną, ledwo dostrzegalną zmianę pozycji. Skurcz mięśni? Swędzące miejsce, które trzeba było podrapać? Bez względu na to, co tę zmianę spowodowało, zobaczył, jak poruszył się jakiś cień, zdradzając obecność ochroniarza w lewym rogu ogrodzenia.

Nisko pochylony, podbiegł do sarty rur. Miała półtora metra wysokości i zapewniała doskonałe schronienie, przynajmniej tymczasem. Jego największym zmartwieniem był śnieg. Mróz ściał wierzchnią warstwę, tworząc naturalny system alarmowy. Musiał uważać na każdy krok, żeby jak najmniej chręścić.

Obszedłszy stertę rur, skreślił na południe i już po chwili był ledwie sześć metrów od okienka, którym uciekł poprzedniej nocy. Podpełznął jeszcze bliżej, przez cały czas sprawdzając, czy nikt go nie widzi. Upewniwszy się, że nie, skupił uwagę na okienku.

Sączyło się przez nie słabe światło. Ostrożnie zajrzał do środka. W kącie piwnicy, niemal dokładnie naprzeciwko, paliła się pojedyncza lampa. Szybko omiół wzrokiem resztę pomieszczenia, szukając śladów ruchu.

Wyglądało na to, że panuje tam spokój i cisza, nie widział tylko, co dzieje się w martwej strefie za chłodnią.

Okienko otwierało się do góry. Chwycił za dolną część ramy i lekko pociągnął do siebie, żeby sprawdzić, czy wciąż jest otwarte. Było.

Wyjął pistolet i upewnił się, że tłumik jest przykręcony. Powoli otworzył okienko i wyteżył słuch. Nic, żadnej reakcji. Z pistoletem wycelowanym w chłodnię wsunął się częściowo do środka, żeby się rozejrzeć.

Chociaż wciąż nie widział całej piwnicy, wyglądało na to, że nikogo w niej nie ma. Nie tracąc czasu, wyjął głowę z okienka, odwrócił się, wsunął do środka nogi i zeskoczył na podłogę.

Powitało go tylko ciche buczenie chłodni.

Po dokładniejszej inspekcji okazało się, że od poprzedniego wieczoru w piwnicy zaszły pewne zmiany. Na stołach stało teraz kilka pojemników transportowych z grubego plastiku. Zajrzał do nich, ale wszystkie były puste. Może ich zawartość trafiła już do chłodni?

Podszedł bliżej i z zaskoczeniem przekonał się, że zamiast metalowej zacyzki pod klamką na drzwiach wisi teraz solidna kłódka. Zastanawiał się, czy jej nie otworzyć, ale zrezygnował. Miał dużo do zrobienia, a czas uciekał.

Podszedł do drzwi prowadzących do sąsiedniego pomieszczenia. Przystanął i wyteżył słuch.

Cisza. Wziął głęboki oddech i nacisnął klamkę.

Ta część piwnicy też wyglądała trochę inaczej. Na stołach roboczych wały się narzędzia, pudła i sprzęt. Przeszedł przez pomieszczenie, wszystko rejestrując, nie wyciągając jednak pochopnych wniosków co do przeznaczenia tego, co widzi. Przystanął przy metalowej szafce przy drzwiach i otworzył ją. Bandaże, plastry, nożyczki, lekarstwa - apteczka. W sąsiedniej, większej szafce wisiały skafandry ochronne. Były zrobione z białego, nieporowatego materiału. Na podłodze stało kilkanaście identycznych pudełek. Podniósł jedno i otworzył. W środku była maska w plastikowej torbie. Na pierwszy rzut oka pasowała idealnie do otworu twarzowego w kombinezonie.

Otworzył trzecią szafkę. W tej nie było kombinezonów. Były za to butle z powietrzem, do zakładania na plecy. Sprawdził manometry. Większość butli była pusta, dwie prawie pełne.

Zdjął plecak, położył go na stole i wyjął sześć kamer. Można je było ustawić na kilka częstotliwości. Robiło się to malutkim pokrętkiem w tylnej części obudowy. Wybrał częstotliwość inną niż ta, na której nadawały poprzedniej nocy. Miał nadzieję, że dzięki temu będzie mógł podglądać, co dzieje się w budynku bez wzbudzania podejrzeń Borki i jego ludzi. Jedy-
nym ograniczeniem był zasięg. Bez wzmacniacza będzie musiał prowadzić obserwację z odległości nieprzekraczającej tysiąca ośmiuset metrów. A jeśli chciał uzyskać wyraźny obraz, to nawet z mniejszej.

Zamontował kamery w obydwu pomieszczeniach. Gdy skończył, wziął plecak i ruszył w stronę schodów prowadzących do podstawy kuli.

Przy drzwiach nagle przystanął. Zawahał się i wrócił do szafek. Położył plecak na podłodze, otworzył tę największą i włożył skafander. Potem wziął maskę i butlę z powietrzem z sąsiedniej szafki.

Skafander miał służyć dwóm celom. Po pierwsze, ochroniłby go, gdyby w powietrzu latało coś paskudnego. Po drugie, był dobrym przebraniem.

Wyjął z plecaka cztery pozostałe kamery i przełożył je do plastikowej torby na maskę. Już miał włożyć tam pistolet, gdy nagle się zorientował, że na nic mu się nie przyda. Rękawice skafandra były elastyczne, ale tak grube, że nie mógłby wsunąć palca pod osłonę spustu. Niechętnie wrzucił broń do plecaka i schował plecak do szafki.

Leżał na rusztowaniu pod prowadzącym do kuli pomostem, prawie dokładnie w tym samym miejscu co poprzedniego wieczoru, kiedy szukał go Borko i jego ochroniarze. Jedną z kamer przymocował do rur rusztowania, kierując ją w dół, żeby pokazywała ludzi wchodzących i wychodzących ze śluzy u podstawy kuli.

Gdy sprawdzał, czy jest dobrze zamontowana, usłyszał na górze głosy. Wyglądało na to, że z komory wyszło właśnie dwóch mężczyzn, którzy kierowali się teraz do zewnętrznej śluzy na końcu pomostu. Niestety, był za

daleko, żeby usłyszeć, co mówią. Nie pozostawało mu nic innego, jak spokojnie zaczekać, aż odejdą.

Kiedy głosy umilkły, przesunął się po rusztowaniu w lewo i wciągnął się na pomost. Pierwszym przystankiem było wejście do śluzy. Przytknął ucho do drzwi, żeby sprawdzić, czy nikt tam nie został. Ale w środku panowała cisza.

Wyjął kamerę i zamontował ją nad drzwiami. Ustawił tak, żeby celowała w pomost i w drzwi po drugiej stronie, 'lak jak się spodziewał, czarna obudowa kamery zlewała się idealnie z czarną powłoką kuli. Trzeba było dobrze wyteńczyć wzrok, żeby ją zauważyć. Potem, tuż nad drzwiami, przykleił kawałek taśmy z miniaturowym mikrofonem.

Przeszedł po cichu przez pomost i zatrzymał się przed komorą. Stał na palcach, wyciągnął ręce i udało mu się umieścić kamerę na jej dachu. Tę skierował w stronę wejścia do śluzy. Teraz mógł obserwować wszystkie drzwi.

Nadeszła pora zbadać wnętrze komory. Przyjrzał się drzwiom. Jeśli dobrze rozumował, musiała znajdować się za nimi kolejna śluza.

Mimo to zawahał się i znieruchomiał. Jeśli w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zaczęli robić tam coś niebezpiecznego, Bóg wie, co się na niego czaiło.

Dał sobie w duchu kopa, policzył do trzech i otworzył drzwi. Tym razem nie usłyszał znajomego szumu powietrza. Ci, którzy przed chwilą wyszli, musieli wyrównać ciśnienie.

Zajrzał do środka.

Miał rację: mała śluza, która mogła pomieścić najwyżej dwie osoby, dalej kolejne drzwi z czerwonym światelkiem na wysokości twarzy na futrynie. Zrobił krok do przodu i zamknął drzwi. Zapaliła się wpuszczona w sufit lampka.

Przez chwilę nic się nie działo. A potem, z ledwo słyszalnym kliknięciem, czerwone światelko zmieniło się na zielone, a nad drzwiami, którymi wszedł, zapaliło się czerwone.

Wziął oddech, otworzył drzwi wewnętrzne i przekroczył próg. Zaszumiało wpadające do środka powietrze.

W komorze było ciemno. Zamknął drzwi, myślał, że automatycznie zapali się światło, ale tak się nie stało. Znowu je otworzył i w świetle wpadającym ze śluzy, na ścianie po lewej stronie znalazł włącznik. Pstryknął nim i zamknął drzwi.

Pomieszczenie było ciasne, lecz opustoszałe. Stało tam kilka wysokich do piersi lodówek. Wszystkie były ze stali nierdzewnej, wszystkie nowiutkie. Otworzył najbliższą. Pracowała, ale była pusta.

Zamknął ją i rozejrzał się. Naprzeciwko lodówek stał stół z nierdzewnej stali. Też nowy. Wszystko było tu nowe, wszystko wyglądało jak na wystawie. Brakowało tylko materiałów i sprzętu.

Pośrodku stał drugi stół. A na nim dwa przezroczyste pojemniki z plastiku albo szkła. W bocznej ścianie każdego były dwa otwory z przymocowanymi od środka gumowanymi rękawicami. Dzięki nim operator mógł pracować z niebezpiecznym biomateriałem, nie dotykając go gołymi rękami. Quinn widział już takie pojemniki. Na filmie dokumentalnym o Centrum Zwalczenia Chorób na Discovery Channel. Były to tak zwane komory laminarne, specjalnie zaprojektowane do prac z najgroźniejszymi mikroorganizmami. Starszy model. Mimo to wciąż skuteczny.

- Niech to szlag - mruknął.

Wrócił na dół, zdjął kombinezon i schował go do szafki. Z plecaka wyjął pistolet i zatknął go za pasek spodni. Potem chwycił plecak i wyszedł z piwnicy tą samą drogą, którą tam wszedł, przez okienko.

- *Halt!*

Błyskawicznie odwrócił się i wyszarpnął zza paska broń. Głos dobiegł z bliska, z tyłu, trochę z prawej. Majaczył tam cień człowieka. Quinn bez wahania pociągnął za spust.

Syknęła przelatująca przez tłumik kula i sekundę później rozległ się głuchy stukot padającego na ziemię ciała. Wciąż z pistoletem w ręku Quinn podbiegł bliżej. Ale nie musiał. Tamten już nie żył.

Za rogiem zatupotały czyjeś kroki. Quinn poszukał jego broni. Mężczyzna ścisnął ją w rękę, glock z tłumikiem. Quinn chwycił go i wyteżył wzrok. Teraz musiał tylko zaczekać.

Chwilę później z za rogu wypadł drugi ochroniarz. Quinn pociągnął za spust, specjalnie celując tak, żeby spudłować.

Mężczyzna cofnął się, ukrył za rogiem i krzyknął:

- Rolf, to ja!

Quinn wystrzelił jeszcze raz, wtedy tamten odpowiedział ogniem. Quinn tylko na to czekał. Wystrzelił po raz trzeci, rzucił pistolet na ziemię tuż obok ręki martwego ochroniarza i kryjąc się w cieniu, popędził przed siebie wzdłuż ściany budynku.

Ochroniarz wystrzelił jeszcze dwa razy. Kiedy odpowiedziała mu cisza, wychynął z za rogu i zawołał:

- Rolf?

Do jego głosu dołączył drugi.

- Co się dzieje?

- Rolf do mnie strzelał.

- Rolf?

Quinn nie czekał na ciąg dalszy. Wiedział, że zaraz znajdą trupa i jeśli wszystko pójdzie dobrze, pomyślał, że to Rolf rozpoczął strzelaninę. Sztuczki tej nauczył go Durrie, ale jak dotąd Quinn nie miał okazji jej wykorzystać.

Rozgardiasz, jaki zapanował po śmierci Rolfa, stworzył wyrwę w ochronie budynku. Uciekając, Quinn nie widział już nikogo więcej.

Rozdział 25

Wiedział, że nie ma wyboru i będzie musiał wrócić na noc do Sophie. Po drodze jeszcze raz zajrzał na Kudamm.

W słabym świetle na schodach omal jej nie przeoczył. Tym bardziej że szedł tam z nastawieniem, iż jej nie będzie. Umysł często widzi to, czego się spodziewa. Dlatego musiał dotknąć jej palcem, by się upewnić, że to naprawdę to.

Szara, kwadratowa nalepka. Na poręczy. Tuż obok jego nalepki.

Orlando.

Żyła i była wolna. I z trudem wciągnął powietrze. Ostrożnie wyjął z plecaka swoją i zakleił nią połowę tej szarej. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, spotkają się nazajutrz o dziesiątej rano.

- Kiedy? - spytała Sophie.

- Rano - odparł.

Myślał, że spyta go, dlaczego wyjeżdża, dokąd jedzie i czy zamierza wrócić. Ale nie spytała.

- Chyba że chcesz, żebym wyszedł już teraz. Na jej ustach zagościł przebiegły uśmiezek.

- Wiesz, czego chcę? - Otarła się o niego biodrami. - Jeszcze trochę tego.

Obudził się wczesnym rankiem, spakował się, wyszedł, a ona nawet nie poruszyła się przez sen. Chociaż uprzedził ją, że może wrócić, drugi nocleg w tym samym miejscu był dużym ryzykiem. Ale koniec z tym. Nie chciał kusić losu.

Pojechał taksówką na plac Poczdamski i zjadł na śniadanie kanapkę w podziemiach centrum handlowego. Na górze były sklepy, takie same jak wszędzie. Poszukał Saturna, sklepu ze sprzętem elektronicznym, i kupił ładowarkę do komórki. Potem zszedł jeszcze niżej i w odzieżowym kupił kilka koszul.

Przez pół godziny krążył po mieście, upewniając się, czy nikt go nie śledzi, potem zszedł do metra i stanął na peronie dla pociągów jadących na północ. Podświadomie miał nadzieję, że Orlando już będzie. Ale chociaż czekało tam kilkunastu pasażerów, żaden z nich nie był nią.

Zajął pozycję tuż przy wyjściu, na końcu peronu. Zerknął na zegarek. Pięć po dziesiątej. Orlando się spóźniła. Mineły trzy minuty i nadjechał pociąg. Otworzyły się drzwi i wysiadła duża grupa uczniów z podstawówki pod opieką kilku nauczycieli. Poziom hałasu natychmiast wzrósł.

Dzieci i dorośli. Ale jej wciąż nie było. Wsiadający wysiadali, wsiadający wsiadali i na chwilę zapanował chaos. Potem pociąg odjechał i na opustoszałym peronie znowu zrobiło się cicho.

Nie, niezupełnie opustoszałym. Pod ścianą przy wyjściu ktoś stał. Sądząc po sylwetce, kobieta, chociaż ubrana tak, że trudno było stwierdzić to na pewno.

Patrzyła na niego, więc ruszył w tamtą stronę. Kiedy znalazł się bliżej, zobaczył, że jest opatulona czerwono-czarnym szalikiem, że widać tylko jej oczy. Azjatyckie oczy.

Gdyby nie doświadczenie, uśmiechnąłby się z ulgą. Ale chociaż chciał, niczym nie zdradził, że ją poznał. Bez oglądania się za siebie poszedł dalej, w kierunku schodów.

Mimo dobrego wykszolenia, musiał wykorzystać całą siłę woli, żeby nie upewnić się, czy za nim idzie. Ale w berlińskim metrze roilo się od kamer i chociaż było mało prawdopodobne, żeby Borko miał do nich dostęp, nie zamierzał ryzykować. Serb nie mógł, po prostu nie mógł wiedzieć, że się odnaleźli.

Na ulicy wmieszał się w poranny tłum. Chwilę później szła już obok niego.

- Co z Nate'em? - spytała głosem stłumionym przez szalik.

- Jak dotąd nic - odparł. - Nie pokazał się. A u ciebie? Wszystko w porządku?

- Parę zadrapań. Nic poważnego.

Wyprzedzili matkę z wózkiem, potem starsze małżeństwo uginające się pod ciężarem plastikowych toreb z zakupami.

- Czemu tak późno? - spytał.

- Nie wiem, czy zauważyłeś, ale trochę rzucam się w oczy. Nie mogłam tu przyjść zaraz po tym, jak nas nakryli. Znalazłam metę i przenocowałam. Za dnia nie chciałam się pokazywać, więc przyszłam dopiero po zmroku. I zobaczyłam twoją naklejkę.

- Ale teraz jest dzień.

- Tak, i wcale mnie to nie cieszy. Chodź. Mam pokój w Mandola Suites.

- Co? - Quinn przystanął i pierwszy raz spojrzął jej prosto w oczy. - Bor-ko zacznie od hoteli.

- Musimy gdzieś mieszkać, prawda?

- A jeśli namierzyli cię, kiedy się meldowałaś? Orlando pokręciła głową.

- Wykluczone. Zarezerwowałam pokój przez telefon. Pojechałam na stację metra przy Friedrichstrasse i kazałam posłańcowi przywieźć mi klucz. Wziął mnie za sekretarkę. Pewnie twoją. - Sięgnęła do kieszeni i wyjęła elektroniczny klucz.

Nie mogła wybrać lepiej, zwłaszcza w ich sytuacji. Hotel zaprojektowano z myślą o tych, którzy zatrzymywali się w mieście na dłużej. Miał kilka prywatnych wejść, tak że goście nie musieli przechodzić przez recepcję. W każdym pokoju była kuchnia. A co najlepsze, tuż pod bokiem mieli plac Poczdamski. Pokój mieścił się na czwartym piętrze i roztaczał się z niego widok na Lepiziger Strasse. Niestety, był jednoosobowy, więc Quinn musiał rozłożyć się na sofie.

Kiedy Orlando zdjęła szalik, zobaczył siniec na jej policzku.

- Popielniczka - wyjaśniła.

- Upadłaś na nią, czy ona na ciebie?

- Facet celował w głowę, ale w ostatniej chwili się odwróciłam.

Quinn patrzył na nią, czekając na ciąg dalszy. Usiadła.

- Musieli przechwycić nasz sygnał. Wiedzieli, gdzie jesteś. Namierzyli ciebie, zaraz potem mnie. Pewnie cholernie się zdziwili, że jestem tuż obok.

- W takim razie jak zdołałaś uciec?

- Kiedy byłeś w tej kuli i zaczęły się zakłócenia, wiedziałam, że mam tylko kilka sekund. Chwyciłam pistolet, schowałam się za sofą i wymierzyłam w drzwi. Trochę źle się zgrali. Chcieli przerwać nam łączność i jednocześnie mnie zgarnąć. - Wzruszyła ramionami. - Na ich miejscu tak bym to rozegrała.

Quinn kiwnął głową. On też by tak zrobił.

- Było ich trzech - ciągnęła. - Pierwszego zdjęłam, kiedy tylko wszedł. Drugiego, kiedy biegł do sypialni. Najwięcej kłopotów miałam z tym trzecim.

- Tym z popielniczką?

- Tak. Ale nieprędko czymś znowu rzuci. Nie zamierzałam czekać na pozostałych, więc zabrałam co mogłam i zviałam. Twoja kolej.

Quinn opowiedział jej o ucieczce z kuli, o rozmowie z Duke'em i o ponownej wyprawie do zakładów wodociagowych.

- Czy ty specjalnie chcesz zrobić ze mnie leserkę? - spytała.

- Niezupełnie to miałem na myśli.

- Twoja wrażliwość jest doprawdy wzruszająca. Co z Nate'em?

Quinnowi stężały usta.

- Powinien się już zgłosić.

- Ale się nie zgłosi.

- Wiem.

Patrzyła na niego przez chwilę.

- Znajdziemy go.

Bez słowa kiwnął głową. Miał tylko nadzieję, że żywego.

Zmarszczył czoło i wyjął z kieszeni komórkę.

- Chyba nadeszła pora na szczerą pogawędkę z Peterem.

- Tak. Baw się dobrze. - Wstała i poszła do łazienki. Włączając telefon i wybierając numer, słyszał szum wody z prysznica.

Odebrała Misty.

- Mówi Quinn. Cisza.

- Misty?

- Przepraszam. - Misty była wyraźnie wstrząśnięta. -Przecież ty... nie żyjesz.

- Tak? A kiedy umarłem?

- Dwa dni temu. W Berlinie.

- Jakoś nie czuję się martwy.

- I dzięki Bogu. Rozumiem, że chcesz rozmawiać z Peterem.

- Poproszę.

Kilka sekund później odezwał się Peter.

- Jezu Chryste. Co się tam, do diabła, dzieje?

- To ty mi powiedz.

- Borko chwali się, że zlikwidował ciebie i wszystkich twoich ludzi. Jakby wiedział, że dla mnie pracowałeś.

- Naprawdę? A powiedz mi, Peter, dla kogo ty pracujesz?

- Co to znaczy?

- Duke nas wystawił. Okazuje się, że pracował dla Borki. Wiem, że pracował. Szokujące, co? - dodał obojętnie. - Chcesz usłyszeć coś jeszcze ciekawszego? Powiedział, że to Borko zorganizował kipisz. I że ktoś od nas mu pomagał. To ty chciałeś, żebym wziął tę fuchę w Berlinie. Prosiłeś mnie, namawiałeś. No, a tu proszę, okazuje się, że Duke trzymał sztamę z Borkiem, a Borko namieszał w Biurze aż miło. Rozumiesz, do czego zmierzam?

- Wal się, Quinn. Jak możesz tak myśleć! Chcesz powiedzieć, że z premedytacją zabiłem swoich najlepszych przyjaciół? Myślisz, że bym mógł? - Peter zrobił pauzę. - Wal się!

- To ty wysłałeś mnie do Berlina.

- Nie miałem z tym nic wspólnego. Wiem tylko, że Duke miał nam pomóc. Tyle. Niby skąd miałbym wiedzieć więcej? Nie mogę nawet wyjść z tego pieprzonego biura. A w terenie zostałeś mi tylko ty.

Quinn potarł czoło. Chociaż wszystko wskazywało na to, że Peter brał w tym udział, coś mu tu nie pasowało. Znał go od dawna i wiedział, że mimo

licznych wad nigdy nie zwróciłby się przeciwko własnym ludziom. Dlatego był skłonny mu uwierzyć. Co nie znaczyło, że zamierzał ułatwić mu rozmowę.

- Jeśli to nie ty, to kto? Może lepiej przyjrzyj się swoim pracownikom? Jak tam morale?

- Idź do diabła - warknął Peter. - Moi ludzie są czyści.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem. Wystarczy?

- Skoro tak mówisz.

- Jak wasza sytuacja? Quinn wziął oddech.

- Nate zaginął.

- Nie żyje?

Quinn zawahał się i odchrząknął.

- Nie. Myślę, że tamci go mają.

- Trzymają jako zakładnika?

- Tak przypuszczam.

- Mają kogoś jeszcze?

- Nie.

- Kto ci został?

- Nie musisz wiedzieć.

- Próbuję ci pomóc.

- Naprawdę? To miło, bo tak się przypadkiem składa, że potrzebuję pewnych informacji.

- Jakich?

- Chcę wiedzieć wszystko, co ma z tym jakiś związek. Taggert. Jills. - Quinn potarł oczy. - Ty i twoje Biuro. Wszystko.

- Co jedno ma wspólnego z drugim?

- Kipisz łączy się jakoś z tym, co zaszło w Kolorado. Przestań, nie udawaj, że nie wiesz.

- Bo naprawdę nie wiem.

- Nie wkurwiał mnie, dobra? Za często to ostatnio słyszę. Mów, co się tu dzieje.

- Nie ma o czym mówić. Quinn zacisnął zęby.

- Widzę, że robisz wszystko, żeby zdobyć moje zaufanie.

- Jesteś pewien, że kłiesz to robota Borki?

- Prawie na sto procent. A to, co ten sukinsyn robi tutaj, skłania mnie do podejrzeń, że ma też coś wspólnego z Tag-gertem. Peter, tracimy czas.

- Nie mogę ci tego powiedzieć. Quinn nabrał powietrza.

- W takim razie rzucę ci inne nazwisko. Dahl.

- Dahl? - Peter był szczerze zaskoczony. - Gdzie je słyszałeś? Gibson się wygadał?

Quinn zamilkł.

- A miałby z czego?

Teraz z kolei zamilkł Peter. A kiedy się odezwał, słysząc było, że z trudem panuje nad gniewem.

- Na miejscu wszystkich ostatnich... incydentów była wiadomość. Dopiero wczoraj odkryliśmy, że układa się to w pewien wzór. Wiadomości były identyczne. Biała wizytówka wetknięta w gardło ofiary tak głęboko, że wyszło to dopiero podczas sekcji zwłok.

- Zrobiliście sekcję? - Quinn wiedział, że to dość niezwykle. Powód śmierci musiał być oczywisty.

- Nie - odparł Peter. - Ale w jednym przypadku uprzedzili nas miejscowi. Ich patolog znalazł wizytówkę. Kiedy się o tym dowiedzieliśmy, sprawdziliśmy pozostałych.

- Co było na wizytówkach?

- Tylko jedno słowo. „Dahl”. Ten skurwysyn chciał, żebyśmy wiedzieli, kto ich zabił.

- Gibson nie miał wizytówki.

- Może wyrzucił ją, zanim go zlikwidowałeś.

- Nie, wykluczone - mruknął Quinn. Zaniepokoiło go, że zamach na jego życie różnił się od pozostałych. Przypomniały mu się słowa Duke'a: „Zrobili to na specjalne zamówienie”. - Natknąłeś się kiedyś na tego Dahla?

- Nie. Nie wiem... - Peter robił wrażenie zafrasowanego. - Pojawił się jakiś czas temu, ale, jeśli pamiętam, nigdy z nim nie pracowaliśmy. - Zamilkł i dodał: - Ale teraz chcę, żebyś go znalazł. Znajdź go i dostaniesz potrójną premię.

- Będę potrzebował pomocy. Peter głęboko odetchnął.

- Dobrze. Ale najpierw muszę coś sprawdzić.

- Żartujesz?

- Oddzwonię.

I zanim Quinn zdążył zareagować, Peter odłożył słuchawkę.

Kiedy tylko Orlando wyszła z łazienki, spojrzał na riią i powiedział:

- Chcę zadzwonić do twego znajomego. Może już coś wie.

Orlando miała mokre włosy i była w białym hotelowym szlafroku.

- Do Kreta? Nie mam jego numeru. Codziennie go zmienia.

- To jak do niego dzwonisz?

- Wysyłam e-mail, a on przysyła mi numer.

- Dobrze. Poszukamy komputera.

Orlando westchnęła. Odwróciła się w stronę drzwi do sypialni i rzuciła:

- OK.

- Zaczekaj. Jak długo dzisiaj spałaś? Spojrzała przez ramię.

- Spałam.

- Długo?

- Z godzinę.

- Zwinięta w kłębek w jakiejś bramie?

- Coś w tym stylu.

- Zostaniesz. Ja do niego zadzwonię.

- Nie zechce z tobą rozmawiać.

- Spróbuję go przekonać. Daj adres.

- Musisz mieć jeszcze kod. Jeśli odpowie, bez kodu nic nie zrozumiesz.

Na Ku'damm znalazł kafejkę internetową. Jak Po Maśle, tak się nazywała. Zapłacił z góry za godzinę i usiadł przy komputerze pod ścianą, żeby trudniej go było podejrzeć.

Zalogował się, otworzył przeglądarkę i wszedł na serwer oferujący darmową pocztę. Trzy minuty później miał już skrzynkę. Napisanie krótkiego listu trwało trochę dłużej.

Robisz dla mnie wycenę. Bransolety z Kolorado. O. pyta, czy jest autentyczna i chce, żebyśmy pogadali. Możemy? JQ

Kliknął WYŚLIJ. Teraz musiał tylko poczekać. Nie zamykając skrzynki, otworzył nowe okno i zalogował się na stronie drukarni w Chelsea w Massachusetts. Następnie, tylnymi drzwiami, które potajemnie wbudował w ich serwer, wszedł na stronę firmy papierniczej w Baltimore w Marylandzie, a stamtąd do serwera Rządowych Usług Administracyjnych GSA w Waszyngtonie. Teraz wystarczyło tylko skorzystać z zainstalowanych przez Orlando linków i po chwili był już w sieci komputerowej FBI.

Przez pół godziny przeglądał listy zaginionych, pasujących rysopisem do Taggerta. Połowę z nich udało mu się nawet wykreślić.

Potem zrobił sobie przerwę, otworzył kolejne okno i wszedł na stronę MapQuestu, USA. Wystukał: „Campo-bello, Nevada” i wcisnął ENTER. Na ekranie ukazał się plan miasta Campobello w Karolinie Południowej. Spróbował jeszcze raz - z tym samym rezultatem.

Przeszedł na Google'a. Do tego zadania wystarczyła prosta wyszukiwarka. Napisał: „Campobello, Nevada” i kliknął SZUKAJ.

W ciągu kilku sekund komputer przedstawił mu listę ponad dziesięciu tysięcy wyników, ale nie było wśród nich Campobello w stanie Nevada. Wszystkie dotyczyły albo samego Campobello, albo samej Nevady. Quinn przejrzał parę pierwszych stron. Na włoskiej wyspie Pantelleria było miasto o nazwie Campobello di Mazara. Również we Włoszech produkowano oliwę i ocet winny Campobello Riserva Olive Oil & Balsamie Vinegar; pewnie w tym samym rejonie kraju.

W Kanadzie była wyspa Campobello, gdzie Franklin Roosevelt miał letni dom. W St. Louis była Campobello Pizzeria, a w West Yellowstone Campobello Lodge. Ale w Nevadzie żadnego Campobello nie znalazł.

Przeciągnął się i poruszał ramionami. Przekrzywił głowę w lewo, przekrzywił w prawo i strzeliły mu kręgi szyjne.

Ponieważ wyglądało na to, że poszukiwania Campobello do niczego go nie doprowadzą, postanowił sprawdzić pocztę. Zmienił okienka i odświeżył ekran.

Miał jedną wiadomość. Kliknął myszką.

501587331861xc2 Dobrze jest, pomyślał.

Poszedł do pobliskiego parku. Świeciło słońce i zrobiło się trochę cieplej. Mimo to mróz wciąż trzymał i w parku prawie nie było ludzi.

Wyjął z kieszeni komórkę. Za pomocą kodu, który dała mu Orlando, rozszyfrował numer telefonu Kreta i wystukał go na klawiaturze. Kret odebrał już po pierwszym sygnale. Nie było żadnego „Halo” czy „Dzień dobry”, tylko milczenie i cichy oddech.

- Mówi Quinn.

- Skąd mam... wiedzieć, że to... ty? - Dziwne przerwy między słowami, płaski, elektronicznie zniekształcony głos. Kret używał pewnie jakiegoś filtra, żeby zmienić jego brzmienie.

- Znikąd - odparł Quinn. - A ja? Skąd mam wiedzieć, że ty to ty?

- Też tego nie... wiesz.

- Sprawdziłeś to szkiełko? Kret długo nie odpowiadał.

- Skąd mam... wiedzieć, że jesteś tym, za kogo się... podajesz?

- Cholera jasna, po prostu musisz mi zaufać!

- Ja nie ufam... nikomu.

- Ufasz Orlando, a ona zaufała mi na tyle, że wiem, jak się z tobą skontaktować.

- Mogłeś to z... niej wyciągnąć.

- Na miłość boską. Albo mi wierzysz, albo nie.

- Gdzie... ona jest?

- W bezpiecznym miejscu.

- Widziałeś... ją ostatnio?
- Pół godziny temu. Znowu cisza.
- Krążą plotki, że... nie żyje.
- Podobno ja też.
- Słyszałem.
- Możemy wrócić do tematu?

Szelest, cichy trzask. Kret poprawił się pewnie na krześle.

- Szkiełko... jest bardzo uszkodzone i... musi to trochę potrwać. Za kilka dni... dostaniesz wiadomość, kiedy... zadzwonić.

- Zaczekaj. - Quinn wyczuł, że tamten chce się rozłączyć. - A ten napis na bransolecie?

- To też jest... trudne.
- A więc nic jeszcze nie wiesz?
- Nic.

Quinn liczył chociaż na skrawek informacji, na coś, co naprowadziłoby ich na właściwy trop.

- Dobrze. Mam jeszcze jedną prośbę.
- Jaka? - spytał Kret.

I Quinn mu powiedział.

Rozdział 26

Gdzieś dzwonił dzwonek, ale nie budzik, tylko coś głośniejszego i bardziej przenikliwego. Quinn otworzył oczy. Chwilę trwało, zanim zorientował się, gdzie jest. Łóżko było twarde i wąskie, zupełnie jak nie jego. No i leżał na boku, co też nie było normalne. I wtedy sobie przypomniał. To nie łóżko. Spał na hotelowej sofie.

Podniósł głowę i spojrział na cyfrowy budzik na niskim stoliku. 3.43.

- Co to za hałas?

Spojrział w stronę źródła głosu. W drzwiach sypialni stała Orlando w luźnym podkoszulku i spodniach od dresu.

Usiadł i spróbował zebrać myśli. Dzwonienie dochodziło nie z pokoju, tylko z korytarza.

- Alarm pożarowy - powiedział i zupełnie się obudził. Szybko wstał i podszedł do drzwi. Idąc, wciągnął nosem powietrze, ale nie wyczuł dymu. Powietrze było czyste jak wtedy, kiedy kładł się spać. Dotknął ręką drzwi.

- Zimne.

Z korytarza dochodził tupot nóg, krzyki nawołujących się mężczyzn i kobiet. Były to odgłosy paniki wydawane przez ludzi wyrwanych ze snu, ludzi, którym groziło niebezpieczeństwo.

- Coś jest nie tak - odezwała się Orlando.

- Ubierz się - rzucił. On też tak uważał. - I weź swoje rzeczy.

Jego ubranie leżało na krześle obok sofy. Ubrał się w rekordowym tempie. Potem wrzucił do plecaka zakupy z poprzedniego dnia, włożył kurtkę i mocno ściągnął szelki plecaka.

Chwilę później dołączyła do niego Orlando. Podszedł do drzwi i znowu wyteżył słuch. Dzwonek dzwonił tak jak poprzednio, ale tupot nóg i krzyki ucichły. Zawahał się. Były tylko dwie możliwości. Albo w hotelu się paliło, albo nie. Jeśli nie, znaczyło to, że chcieli ich wypłoszyć. Tego, że może to być fałszywy alarm, nie brał nawet pod uwagę. Za duży zbieg okoliczności.

A wiara w zbiegi okoliczności, tak jak zbytnia ciekawość, była jedną z wielu rzeczy, które mogły zabić.

Tak więc jeśli próbowali ich wypłoszyć, Borko podejrzewał, że on i Orlando są w hotelu, nie wiedział tylko, w którym pokoju. Pożar czy Borko, nie miało to żadnego znaczenia. Rozwiązanie było takie samo. Musieli uciekać.

Otworzył zasuwę i uchylił drzwi. Tylko trochę, żeby wyrzeć na korytarz.

- Nikogo - szepnął.

Zdjął plecak, rozpiął go i wyjął glocka, którego zabrał Duke'owi.

- Trzymaj. - Podał go Orlando. Kobieta sprawdziła magazynek.

- Jednego brakuje.

Quinn wyjął z plecaka zapasowy magazynek do sig sauera i wyłuskał naboje.

- Łap.

Schował magazynek, włożył plecak. Z kieszeni wyjął swoją własną broń.

Z pistoletem w ręku ruchem głowy dał jej znak, otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Ani dymu, ani zapachu spalenizny, ani śladów ognia. Na opustoszałym korytarzu byli tylko oni.

Na ich piętro prowadziły dwie klatki schodowe. Sprawdził je, kiedy tylko przyszli. Ta po lewej, zachodnia, biegła z dołu na górę, na najwyższe piętro. Ta po prawej na dach.

Ruchem głowy wskazał zachodnią i ruszył w tamtą stronę; Orlando szła tuż za nim, ubezpieczając ich od tyłu. Na schodach przystanęli. Oprócz nich był tam ktoś jeszcze, dwóch, trzech ludzi, kilka pięter niżej, ale Quinn nie wiedział, czy idą na górę, czy schodzą na dół.

Poszli na górę.

Wyjście na dach znajdowało się trzy piętra wyżej. Dotarli tam czterdzieści pięć sekund później. Znowu przystanęli i wyteżyli słuch.

Kroki. Trzy, cztery piętra niżej, ale na pewno zmierzające na górę.

- Ochrona? - szepnęła Orlando.

- Może - odparł.

Ale oboje wiedzieli, że nie mogą ryzykować.

Napis nad drzwiami na dach informował, że w razie ich otwarcia włączy się alarm. Quinn doszedł do wniosku, że na pewno nie będzie głośniejszy niż ten, który już działał. Otworzył drzwi i zgodnie z ostrzeżeniem alarm rzeczywiście się włączył. Ale był to tylko elektroniczny pisk, ledwo słyszalny w porównaniu z dochodzącym zewsząd przeraźliwym dzwonieniem.

Wyszli na zewnątrz. Dach był płaski i duży, upstrzony sterzącymi rurami i szybami wentylacyjnymi.

Po prawej stronie była Leipziger Strasse. Quinn podbiegł do krawędzi i spojrzał w dół. Przed hotelem stały trzy wozy strażackie. Kilkanaście metrów dalej zbili się w gromadkę skuleni z zimna hotelowi goście. Dołączyła do niego Orlando.

- Kto to? - spytała, wskazując trzech stojących na uboczu mężczyzn.

W przeciwieństwie do gości, ci byli całkowicie ubrani, w ciepłe, ciemne kurtki. Dwóch obserwowało hotel. Trzeci rozmawiał przez komórkę. Mogli być ochroniarzami albo strażakami. Tylko gdzie mieli mundury?

- Nie wiem - odparł Quinn. - Ale nie sądzę, żeby szukali pożaru. Chodźmy.

Schował pistolet do kieszeni i ruszył w stronę wschodniej części dachu. Niestety, Mandola była budynkiem wolno stojącym i nie stykała się z sąsiednimi. Ale na najwyższym piętrze, ledwie trzy metry niżej, mieściło się kilka luksusowych apartamentów z otwartymi patio. To już było coś.

- Ty pierwsza - powiedział.

Orlando bez słowa zsunęła się za krawędź i zeskoczyła na taras. Wtedy on stanął na niskim murku otaczającym dach i zaczął się już opuszczać, gdy nagle...

- Stój!

Quinn skoczył.

Wylądował na patio, omal nie wpadając na stojący tam szezlong. Miał ledwie kilkusekundową przewagę nad ścigającym go mężczyzną, poza tym tamten dokładnie wiedział, w którym miejscu Quinn zniknął mu z oczu.

- Widział mnie - szepnął.

Ale nie musiał nic mówić. Orlando już biegła w stronę murku, już go przeskakiwała, już była na patio po lewej stronie.

On miał bliżej do tego po prawej. Wspiął się na murek i jak po równoważni przeszedł na sąsiedni taras. Zeskoczył i przykucnął w chwili, gdy zza krawędzi dachu wychynęła ciemna sylwetka mężczyzny.

Quinn obserwował ją spod dzielącego tarasy murku. Mężczyzna rozmawiał przez komórkę.

- Nie wiem - mówił po niemiecku. - Zeskoczył z dachu, ale go nie widzę.

Schował telefon do kieszeni. Nachylił się i spojrział w dół. Wtedy oświetliło go słabe światło z ulicy. Quinn natychmiast go rozpoznał. Był to jeden z tych, których sfotografowała Orlando, kiedy wyszli z hotelu Dorint, wsuwający pod jego drzwi kopertę z materiałami od Duke'a.

Mężczyzna spuścił z dachu nogi. Zeskoczył prawie w to samo miejsce co Quinn. Dzielący patio murek biegł na ukos do ściany oporowej budynku. Była to dobra kryjówka, jednak ściana zasłaniała widok.

Quinn sprawdził, czy tłumik jest dobrze przykręcony do lufy.

Krok dalej stało krzesło tarasowe. Wyciągnął rękę, pchnął je i kiedy zażrzytało po terakocie, całym ciałem przywarł do murku.

Niemal natychmiast usłyszał szybkie kroki. Kilka sekund później na tle nieba ukazała się głowa. Mężczyzna patrzył w dół, na patio. Quinn przycupnął tuż pod nim, niewidoczny, z pistoletem w ręku.

Przytrzymując się murku, tamten wskoczył na załom ściany oporowej. Po prawej stronie miał ośmiopiętrowej głębokości przepaść.

- Możesz się już zatrzymać - powiedział po niemiecku Quinn.

Tamten zaczął się odwracać.

- Nie radzę, nie zdążysz - ostrzegł go Quinn. Mężczyzna oparł się o ścianę i znieruchomiał.

- Rzuć to.

Mężczyzna ani drgnął.

- Rzuć broń - powiedziała Orlando.

Tamten gwałtownie odwrócił głowę, omal nie tracąc równowagi. Orlando stała kilka kroków dalej, na sąsiednim patio, w miejscu, gdzie zeskoczyli z dachu.

- Ostrożnie - ostrzegła. - To dość wysoko. Mężczyzna uśmiechnął się smutno i przeniósł wzrok z powrotem na Quinna.

- A więc się odnaleźliście - powiedział.

- Rzuć pistolet.

Mężczyzna rozwarł palce i pistolet spadł w przepaść. Nie był to jeden z partaczy Duke'a. Ten był zawodowcem.

- Mam tu zostać? - spytał obojętnie. - Czy mogę zejść?

- Na razie odpocznij sobie tam, gdzie jesteś - odparł Quinn. - Przez chwilę.

- I co teraz? Zaczekamy na moich przyjaciół?

- Żeby nas zabili? - spytał Quinn. - Nie sądzę.

- Dlaczego mielibyśmy was zabijać? Nie takie dostaliśmy polecenia.

- Jasne, jasne - mruknął Quinn.

- Nie wierzysz? - Mężczyzna sięgnął do kieszeni.

- Łapy z daleka - ostrzegł go Quinn.

- Spokojnie, to tylko komórka. Quinn zastanowił się i kiwnął głową.

- Powoli.

- *Bleiben Sie dran* - powiedział tamten do telefonu i wyciągnął rękę, żeby podać mu aparat.

- Rzuć - rozkazał Quinn. Mężczyzna rzucił mu komórkę.

- Czego? - Quinn przytknął słuchawkę do ucha.

- Quinn?

Od razu rozpoznał ten głos.

- Jak się masz, Borko.

- Rozumiem, że zabawiasz mojego przyjaciela.

- A ty mojego. Gdzie on jest?

- Skąd mam wiedzieć?

Quinn przerwał połączenie i rzucił komórkę mężczyźnie, który ledwo ją złapał.

-Głupie gierki mnie nie interesują.

Telefon zadzwonił niemal natychmiast. Zanim Quinn zdążył zareagować, tamten odebrał i ponownie podał mu aparat.

-On chce porozmawiać.

-Powiedz mu, żeby poszedł do diabła. Mężczyzna powtórzył to do telefonu. Słuchał przez

chwilę, kiwając głową, potem spojrzał na Quinna.

-Mam ci przekazać, że Nate żyje.

- Mów, byle szybko - warknął Quinn, kiedy tamten znowu rzucił mu telefon.

- Gregory nie kłamie - powiedział Borko. - Twój przyjaciel Nate jest naszym gościem.

- To go wypuść.

- Oddaj się w nasze ręce, natychmiast go wypuszczę.

- Kurczę, czemu ja ci nie wierzę? Borko nie odpowiedział od razu.

- Wiesz - rzekł, przerywając milczenie - jesteś bardzo utalentowanym człowiekiem. Naprawdę mnie zaskoczyłeś.

- Przepraszam, że nie byłem łatwiejszym celem.

- To dobrze. Jesteś dla mnie prawdziwym wyzwaniem. Szkoda, że nie pracujemy razem.

- I nie będziemy.

- Nigdy?

- Lepiej uwierz mi na słowo. Wypuść Nate'a.

- Poddasz się Gregory'emu?

- Wiesz, że nie.

- W takim razie myślę, że Nate jeszcze trochę u nas zabawi. Dopóki się nie upewnię, że nie będziesz stwarzał problemów. - Borko zrobił pauzę. - Jeśli nie chcesz się poddać, radzę, żebyś wyjechał. Zapomnij o swoim przyjacielu. Ty wyjedziesz, ja skończę swoje i Nate będzie wolny.

- A ja ci radzę, żebyś poszedł się walić. Borko zamilkł.

- Widzę, że potrzebujesz dodatkowej motywacji - powiedział po chwili. - Dobrze. Niech twoja przyjaciółka zadzwoni do domu.

Quinn nie mógł się powstrzymać i zerknął na Orlando.

- Co to, do diabła, znaczy?

Ale odpowiedź nie padła. Borko się rozłączył. Zamykając klapkę telefonu, Quinn coś usłyszał. Tam, na dachu. Kroki. Wciąż odległe, ale coraz bliższe.

Gregory rozciągnął usta w uśmiechu. - Chyba mamy towarzystwo.

Jego ręka śmignęła do pasa. Błysnął w niej nóż. Quinn nie był pewny, czyja kula trafiła go pierwsza, jego czy Orlando. Z wyrazem zaskoczenia na twarzy Gregory runął do tyłu. Wygięty w łuk najpierw poszybował do góry, a potem spadł w czarną otchłań.

TLR

Rozdział 27

Apartament, korytarz, zachodnia klatka schodowa - kiedy zeszli na pierwsze piętro i skręcili za róg, Quinn zauważył czterech strażaków na końcu holu. Kazał Orlando zaczekać i ruszył w ich stronę.

- Kim pan jest? - spytał jeden z nich, zachodząc mu drogę. W pełnym rynsztunku bojowym, wszyscy mniej więcej tej samej postury, byli o kilka centymetrów wyżsi od niego.

- Znaleźliście coś? - rzucił Quinn głosem człowieka nawykłego do wydawania rozkazów.

- Nic - odrzekł jeden ze strażaków.

- To może być fałszywy alarm - ciągnął Quinn. - Ale musimy mieć pewność, tak? Dwóch pójdzie ze mną. Pozostałych dwóch będzie szukało dalej; może coś przeoczyliście.

- Kim pan jest? - powtórzył ten pierwszy.

- Policja kryminalna. Jeśli to fałszywy alarm, ktoś włączył go celowo. Muszę go znaleźć i dowiedzieć się dlaczego. Lepiej nie traćmy czasu.

- Tak jest, absolutnie - odparł tamten. - Pójdę z panem.

- Ja też - zgłosił się strażak stojący obok niego. Pozostała dwójka odeszła w głąb korytarza. Quinn poprowadził ochotników do zachodniej klatki schodowej.

Sprzęt i kombinezony porzucili za gmachem IMAX-u na placu Poczdamskim. Mieli całkowitą pewność, że zostaną znalezione i zwrócone prawowitym właścicielom, kiedy ci ockną się i opowiedzą, kto ich ogłuszył i rozebrał.

Maska, butla z powietrzem i hełm były świetnym kamuflażem. I chociaż kombinezon wisiał na Orlando jak worek, nikt nie zwrócił uwagi na dwóch kolejnych strażaków wychodzących z hotelu.

Dla bezpieczeństwa kilkaset metrów przeszli piechotą i dopiero wtedy Quinn zatrzymał taksówkę.

- Dokąd państwo życzą? - spytał taksjarski, kiedy wsiedli.

- Do Neukölln - odparł Quinn.

Na Karl Marx Strasse, niecałe dwa kilometry od Schandauer Strasse, znaleźli nieczynny sklep. Quinn otworzył wytrychem tylne drzwi i weszli do środka.

- Od dawna nikogo tu nie było - powiedziała Orlando. Miała rację. Wszystko pokrywała warstewka kurzu, na której widać było tylko ich ślady.

Krótkim korytarzem Quinn wszedł do skromnej sali wystawowej od frontu. Stało tam tylko kilka pustych gablot i wypełnione śmieciami pudło. Szyby były pomalowane na biało, żeby nikt nie zaglądał z ulicy.

Nagle gdzieś za nim rozbłysło światło.

- To ty? - spytał.

- Chodź tu - zawołała z zaplecza Orlando.

Była w pokoju, do którego wchodziło się z korytarza. Pod sufitem wisiała słaba żarówka. Orlando pstryknęła włącznikiem i żarówka zgasła. Kolejne pstryknięcie i zapaliła się.

- Żadna inna nie świeci.

Pokój służył kiedyś albo za podręczny magazyn, albo za biuro. Miał co najmniej cztery i pół metra długości i trzy szerokości.

- Możemy się tu rozłożyć. Kupić śpiwory, jakieś materace, i już. Będzie jak w domu.

„Jak w domu”. Quinn znieruchomiał.

- Po drugiej stronie korytarza jest łazienka - ciągnęła Orlando. - Jest woda, sprawdziłam. Ale tylko zimna.

- Orlando...-zaczął. Spojrzała na niego.

- No?

Zerknął na podłogę, próbując zyskać na czasie i zebrać myśli.

- Borko coś mi powiedział. Ale to na pewno blef. Patrzyła na niego nieruchomymi oczami.

- Co powiedział?

- Że jeśli nie chcemy się z tego wycofać i potrzebujemy dodatkowej motywacji, to powinnaś... - Zamilkł.

- Co powinnam? Mów.

- Zadzwoń do domu.

Przez chwilę miała zupełnie obojętną twarz, jakby nic do niej nie dotarło. I nagle podeszła do niego tak szybko, że aż drgnął.

- Daj telefon - powiedziała.

- Orlando, on blefował.

Chwyła go za kurtkę, włożyła rękę do kieszeni.

- Daj telefon!

- Zaczekaj, tu go nie ma. Zaraz wyjmę.

Zdjął plecak, położył na podłodze i ukląkł. Z zapiętej na zatrzask kieszonki wyjął komórkę. Wyrwała mu ją z ręki.

W ciągu kilku sekund otworzyła ją i wybrała numer. Przez prawie minutę czekała, potem rozłączyła się i wybrała inny numer. Tym razem ktoś odebrał.

Mówiła po wietnamsku, bardzo szybko, i chociaż nie wiedział co, po jej podniesionym głosie poznał, że nie usłyszała dobrych wiadomości. Kiedy skończyła, bezwładnie opuściła rękę i zacisnęła powieki.

- Mów.

Otworzyła usta i spazmatycznie wciągnęła powietrze. Oczy miała mokre, ale nie płakała.

- Co się stało? - spytał.

Próbowała coś powiedzieć, poruszyła ustami, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Zaczęła się trząść. Tama pękła i po jej policzkach popłynęły łzy.

- Garrett - odrzekła w końcu wymuszonym szeptem. -Zniknął.

Chwilę trwało, zanim to z niej wyciągnął. Rozmawiała z panem Vo, swoim asystentem z Tri-Continent. Vo próbował się do niej dodzwonić, ale zgubiła komórkę podczas ucieczki. Trinh, niania, była w szpitalu. Bestialsko ją pobito. Miała wstrząśnienie mózgu, złamaną nogę, liczne skaleczenia i siniaki. Nikt nie widział, co się dokładnie stało. Trinh to traciła, to odzy-

skiwała przytomność, a potem wprowadzono ją w stan śpiączki farmakologicznej, żeby ułatwić gojenie się ran. Zdołała tylko powiedzieć, że napadło ją co najmniej dwóch mężczyzn, Azjata i biały. W parku, gdzie bawił się Garrett. Ocknęła się w szpitalu, a Garrett zniknął.

Jedynym tropem była zwykła wizytówka, którą włożono jej do kieszeni, kiedy wykrwawiała się na trawniku. Podobnie jak na tych znalezionych przy ofiarach kłopotu, na tej też widniało tylko jedno słowo. Na wszelki wypadek pan Vo uważnie je przeliterował. „D-a-h-l”.

Quinnowi zakręciło się w głowie. Dahl? W Wietnamie? Dlaczego? Czy to w ogóle możliwe? Było to tak dziwne, że aż nieprawdopodobne. Ale mieli dowód. Wizytówkę. Podobnie jak w poprzednich przypadkach, Dahl chciał, by wiadano, kto to zrobił.

- Musimy znaleźć Borka - powiedziała Orlando. - Natychmiast. Zmusimy go, żeby nas do niego zaprowadził.

- Nie wiemy nawet, czy Dahl jest w Niemczech.

- Wszystko jedno. Musimy iść. Musimy znaleźć Garretta.

Orlando wpadła w histerię. Miała rozbiegane oczy, bezwiednie dotykała rękami ramion i twarzy. Ale wciąż stała w miejscu, jakby wrosła w ziemię, nie mogąc podjąć żadnej decyzji.

Quinn wziął głęboki oddech z nadzieją, że pójdzie w jego ślady. Chciał, żeby się uspokoiła i zaczęła racjonalnie myśleć. Położył jej rękę na ramieniu, ale ją strząsnęła.

- Znajdziemy go - powiedział cicho i spokojnie. - Ale najpierw trzeba to przemyśleć. Jest noc. Nie wiemy nawet, gdzie jest Borko ani jak ten Dahl wygląda.

- Nie możemy tu tak po prostu siedzieć.

- Możemy. - Znowu położył jej ręce na ramionach i nie pozwolił, by go odepchnęła. - Orlando, musimy działać mądrze. Pośpiech przyniesie więcej szkód niż korzyści. Tamci pewnie na to liczą.

- Nie - odparła, próbując się uwolnić. - Oni mają mojego syna!

Nie zważając na jej opór, przyciągnął ją do siebie, objął i mocno przytulił. Powoli przestała się wrywać. Oparła głowę na jego piersi. Ale zamiast

szlochu słyszał tylko jej oddech, szybki i gwałtowny, pełen przesyconego paniką gniewu.

- Zebrać jak najwięcej informacji i zaatakować z pozycji siły - powiedział. - Tak zawsze robimy.

Podniosła wzrok.

- Chcesz siedzieć tu z założonymi rękami i czekać?

- Czekać, tak. Ale siedzieć z założonymi rękami? - Pokręcił głową. - Po moim trupie.

Zamilkli i długo milczeli. W końcu Orlando odsunęła się od niego. Ale zrobiła to łagodniej, jakby zrezygnowała z walki, przynajmniej na razie.

- Bóg wie, co się z nim teraz dzieje - powiedziała. - Trzeba zorganizować pomoc. Mógłbyś wykorzystać znajomości z Agencji.

- Nic mu nie zrobią - odparł. - Garrett jest dla nich zbyt cenny. Dopóki Dahl nie uzna, że za bardzo mu zagrażamy, będzie zupełnie bezpieczny. Dlatego nie możemy do nikogo zadzwonić. Dobrze o tym wiesz. Pomóc możemy mu tylko my. Nikt inny.

Zrozumiała, że ma rację i opadły jej ramiona.

- Obiecuję - ciągnął - że kiedy tylko pojawi się realna szansa, natychmiast z niej skorzystamy. Ale do tego czasu robimy wszystko krok po kroku. Zgoda?

Orlando nie odpowiedziała.

Wyjął z plecaka apteczkę, zapinaną na zatrzask płócienną torebkę wielkości futerału na okulary. Wyjął z niej mały pakiecik, rozerwał i wysypał na dłoń dwie tabletki - środki nasenne. Wyciągnął rękę.

- Weź.

Zmrużyła oczy i pokręciła głową.

- Nie.

- Weź. Nie pomożesz mi, nie potrafiąc trzeźwo myśleć. A nie będziesz trzeźwo myślała, jeśli się nie wyśpisz.

- Powiedziałam, nie.

- Proszę. Obydwaj potrzebujemy twojej pomocy, on i ja. Ale nie, kiedy jesteś w takim stanie.

- Nie chcę - odparła, lecz powiedziała to cicho, bez buntu. Po prostu powiedziała.

- Wiem. - Podał jej tabletki.

W końcu wyciągnęła rękę i wzięła je z jego dłoni. Popatrzyła na nie, bez słowa włożyła do ust i połknęła na sucho.

- Odbijemy go. Przyrzekam, że go odbijemy.

Orlando odwróciła się bez słowa, oparła o ścianę i usiadła. Wyjęła z kieszeni coś małego i prostokątnego. Patrzyła na to, w końcu zamknęły jej się oczy.

Kiedy zasnęła, usiadł obok niej. Spojrzał na to, co tak kurczowo zaciskała w ręku. Plastikowa wkładka do portfela, taka na kilka zdjęć. Zaczynała wysuwać się spomiędzy palców, więc delikatnie podniósł ją i odruchowo spojrział na zdjęcie, na które patrzyła. Garrett. Mógł się tego domyślić. Większość pozostałych zdjęć w tym miniaturowym albumie też przedstawiało Garretta. Z wyjątkiem jednego. Przyciętego zdjęcia, które widział na ołtarzu Buddy w Wietnamie. Zdjęcia Durriego.

Poczuł się tak, jakby wtargnął na czyjś prywatny teren, więc położył wkładkę na podłodze.

Żeby zająć czymś myśli, wyjął z plecaka monitor i położył go na kolanach. Urządzenie było niewiele większe od książki w twardej oprawie i miało tylko centymetr grubości. W górnej części płaskiej obudowy był kolorowy wyświetlacz wysokiej rozdzielczości, pod nim zaś klawiatura numeryczna podobna do tych, jakie widuje się w zwykłych kalkulatorach. Mógł dzięki niej błyskawicznie zmieniać obraz z jednej kamery na obraz z drugiej. Monitor był wyposażony w twardego dysku pozwalający na nagranie kilkugodzinnego filmu. Miał również wbudowany głośnik, wejście do słuchawek i dwa porty zewnętrzne.

Ponieważ od zakładów wodociągowych dzieliło ich niecałe dwa kilometry, nie oczekiwał problemów z odbiorem. Włączył monitor i wyjął z plecaka zestaw słuchawkowy Sennheisera, który sprzedawano w komplecie z urządzeniem. Podłączył je i włożył.

Na dworze było ciemno. Zimowe słońce miało wzejść dopiero za kilka godzin. Szybko przejrzał widok z sześciu kamer. Wszędzie panował spokój.

O tak wczesnej porze nie spodziewał się niczego innego. Wyłączył monitor i położył go na podłodze.

Ciążyły mu powieki i kiedy zasnął, nawiedziła go myśl, która już niebawem miała ukształtować jego sny.

A jeśli nie będę mógł dotrzymać obietnicy?

O dziesiątej znowu zasiadł przed monitorem. Orlando wciąż spała, bezwładnie pólżąc na podłodze. Teraz w zakładach coś się działo. Do komory w wielkiej kuli wchodziło dwóch mężczyzn. Obydwaj byli w szczelnych kombinezonach.

I obydwoj nieśli pojemniki z twardego plastiku wielkości walizki. Identyczne widział w piwnicy, obok chłodni.

Weszli do komory i postawili pojemniki na stole. Wyższy z mężczyzn otworzył drzwiczki lodówki przy wejściu, drugi trzasnął zapięciem swego pojemnika. Ten wyższy wrócił do stołu i otworzył swój. Zaczęli wyjmować z nich małe kartonowe pudełka i ustawiać na stole. Nie zajęło im to dużo czasu. Pudełek było tylko osiem.

Potem nosili je na zmianę do lodówki, za każdym razem po jednym. Robili to bardzo powoli i metodycznie.

W trakcie przedostatniego kursu jeden z nich się potknął. Zupełnie niegroźnie. Z pudełka nic się nie wysypało. Mimo to ten drugi natychmiast podbiegł, ostrożnie wyjął mu je z rąk, szybko postawił na stole, otworzył i pochylił się, by sprawdzić, czy zawartość nie uległa uszkodzeniu.

Po chwili wyraźnie się odprężył. Wszystko było w porządku. Gdy zamykał pudełko, przez ułamek sekundy Quinn widział, co w nim jest. Kulki, granulki albo coś podobnego. Białe.

Mężczyźni włożyli pozostałe pudełka do lodówki, zamknęli pojemniki i postawili je pod stołem. Skończywszy, wyszli.

Quinn siedział przed monitorem jeszcze godzinę, czekając, aż coś się wydarzy. Ale komora pozostała pusta.

- Kawy? - spytał, gdy Orlando w końcu się poruszyła.

Dwie ulice dalej był market. Zaryzykował i zostawił ją samą, żeby tam wpaść. Przy okazji kupił również dwa duże kubki kawy.

- Chętnie - mruknęła bez entuzjazmu. Podał jej kubek.

- Jak się czujesz? - spytał, kiedy wypła łyk.

- A jak myślisz? - Zauważyła monitor na podłodze. - Widziałeś coś?

- Tak - odrzekł i opowiedział jej o mężczyznach z pojemnikami.

Orlando długo milczała.

- Co to może mieć wspólnego z Garrettem? Przecież mają już zakładnika. Mają Nate'a.

Fakt. Nate powinien im wystarczyć. Uprowadzenie Garretta było grubą przesadą. Co więcej, nie miało sensu. Kosztowało za dużo zachodu.

- Jak się dowiedzieli?

Przeze mnie, pomyślał Quinn, ale nie potrafił wypowiedzieć tych słów na głos. Bo pojechałem do Wietnamu. Ale Orlando nie była idiotką i już to sobie skojarzyła.

- Piper mu powiedział, tak? Odkrył, że tam mieszkam i dał cynk Dahlowi.

Quinn kiwnął głową. Doszedł do takiego samego wniosku. Piper wcale nie był taki czysty. Może pracował dla samego Dahla. Może on i jego ludzie śledzili go aż do Wietnamu. Nie wiadomo, jaki wcisnął mu kit. Nie skłamał tylko co do jednego. Co do Borki. Ale nawet ta rewelacja nie miała w sumie znaczenia. Przydała tylko wiarygodności propozycji Duke'a, podziałała jak słodka przynęta.

- Przepraszam. - Chciał powiedzieć więcej, ale nie znalazł słów.

- Przestań. - Zamknęła oczy. - To był mój wybór. Powinnam była zostać w domu. Powinnam była go chronić.

Gdyby chciał, mógłby to ciągnąć. Mógłby powiedzieć, że to przez niego Piper ją namierzył. Ona znalazłaby kolejną wymówkę, żeby obarczyć winą samą siebie i zaczęliby wszystko od początku.

Zrobił krok do tyłu.

- Muszę coś załatwić. Poradzisz sobie sama?

- Nie mogę siedzieć tu i nic nie robić.

- Wcale cię o to nie proszę. - Podał jej monitor. Wskazał torbę z zakupami w kącie pokoju. - Jeśli zaczną siadać baterie, tam jest transformator. Chcę, żebyś miała ich na oku.

W Berliner Hotel wynajął na chwilę komputer i wszedł do skrzynki pocztowej, którą założył poprzedniego dnia. Tak jak się spodziewał, czekała na niego wiadomość od Kreta.

36.241.10

Nie tracąc czasu, pojechał taksówką do KaDeWe niedaleko Kościoła Pamięci Cesarza Wilhelma. Był to największy dom towarowy w Berlinie i - nie licząc londyńskiego Harrodsa - w Europie. Usiadł przy stoliku w kawiarni i za pomocą kodu od Kreta rozszyfrował nowy numer telefonu.

- Mówi Quinn - powiedział, uzyskawszy połączenie. -Co masz?

- Taggert - odparł Kret.

- Wiesz, kto to jest?

- Najpierw kwestia... honorarium. Quinn zmarszczył brwi.

- Ile?

- Moja standardowa stawka to... pięć tysięcy od zamówienia. Ty... złożyłeś dwa. To daje dziesięć... tysięcy. Dolarów. Amerykańskich.

- Stać mnie.

- Ale nie kiedy... cię zabiją.

- Ja wyślę przekaz. Ty przyślij e-mailem to, co masz.

- Kiedy wyślesz?

- Kiedy tylko dostanę e-mail.

Na drugim końcu linii zapadła cisza.

- Kilka miesięcy temu... zaginął wirusolog... Henry Jansen. Jego rysopis pasuje do rysopisu ofiary pożaru... z Kolorado.

- Możliwe - odparł Quinn. - Ale do tego pożaru doszło dwa tygodnie temu.

- Na daty nic nie... poradzę, ale jego babka ze... strony ojca była z domu... Roberts. Zgadniesz, jak brzmiało panięskie nazwisko jego babki ze strony matki?

- Taggert?

- Brawo.

- Przyślesz mi jego zdjęcie?

- Właśnie wysyłam... e-mail.

- A pozostałe informacje?

- Międzynarodowa Organizacja Specjalistów... Medycznych.

- MOSM. - Quinn był pod wrażeniem.

- Niedługo mają swój... doroczny zjazd.

- Gdzie?

- W Berlinie.

Oczywiście, pomyślał Quinn. Gdzieżby indziej.

- Mam jeszcze jedną prośbę. I zanim cokolwiek powiesz: mój przelew to uwzględni.

- Słucham - odrzekł Kret.

Quinn powiedział mu o uprowadzeniu Garretta.

- Poszukaj go. Poszukaj jakichkolwiek śladów. Mogli wywieźć go z Wietnamu. Jeśli tak, ktoś musiał coś widzieć. Może uda ci się nawet dowiedzieć, dlaczego Dahl w ogóle go porwał.

- Spróbuję. - Kret zrobił pauzę. - Ten napis.

- Odczytałeś go?

- To adres... FTP. File Transfer Protocol, protokołu transmisji... plików. Jest tam... nazwa użytkownika... ale hasło uległo zniszczeniu.

- Próbowaleś się tam włamać?

- Oczywiście, ale... zabezpieczenia są niezwykle skomplikowane.

- Prześlij mi ten adres SMS-em.

- Chwileczkę.

Kilka sekund później zapiszczała komórka. Nowa wiadomość.

- Mam - powiedział Quinn. - A to szkiełko? To próbka tkanki?

- Tak... uszkodzonej.
- Przez ogień?
- Nie. Przez coś... co w niej było. Quinn wciągnął powietrze.
- Wciąż nie wiemy... dokładnie, co to jest. To skomplikowane. Jutro powinniśmy wiedzieć... więcej... ale jedno mogę powiedzieć już teraz.
- No?
- To wirus.

TLR

Rozdział 28

Kilka ulic od KaDeWe znalazł kafejkę internetową. W skrzynce czekało obiecane zdjęcie Henry'ego Jansena. Natychmiast rozpoznał tę twarz. To był Taggert. Przez kwadrans próbował wejść na stronę FTP, której adres przysłał mu Kret. „Taggert”, „Jansen”, „wirus”, wszelkiego rodzaju odmiany i połączenia. Wystukał datę urodzenia z jego prawa jazdy i „215 Yancy Lane”, adres domu, w którym Taggert mieszkał i spłonął. Spróbował nawet „Campobel-lo”, przekonany, że to musi być to. Nic z tego. Żadne hasło nie pasowało.

Z ulicy ponownie zadzwonił do Petera.

- Albo pomożesz mi już teraz - powiedział - albo zrywam współpracę.
- To groźba? - spytał Peter.
- Jak najbardziej. Peter długo milczał.
- Cztery lata temu - odparł w końcu. - Montevideo. Pamiętasz?
- Ramos.

Ramos był miejscowym politykiem, który popadł w konflikt z kartelem narkotykowym. Ktoś chciał mu pomóc -pewnie miał w tym swój interes - i wynajął Biuro, które zorganizowało zamach na szefa kartelu. Nie wszystko poszło zgodnie z planem i Quinn musiał „zgubić” kilka ciał.

- Więc co z tym Ramosem?
- Twój ówczesny łącznik. Quinn zmarszczył czoło.
- Burroughs. Był chyba z CIA albo z NSA, tak?
- Coś w tym rodzaju.
- No i?
- On powie ci więcej.
- Gdzie go znajdę?
- Pracuje teraz w kwaterze głównej NATO. Quinn drgnął.
- W Brukseli?
- Tak.

- A może znowu próbujesz mnie zrobić? Nie udało się w Berlinie, może uda się tam?

- Sam zdecydujesz.

- Zaczekasz na mnie?

Wrócił do nieczynnego sklepu w Neukölln, kupiwszy po drodze dwa śpiwory, nadmuchiwane materace i dwa lekkie składane krzesła. Orlando siedziała na podłodze w ich „sypialni”, wpatrując się w ekran monitora. Powiedział jej to, czego dowiedział się od Kreta. Potem zapisał na kartce adres strony FTP i nazwę użytkownika na wypadek, gdyby miała okazję - a raczej chęć - spróbować swych sił i tam się włamać. W końcu streścił jej rozmowę z Peterem.

- Zaczekasz? - powtórzył.

- Chyba żartujesz - odparła. - Jeśli dowiem się czegoś, co pomoże mi odzyskać Garretta, na pewno nie zostanę.

- Nawet jeśli rozsądniej jest działać razem? Spiorunowała go wzrokiem.

- Mówimy o moim synu. Nie rozumiesz tego, prawda? Znajdę najmniej-
szy nawet ślad i natychmiast znikam.

Ukucnął i położył jej rękę na kolanie.

- Nieprawda, rozumiem. Chcę tylko powiedzieć, że większe szanse mielibyśmy razem.

Wstała i ruszyła do drzwi.

- Orlando.

Przystanąła, ale nie odwróciła głowy.

- Po prostu zaczekaj - dodał.

Zaczęła oddychać głębiej i gniewniej, ale nie powiedziała „nie”.

Wynajął samochód i pojechał na południowy zachód. Ostatnie śnieżyce pomalowały krajobraz na białą, ale drogi były czyste i samochody poruszały się szybko.

Jadąc, opracowywał plan działania na Brukselę. Nie mógł zwrócić się do Burroughsa bezpośrednio. Chociaż w Ameryce Południowej stali po tej samej stronie barykady, Burroughs nie ukrywał pogardy dla wolnych strzelców. Był aroganckim dupkiem, który uważał, że pracując dla rządu, jest lepszy niż „szumowiny”, z którymi musi się zadawać.

No i była jeszcze sprawa Petera. Jeśli Peter się sprzedał, Bruksela mogła okazać się kolejną pułapką. Dlatego telefon do Burroughsa nie wchodził w grę.

Ale to nic. Akurat ten problem można było łatwo obejść.

Kilka minut po północy zostawił samochód na parkingu w centrum Frankfurtu. Zatrzymał taksówkę i kazał zawieźć się do hotelu w pobliżu lotniska. Zanim poszedł do pokoju, zajrzał do czynnego przez całą dobę hotelowego centrum biznesowego, żeby sprawdzić pocztę.

Wszedł na swój adres główny. W skrzynce czekała tylko jedna wiadomość. Z dwoma załącznikami w formacie JPG. Otworzył pierwszy.

Zwęziły mu się oczy, zacisnęły szczęki.

Było to zdjęcie Nate'a. Siedział przywiązany do oparcia metalowego krzesła. Miał zmasakrowaną twarz i za-puchnięte oczy. Na jego kolanach leżała gazeta, „International Herald”. Poranne wydanie. Stary, ale wciąż skuteczny sposób. Dowód, że jeszcze z rana Nate żył.

Chociaż bał się tego, co może przedstawiać drugie zdjęcie, wiedział, że musi je obejrzeć. Przedstawiało Garretta. Ale w przeciwieństwie do Nate'a, chłopiec robił wrażenie całego i zdrowego. Zdjęcie zrobiono z profilu: Garrett siedział na podłodze z oczami utkwionymi w ekran dużego telewizora. Quinn nie znał tego pokoju. Na pewno nie było to mieszkanie Orlando. Nie był to nawet Wietnam.

W tle widniało okno z odsłoniętymi firankami. A za nim sąsiedni dom. Budynek z grubą warstwą śniegu na dachu. Było również niebo. Ciężkie, szare i zachmurzone. Gdyby miał się domyślać, powiedziałby, że niemieckie.

Ale z drugiej strony może właśnie o to chodziło nadawcy, żeby tak pomyślał. W erze komputerów podrabianie zdjęć było bardzo łatwe. Nawet mierny grafik z Photoshopem mógłby wysłać Garretta na drugi koniec świata.

Ale to nie sceneria była najważniejsza. Najważniejsza była kryjąca się za zdjęciami wiadomość: „Lepiej z nami nie zadzierajcie”.

Ale jeśli zdjęcia Garretta nie spreparowano, istniała szansa, że da się chociaż w przybliżeniu ustalić, gdzie zostało zrobione. Szansa niewielka, ale warto było spróbować. Quinn kliknął myszką **UTWÓRZ WIADOMOŚĆ**, załączył plik ze zdjęciem Garretta i napisał:

Tak, to kolejna prośba. Muszę wiedzieć, gdzie je zrobiono. JQ

Wysłał wiadomość i potem zapisał zdjęcie w pamięci pendrive'a.

O ósmej złapał samolot do Brukseli. To było najłatwiejsze. Najtrudniejsze dopiero go czekało. Potrzebował dojścia. Kogoś, komu Burroughs ufał, a nawet jeśli nie ufał, to przynajmniej nie podejrzewał, że ten ktoś nie zrobi niczego dziwnego czy niespodziewanego. Quinn kogoś takiego znał.

Znalezienie mieszkania Kennetha Murraya nie było trudne. Wystarczyło tylko usiąść przy komputerze, włamać się do działu kadr NATO i zanotować jego domowy adres.

Potem zjadł niespieszny lunch w małej, cichej restauracji. Ponieważ zostawił broń w Berlinie, po południu odwiedził znajomego handlarza i godzinę później miał już nową. Po lunchu pojechał taksówką do Murraya i wszedł do jego mieszkania.

Wyglądało na to, że Murray znowu mieszka sam. Druga żona, Flamandka o imieniu Ingeborg, zostawiła go przed kilkoma laty. Zaraz potem wprowadziła się do niego turecka sekretarka z NATO. Ale nie widać było śladów jej obecności.

Mieszkanie miało zdecydowanie męski klimat. W saloniku dominował wielki telewizor; Quinn pamiętał, że Murray lubi sport, głównie futbol amerykański, piłkę nożną i baseball. Pamiątki z licznych placówek dzieliły miejsce z rzędami książek, z których Ken przeczytał pewnie tylko kilka. Seria wielkich filozofów. Seria historyczna. Seria pa-rapsychologiczna. Wszystko po to, żeby zaimponować szefostwu, kolegom z pracy i nowej dziewczynie.

Quinn wszedł do kuchni. Była schludna, czysta i dobrze zaprojektowana. Nie zdziwił się, że lodówka jest prawie pusta. Butelka chardonnay, śmie-

tanka do kawy. Nic do jedzenia. Murray należał do tych, którzy wszystkie posiłki jadają w mieście.

Z korytarza za salonikiem wchodziło się do dwóch pokoi. W większym stało podwójne łóżko, toaletka z czarnej laki i elegancka szafka z najnowocześniejszą aparaturą stereo.

W mniejszym mieściło się jego domowe biuro z biurkiem, komputerem, drukarką i skanerem. Prywatny gabinet, pokój, do którego najwyraźniej nikogo nie zapraszał. Tu nie musiało już być porządku. Wszędzie walały się sterty papierów, teczek i książek.

Quinn zastanawiał się, czy nie włączyć komputera i nie podjąć kolejnej próby włamania się na stronę FTP, ale istniało duże prawdopodobieństwo, że ktoś śledzi jego internetowe poczynania. Murray nie należał do najważniejszych urzędników NATO, był jednak na tyle ważny, że mógł przyciągnąć uwagę z różnych stron.

Wrócił do kuchni, nalał sobie kieliszek wina i wszedł do saloniku. Znalazł pilota i włączył telewizor.

Nie ma sensu nudzić się przez całe popołudnie, pomyślał, siadając w fotelu.

Murray wrócił do domu dziesięć po ósmej. Odkąd Quinn widział go ostatni raz, trochę zrzedły mu włosy, ale poza tym wciąż był tym samym Murrayem, którego Bóg pobłogosławił nierzucającą się w oczy twarzą. Ani zbyt wysoki, ani zbyt niski idealnie nadawał się na kuriera czy pośrednika.

Pół godziny wcześniej Quinn zgasił telewizor. Siedział w ciemnym saloniku z drugim kieliszkiem wina, gdy nagle otworzyły się drzwi. Początkowo Murray go nie zauważył. Po prostu wszedł do mieszkania i zapalił światło. Nuąc cicho pod nosem, wrzucił klucze do ceramicznej miseczki na stoliku i wszedł do pokoju.

- Do późna pracujesz - powiedział Quinn. Zaskoczony Murray oparł się ciężko o drzwi. Gwałtownie wciągnął powietrze, próbując złapać oddech.

- Kim pan, do diabła, jest?

- Ken, przecież niedawno się widzieliśmy. Masz aż tak słabą pamięć?

Murray wytrzeszczył oczy.

- Quinn.

- Jak się masz?

Podczas ostatnich dwóch zleceń Murray był jego kontaktem awaryjnym. W sumie widzieli się tylko dwa razy: na meczu piłkarskim w Ostendzie i na kolacji w knajpce niedaleko jego poprzedniego mieszkania. Murray był nerwusem. Dużo gadał, mało robił.

Jakimś cudem ubzdurał sobie, że Quinn zarabiał na chleb zabijaniem ludzi. Quinn postanowił nie wyprowadzać go z błędu. I podczas pierwszego, i podczas drugiego spotkania miał wrażenie, że Murray chce jak najszybciej wyjść.

- Co ty tu robisz?

- Ot, wpadłem na małą pogawędkę.

Murray strzelił oczami w stronę kuchni, potem w stronę korytarza.

- Jesteś sam?

- Chwilowo.

Ta odpowiedź bynajmniej nie zmniejszyła napięcia malującego się na twarzy urzędasza.

- O czym chcesz porozmawiać?

Quinn swobodnie wstał. Murray natychmiast cofnął się pod ścianę.

- Przestań, Ken. Za kogo ty mnie masz? Myślisz, że chcę zrobić ci krzywdę?

- Nie wiem. Ale wiem, na co cię stać.

- Jesteśmy po tej samej stronie, staruszkule. Chcę tylko pogadać. - Wskazał sofę. - Usiądź. Dam ci kieliszek wina. Dobrze?

- Nie, dziękuję.

- Odpężysz się trochę.

Quinn zaczął czekać, aż Murray oderwie się od ściany i usiądzie.

- No widzisz? To nie było takie trudne.

Poszedł do kuchni i wyjął butelkę z lodówki. Z szafki nad zlewem wziął kieliszek i wrócił do saloniku. Stał obok fotela i nalał po sam brzeg.

- Masz. - Podał kieliszek Murrayowi. - Bardzo dobre. Ja też się napiłem.

Ken wziął niepewnie kieliszek, podniósł go do ust i wypił duży łyk wina.

- Lepiej? - Quinn usiadł. Murray kiwnął głową.
 - Powiesz mi teraz, czego chcesz?
 - Tylko porozmawiać.
 - Tylko?
 - To zależy od rozmowy. Murray wypił kolejny łyk wina.
 - Przyszedłeś mnie zabić?
 - Ja nikogo nie zabijam. Chyba że muszę. - Quinn przekrzywił głowę. - Myślisz, że... będę musiał?
- Murray gwałtownie pokręcił głową.
- Nie.
 - To nie ma sprawy. Nie musisz się niczym martwić. Murray trochę się odprężył.
 - Wiesz - powiedział, wciąż z nerwową nutką w głosie. - Naprawdę mnie wystraszyłeś.
- Quinn milczał.
- Myślałem, że to włamywacz albo coś. Quinn wciąż milczał.
 - Cieszę się, że nie.
 - Ja chyba też.
 - No dobra. - Murray uśmiechnął się niepewnie. - Więc czego chcesz?
 - Szukam kogoś.
 - Kogo?
 - Pewnego faceta. Pracuje w NATO. Prawdopodobnie od niedawna.
 - Jak się nazywa?
 - Burroughs.
 - Mark Burroughs? - Murray owi rozszerzyły się oczy.
 - Widzę, że go znasz.
 - Nie pomogę ci.
 - Rozczarowujesz mnie.
 - Burroughs to gruba ryba. Jest nietykalny. Jak dotąd udawało mi się trzymać od niego z daleka i naprawdę nie chcę tego zmieniać.

Quinn nachylił się i jego twarz znalazła się kilkanaście centymetrów od twarzy Murraya.

- A już miałem nadzieję, że nie będę musiał mówić nikomu o tym małym incydencie w Lizbonie, o którym mi opowiadałeś.

Ken odruchowo się cofnął.

- Więc pomożesz mi czy nie? Murray zamknął oczy.

- Niech cię szlag. Dlaczego musiałeś wybrać akurat mnie?

Quinn uśmiechnął się ciepło.

- Bo wiedziałem, że można na ciebie liczyć.

Po kilku telefonach Murray dowiedział się, że Burroughs je kolację w Ducjuois, małej, ekskluzywnej restauracji w śródmieściu.

- Proszę. - Zapisał adres i podał go Quinnowi. - Miłej rozmowy.

- Chyba źle mnie zrozumiałeś, Ken. Pójdziesz ze mną.

- Nie, nigdzie nie pójde. Quinn posłał mu uśmiech.

- Założymy się?

Rozdział 29

Pół godziny później wysiadł z taksówki ulicę za restauracją. Przedtem kazał taksiarzowi zrobić kółko po najbliższej okolicy i sprawdził, czy nikt tam na niego nie czeka. Wszystko wyglądało normalnie.

Zaprowadzono go do stolika przy drzwiach. Zamówił szklanę wody mineralnej i faszerowane grzyby na przystawkę. Nie musiał szukać Burroughsa. Zobaczył go, kiedy tylko wszedł.

Agent siedział w przy stoliku w kącie sali. Wciąż miał ten sam gust. Wszystkie musiały być wysokie, wszystkie musiały mieć jasne włosy i wyglądać jak lalka Barbie. No i oczywiście musiały być młodziutkie. Ta, która towarzyszyła mu tego wieczoru, miała najwyżej dwadzieścia cztery lata, ćwierć wieku mniej od niego. On sam też się nie zmienił. Wciąż był nienaturalnie opalony i wciąż miał farbowane na czarno włosy. I jak zwykle był w skrojonym po europejsku kosztownym garniturze.

Właśnie kończyli główne danie. Pomocnik kelnera podszedł do ich stolika i zabrał kilka talerzy. Chwilę później pojawił się kelner z butelką wina. Pokazał ją Burroughsowi, ten skinął głową i wrócił do rozmowy z kobietą.

Otworzyły się drzwi. Wszedł Murray. Przystanął nerwowo przed pulpitem szefa sali, czekając, aż ten go zauważy. Chciał zerknąć na Quinna, ale najwyraźniej doszedł do wniosku, że to kiepski pomysł. Maitre d' podniósł wzrok. Murray powiedział coś i obydwaj spojrzeli na Burroughsa.

Maitre d' odwrócił się i o coś spytał. Ken odpowiedział i wsunął mu do ręki kilka banknotów. Maitre d' uśmiechnął się z zadowoleniem i schował pieniądze do kieszeni. Potem podniósł rękę, każąc Murrayowi zaczekać, i ruszył w stronę Burroughsa.

Przystanął przy stoliku, nachylił się i szepnął mu coś do ucha, wskazując wejście. Burroughs zerknął przez ramię i Murray pomachał do niego ręką. Agent nie miał zbyt przyjemnej miny. Powiedział coś do towarzyszącej mu kobiety, wstał i maitre d' poprowadził go do wyjścia.

Kiedy minęli Quinna, ten położył na stoliku pieniądze, też wstał i dyskretnie ruszył za nimi.

- Czego pan chce? - spytał Burroughs, kiedy tylko stanął przed Murrayem.

Quinn minął ich, zatrzymał się przed gablotą z deserami i nachylił się, żeby obejrzeć ciasta. Słyszał niemal każde słowo.

- Nazywam się Kenneth Murray. Planowanie strategiczne.

- Wiem, kim pan jest. Dlaczego przerywa mi pan kolację?

Burroughs znał jego nazwisko - Ken poczuł się chyba trochę nieswojo.

- Mamy nagłą sytuację, która wymaga pańskiej obecności.

- Jaką sytuację?

- Nie wiem. Byłem w biurze i zgłosiłem się, że pana zawiadomię.

- Dlaczego ktoś do mnie nie zadzwonił?

- Powiedziano mi, że to zbyt delikatna sprawa. Musi pan załatwić to w cztery oczy.

Burroughs zmarszczył czoło.

- Dobrze. Jest tu tylko pan i ja. Słucham. Co ma mi pan do przekazania?

- Nie jestem łącznikiem - odparł Murray, trzymając się ustalonego z Quinnem scenariusza. - Robię za kierowcę. Kapitan czeka w samochodzie. W mundurze za bardzo rzucalby się w oczy. Dlatego po pana przyszedłem.

Burroughs ciężko westchnął.

- Daleko stoicie?

- Po drugiej stronie ulicy.

- Niech pan zaczeka. - Burroughs wrócił do stolika. Kiedy tylko odszedł, Quinn leciutko skinął Murrayowi głową. Ten wyglądał tak, jakby miał za chwilę zemdleć.

Burroughs rozmawiał z blondyną; pewnie obiecywał jej, że zaraz wróci.

To była ta chwila. Quinn wyszedł.

Kilka minut później usłyszał kroki na brukowanym chodniku. Siedział na tylnym siedzeniu samochodu Murraya, sztywno wyprostowany, jak na wojskowego przystało. Kazał Kenowi zaparkować jak najdalej od latarni. On miał ich jak na dłoni, oni zaś widzieli tylko jego ciemną sylwetkę.

Zaczekał, aż podejda na kilka kroków, otworzył drzwiczki i wysiadł.

- Dobrze, kapitanie - zaczął Burroughs. - Rozumiem, że ma pan... - Urwał i wytrzeszczył oczy. - Kim pan, do diabła, jest? - Spojrzał na Murraya. - Co tu się dzieje?

- My się już znamy - powiedział Quinn. Burroughs zeszywniał.

- Tak? - Zmrużył oczy. - Tak, rzeczywiście. Z Manili?

- Nie. Z Montevideo. Burroughs kiwnął głową.

- Ramos.

- Zgadza się.

- Quinn?

- To też się zgadza.

- Czego chcesz?

- Może lepiej wsiądziemy do samochodu? Będzie zaciszniej.

Burroughs cofnął się i zmrużył oczy.

- Wolę nie.

Quinn wyjął z kieszeni pistolet.

- Może tak to zabrzmiało, ale to nie była prośba.

Murray prowadził, oni siedzieli z tyłu.

- Będą mnie szukać - ostrzegł Burroughs. - Wpadliście w gówno po same uszy.

Quinn westchnął.

- Czy robię wrażenie przejętego?

- Czego chcesz?

- Wymiany informacji.

- Ja się niczym nie wymieniam.

- Opowiedz mi o Taggercie.

Burroughs spojrzał na niego z pogardą, ale jego oczy mówiły: do kurwy nędzy, skąd ty o nim wiesz?

- To nazwisko ma mi coś mówić? - spytał.

- Może inne to coś ci powie: Henry Jansen. Tym razem Burroughsowi drgnęła lewa powieka.

- To trochę zagmatwane - dodał Quinn. - Bo to jedna i ta sama osoba.

Agent wzruszył ramionami.

- Skoro tak mówisz. Ale co z tego?

- Jansen miał wam przekazać jakieś informacje. Na temat operacji zorganizowanej przez Borka.

Burroughs przeszył go wzrokiem i spojrzał na Mur-rraya.

- Stań - rozkazał.

Zaskoczony Murray kopnął pedał hamulca. Burroughs sięgnął do klamki.

- Siedź. - Quinn podniósł pistolet. - Jedź dalej, Ken.

- Zatrzymaj ten pieprzony samochód! - warknął Burroughs. - Nie wiem, co tu jest grane, ale ja wysiadam.

- Jedź, Ken - powtórzył Quinn. Wymierzył Burroughsowi w pierś. - Jeśli myślisz, że żartuję, to się mylisz. Moi przyjaciele, ludzie, na których mi bardzo zależy, mają przez was kłopoty. Dlatego chociaż mam swoje zasady, w tej sytuacji jestem gotów je złamać.

Burroughs zacisnął zęby. Jego palce wciąż obejmowały klamkę. Quinn czekał. Było oczywiste, że agent coś wie. W końcu Burroughs zabrał rękę i opadł na siedzenie.

- Jansen - powiedział. - Taggart. Dobrze, masz rację. To jedna i ta sama osoba.

Quinn milczał.

- I owszem - dodał Burroughs. - Twierdził, że coś dla nas ma.

- Dla nas? To znaczy dla kogo? - Quinn lekko przesunął lufę pistoletu, żeby Burroughs o niej nie zapomniał.

- Dla agencji. A myślałeś, że dla kogo?

- Co chciał wam powiedzieć?

- Gdybyśmy wiedzieli, nie musiałby nic mówić.

- Nigdy nie wspomniał o próbce jakiegoś materiału biologicznego?

- Nie wchodził w szczegóły.

- I to wszystko? Burroughs jakby się zawahał.

- Powiedział, że to „robota na zamówienie”. Quinn zmarszczył brwi.

- Czyja robota?

- Nie wiem. Miał mi to przekazać na spotkaniu.
- Gdzie się umówiliście?
- W Vail. Na stoku.
- Kiedy?
- Kiedy wybuchł ten pożar. Byłem tam, ale on się nie pojawił.
- Nie wiedziałeś, gdzie mieszka?
- Nie. Uparł się, że wszystko zaplanuje sam. Zgodził się tylko na kierowcę.
- W ramach ochrony?
- Nalegaliśmy.
- I kierowca nie powiedział ci, gdzie Taggert mieszka?
- Taki dostała rozkaz. Facet był bardzo nerwowy. Nie chcieliśmy niczego zepsuć.

„Dostała?” Ona?

- Jills - powiedział Quinn.
 - To ty ją znalazłeś, tak?
- Quinn patrzył na niego zwięzionymi oczami.
- Jaką rolę odgrywa w tym Biuro?
- Burroughs się zawahał. Nie bardzo wiedział, co chce i może mu powiedzieć.
- Jeśli ci powiem, ty powiesz mi wszystko, co wiesz.
 - Miała być wymiana, będzie wymiana. Burroughs kiwnął głową.
 - Ale jak dotąd nic nie powiedziałaś.
 - Słusznie...
 - Quinn! - odezwał się Murray.
 - Tak?
 - Miałem uważać.
 - No i?
 - Chyba nas śledzą.
- Quinn odwrócił się i spojrział w tylne okno. Jechało za nimi kilka samochodów.

- Który?

- Sedan. Ten pierwszy.

Dwie długości samochodu za nimi jechał ciemny ford.

- Jesteś pewny?

- Parę razy skręciłem. Siedzi nam na ogonie.

- Skręć jeszcze raz. Na tym skrzyżowaniu. Bez migacza.

Murray skręcił. Ford skręcił za nimi.

- Jeszcze raz - rzucił Quinn. - W pierwszą w lewo. Ford skręcił za nimi jak przyklejony. Burroughs miał zadowoloną minę.

- Mówiłem, że przyjadą.

- Jezus Maria - wyjęczał Murray. - Skąd on się tu wziął?

- Ta blondynka - domyślił się Quinn. - Pracuje dla ciebie, prawda?

Burroughs tylko się uśmiechnął.

- Ta dziewczyna? - spytał Murray.

- Pewnie widziała, jak zabieramy naszego przyjaciela na przejażdżkę i zawiadomiła kogo trzeba.

- Przykro mi - powiedział Burroughs. - Chyba już skończyliśmy.

- Zgub go - rzucił Quinn.

- Żartujesz? - wykrztusił Murray. - I tak mnie już wkopałeś.

- Masz rację, Ken - wtrącił Burroughs. - Nie pogarszaj swojej sytuacji.

Quinn przeszył go wzrokiem.

- Cicho.

- Wal się - odparował Burroughs. - Ken, stań, a przekonam ich, że cię do tego zmusił.

Quinn opuścił lufę pistoletu i pociągnął za spust.

Kula przebiła prawą stopę i Burroughs wrzasnął z bólu. Murray nie potrzebował lepszej zachęty. Natychmiast dodał gazu.

Rozdział 30

Quinn wiedział, że zostało mu bardzo mało czasu. Zerknął na Burroughsa. Agent siedział pochylony, trzymając się za nogę.

Quinn posadził go prosto.

- Posłuchaj, dupku. Możesz mi wierzyć albo nie, ale jeszcze kilka minut temu nie byłem twoim wrogiem. - Wbił mu w ramię lufę pistoletu. - To też cię nie zabije. Ale będzie bolało jak jasna cholera.

Burroughs podniósł zakrwawioną rękę.

- Koniec z wymianą - ciągnął Quinn. - Od tej chwili będzie to swobodny przepływ informacji. W jedną stronę. Jasne?

Agent kiwnął głową.

- Dlaczego wciągnęliście w to Biuro? Burroughs skrzywił się z bólu.

- Taggart nie był wiarygodnym informatorem. Już przedtem podnosił fałszywy alarm. Gdyby coś poszło nie tak, nie chcieliśmy oberwać rykoszetem. Biuro zapewniało ochronę.

- Biuro, czyli Jills?

- Tak.

Quinn potarł czoło. Kolejna rzecz, którą zataił przed nim Peter.

- O co chodziło Taggartowi? Burroughs nerwowo zerknął przez ramię.

- Tak, twoi przyjaciele wciąż za nami jadą. Ale spokojnie. Mów.

- Pracował pod przykrywką. Na własną rękę.

- Jako wolny strzelec?

- Raczej jako samotnik.

- Czym się zajmował?

- Prowadził badania.

- Jakie?

- Mówił, że biologiczne. Z wykształcenia był wirusologiem.

- I pracował dla tych, którzy robili coś... „na zamówienie”?

- Tak mówił.

- To Borko im szefował?

- Nie. Jansen twierdził, że Borko jest tylko narzędziem.

- Jeśli nie Borko, to kto?

- Jakiś Dahl.

- Musiał powiedzieć coś więcej. Co to były za badania? Nad czarną ospą? Nad ebolą?

- Nie, nie. - Burroughs pokręcił głową. - Ani nad ospą, ani nad ebolą. Nad czymś innym. Ale wciąż mu nie wierzyliśmy. Wtedy powiedział, że ma konkretny dowód. Dlatego się z nim umówiłem. Ale dowód, jeśli w ogóle istniał, przepadł w pożarze.

Może niezupełnie. Quinn pomyślał o bransolecie.

- Ale to bez znaczenia - dodał Burroughs.

- Dlaczego?

- Bo Jansen był jedynym źródłem informacji. Nie mieliśmy potwierdzenia. Już mówiłem, był niewiarygodny. Chodziło mu tylko o kasę.

Quinn roześmiał się gorzko.

- Olaliście go.

- Już przedtem robił z igły widły. Nie było powodu myśleć, że tym razem jest inaczej. Poza tym twierdził, że macza w tym palce Borko. A według naszych źródeł Borko od miesiąca nie miał żadnego zlecenia.

Quinn nie wierzył własnym uszom.

- W takim razie dlaczego go zamordowano? Dlaczego zorganizowano kłopot?

- Zwykle nieporozumienie między agencjami. Taggart znalazł się w niewłaściwym miejscu w nieodpowiednim czasie.

- I ty to kupiłeś?

Burroughs zwlekał z odpowiedzią.

- Tak.

- Idiota. - Quinn spojrzał w tylne okno. Jechało za nimi kilka samochodów, ale nie widział wśród nich forda. - Zgubiłeś go, Ken?

- Nie wiem - odparł Murray. - Chyba ciągle tam jest, tylko trochę dalej.

- Świetnie ci idzie. Spróbuj zwiększyć trochę odległość.

- Kurwa - wyjęczał Murray. - Już po mnie.
- Zajmę się tym - powiedział Quinn. - Nic ci nie będzie.
- Jak się tym zajmiesz? - Murray zerknął przez ramię.
- Spokojnie, zaufaj mi.
- No i co teraz? Będziemy tak jeździć przez całą noc?
- Najpierw mnie wysadzisz. Potem weźmiesz krótki urlop. Wystarczy tydzień.
- Ty sukinsynu - mruknął Murray.
- Przecież nie pomogę ci, siedząc w areszcie.
- Nie uda ci się - powiedział słabym głosem Burroughs.
- Naprawdę? - odparł Quinn. - Lepiej się módl, żeby się udało. - Spojrzał w przednie okno. - Pierwsza w prawo, Ken. Potem znowu w prawo. Murray skręcił. Kiedy skręcił po raz drugi, Quinn położył rękę na klamce.
- Do krawężnika. Teraz.
- Murray zjechał na bok i zahamował. Quinn otworzył drzwiczki.
- Nie martw się - powiedział i wysiadł.
- Wal się - mruknął Murray.

Zamiast na brukselskie lotnisko, pojechał do Amsterdamu, gdzie o siódmej rano złapał samolot do Hamburga. Tam przesiadł się na pociąg do Berlina i wysiadł na Dworcu Zoo. Zszedł do metra i niecałe dwie minuty później wsiadł do pociągu jadącego na wschód. Ale nie pojechał prosto do Neukölln. Kilka razy się przesiadał, sprawdzając, czy nikt go nie śledzi. Nikogo nie zauważył.

Na miejsce dotarł o wpół do drugiej po południu. Na Karl Marx Strasse roiło się od ludzi, którzy korzystając z ciepłego dnia, wybrali się na zakupy. Kupił dwie kanapki z kielbasą, dwie puszki coli i poszedł do sklepu.

Myślał, że jednak wyjechała, że sklep będzie zupełnie pusty i opuszczony. Ale kiedy otworzył drzwi i wszedł do środka, wyczuł, że stoi tuż za nim.

- Mogłam cię zabić.

Powoli się odwrócił. Trzymała w ręku glocka wycelowanego w podłogę u jego stóp. Miała zaczerwienione oczy i szarą, ściągniętą twarz. Pewnie w ogóle nie spała.

- Gdzieś ty był?

- W Brukseli. Przecież ci mówiłem.

- Myślałam, że wrócisz wczoraj. - Gniewnie błysnęła oczami.

- Nie mogłem, coś mi wypadło.

Minął ją, wszedł do pokoju i usiadł. Wyjął z torebki kanapkę. Orlando zawahała się i weszła za nim. Podał jej torebkę.

- Dla ciebie też mam. Jakby go nie widziała.

- Trzeba było zadzwonić.

Omal na nią nie warknął. Jakoś się powstrzymał.

- Masz rację. Przepraszam. - Podniósł torebkę. - Zjedz kanapkę.

Przez chwilę myślał, że wytrąci mu ją z ręki, ale nie, wzięła torebkę i usiadła po turecku naprzeciwko niego.

Jedząc, opowiedział jej o spotkaniu z Burroughsem. Nie odzywała się, kiwała tylko głową.

- I jeszcze coś - dodał. Wyczekująco podniosła wzrok.

- Przed wyjazdem do Belgii dostałem coś w e-mailu. W jej oczach roz-
błysły iskierki.

- Co?

- Pokażę ci.

Podniósł z podłogi przenośny monitor i położył go na kolanach. Z kieszeni wyjął pendrive i wetknął go w boczne gniazdo. Orlando przysunęła się bliżej, żeby lepiej widzieć. Zlokalizowanie plików, które wgrał we Frankfurcie, trwało tylko kilka sekund. Najpierw otworzył ten z Nate'em.

Orlando głośno wciągnęła powietrze na widok poranionego kolegi.

- Żyje - powiedziała.

- Żywy jest dla nich cenniejszy, przynajmniej na razie.

- Widziałam tam dwa pliki.

Powoli kiwnął głową. Nie chcąc, lecz nie mając innego wyjścia, zamknął zdjęcie i otworzył drugi plik. Tym razem omal nie krzyknęła.

- Gdzie on jest? - Obiema rękami dotknęła ekranu.

- Nie wiem. Mogli to spreparować.

Przyciągnęła monitor tak blisko, że jej twarz znalazła się trzydzieści centymetrów od zdjęcia.

- Wygląda znajomo? - spytał. - Nie miejsce, tylko poza, w jakiej siedzi.

- Nie, widzę to pierwszy raz. - Natychmiast zrozumiała, do czego zmierza.

Było prawdopodobne, że ludzie Dahla zabrali zdjęcie z jej domu i podmienili tło. Jeśli tak, mogło dojść do czegoś znacznie gorszego niż porwanie i Dahl musiał stworzyć iluzję, że Garrett żyje. Ale jeśli Orlando nie rozpoznała ani jednego fragmentu zdjęcia, możliwe, że było prawdziwe.

- Gdzie on jest? - powtórzyła. - Gdzie on, do cholery, jest?

- Znajdziemy go. Obiecuję.

Rozszerzyły jej się nozdrza. Jakby czekała, aż Quinn coś doda, ale nic, co przychodziło mu do głowy, nie zmieniłoby sytuacji.

W końcu powiedziała:

- Musisz coś zobaczyć.

Usiadła obok niego i przesunęła monitor tak, żeby wygodniej im było patrzeć. Nacisnęła kilka przycisków, szukając odpowiedniego przedziału czasowego. Ekran był przez chwilę czarny. Potem pojawił się na nim obraz z piwnicy zakładów wodociągowych, z pomieszczenia bez chłodni.

Było tam czterech mężczyzn. Na stołach leżało kilka butli z powietrzem. Jeden z mężczyzn włączył przenośny kompresor na podłodze.

- Tutaj.

Orlando wskazała ekran. Z boku stał samotnie, obserwując tamtych, piąty mężczyzna. Borko.

Nie zmienił się, odkąd Quinn widział go w Toronto. Może tylko posiwiał i jego ciemnobrązowa grzywa trochę poszarzała.

- Zaczekaj.

Orlando nacisnęła guzik i obraz przyspieszył. Mężczyźni biegali od butli do butli, napieniając sprężonym powietrzem te, które tego wymagały. Skończywszy, ułożyli je rzędem na podłodze obok szafki.

- Teraz. - Film zwolnił do normalnej prędkości. Kiedy mężczyźni wychodzili, zadzwonił telefon. Borko

ponaglił ich ruchem ręki, sięgnął do kieszeni i wyjął komórkę. Spojrzał na ekranik i przytknął aparat do ucha.

- Borko - powiedział.

Przez chwilę słuchał, potem zaczął mówić. Ale nie po serbsku czy niemiecku. Po angielsku.

- Tak. Tak. Zgodnie z planem. Reszta dojedzie dziś wieczorem... Nie martw się. Mamy czterdzieści osiem godzin, tak? Trochę mało, ale damy radę... Nie, nie musisz się jeszcze ujawniać. Wrócę wieczorem. Sprawdzę, czy wszystko dotarło. Jutro poskładamy to do kupy i będzie dobrze. - Rozciągnął usta w uśmiechu. - Nie, ani śladu, ani jego, ani tej kobiety. Ale mamy kartę przetargową. Wysłałeś te zdjęcia? - Znowu szeroki uśmiech. - To powinno ich powstrzymać. Jeśli nie złączą rozrabiać, pozbędziemy się ich po dostawie.

Orlando zatrzymała obraz.

- Dalej nie mówi już nic ważnego. Jak myślisz, z kim rozmawiał? Z Dahlem?

Kiwnął głową.

- Możliwe.

Zmarszczyła brwi. Przeniosła wzrok z powrotem na ekran i nacisnęła guzik.

Borko schował telefon do kieszeni marynarki i spojrzał na mężczyznę, który właśnie wszedł do piwnicy.

- Zatrzymaj - rzucił Quinn.

Mężczyzna stanął obok Serba. Miał krótko ostrzyżone rudoblond włosy i metr osiemdziesiąt pięć wzrostu.

- Znasz go?

- Tak. To Leo Tucker.

Zaskoczona Orlando wytrzeszczyła oczy.

- Jesteś pewny?

- Tak.

Zapadła cisza.

- A więc Piper i jego ludzie nie tylko nas zakablowali. Oni w tym siedzą. Nie odpowiedział od razu. Wolałby zatrzymać swoje myśli dla siebie, ale wiedział, że nie może.

- A jeśli Piper to... Dahl?

Orlando otworzyła i zamknęła usta. Było widać, że poskładała części układanki i nagle wszystko zrozumiała.

- No, jasne. To jest to. Piper to Dahl.

- Animozje animozjami, ale było między nimi coś więcej, prawda? Między nim i Durriem. - Quinn próbował przypomnieć sobie okoliczności, w jakich się rozstali.

- Durrie uważał go po prostu za durnia - odparła Orlando. - Ale tak, Piperowi mogło chodzić o coś więcej. Durrie wykopał go z ważnej fuchy, za coś drobnego. Chyba za to, że zapomniał o jakimś spotkaniu. Powiedział, że przez niego wyszli na amatorów. Wieszał na nim psy przez wiele miesięcy. Piper stracił wiarygodność. Minęły lata, zanim zdołał ją odzyskać.

- Tak, ale sądząc po tym, co mi opowiadał, Durrie szukał tylko pretekstu, żeby z nim zerwać i wyjść ze spółki. Dlatego wróciwszy do gry, Piper próbuje się zemścić. A ponieważ Durrie już nie żyje, mści się na tych, których mógł dopaść. Na jego przyjaciółce i uczniu. Na tobie i na mnie.

- InaGarrecie.

- Nie. Garrett to premia. Piper mógł się dowiedzieć o jego istnieniu dopiero wtedy, kiedy do ciebie przyjechałem. - Quinn zamilkł. Steżała mu twarz. - Niech to szlag. Udawał, że siedzi w Wietnamie od lat. A tak naprawdę mógł mnie śledzić i przyjechać tam zaraz po mnie. - Spojrzał na Orlando. - Przeprowadziłem go prosto do ciebie.

Pokręciła głową. Jeśli miała do niego pretensje, nie powiedziała ani słowa. Ale też powiedziała, że mu wybacza. Miała ściągniętą, poważną twarz.

- Co twoim zdaniem powinniśmy teraz zrobić? Quinn potarł czoło.

- Kiedy Borko wyjdzie wieczorem z zakładów, pójdziemy za nim. Może uda nam się pogadać z nim w cztery oczy.

Kiwnęła głową.

- Dobrze. Gdybyś powiedział co innego, poszłabym bez ciebie.

Chciał spytać, dlaczego sama tego nie zaproponowała. Zamiast tego powiedział:

- Cieszę się, że ciągle gramy w jednej drużynie. Uśmiechnęła się, choć niezbyt krzepiąco.

TLR

Rozdział 31

Sprzeczka o to, kto będzie obserwował, a kto śledził, była szybka i krótka. Quinn był lepszym kierowcą i miał większe szanse przy ewentualnym starciu fizycznym z Borkiem. Orlando niechętnie zgodziła się stanąć na czatach. Ale tylko pod warunkiem, że jeśli uda jej się wrócić szybko do samochodu, Quinn na nią zaczeka.

- Trzydzieści sekund.

- Czterdzieści pięć - zripostowała. Quinn westchnął.

- Ale nie dłużej. Jeśli nie zdążysz, odjeżdżam. Najlepszym punktem obserwacyjnym byłaby szkoła

podstawowa naprzeciwko zakładów wodociągowych. Ale ponieważ trudno było tam wejść, musiał im wystarczyć stojący za nią blok mieszkalny.

Po raz kolejny sprzyjał im wczesny zmrok północnych szerokości geograficznych. Nikt nie zwrócił uwagi na dwoje szczelnie opatulonych przechodniów idących słabo oświetloną ulicą. Otwarcie zamka frontowych drzwi zajęło Quinnowi niecałe piętnaście sekund. W holu były schody i Orlando ruszyła przodem. Nikogo po drodze nie spotkali, ale kiedy dotarli na trzecie piętro, z holu dobiegły czyjeś głosy.

Na końcu schodów był podest, a dalej drzwi, które -Quinn miał taką nadzieję - prowadziły na dach. Robiły wrażenie rzadko używanych. Orlando uważnie obejrzała futrynę.

- Nie widzę alarmu - szepnęła. - Otworzyć? Kiwnął głową.

Ostrożnie położyła rękę na klamce. Klamka się przekręciła, ale drzwi nie ustąpiły.

- Zamek.

Quinn kazał jej stanąć z boku i wyjął zestaw wytrychów. Był wśród nich zwykły śrubokręt. Zamek zamontowano od wewnątrz, dlatego łatwo było wykrócić śruby, zdjąć obudowę i rozebrać mechanizm. Quinn cofnął język zamka i zablokował go od środka. Potem złożył wszystko z powrotem.

Drzwi wyglądały tak jak przedtem, tyle tylko że zamek nie działał i że bez pomocy ślusarza nie można go było zamknąć. Wiedzieli, że upłyną

miesiące, zanim ktoś to zauważy. Quinn otworzył drzwi i wyszli na zimny, ciemny dach.

Skręcili w stronę ulicy i przykucnęli za ścianą oporową przed niskim występem na skraju dachu.

Quinn ostrożnie zerknął w dół. Najbliżej była szkoła. Na szczęście niska: miała tylko jedno piętro i przesłaniała częściowo ulicę, a nie kompleks zakładów. Punkt nie był wymarzony, ale do przyjęcia.

- Daj lornetkę.

Orlando podała mu lornetkę; nosił ją w plecaku, odkąd uprowadzono Nate'a. Ta, którą miał w domu - Rigel 2100 -zmieniała noc w dzień. Ta, którą trzymał teraz w ręku, zmieniała noc w zmierzch. Ale musiała wystarczyć.

Skierował ją na budynek po drugiej stronie Schandauer Strasse. Kompleks tonął w ciemności. Świeciła tylko pojedyncza żarówka nad drzwiami. Od frontu stało kilka samochodów, dwa mercedesy, ford i peugeot. Przed wejściem parkowała ciemna furgonetka. Chwilę później w obiektywie lornetki pojawił się ktoś, kto musiał tam być. Ochroniarze.

Na terenie zakładów naliczył ich sześciu. Musieli być również na ulicy. W porównaniu z poprzednim razem środki bezpieczeństwa bardzo zaostrożono.

Quinn cofnął się pod ścianę.

- Trzymaj. - Oddał lornetkę Orlando i powiedział, co widział. - Zadzwoń, jak tylko go zobaczysz.

- Jasne.

Nisko pochylony ruszył do drzwi.

- Czterdzieści pięć sekund - przypomniała mu Orlando.

- Ale nie dłużej. - Wyprostował się i pobiegł truchtem przed siebie.

Zaparkował pod blokiem. Po południu, kiedy ulica była mniej zatłoczona. Dobre posunięcie. Teraz po jej obu stronach zderzak w zderzak stały rzędy samochodów.

Siedział za kierownicą, marząc o kubku gorącej kawy, chociaż wiedział, że Orlando ma jeszcze gorzej.

To był pracowity dzień. Ukradł mercedesa, w którym teraz siedział, a potem poszedł na zakupy. Kupił linę, łom, kilka innych narzędzi, których mogli potrzebować, a nawet telefon dla Orlando. No i posiedział trochę na Internecie, co było i korzystne, i frustrujące. Korzystne dlatego, że dowiedział się, gdzie odbędzie się zjazd Międzynarodowej Organizacji Specjalistów Medycznych, a nawet zarejestrował się tam jako dr Richard Kubik z Topeki w Kansas. Nie był pewny, czy będzie musiał się tam pojawić, ale w razie czego identyfikator na pewno ułatwiłby mu zadanie.

Zastanawiało go tylko, że zjazd miał się odbyć dopiero za tydzień. Tymczasem Borko wspomniał, że zostało im tylko czterdzieści osiem godzin. I właśnie tej różnicy czasowej nie mógł ze sobą pogodzić.

Daty. Zjazd. Związek z Biurem. Sama natura patogenu. Na te pytania wciąż nie miał odpowiedzi.

Może zjazd MOSM był tylko przykrywką? Może tamci chcieli w ten sposób dostarczyć komuś coś, co on odkrył na szkiełku? A może to zwykły przypadek i Duke próbował go wykiwać? Scenariuszy było setki. Równie zagadkowy był sam patogen. Wirus? Miał nadzieję, że pomoże mu Kret. Ale Kret wciąż milczał.

Najbardziej jednak denerwowało go to, że mimo licznych prób wciąż nie mógł dostać się do plików na serwerze FTP Jansena.

Lekko drgnął, gdy zadzwoniła komórka. Na ekraniku wyświetliło się imię Orlando. Wetknął do ucha słuchawkę.

- Tak?

- Borko.

Przyjechał granatowe porsche i zaczął na ulicy, aż ochroniarz otworzył mu bramę. Potem wjechał na teren zakładów i zaparkował za furgonetką przed wejściem do budynku. Z samochodu wysiadł tylko on. Wyglądało na to, że jest sam. Orlando zadzwoniła, kiedy wszedł do środka.

Porsche, pomyślał Quinn. Super. Gdyby z jakiegoś powodu znaleźli się na autostradzie, mercedes nie miałby z nim najmniejszych szans.

Orlando odezwała się ponownie dopiero po godzinie.

- Wyszedł.

Quinn odpalił silnik, ale nie ruszył.

- Co robi?

- Rozmawia z kimś. Idą do samochodu. - Pauza. - Schodzę.

- Zaczekaj. Musimy wiedzieć, w jakim kierunku pojedzie.

- W tym samym, z którego przyjechał.

- Nie wiadomo.

Słyszał jej szybki oddech, oddech biegnącego człowieka.

- Schodzę - powtórzyła. Zaklął cicho i spojrzał na zegarek.

- Masz trzydzieści sekund.

- Czterdzieści pięć - wysapała; była pewnie na schodach.

- Piętnaście już minęło.

Wyjechał na ulicę i zaparkował „na drugiego”.

- Zostało ci piętnaście sekund.

- Już prawie jestem.

- Dziesięć...

- Zaczekaj!

Zerknął na drzwi. Nikogo.

- Czas minął. Jadę.

- Nie! - krzyknęła.

Nagle wypadła na ulicę i popędziła w stronę samochodu. Otworzył boczne drzwiczki. Wskoczyła do środka i szybko je zatrzasnęła.

- Jedź! Elbestrasse. Prosto. Jedź!

Nacisnął pedał gazu. Mercedes ruszył z piskiem opon. Kiedy dojechali do skrzyżowania na końcu ulicy, Quinn zahamował. Elbestrasse była pusta.

- Może pojechał w drugą stronę.

- Nie - uparła się Orlando. - Pojechał tędy.

- To może nas minął i go nie zauważyliśmy? Nie odpowiedziała.

Popatrzył na skrzyżowanie. Elbestrasse rozdzielał parking i porośnięty wysokimi drzewami pas zieleni. Ale porsche tam nie było. Co teraz? Mogli tylko poczekać albo zrezygnować.

Nagle usłyszeli ryk silnika i oślepił ich blask reflektorów. Chwilę później przemknęło obok nich granatowe porsche.

- Widzisz? - rzuciła Orlando. - Mówiłam.

Quinn wypuścił powietrze - dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przez cały czas wstrzymywał oddech - i skręcił w Elbestrasse. Od porsche dzieliły ich tylko sekundy.

TLR

Rozdział 32

Borko pędził przez miasto pozornie bez celu. Wyraźnie sprawdzał, czy nikt nie siedzi mu na ogonie. Quinn trzymał odległość, ale ani na chwilę nie tracił go z oczu.

Po dwudziestu minutach Borko zaczął jechać mniej chaotycznie. Przestał błędzić i zdawało się, że wreszcie wybrał konkretny kierunek. Co mogło znaczyć tylko jedno.

Nie zauważył ich.

Zatrzymał się przed zapuszczonym hotelem w Schonenbergu, południowej dzielnicy Berlina. Quinn zaparkował pół ulicy dalej. Borko wysiadł i wszedł do środka.

Wtedy wysiedli i oni. Doszli do hotelu i przystanęli w cieniu przed wejściem. Quinn ostrożnie zajrzał do holu.

- Trzech - szepnął. - Jeden to chyba recepcjonista. Dwóch pozostałych to na pewno nie goście.

- Jego ludzie?

- Na to wygląda.

- Przyjechał sam. To znaczy, że już tu byli. Kiwnął głową.

- Mają tu coś ważnego. Coś, czego muszą pilnować. Wiedział, o czym myśli Orlando. Wiedział również, że

powinien coś powiedzieć, żeby nie rozbudzała w sobie zbyt wielkich nadziei, ale nie mógł się do tego zmusić.

- Mamy dwa wyjścia - odparł. - Albo zaczekamy, aż Borko wyjdzie i pojedziemy za nim, żeby dorwać go na osobności, albo spróbujemy sprawdzić, czego tak pilnują.

- Ja zostaję - odparła. - Ty rób, co chcesz.

Dziesięć minut później otworzyły się drzwi. Z holu dobiegły czyjeś głosy i z hotelu wyszedł Borko z jakimś mężczyzną, pewnie ochroniarzem

Quinn czekał za samochodem parkującym obok porsche. Orlando przykucnęła w cieniu za rogiem budynku. Quinn zaryzykował, wyjrzał i zobaczył, że tamci idą w jego stronę. Ochroniarz zatrzymał się przed porsche, czekając, aż Borko wsiądzie. Korzystając z tego, że tamten patrzy w drugą stronę, Quinn przesunął się do przodu, tak że dzieliły ich teraz niecałe trzy metry. Ryknął silnik. Borko wycofał samochód i odjechał.

Zanim ochroniarz zdążył wrócić do ciepłego holu, Quinn zaszedł go od tyłu i zarzucił mu rękę na szyję. Drugą ręką zadał dwa szybkie, silne ciosy w szczękę i ochroniarz stracił przytomność. Quinn wrzucił jego pistolet pod najbliższy samochód, po czym zaciągnął go w cień pod ścianą hotelu.

- Nie ocknie się? - spytała Orlando, wychynawszy zza rogu.

- Nie powinien.

Zamiast czekać, aż drugi ochroniarz wyjdzie poszukać kolegi, z bronią w rękę weszli do holu. Ochroniarz stał przy windzie. Zauważył ich i natychmiast sięgnął pod pachę. Ale Orlando wystrzeliła pierwsza i trafiła go w ramię. Ochroniarz krzyknął z bólu i pistolet wypadł mu z kabury. Quinn podbiegł bliżej i grzmotnął go pięścią w twarz. Mężczyzna runął na ścianę i bezwładnie osunął się na podłogę.

Jakiś hałas po lewej stronie. Recepcjonista podnosił słuchawkę telefonu.

- *Nein*. Chodź tu - rzucił po niemiecku Quinn. Recepcjonista lękliwie wyszedł zza lady.

- Masz gdzie ich zamknąć? Tamten kiwnął głową.

- To pomóż.

Zamknęli ochroniarzy w małym gabinecie na parterze.

- W którym są pokoju? - spytał na czuja Quinn.

- Ale kto? - udał głupiego recepcjonista. Orlando znacząco podniosła pistolet.

- Drugie piętro. Trzysta dwanaście.

Korytarz był pusty.

- Ilu ich jest? - spytał Quinn.

- Chyba trzech. Doszli do drzwi.

- Pukają w umówiony sposób? - spytał szeptem Quinn.

- Nie wiem.

- To po prostu zapukaj. Powiedz, że szef przysłała jedzenie.

Recepcjonista się zawahał.

- Szybko - warknęła Orlando, odgrywając samozwańczo obraną rolę „tej złej”.

Recepcjonista zapukał. Z wnętrza dobiegły czyjeś kroki.

- Kto tam?

- Herbert - odparł recepcjonista. - Szef kazał przynieść wam coś do jedzenia.

Drzwi się otworzyły. W progu stanął dwudziestokilkuletni mężczyzna.

- Nareszcie. Jestem głodny jak... - Zobaczył Quinna i urwał. Sięgnął po broń, ale było za późno.

Quinn pchnął na niego recepcjonistę tak mocno, że obydwaj upadli i pistolet ochroniarza zaklekotał na podłodze. Quinn wszedł do środka i szybko go podniósł. Orlando też weszła i zamknęła drzwi.

Z fotela po prawej stronie zerwał się jakiś mężczyzna. Sięgnął po broń, leżące na stoliku uzi. Quinn postrzelił go w rękę i mężczyzna opadł z powrotem na fotel.

Stanęli na środku pokoju, trzymając tamtych na muszce.

- Jest tu ktoś jeszcze? - spytał Quinn. - Tylko, kurwa, nie kłam!

- Nikt - wyjęczał ranny.

Quinn się rozejrzał. W kącie stało łóżko. Ktoś na nim leżał. Orlando też zerknęła w tamtą stronę. Na jej twarzy odmalował się wyraz rozczarowania i stłumionego lęku. Ten, kto leżał na łóżku, był za duży jak na jej syna.

Quinn zerknął w lewo. Było tam dwoje drzwi. Tuż obok stała ciężka komoda z telewizorem na blacie.

- Co tam jest? - spytał.

- Szafa i łazienka - odparł z podłogi recepcjonista. Quinn przeniósł wzrok na rannego w fotelu.

- Masz jeszcze jakąś broń?

Ochroniarz zawahał się i podwinął nogawkę spodni, pokazując walthera PPK w kaburze nad kostką u nogi.

- Wyjmij go i rzuć. Tylko powoli. Ochroniarz zrobił, co mu kazano.

- To wszystko?

Mężczyzna kiwnął głową. Quinn podszedł bliżej, wziął ze stolika uzi i zarzucił je sobie na ramię. Potem ponownie spojrzął na łóżko. Leżał tam biały mężczyzna w wieku około dwudziestu pięciu lat.

Nate.

Ruchem ręki wskazał drzwi.

- Wy dwaj do szafy. Włączcie. A ty... - Zerknął na recepcjonistę. - Ty do łazienki.

Recepcjonista i ochroniarz wstali i ruszyli do drzwi.

- Ty też - rzucił Quinn do rannego w fotelu. Chwilę trwało, zanim ochroniarz wstał, ale już wkrótce dołączył do tych po drugiej stronie pokoju.

Wcisnęli się do szafy.

Quinn podszedł bliżej.

- Telefony. - Wyciągnął rękę.

Kiedy oddali mu komórki, schował je do kieszeni i zamknął drzwi.

Recepcjonista siedział już na klapie muszli klozetowej w łazience.

- Masz telefon? - spytał Quinn.

- Nie.

Quinn uniósł brwi.

- Na pewno?

- Nie mam - odparł szybko tamten. - Zostawiłem na dole, pod ladą.

Quinn zamknął drzwi i przy pomocy Orlando zastawił je komodą.

Chwytem strażackim Quinn przeniósł Nate'a przez pusty hol i wyszli na dwór. Orlando pobiegła przodem i otworzyła tylne drzwiczki samochodu. Quinn ostrożnie położył go na siedzeniu.

- Quinn? - Nate z trudem rozwarł powieki.

- Spokojnie, wszystko w porządku.

Nate zaczął coś mamrotać, ale zamknęły mu się oczy i opadła głowa.

Quinn zatrzaskał drzwiczki.

- Przykro mi - powiedział.
 - Gdzie go zawieziemy? - Orlando jakby go nie słyszała.
Quinn milczał przez chwilę.
 - Wiem gdzie. Wsiedli. Odpalił silnik.
 - Garretta też znajdziemy.
- Orlando odpowiedziała mu tylko krótkim, bladym uśmiechem.

Kiedy zaparkował, Sophie stała w drzwiach baru, żegnając ostatnich klientów.

- Nie spodziewałam się, że wrócisz - powiedziała, kiedy wysiadł z samochodu i wszedł na chodnik.

- Potrzebuję pomocy - odparł.

Zrobiła kilka kroków w stronę mercedesa i przystanęła na widok wysiadającej Orlando.

- Kto to? - spytała.

- Przyjaciółka - odrzekł.

Otworzył drzwiczki. Przy pomocy Orlando dźwignął Nate'a z tylnego siedzenia.

- Co mu jest? - spytała Sophie.

- Jest ranny.

- To widzę. Jak to się stało?

- Nieważne.

- Czy to ty...

- Nie.

Quinn poprawił chwyt i Nate jęknął.

- Nie rozumiem - powiedziała Sophie. - Co się tu dzieje?

- Odurzono go narkotykiem.

- I pobito.

- Tak. - Quinn ruszył w stronę baru. Orlando tuż za nim.

- Dokąd go niesiesz? - spytała Sophie. - Powinien być w szpitalu.

- Nie mogę zabrać go do szpitala.

- Dlaczego?
- Po prostu nie mogę. - Doszli do drzwi jej mieszkania.
- Zaczekaj. - Sophie położyła mu rękę na ramieniu. - Nie mogę mu pomóc.
- Masz wolne łóżko, prawda? Niczego więcej nie chcę. Ktoś się nim zajmie.

Sophie nie drgnęła.

- Proszę - powiedział Quinn. - Otwórz. Minęła ich i otworzyła drzwi.
- W co ty mnie pakujesz?
- Lepiej, żebyś nie wiedziała.

Położyli go w pokoju gościnnym, potem przyniósł z łazienki wodę i kilka ręczników. Zaczął obmywać jego rany.

- Daj. - Orlando wyciągnęła rękę i ruchem głowy wskazała drzwi do saloniku. - Twoja przyjaciółka ma na pewno kilka pytań - dodała bezbarwnym głosem.

Niechętnie wstał i podał jej ręcznik.

Sophie siedziała przy kuchennym stole w towarzystwie butelki wina i na wpół pełnej szklanki. Złożone ręce, jakby się modliła. Ale oczy miała szeroko otwarte i patrzyła przed siebie na, a raczej przez dłonie.

Przystawił krzesło i usiadł naprzeciwko. Brzeg szklanki był suchy. Sophie jeszcze nie wypiała.

Podniosła wzrok.

- Co się dzieje, Jonathan? Kto to jest?
- Już ci mówiłem. Przyjaciół. Kolega.
- A ta kobieta?
- Też.
- Kolega i koleżanka? Z pracy?
- Tak - odparł z wahaniem.
- Nie wyglądają na bankowców. - Pamiętała, za kogo się podawał.
- Sophie...

Przerwał im krótki, głośny dźwięk dzwonka w saloniku. Sophie spojrzała przez ramię na drzwi i przeniosła wzrok z powrotem na niego.

- Ktoś przyszedł - powiedziała zaskoczona.
- Spokojnie. - Quinn wstał i ruszył do drzwi na klatkę schodową.
- Kto to?
- Pomoc.

Dr Garber był jego kontaktem medycznym w Berlinie. Zajmował się tym od dawna i specjalizował w tego rodzaju przypadkach. Nocne wezwanie, dom na uboczu - żadnych notatek, żadnych kartotek. Tylko pacjent i gotówka. Quinn zadzwonił do niego w drodze do Sophie.

Garber spędził z Nate'em pół godziny, podczas gdy oni siedzieli przed telewizorem. Milczeli. Sophie i Orlando nawet na siebie nie spojrzały. Obie były pogrążone w myślach. Orlando była tak spięta i zdenerwowana, że Quinn niemal to czuł. Wiedział, że chciałaby stąd wyjść i dalej szukać syna. Sophie z kolei była nie tylko spięta i skonsternowana, ale i przerażona. Kilka razy chciał jej coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Słowa niczego by nie zmieniły i zamiast pocieszyć, tylko by ją sprowokowały. Dlatego wsłuchiwał się w monotony głos prezentera recytującego wieczorne wiadomości: protesty przeciwko budowie kompleksu przemysłowego w Dreźnie, przygotowania do berlińskiej konferencji UE, najświeższe doniesienia o niemieckim turyście zabitym na urlopie w Ameryce Południowej.

Kiedy Garber wyszedł wreszcie z pokoju gościnnego, Quinn szybko wstał.

- Bez dokładnych badań nie umiem powiedzieć, co mu dali - zaczął lekarz. - Chyba coś, po czym łatwiej im było go kontrolować. Na pewno nic na ból.

- Wyjdzie z tego?

- Musi odpocząć, wtedy tak. Ale nie od razu, na to bym nie liczył. Poroniona twarz, złamane żebro... Miał zwichniętą rękę. Ktoś ją nastawił, ale wokół stawu wciąż utrzymuje się bolesny stan zapalny. Na stoliku zostawiłem lekarstwa.

- Kiedy może wstać?

- Za dwa dni.

- Za dwa dni? - Sophie zerwała się z fotela. - Wykluczone. Jeśli jest aż tak chory, zabierzcie go do szpitala.

- Sophie - odparł spokojnie Quinn. - To niemożliwe, już ci mówiłem. Wiem, że proszę o wiele.

- Nie rozumiem. Nie chcesz zawieźć go do szpitala? Przecież to twój przyjaciel.

- Tu jest bezpieczniejszy - wtrąciła Orlando. Sophie łypnęła na nią spodoba.

- Nie wiem, kim pani jest. Ale niech mi pani nie mówi, co jest bezpieczne, a co nie. Niech się pani w ogóle nie odzywa.

- Sophie... - zaczął Quinn.

- Kto to jest? - Sophie wskazała ją ręką. - Twoja kochanka? Czy to twoja kochanka?

Quinn wziął oddech.

- Nie. Koleżanka.

- Nie wierzę.

- Przysięgam. Pracujemy razem.

- A ten tam? Z nim też pracujesz?

- Tak.

- Ktoś go bije, a wy nie możecie zabrać go do szpitala? Co to za praca?

Quinn westchnął.

- Musisz mi zaufać. I pomóc. Twoje mieszkanie jest dla niego najbezpieczniejsze.

Wzięła kilka oddechów, każdy dłuższy od poprzedniego. Opadły jej ramiona.

- To naprawdę twój przyjaciel? - spytała cicho i z rezygnacją.

- Tak.

- Dwa dni? - Spojrzała na Garbera.

- Nie dłużej - potwierdził lekarz. Chwilę milczała.

- Dobrze - zdecydowała. - Dwa dni. Ale potem go zabierzecie.

- Dziękuję - powiedział Quinn. Doktor Garber ruszył do drzwi.
 - Wpadnę po południu. Gdyby potrzebowała mnie pani wcześniej, Quinn zna mój numer telefonu.
 - Jak to? To znaczy, że wy też wychodzicie?
 - Tylko Orlando - odparł Quinn. - Ja zostanę do rana. Ale potem muszę coś załatwić.
- Sophie znowu zamilkła.
- Dobrze. - Odwróciła się, wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

TLR

Rozdział 33

Noc była niespokojna. Większość czasu przesiedział na drewnianym krześle przy łóżku Nate'a. Chciał być przy nim, kiedy ten się ocknie, ale nawet się nie poruszył. Rano Quinn niechętnie wrócił do tymczasowej kwatery przy Karl Marx Strasse.

- Co z nim? - spytała Orlando. Siedziała na krześle obok monitora.

Quinn rozłożył drugie krzesło i też usiadł.

- Bez zmian.

Orlando miała podkrążone oczy.

- Nie ucieszą się, że go znaleźliśmy.

- Fakt. Spałaś? Zignorowała pytanie.

- A jeśli Piper albo Borko zrobią coś Garrettowi?

- Nie. Jest teraz ich jedynym atutem. Wzięła kilka głębokich oddechów.

- Musisz coś zobaczyć.

- Co?

- Po powrocie jeszcze raz sprawdziłam kamery.

- Noi?

- W piwnicy pojawiły się jakieś kartony. Pewnie wtedy, gdy śledziliśmy Borka. Przedtem ich nie było.

- Wynieśli je z furgonetki przed wejściem?

- Możliwe.

- Pokaż.

Włączyła monitor. Ekran ożył. Kamera pokazywała pomieszczenie w piwnicy.

- To te?

Kartonów było kilkanaście. Jedne stały na stole, inne na podłodze.

- Tak - odparła z wahaniem.

- Ale?

Zmrużyła oczy.

- Ale jest ich tylko czternaście.

- To co?

- Wczoraj wieczorem było dwadzieścia.

Quinn spojrzał na ekran. Po cichu przeliczył kartony. Miała rację. Było czternaście.

- A naklejki? - spytał.

- Są za daleko, nie można ich odczytać.

- Pokaż kulę.

Orlando przełączyła się na kamerę zainstalowaną w komorze bezpieczeństwa. Quinnowi rozszerzyły się oczy.

- Niedobrze - szepnęła Orlando.

W komorze było czterech mężczyzn, wszyscy w hermetycznych kombi-
nezonach. Dwóch kręciło się przy stole pod ścianą po prawej stronie. Na
stole stał otwarty karton, identyczny jak te w piwnicy. Na podłodze stały
trzy kolejne, jeden na drugim. Pod drzwiami, na granicy zasięgu kamery,
były jeszcze dwa, otwarte i puste.

Dwóch pozostałych mężczyzn stało przed komorami laminarnymi po-
środku pomieszczenia. Jeden pracował, drugi obserwował.

- Co oni robią? - spytała Orlando.

Mężczyźni wyjmowali coś z kartonów. Małe, metalowe pudełka, po dwa
w rzędzie, po dziesięć w owiniętej kurczliwą folią paczce.

Wyjmowali paczkę i kładli na stole. Potem zdejmowali folię i jedno obok
drugiego, układali pudełka na tacy, jednocześnie je otwierając. Kiedy taca
zapełniła się dwiema warstwami, jeden z operatorów zaniósł ją do komory
laminarnej i przez otwór na dole wsunął do środka.

Kiedy szedł, pudełka mignęły przed kamerą. Były puste.

Komorę zamknięto. Ten od tacy wrócił do stołu. Ten drugi wyjął ręce z
gumowych rękawów.

Na obudowie komory było kilka guzików. Mężczyzna nacisnął je i w
komorze coś się poruszyło.

Rozsunęło się dno. Taca podjechała do góry. Operator ponownie włożył
ręce do rękawów. Na wewnętrznej ścianie komory była półeczka, a na niej
pojemnik z dziesiątkami białych granulek wielkości jednopensówki. Gra-

nulki było owalne, cieńsze na końcach, grubsze na środku; Quinn widział, jak identyczne chowano do małych lodówek pod ścianą. Operator wyjmował je teraz z pojemnika i, jedną po drugiej, ostrożnie układał w metalowych pudełkach. Po sześć w każdym.

- Miętówki? - mruknął Quinn.

- Co? - spytała Orlando, ale on jej nie słyszał.

Trochę to trwało, ale kiedy wszystkie pudełka się zapełniły, mężczyzna starannie je zamknął. Potem wyjął ręce z gumowych rękawów i nacisnął guzik. Taca opadła i dno się zamknęło.

Operator nacisnął kolejny guzik. Taca wysunęła się z komory. Kiedy znieruchomiała, drugi operator pokręcił potencjometrem na pulpicie. Komorę momentalnie wypełniła delikatna mgiełka.

- Czy to... - Orlando nie dokończyła.

- Środek odkażający? - dodał Quinn. Kiwnęła głową.

- Prawdopodobnie - powiedział Quinn. - Tylko o wiele silniejszy od tych, które można kupić w sklepie.

- A więc te granulki...

- Są niebezpieczne.

Quinn wiedział już, co będzie nośnikiem patogenu. Niewinne pudełko cukierków. Genialne. Patogen nałożono albo na powierzchnię cukierków, albo ukryto w środku. Bardziej prawdopodobne było to drugie. Gdyby działał szybko, zjazd by przerwano i wszystkich uczestników poddano kwarantannie, dlatego nie mogło to być coś, czego skutki byłyby widoczne natychmiast. Mikroorganizm musiał mieć długi okres inkubacji. Czyżby była to owa „robota na zamówienie”, o której Taggert doniósł Burroughsowi? Tylko co to miało wspólnego ze zjazdem MOSM? Duke twierdził, że...

Quinn znieruchomiał.

Duke.

- A to sukinsyn - wymamrotał.

- Co? - spytała Orlando.

- Chyba już wiem, jak chcą to zrobić.

- Jak?

- Grob Promotions. Powiniennem wpaść na to wcześniej.

- Grob... co? Co to takiego?

- Firma Duke'a. Był tam, kiedy go śledziłem. Wtedy nie interesowało mnie, czym się zajmują, bo uznałem, że to nieważne. Ale to jest ważne. Szukając wiadomości o zjeździe, przeczytałem coś w Internecie, ale nie zwróciłem na to większej uwagi.

- Co przeczytałeś?

- Pamiętam nagłówek, coś jakby: „Berliński Zjazd MOSM obsługiwany przez Grob Promotions”. - Quinn zaczął nerwowo chodzić po pokoju. - Jeśli tak, znaczy to, że Grob Promotions załatwia wszystko: reklamę, promocję i tak dalej. Łącznie... - Podniósł wzrok - Łącznie z upominkami.

- Z upominkami?

- Tak, pierwszego dnia zjazdu wszyscy zarejestrowani uczestnicy dostaną torebki z upominkami. Znalazłem to na ich stronie. Broszury, materiały informacyjne, ołówki, długopisy, znaczki i - jeśli mam rację - pudełko miętówek.

- Ale mówiłeś, że zjazd zaczyna się dopiero za tydzień. Jeśli tak, dlaczego Borko wspomniał o czterdziestu ośmiu godzinach? To za wcześnie.

Orlando miała rację.

- Może się jednak mylimy? - ciągnęła. - Może to nie zjazd jest celem? Jeśli nie, mogą uderzyć dosłownie wszędzie.

Słusznie. Znowu miała rację.

Spojrzał na ekran monitora. W komorze trwała praca, ale jego już to nie interesowało. Musiał podjąć decyzję. A decyzja - szybko zdał sobie z tego sprawę - mogła być tylko jedna.

- Nieważne, gdzie uderzą. - Powiedział to pewniej, niż się czuł.

- Spróbujesz ich powstrzymać, tak?

- Chcę odnaleźć Garretta - odparł. - A w tej chwili jedynym sposobem dotarcia do Dahla... do Pipera jest ukraść mu coś, co jest dla niego bardzo cenne.

- Miętówki - szepnęła. Zrozumiała, na czym polega jego plan, i pojaśniała jej twarz. - Ukradniemy miętówki i wymienimy je na Garretta.

- Coś w tym stylu. - Była to karta przetargowa, której tak bardzo potrzebowali. Quinn nie chciał nawet myśleć, co by się stało, gdyby tamtym udało się rozproszyc cukierki. - Ale wciąż musimy działać sami - zastrzegł. - Jeśli kogoś w to wciągniemy, Piper może się o tym dowiedzieć, a wtedy bez wahania go zabije. - Zrobił pauzę. - Będzie nas tylko dwoje. Ty i ja.

Orlando posłała mu uśmiech.

- Mnie to pasuje.

Ulicą przejechała z warkotem ciężarówka. Chodnikiem szli ludzie. Śmiejąc się, kłócąc i rozmawiając. Ciesząc się kolejną chwilą dnia. Ludzie, którzy mogli nie doczekać końca roku, gdyby Quinn zrezygnował.

Tę hałaśliwą ciszę zburzył głos Orlando.

- Tuż przed twoim przyjściem dzwonił Kret. Czeka na telefon.

- Powiedział, o co chodzi?

- Nie chciał - odparła drżącym z gniewu głosem. - Chce rozmawiać tylko z tobą.

Rozdział 34

Wyszedł ze sklepu i skręcił na południowy wschód, w kierunku Neukölln. Po drodze zadzwonił do Kreta.

- Otrzymałem... honorarium. Większe... niż oczekiwałem.
- Potraktuj to jako zaliczkę na poczet przyszłych zleceń. Orlando mówi, że masz dla mnie jakieś informacje.
- Godzinę temu dostaliśmy coś... dotyczącego miejsca pobytu jej... syna.
- Zdjęcie?
- Nie. Garrett wyjechał z... Wietnamu dzień po niej. Z białym... mężczyzną. Polecili do Hongkongu. Ale tam ślad się... urywa.
- Białą mężczyznę? To wszystko?
- Mógł mieć... australijski akcent. Tucker, pomyślał Quinn. No jasne.
- Jak przemycił go przez granicę?
- Twierdził, że... go adoptował. Przedstawił wszystkie niezbędne... dokumenty.
- A to skurwysyn. - Piper umiał planować.
- Jeśli chodzi o to... zdjęcie - ciągnął Kret. - Nic jeszcze... nie wiem.
- A więc jest spreparowane?
- Nie. Chyba... nie.

Quinn zmarszczył czoło, trawiając tę informację.

- Ale nie potraficie powiedzieć, gdzie je zrobiono.
- Są tam pewne... znaczniki geologiczne, które mogłyby trochę pomóc. To możliwe, ale... mało prawdopodobne.

Quinn nie pamiętał, żeby były tam jakieś znaczniki, geologiczne czy jakiegokolwiek inne, ale jeśli były, to bardzo dobrze. Mieli przynajmniej szansę.

- Ale to nie dlatego do mnie dzwoniłeś, prawda?
- Moim zdaniem... źle oceniłeś sytuację.
- Dlaczego?
- Patogen.

- Zjazd nie jest ich celem, tak?
- A więc już... wiesz.
- Nie byłem pewny. Jeśli wiesz coś więcej, to powiedz. Po drugiej stronie słuchawki zapadło długie milczenie.
- To bardzo... ambitne zadanie. Pamiętaj, że dysponowaliśmy tylko... zniszczonym fragmentem tkanki. Nerwowej... jak się okazuje.
- Ale wiesz, co to jest, tak?
- Udało nam się ściągnąć dokumenty... z adresu na bransolecie.
- Złamaliście hasło? - spytał zaskoczony Quinn. Pauza.
- Tak.
- Co tam było?
- Dwa pliki... Dokument i... klip filmowy.
- I?
- W dokumencie jest... opis wirusa. Pomogło nam to zrozumieć, dlaczego... tak trudno było go sklasyfikować. Został... zmodyfikowany.
- Zmodyfikowany?
- W pliku dokumentowym była krótka notatka... Jan-sena. Przeczytać?
- Tak - odparł Quinn, nie wiedząc, czy chce tego słuchać.
- „Zleceniodawcy nazwali to... aktem oczyszczenia -zaczął Kret. - Ich naukowcy stworzyli coś... co jest w zasadzie ludobójczym wirusem... spreparowanym tak, by atakował określone... populacje docelowe. Uważają, że to, czego nie udało się im osiągnąć... podczas wojny, można uzyskać za pomocą tej nowej formy... czystek etnicznych".

Świat zniknął. Zniknęły samochody, ciężarówki i ludzie. Quinn nie słyszał ich ani nie widział.

- To ludzie, którzy myślą... po staremu. - Kret już nie czytał. - Niektóre właśnie rodowe nigdy... nie wygasają, zwłaszcza kiedy przedmiot odwiecznego gniewu mieszka na tej samej ziemi... pije tę samą wodę i oddycha... tym samym powietrzem. Sądząc po... rodzaju wirusa, nienawiść, jaką do siebie żywią... jest potworna.

- A więc wiesz, co było wirusem bazowym?

- Trudno to było ustalić ze względu na modyfikacje... ale dzięki dokumentowi Jansena... dowiedzieliśmy się, czego... szukać. Można nazwać to... superwirusem, mikroorganizmem szybko rozprzestrzeniającym się i odpornym na... leczenie mimo... uprzedniego szczepienia.

- Co to takiego?

- Polio. Zabija i okalecza. Dwa... w jednym.

Quinn przycisnął telefon do ucha. Nie miał ochoty oddychać, mówić ani nawet myśleć. Chciał po prostu uciec, daleko, jak najdalej. Ale ucieczka nie wchodziła w grę. Garrett potrzebował jego pomocy.

I, pomyślał, nie tylko on.

- Kto jest populacją docelową?

- Muzułmanie.

- Arabowie - szepnął z niedowierzaniem.

- Nie, źle... mnie zrozumiałeś. Bośniacy. Bośniaccy muzulmanie.

O żeż kurwa...

- Borko to Serb.

- Tak, ale... Serb-ekstremista. Nie zapominaj o... tym. Ścisnęło go w gardle tak mocno, że zabrakło mu tchu.

Sophie. Wiadomości. Co to było? Kiedy doktor Garber badał Nate'a, oglądali telewizję. Jakieś spotkanie, konferencja, zjazd. Co to, do diabła, było? I nagle sobie przypomniał.

- To nie zjazd MOSM - powiedział. - To konferencja Unii Europejskiej w sprawie Bałkanów.

- Jutro - dodał Kret.

Świat, który jeszcze przed sekundą nie istniał, natarł na niego z siłą huraganu. Quinn poczuł się tak, jakby ktoś go obserwował, jakby wiedza, którą posiadał, mogła go w każdej chwili zabić.

- Jest... gorzej... niż myślisz.

- To znaczy?

- Obejrzyj film.

Na myśl o tym, że ktoś stworzył chorobę, żeby wymordować określoną grupę etniczną, omal nie zwymiotował. Gdyby im się udało, zbrodnia ta mogłaby równać się tylko temu, co Hitler zgotował Żydom podczas drugiej wojny światowej.

Wybór patogenu też był znamieny. Polio. Umarłyby miliony. A wielu z tych, którzy by przetrwali, zostałoby kalekami, z których choroba boleśnie wycisnęła życie. Makabryczne, ohydne, niemoralne. Żadne z tych słów nie było wystarczająco dosadne.

Odkrycie Kreta wyjaśniło coś jeszcze. Campobello. Quinn powinien był na to wpaść dużo wcześniej. Taggert, a raczej Jansen, próbował powiedzieć mu to nawet po śmierci. Wszystko miał jak na dłoni, wystarczyło zajrzeć do jego prawa jazdy. Nie chodziło o Campobello w Nevadzie. Chodziło o Campobello Island. Wyspę u wybrzeży Maine, gdzie Franklin Delano Roosevelt miał letni dom. Słynny dom, w którym dowiedział się, że choruje na chorobę Heinego-Medina.

Przy Karl Marx Strasse, w północnej części Neukölln, było małe centrum handlowe. Quinn znalazł tam amerykańską restaurację z hamburgerami i dwoma stanowiskami internetowymi w holu.

Najpierw, korzystając z hasła, które dał mu Kret, ściągnął z serwera wideoklip i zapisał go na pendrivie. Oparł się pokusie, żeby obejrzeć film już tu i teraz. W holu było za dużo ludzi.

Potem otworzył nowe okno. Chciał sprawdzić, czy przeczucie go nie myli.

Wszedł na stronę Grob Promotions. Po jej lewej stronie był link z listą imprez obsługiwanych wyłącznie lub częściowo przez firmę Duke'a. Były to w większości zjazdy lub konferencje niemieckich organizacji i stowarzyszeń. Ale jemu rzuciły się w oczy dwie nazwy:

Międzynarodowa Organizacja Specjalistów Medycznych

I kilka linijek niżej:

Konferencja Unii Europejskiej: Przyjaźń na Bałkanach.

Kliknął myszką na konferencję. Był tam wykaz krajów, które przyjęły zaproszenie, wraz z listą ich reprezentantów. Firma Duke'a organizowała wiele imprez, łącznie z lunchem powitalnym w hotelu St. Martin, który wydawano już nazajutrz, zaledwie kilka godzin po ostatecznym terminie Borki.

Mieli tam przybyć przedstawiciele wszystkich krajów Unii Europejskiej, jak również reprezentanci Rosji, Ukrainy i Szwajcarii. Ale gwiazdami konferencji miały być Chorwacja, Słowenia, Macedonia, Serbia, Czarnogóra i Bośnia-Hercegowina. Każdy kraj wysyłał dziesiątki przedstawicieli. Sądząc po liście, większość była wpływowymi obywatelami. Natomiast przedstawiciele rządowi należeli do grupy urzędników średniego szczebla i to prawdopodobnie oni mieli odwalić czarną robotę. Najliczniejszą delegację przysyłała Bośnia.

Quinn odchylił się na krześle i pogrążył w zamyśleniu. Potem wyszedł ze strony Duke'a, wysłał e-mail do Kreta, wyszedł i zadzwonił do Petera.

- Chryste, co się tam dzieje?
- Wykryłeś już tego podwójnego agenta?
- Już ci mówiłem. Moi ludzie są czyści.

Po tym, czego dowiedział się w Brukseli, Quinn skłaniał się ku temu samemu wnioskowi, ale chciał usłyszeć to z jego ust.

- W takim razie kto dostarczył Borkowi informacje, dzięki którym mógł zorganizować kipisz?

Peter milczał przez chwilę, wreszcie odparł:

- Wiem, że rozmawiałeś z Borrougsem. I wiesz o Jills.
- Że dla ciebie pracowała? Tak, ale dlaczego ty mi o tym nie powiedziałeś?

- Miałem klientów. Nie mogłem ich sypnąć.

- Ale Burroughsa sypnąłeś.

- Podałem ci tylko nazwisko kogoś, z kim mogłeś pogadać. To wszystko.

Quinn pokręcił głową. Peter próbował ratować twarz, żeby nie stracić w oczach ludzi z jego światka. Nawet przyciśnięty do muru pamiętał o uczci-

wości zawodowej. Ale nie dlatego, że nakazywały mu to zasady moralne - po prostu nie chciał narazić na szwank swojej reputacji i stracić zleceń.

- Jak było z Jills?

- To nie była jednorazowa fucha. Od pół roku pracowała u mnie na pełny etat. Ale nie w operacyjnym. Siedziała tu, na miejscu, w planowaniu. Wysłałem ją do Taggerta tylko dlatego, że ufałem jej i trzeba to było zrobić dobrze.

- Pewnie. Wysłać na taką łatwiznę swego najlepszego człowieka? Czyście marnotrawstwo.

Cisza. A potem:

- To też.

- A więc Jills wszystko wiedziała - podsumował Quinn, dodając dwa do dwóch.

Zamilkli.

- Posłuchaj - powiedział wreszcie Quinn. - Musisz zrobić dokładnie to, co powiem. Jeśli nie odezwę się w ciągu dwudziestu czterech godzin, wszystko zamknijcie. Lotniska, porty, przejścia graniczne. Wszystko.

- Dlaczego?

Quinn bez słowa przerwał połączenie.

Wysiadł z taksówki ulicę za barem. Nie zamierzał tak wcześnie wracać, ale kiedy po rozmowie z Peterem zadzwonił do Sophie, okazało się, że Nate odzyskał na chwilę przytomność. Quinn chciał z nim porozmawiać i sprawdzić, czy nie wie czegoś, co mogłoby mu pomóc.

Ale najpierw zadzwonił do Orlando i streścił jej rozmowę z Kretem. Nie chciał wspominać o Garrecie, ale wiedział, że to nie przejdzie. Orlando najpierw długo milczała, a potem krótko spytała:

- I co teraz?

Przedstawił jej swój plan. Nie podobał jej się, ale nie umiała wymyślić niczego lepszego. Ułożyli listę potrzebnych rzeczy. Chociaż niektóre były dość niezwykle, była pewna, że wszystko załatwi.

Idąc do Sophie, zobaczył wychodzącego od niej Garbera. Szybko go dogonił. Lekarz zerknął nerwowo przez ramię, ale gdy go poznał, zwolnił kroku.

- Herr Quinn.

- Jak się czuje Nate?

- Jak na jedną noc, całkiem nieźle. Szybko wydobrzeje. Ale na razie musi na siebie uważać.

- Dziękuję - powiedział Quinn. - Bardzo doceniam pańską pomoc.

Już miał odejść, ale zastanowiło go coś w zachowaniu doktora.

- Już nie przyjdę - powiedział Gaber.

- Co takiego? Dlaczego?

- To niebezpieczne, nawet dla mnie. Wszyscy pana szukają. Dziś rano miałem gościa. Nigdy dotąd go nie widziałem. Ale ten człowiek wiedział, że kiedyś z panem współpracowałem. Powiedziałem, że nie widziałem pana od dwóch lat. Ale nie wiem, czy dał się przekonać. Kazał mi zadzwonić, jeśli pana spotkam.

- Dał panu numer?

Doktor wyjął z kieszeni wizytówkę. Na odwrocie widniał odręcznie napisany numer telefonu. Na stronie tytułowej profesjonalnie wydrukowane na czarno nazwisko. Dahl.

- Proszę. - Gaber podał ją Quinnowi. - Nie będzie mnie kusiło.

Kiedy wszedł do pokoju, Nate miał zamknięte oczy. Wpuszczając go, Sophie ledwo się do niego odezwała. Teraz krzątała się w kuchni.

Krzesło stało przy łóżku, tak jak przedtem.

- Nate?

Nate zatrzepotał powiekami i lekko otworzył oczy.

- To ja, Quinn.

- Quinn? - Chrapliwy szept. - Gdzieś ty się podziewał?

Quinn uśmiechnął się blado.

- Podać ci coś do picia?

- Wody.

Na stoliku stała pełna szklanka. Quinn przystawił mu ją do ust. Nate wypił tylko łyk. Ale kiedy Quinn chciał ją zabrać, powiedział, że chce więcej. Zanim głowa opadła mu na poduszkę, szklanka była prawie pusta.

- Jak się czujesz?

- Jakby ktoś wepchnął mnie pod pociąg - odparł. - A jak wyglądam?

- Chyba... stosownie.

- No to bomba - mruknął obojętnie Nate. - Dzięki, że po mnie przyszedłeś.

- Miałem wolną chwilę.

Nate zaczął się śmiać, ale skrzywił się z bólu.

- Dobrze się czujesz?

- Jak nigdy dotąd.

- Pamiętasz coś?

- Więcej, niżbym chciał.

Okazało się, że nie widział tych, którzy zaskoczyli go przed zakładem wodociągowym. Stał na ulicy ponad godzinę, gdy nagle coś ukłuło go boleśnie w prawe udo. Pewnie igła. Obudził się w hotelu.

- Czasem dawali mi wycisk tam, w pokoju - mówił. - Czasem zabierali do drugiego. W tym drugim nie było mebli. Z sufitu zwisała lina. Podciągali mnie za nadgarstki. Zadawali pytania. Bili.

- O co pytali?

- O ciebie. O Orlando. Co robicie. Gdzie się ukrywacie. Jak mieliśmy się skontaktować, gdyby coś nie wypaliło.

- Tego im nie powiedziałaś. Nate wykrzywił usta w uśmiechu.

- Powiedziałem. Ale podałem złe miejsce.

Quinn był pod wrażeniem. Takiego Nate'a nie znał. Ten był wytrzymały, zdeterminowany.

- Przestali mnie tłuc, kiedy dotarło do nich, że jestem nowy i że niczego więcej ze mnie nie wyciągną.

- Dobrze się sprawiłeś. Odciągnąłeś ich od nas. O nic więcej nie mógłbym cię prosić.

Zadzwoniła komórka.

- Dać ci jeszcze wody?

- Nie, dzięki. Quinn wstał i odebrał.

- Tak?

- Przy Kaiserdamm w... Charlottenburgu jest biurowiec, stara kamienica - powiedział Kret, odpowiadając na jego e-mail. Podał mu adres. - Mają tam robić paczki... powitalne dla uczestników konferencji. Przewiozą je... potem do hotelu i rozłożą na stołach. W paczkach będą między innymi... kandyzowane miętówki.

- To pewna wiadomość?

- Absolutnie.

Quinn schował telefon i spojrzał na łóżko. Nate próbował usiąść.

- Pamiętasz tych z hotelu?

- Zwykle przychodziło dwóch. - Kiedy Nate ich opisał, okazało się, że byli to ci, których Quinn zamknął w szafie.

- A Borko?

- Tak, raz go widziałem. Niezbyt miły facet.

- Bo?

Nate wskazał lewą ręką tę zwicznietą.

- To jego robota?

- Tak, ale przedtem kopnąłem go w jaja.

- Pewnie dlatego ci to zrobił.

- Przyszło mi to do głowy, tylko że później.

- Widziałeś tam kogoś, kogo nazywają Dahl? Nate lekko się zawahał.

- Możliwe.

- To znaczy?

- Przez większość czasu byłem nieprzytomny. Przychodziło tam sporo ludzi.

- Możesz któregoś opisać? Nate zmarszczył czoło.

- Był tam taki starszy gość. Wszyscy go słuchali. - Zamknął oczy. - Przepraszam, to chyba niewiele.

- Przeciwnie - odparł Quinn. - Dobra robota, Nate.

Rozdział 35

Poszedł do kuchni. Miał nadzieję, że wyciągnie z niego więcej. Musi odpocząć, może wtedy coś sobie przypomni. Ale ten „starszy gość” mógł być Tuckerem. Albo Piperem. Jeśli tak, znaczyłoby to, że jest tu ten, którego wszyscy nazywali Dahlem. To z kolei mogło znaczyć, że jest tu również Garrett.

- Kim ty jesteś?

Sophie. Weszła po cichu do kuchni. Odwrócił się.

- Co?

- Nie udawaj, że nie słyszałeś. Kim jesteś?

- Tym samym człowiekiem, którego kiedyś poznałaś.

- Nie. Tamten nie miał z tobą nic wspólnego. Kłamałeś, prawda? To wszystko było kłamstwem.

- Sophie, proszę...

- Wszystko!

Patrzył na nią przez chwilę.

- Sophie, w prawdę nigdy byś nie uwierzyła. Prychnęła drwiąco i usiadła przy stole tyłem do niego.

Wiedział, że powinien coś dodać, ale nie czuł się na siłach. Miał na głowie tyle innych spraw. Bez słowa wrócił do pokoju.

- Dzięki - powiedział Nate, kiedy podał mu szklankę wody. - Jak się stąd...

Przerwał mu stłumiony dźwięk dzwonka. Quinn podbiegł do drzwi. Sophie była ledwie krok od tych frontowych. Przystanęła i odwróciła głowę.

- To policja. - Miała zimną, złą twarz. - Dzwonili dziś rano i prosili, żebyś dała im znać, gdy przyjdiesz.

Nacisnęła klamkę i cofnęła się na podest.

- Sophie, nie! - krzyknął Quinn.

Ale było już za późno. Huknęła seria wystrzałów. Sophie zatoczyła się do tyłu i na jej bluzce wykwitło kilka czerwonych plam. Spojrzała na niego, jakby chciała coś powiedzieć. Oczy zaszyły jej mgłą i upadła na podłogę.

Quinn wypadł z pokoju i z pistoletem w ręku zatrzymał się tuż przed podestem. Ale Sophie już nie żyła. Nic nie mógł zrobić.

Przywarł plecami do ściany, nasłuchując kroków na schodach. Początkowo nie słyszał nic, ale po chwili doszedł go cichy szmer. Parę sekund później coś ciężkiego uderzyło w stopień schodów na górze.

Natychmiast rzucił się za wersalkę, lądując na podłodze w chwili, gdy budynkiem wstrząsnęła silna eksplozja.

Kiedy huk ucichł, zerwał się na równe nogi i wbiegł do gościnnego. Nate wstawał już z łóżka, powoli, lecz zdecydowanie.

- Kurwa, co to było? - spytał.
- Granat - odparł Quinn. - Lepiej będzie, jeśli cię poniosę.
- Dasz radę?
- Wczoraj dałem.
- Dobra.
- Utrzymasz pistolet?
- Chyba tak.

Quinn dał mu sig sauera, potem dźwignął go i zarzucił sobie na lewe ramię. Nate jęknął z bólu.

- W porządku? - sapnął Quinn.
- Tak. Wynośmy się stąd.

Właśnie dochodzili do drzwi, kiedy coś zaklekotało na podłodze w holu. Quinn przywarł do ściany, żeby uchronić się przed kolejnym wybuchem. Ale wybuch nie nastąpił. Tym razem dał się słyszeć tylko głośny trzask. Z leżącego tuż za progiem pojemnika wielkości puszkii coli buchnęła z sykiem chmura gazu. Na pewno silniejszego niż zwykły gaz łzawiący.

Wstrzymując oddech, Quinn pobiegł do jadalni w głębi mieszkania. Przy stole postawił Nate'a na podłodze i skoczył do okna. Nie otwierał go od tamtego lata, kiedy razem z Sophie wychodzili tędy na dach. Wtedy było symbolem przyjemności. Teraz jedyną drogą ucieczki.

Otworzył zasuwkę.

- Szybko - rzucił. - Ty pierwszy.

Pomógł Nate'owi wyjść na dach. Potem wyszedł sam i zamknął okno.

- Tędy. - Wskazał w prawo.

Sąsiedni dom stykał się z domem Sophie, ale był ponad dwa metry wyższy.

- Chyba nie dam rady - wystękał Nate.

- Pomogę ci - odparł Quinn.

Stanął pod ścianą i zrobił kołyskę z dłoni.

- Dawaj nogę.

Nate zawahał się, ale go posłuchał.

- Dobra. - Quinn stanął w rozkroku. - Na trzy. Raz. Dwa...

Dźwignął Nate'a do góry, ten zarzucił nogę na szczyt ściany. Kiedy zniknął na dachu, Quinn podskoczył, chwycił się krawędzi i podciągnął.

Nate siedział, obejmując się wpół. Miał wykrzywioną z bólu twarz.

- W porządku? Kiwnął głową.

- Musimy iść dalej. - Quinn wskazał sąsiedni dom.

Pomógł mu wstać. Nate oparł się na nim ciężko i ruszyli. Dom po lewej był tylko kilkadziesiąt centymetrów wyższy, dlatego przejście kosztowało ich mniej wysiłku. Na dachu były drzwi, które musiały prowadzić na klatkę schodową. Quinn otworzył je kopniakiem i kazał mu wejść do środka.

- Zaraz wracam - rzucił.

- Gdzie idziesz?

- Muszę coś sprawdzić.

Nisko pochylony ostrożnie podszedł do krawędzi dachu. Krawędź była zupełnie płaska, dlatego musiał się położyć, żeby nikt go nie zobaczył. Podczołgał się jeszcze bliżej i zerknął w dół. Przed domem Sophie parkowały trzy samochody. Przy jednym z nich stała znajoma postać.

Borko.

Rozdział 36

W metrze usiedli jak najdalej od pozostałych pasażerów. Dał Nate'owi swoją kurtkę, ale nawet postawiony kołnierz nie zasłonił otarć na jego twarzy. Nate oddychał coraz wolniej, i prawie natychmiast zasnął.

- Jesteśmy - powiedział Quinn pół godziny później, delikatnie trącając go w ramię.

Byli w Neukölln.

Ze stacji mieli niedaleko, ale dwa razy musieli przystanąć, żeby Nate mógł odpocząć. Za drugim razem wstąpili do delikatesów, gdzie Quinn kupił kilka kanapek i duży kubek kawy.

- Masz - powiedział. - Pij.

- Nie chcę.

- Będzie ci cieplej.

Siedzieli przy stoliku, dopóki Nate nie wypił pół kubka.

- Wystarczy. - Nate potrząsnął głową. Quinn wrzucił kubek do kosza na śmieci.

- Idziemy.

Do sklepu doszli dziesięć minut później. Orlando nie było, ale Quinn się tego spodziewał. Rzeczy, które miała kupić, były trudne do zdobycia.

- Bardzo przytulnie - rzucił od drzwi Nate.

Na podłodze leżały dwa materace i dwa śpiwory.

- Widzę, że mnie nie oczekiwaliście.

- Nie tak szybko - odparł Quinn. - Kiedy wróci Orlando, kupimy jeszcze jeden. Na razie możesz wziąć mój. Ten niebieski.

- Nie jestem zmęczony.

- Jasne - prychnął Quinn. - Zasypiasz na stojąco. Połóż się.

- Może na kilka minut - odrzekł z uśmiechem Nate. Poczłapał do śpiwora i wypełznął do środka.

- Ciepło ci? - spytał Quinn.

- Tak - szepnął cicho Nate. Opadły mu powieki i zasnął.

Orlando wróciła godzinę później.

- Masz wszystko? Kiwnęła głową.

- Wszystko.

Quinn uśmiechnął się i opowiedział jej o swoich popołudniowych przygodach.

- Przykro mi - powiedziała na wieść o śmierci Sophie. Dotknęła jego ramienia. - Dzięki Bogu, że wyciągnąłeś stamtąd Nate'a.

- Tak - mruknął głucho. - Dzięki Bogu.

- To nie twoja wina.

- Nie?

Spojrzała na niego ciepło i pokrzepiająco.

- Pokaż mi ten film.

- Dobrze.

Wiedział, że chce mu pomóc, że próbuje czymś go zająć. Cieszył się z tego.

Podał jej monitor. Z bocznego portu sterczał pendrive.

- Wciśnij PLAY. Ja już to widziałem.

Orlando przekrzywiła głowę, czekając, aż coś doda, ale on milczał. Kiedy przeniosła wzrok na ekran i nacisnęła guzik, Quinn przesunął się w lewo i ponad jej ramieniem spojrzał w dół.

Na czarnym ekranie pojawił się jakiś mężczyzna.

- Kto to? - spytała Orlando.

- Taggert. A raczej Jansen.

Kamera pokazywała go tylko od ramion po głowę. Oświetlenie nie było najlepsze, bo twarz ginęła na niewiele ciemniejszym tle. Sądząc po akustyce, nagranie zrobiono w małym pomieszczeniu, chociaż nie byli tego pewni. Jansen patrzył przez chwilę w obiektyw i zaczął: - Nazywam się Jansen. Doktor Henry Jansen. Jestem wirusologiem. Pracowałem na całym świecie

dla wielu instytucji, łącznie ze Światową Organizacją Zdrowia i Centrum Kontroli i Przeciwdziałania Chorób. Wspominam o tym tylko dlatego, żebyście nie zlekceważyli tego, co powiem. Nieważne, kim naprawdę jestem. Ale to, że oglądacie nagranie, znaczy, że nie mogę przemówić do was osobiście.

Od pół roku pracuję w ukryciu. Zadania tego podjąłem się sam, na własną rękę. Skontaktowała się ze mną organizacja o nazwie HFA. O ile wiem, jest to grupa serbskich ekstremistów. Zakładam, że czytaliście już załączony do nagrania dokument i znacie ich plany. Oto kolejna garść szczegółów.

Do nadzoru operacyjnego wynajęto Amerykanina nazwiskiem Dahl. Aby mieć pewność, że wszystko przebiega zgodnie z planem, HFA zaangażowała również grupę ludzi kierowaną przez Serba nazwiskiem Borko. Domyślałem się, że jego głównym zadaniem jest zapewnienie ochrony.

HFA składa się z fanatycznych zwolenników Slobodana Miloszewicza. Myślę, że to, że ich oskarżony o zbrodnie wojenne przywódca zmarł w więzieniu podczas procesu, dodało im sił. Rozповідаją, że został zamordowany. Zrobili z niego męczennika. Miloszewicz uważał, że Bośnia i Hercegowina powinny być częścią wielkiej Serbii. Jak można upamiętnić go lepiej, niż dokończyć to, co zaczął? Według HFA, najpiękniejszym hołdem dla zmarłego wodza byłoby usunięcie Bośniaków. W dodatku są ostatnio pod wielką presją, ponieważ pod rządami nowego, umiarkowanego prezydenta, zwolennika naprawy szkód wojennych i wynagrodzenia dawnych potworności, coraz silniejszą pozycję zdobywa w Serbii ruch dążący do zgody narodowej.

Dlatego prace nad projektem przyspieszono. Nalegano na jak najszybsze rezultaty. Przywódcy HFA są fanatykami i nie chcą słyszeć o porażce. Pracujący tu naukowcy próbowali początkowo wytłumaczyć im, dlaczego trudno jest sprostać tak wysokim oczekiwaniom. Wtedy jednego z nich znaleziono martwego, a w ciągu dwóch dni rodziny pozostałych odwiedzili ludzie związani z HFA. Nikomu nic nie zrobili. Nie musieli. Po ich wizycie naukowcy mówili już tylko „tak”. Nie miało znaczenia, że ich żądania były niemożliwe do spełnienia. Dlatego dokument, który już macie, jest podsu-

mowaniem planów i nadziei, a nie tego, co udało się naprawdę osiągnąć. Oczywiście nikt im tego nie powiedział.

Bransoleta, którą znaleźliście, zawiera próbkę tkanki nerwowej zniszczonej przez zmodyfikowanego przez nich wirusa. Dowiedziałem się, że wirus ten ma być umieszczony w małej, nieporowatej kieszonce wewnątrz jakiegoś nośnika. Kieszonka jest wypełniona roztworem imitującym jego środowisko naturalne zarówno pod względem składu chemicznego, jak i temperatury. Wirus może przeżyć w nim wiele tygodni.

Jansen umilkł. Zdawało się, że patrzy prosto na nich, na Quinna i Orlando.

- To nie jest dobrze znane nam polio. To wirus zmieniony, o wiele groźniejszy i bardziej niszczyielski.

Co będzie jego nośnikiem, tego mi nie powiedziano. Jak już mówiłem, tę część projektu nadzoruje Dahl. Wiem jednak, że nie ma czasu do stracenia. Nie powiedziano mi również, kiedy rozpocznie się operacja rozprowadzenia wirusa, ale przeczucie mówi mi, że już w przyszłym miesiącu.

Nie można do tego dopuścić. Wyrachowana eksterminacja Bośniaków to pomysł odrażający sam w sobie. Ale stworzenie narzędzia, które mogłoby tego dokonać, przekracza możliwości pracujących tu ludzi. Niewykłuczone, że możliwości kogokolwiek. Chcę przez to powiedzieć, że wirus zmodyfikowany przez nich tak, by atakował określoną grupę docelową, jest obarczony wadą. Dobrze mnie zrozumcie: Bośniaków zaatakuje tak czy inaczej.

Ale to, co udało im się niechcący stworzyć, jest superwirusem, któremu wszystko jedno, do jakiej grupy etnicznej należy ten czy inny człowiek. Zaatakuje każdego, możliwe, że wszystkich. Uwolniony doprowadzi do wybuchu pandemii, jakiej nigdy dotąd nie widzieliśmy.

Trzeba ich powstrzymać.

Jansen wyciągnął do przodu rękę i ekran zgasł.

Minęło kilka sekund, zanim Orlando ponownie zaczęła oddychać. Oglądając film pierwszy raz, Quinn zareagował niemal tak samo.

- Chcesz obejrzeć jeszcze raz?

- Nie. - Orlando usiadła na jego krześle. - A więc można chyba założyć, że tym nieznanym nośnikiem są mię-tówki.

Quinn kiwnął głową.

- Z wypełnioną wirusem kieszonką. Jak w tych cukierkach z płynnym środkiem.

- Nieważne. Naszym głównym celem jest wciąż odbicie Garretta.

- Tak - odparł. - Ale nie możemy dopuścić do tego, żeby to zrobili.

Orlando uciekła wzrokiem w bok.

- Wiem. - Powiedziała to tak cicho, że prawie bezgłośnie.

Dochodziła północ i znowu był w zakładach wodociągowych. Wiedział, że igra z losem, ale musiał to zrobić. No i tym razem nie był zupełnie sam.

Przed monitorem w ich tymczasowej kryjówce czuwała Orlando, obserwując teren i na bieżąco go o wszystkim informując. Ponieważ nie mieli już sprzętu łącznościowego, musieli improwizować z telefonami komórkowymi. Quinn przymocował swój do ramienia, a w uchu miał słuchawkę urządzenia głośnomówiącego.

Miał również plecak, a w nim pistolet i rzeczy kupione przez Orlando. Pistoletu chciał użyć tylko w ostateczności. Zadanie musiało być wykonane tak, żeby nikt niczego nie podejrzewał.

Orlando przeprowadziła go przez piwnicę do schodów.

- Czysto - zameldowała.

Quinn otworzył właz. Wszedł do okrągłego pomieszczenia i zamknął klapę.

- Wchodzę do służby.

- Wchodź - odparła Orlando. - Tamci są w komorze. Quinn stanął przed pionową służą prowadzącą do kuli.

Nacisnął guzik i zaczekał, aż zapali się zielona lampka, następnie wszedł do środka i zamknął drzwiczki. Potem wspiął się po drabinie i położył rękę na uchwycie górnego włazu.

- Zaczekaj - powiedziała Orlando. - Ktoś wyszedł z głównej służby.

Quinn znieruchomiał.

- Dobra. Jest w laboratorium. Droga wolna.

Otworzył właz. Poczuł, jak do kuli wpada podmuch powietrza. Był bez skafandra, ubrany tylko w czarne spodnie i czarny sweter; zdał sobie sprawę, jak bardzo się naraża.

Zaczął wspinać się na rusztowanie. Dotarłszy na szczyt, usiadł pod podłogą komory głównej i zdjął plecak. Przymocował go rzepami do metalowego słupka, po czym otworzył.

Czeski semtex był na to za silny, ale on musiał mieć pewność, że zniszczeniu ulegnie laboratorium wraz ze wszystkim tym, co się w nim znajdowało. Sęk w tym, że nie mógł odpalić ładunków od razu. Kilkanaście kartonów z mię-tówkami już stamtąd wyniesiono. Całkiem możliwe, że nie było ich nawet w budynku. Gdyby zdetonował semtex już teraz, mogliby je stracić, przy okazji ostrzegając Dahla, że depczą mu po piętach. Zniszczenie wirusa musiało być skoordynowane.

Rozmieścił semtex w kilku miejscach pod podłogą laboratorium. Potem nastawił radiodetonatory. Następnie wyjął z plecaka małe pudełko. Transmitter. Teraz wystarczyło tylko podłączyć go do jednego z zakupionych przez Orlando odbiorników i wysłać sygnał. A wtedy bum!

Przymocował odbiornik do rusztowania i sprawdził wszystko jeszcze raz. Kiwnął głową, rozpiął rzepy i włożył plecak. Cała reszta była tylko kwestią czasu.

Rozdział 37

Chociaż spał krótko, od wielu dni nie spało mu się lepiej. Nieważne, że koczowali na zapleczu zimnego, opuszczonego sklepu i musieli spać w śpiworach na nadmuchiwanym materacach. Zawsze tak było. Przed każdą operacją spał jak zabity.

O wpół do szóstej otworzył oczy. I natychmiast się obudził. Najpierw sprawdził, co z Nate'em. Czuł się chyba lepiej. Czoło miał wilgotne, ale chłodne. Wyglądało na to, że gorączka spadła. Quinn wstał, obszedł materace i wyszedł z pokoju.

Wstąpił do łazienki, a potem poszedł do kafejki po drugiej stronie ulicy, gdzie kupił kawę i bułeczki. W drodze powrotnej po raz ostami zadzwonił do Kreta. Rozmawiali krótko i tym razem mówił głównie on. Kończąc, minął kiosk z gazetami. Na ladzie leżała sterta „Berliner Morgenpost”. Jego uwagę przykuł nagłówek.

„Policja rozbija komórkę terrorystyczną”. I adres domu Sophie. O Sophie wspomniano nawet w artykule jako o prawdopodobnej członkini organizacji. Quinn czytał:

Podjeżzana o terroryzm kobieta zginęła podczas strzelaniny, rzucając granat w stronę tajnych agentów. Poważnie ucierpiała konstrukcja budynku. Agenci byli zmuszeni do użycia gazu łzawiącego w celu wypłoszenia pozostałych członków komórki. Według źródeł policyjnych, co najmniej dwóch terrorystów pozostaje na wolności.

Reszta artykułu ginęła pod zagięciem. Wszystko to było oczywiście jedną wielką bzdurą. Ale dowodziło, że Borko ma dobre dojścia do tych, którzy potrafią skutecznie zacierać ślady.

Gdy wrócił do sklepu, przekonał się, że Orlando i Nate jeszcze śpią. Postawił kawę na stole, położył bułeczki i poszedł do łazienki.

Przejrzał się w lustrze. Od paru dni się nie golił i wyglądał koszmarnie. Na podłodze stała plastikowa reklamówka. W środku były szczoteczki do

zębów, pasta, grzebień, dezodorant, szczotka do włosów, maszynka do golenia, krem i jeszcze kilka drobiazgów.

Wyjął maszynkę i krem, i porządnie się ogolił. Wytarł twarz, otworzył pastę i umył zęby. Czując się trochę świeżej, zgasił światło i wrócił do pokoju.

Orlando piła kawę. Nate też już nie spał, naciągnął tylko śpiwór na głowę. Spoglądał na niego przez mały otwór.

- Kurewsko zimno - wychrypiał zduszonym głosem.

- Napij się kawy.

- Możesz polać nią śpiwór?

- Widzę, że już ci lepiej.

- W porównaniu z kiedy?

- Z wczoraj.

- Chyba tak. - Nate powoli usiadł i śpiwór zsunął mu się z ramion. Ostrożnie poruszał głową i wyciągnął szyję. -Zdecydowanie lepiej. Wczoraj nie mogłem przewrócić się na drugi bok. Wyrażna poprawa.

- Dasz radę? Nawet się nie zawahał.

- Dam.

- Jeśli nie, lepiej nas uprzedź - powiedziała Orlando spokojnie i rzeczowo.

- O, witaj! - Nate odwrócił się w jej stronę. - Tobie też życzę miłego dnia.

- Mówię poważnie.

- Ja też. Nic mi nie będzie. - Nate powoli sięgnął po kubek. - Gdybyś spytała, czy dam radę przebiec dwa kilometry, a potem przyłożyć komuś w łeb, powiedziałbym, że nie. Ale mogę poprowadzić samochód.

- Z tą pokiereszowaną ręką? - spytała Orlando.

- Jezu! - nie wytrzymał Nate. - Weź ty coś na lepszy humor, dobra?

- Nate! - wtrącił szybko Quinn.

- Nie. - Nate spojrzał na Orlando. - Wiem, że nie jest ci łatwo. Wiem, że wolałabyś, żebyście znaleźli tam Garretta. Ale znaleźliście mnie i potrzebujecie mojej pomocy. Tak, mam pokiereszowaną rękę. I tak, czuję się parszywie. Ale jeśli mówię, że dam radę, to dam radę.

Orlando i Quinn popatrzyli na niego w tym samym momencie.

- Wystarczyło powiedzieć „tak”. Nate'owi złagodniała twarz.

- Tak.

- Przepraszam - mruknęła Orlando. Nate uśmiechnął się i machnął ręką.

- Skończyliście? - spytał Quinn. - Bo musimy ruszać.

Z nasłuchu rozmów w zakładach wodociągowych Orlando dowiedziała się, że transport skażonych wirusem miętówek wyznaczono na wpół do dziewiątej. Mogli je przechwycić tylko między zakładami i domem przy Kai-serdamm, gdzie przygotowywano paczki powitalne dla uczestników konferencji. To była ich jedyna szansa. Ich jedyne okienko czasowe.

Nate rozpiął szpiwór i krzywiąc się z bólu, zaczął powoli wstawać.

- W łazience jest aspiryna - powiedział Quinn. Nate zerknął przez ramię.

- Będzie mi potrzebna cała butelka.

Informacje od Kreta okazały się prawdziwe i dokładne. Paczki przygotowywano w starej kamienicy w rzędzie podobnych kamienic przy Kaiserdamm.

Quinn obserwował ją z kawiarni Einsteina na rogu ulicy. W ciągu trzydziestu minut weszło tam kilkanaście osób. W większości młodych, prawdopodobnie studentów. Wszyscy byli wygodnie ubrani, jakby czekało ich kilka godzin żmudnej pracy. Quinn uznał, że są to ludzie zatrudnieni do przygotowywania paczek. Zadzwoniła komórka. Orlando.

- Furgonetka odjeżdża.

Od godziny siedziała na dachu domu naprzeciwko zakładów wodociągowych, tam, gdzie przed dwoma dniami. Tym razem obserwowała, jak ochroniarze Borki ładują do furgonetki kartony z miętówkami.

- Borko ciągle tam jest? - spytał Quinn.

- Wyjechał dziesięć minut temu. - Orlando była zadyszana. Domyślił się, że biegnie schodami na dół, do Nate'a czekającego w brązowym bmw, które Quinn „załatwił” z samego rana.

- Ile kartonów?

- Dwadzieścia.

- To chyba wszystkie.

- Na to wygląda.

Dwadzieścia kartonów po sto dwadzieścia pudełek w każdym to w sumie 2400 miniaturowych zasobników broni biologicznej. Pomnożyć to przez sześć miętówek w każdym zasobniku i Dahl miał do dyspozycji 14400 nośników. Pudełek było tyle, że każdy uczestnik konferencji mógł dostać kilka ekstra. Zjedz jedną teraz. Resztę zabierz do domu. Poczęstuj znajomych.

- Kartony zabezpieczyli siatką - dodała Orlando. Żeby nie uszkodzić ich podczas transportu, domyślił się Quinn.

- Sasami?

- Nie. Zaczekaj.

Quinn usłyszał trzask otwieranych i zamykanych drzwiczek.

- Jadą w kierunku Karl Marx Strasse. - Orlando powiedziała to nie do niego, tylko do Nate'a. - Dobra. Już jestem. O co pytałeś?

- Sasami?

- Nie. Jedzie za nimi srebrzysty mercedes. Ale z tego, co widziałam, to wszystko.

Jeden wóz eskorty to za mało. Musiało być ich więcej. Posiłki rozstawiono zapewne wzdłuż trasy.

- Widzicie ich?

- Są ulicę przed nami.

- Którędy pojedą? Strzelaj.

- Trasą C - odparła Orlando, wskazując jedną z tras, którą można było dotrzeć na Kaiserdamm.

- Dobra. Jeśli coś się zmieni, daj mi znać. Quinn schował komórkę.

Wyszedł z kawiarni i skręcił w stronę parkującego przy krawężniku porsche, którym miał jeździć tego dnia. Wsiadając i odpalając silnik, zauważył grupkę spóźnialskich wchodzących do kamienicy. Kolejni studenci. Pewnie chcieli trochę zarobić. Wziął głęboki oddech i ruszył.

Jadąc, podłączył do komórki urządzenie głośnomówiące, wetknął słuchawkę do ucha i wybrał numer. Peter odebrał dopiero po dłuższej chwili.

- No to zaczynamy - rzucił Quinn.

- Ale co zaczynacie?

- Zamknij się i słuchaj. Jeśli coś pójdzie nie tak, za kilka godzin ktoś do ciebie zadzwoni. Jeżeli uważnie go wysłuchasz i zrobisz to, co powie, możecie mieć szansę. Ale bez gwarancji.

Instrukcje, które przekazał Kretowi, były jeszcze prostsze. Gdyby nie zadzwonił do niego do trzynastej czasu berlińskiego, Kret miał powiedzieć wszystko Peterowi.

- Cholera jasna, co się tam dzieje?

- Obiecuję, że wkrótce się dowiesz.

- Quinn...

Quinn przerwał połączenie.

Skręcił na wschód, w Kantstrasse, i zadzwonił do Orlando.

- Gdzie jesteście?

- Wciąż na trasie C.

- Co z ich obstawą?

- Widać tylko mercedesa.

- Dobra. Uprzedź mnie pięć minut przed dojazdem na miejsce akcji.

- To już zaraz.

Quinn jechał ostrożnie, próbując nie zwracać na siebie uwagi. Dotarł już na wyznaczoną pozycję, ale Orlando wciąż milczała. Znalazł wolne miejsce i zaparkował, nie wyłączając silnika.

Telefon zadzwonił minutę później.

- Pięć minut.

- Sytuacja?

- Bez zmian.

- Nie zauważyli was?

- Nie. Jak na kogoś, kto prawie nie może się ruszać, Nate radzi sobie całkiem dobrze.

- Nie rozłączaj się.

Quinn położył plecak na kolanach. Wyjął sig sauera, sprawdził magazynek i położył pistolet na fotelu obok.

Zapasowe magazynki były w plecaku. Wyjął dwa i schował do kieszeni. Plecak położył na podłodze.

- Dwie minuty - zameldowała Orlando. - Są cztery ulice przed tobą.

Quinn zerknął w kierunku, skąd miała nadjechać furgonetka. Nic. Pusto. Sięgnął za siebie po uzi, które odebrał porywaczom Nate'a. Miał tylko jeden magazynek, ale wiedział, że brak amunicji można nadrobić siłą odstraszania.

- Zaczekaj. - Znowu Orlando.

- Co jest?

- Skrecają.

- W którą stronę?

- W lewo. - Orlando zaczynała się denerwować. - W lewo!

Ruszając, Quinn usłyszał w tle głos przeklinającego Nate'a.

- Co się dzieje?

- Utknęliśmy.

- Zauważyli was?

- Nie. Stoimy w korku.

- Widzicie ich?

- Zaczekaj. - Pauza. - Nie. Musieli znowu skreślić. Nie wiem, gdzie są. Quinn, musimy ich znaleźć. Musimy odebrać im te kartony. - Orlando mówiła z coraz większym naciskiem, z coraz większą rozpaczą.

Quinn dodał gazu. Kilkadziesiąt metrów od miejsca, gdzie Orlando i Nate zgubili furgonetkę, skreślił w boczną uliczkę. Jadąc, omiatał wzrokiem każde skrzyżowanie. Szukał białego vana, ale nigdzie go nie było.

Zaczęło ogarniać go poczucie klęski, ale szybko je odpędził. Musieli odebrać im te kartony. Nie mieli wyboru.

- Akcja odwołana - rzucił do telefonu. - Jedziemy do Charlottenburga. Do punktu odbiorczego.

- Przyjęłam. - Orlando przekazała rozkaz Nate'owi. Quinn zmienił trasę i już wkrótce mknął na zachód, w kierunku Charlottenburga.

Próbował zachować spokój. Mogło im się jeszcze udać. Musiało się udać.
To była ich ostatnia szansa.

TLR

Rozdział 38

Jechał, przez cały czas wypatrując furgonetki. Ale nigdzie jej nie było.

- Gdzie jesteście? - spytał. Szum, trzaski i wreszcie:

- Dwa kilometry od celu.

Panował spory ruch, co znaczyło, że był kilkanaście minut szybszy od nich.

- Ja jestem prawie na miejscu.

- Zaczekasz?

- Nie - odparł bez wahania. - Niech Nate doda gazu. Tuż przed nim była kawiarnia Einsteina. Skręcił za róg i zacisnął zęby.

- Furgonetka już tu jest - rzucił, parkując ulicę przed kamienicą.

- Zaczęli wyładowywać kartony? - spytała Orlando.

- Chyba nie. Drzwiczki są zamknięte.

- Będziemy tam za dwie minuty.

- Nie, za minutę.

Furgonetka parkowała przed wejściem do kamienicy. Z tyłu stało czworo ludzi. Dwóch wyglądało na silnorekich. Dwoje pozostałych, mężczyzna i kobieta, byli młodsi. Pewnie mieli pomagać przy rozładunku.

Dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, stały dwa samochody, ciemne bmw i srebrzysty mercedes. W każdym siedziało trzech mężczyzn. Z minuty na minutę robiło się coraz zabawniej.

Quinn położył pistolet na kolanach i otworzył okno. Jeden z goryli podszedł do drzwiczek furgonetki i położył rękę na klamce. Quinn wrzucił jedynkę i wdepnął pedał gazu. Porsche skoczyło do przodu.

Cała stojąca przy vanie czwórka jednocześnie podniosła głowę. Ci młodsi robili wrażenie zaciekawionych, ale dwóch pozostałych natychmiast schroniło się za furgonetkę.

Otworzyły się drzwiczki mercedesa i bmw. Quinn chwycił pistolet lewą ręką, wycelował i oddał dziesięć szybkich strzałów. Tamci rozpięchli się na wszystkie strony, nie mogąc odpowiedzieć ogniem. Wciąż z palcem na spuście Quinn szarpnął kierownicą w prawo i wjechał na chodnik.

Młodzi zniknęli. Porsche wpadło między furgonetkę i ścianę kamienicy. Quinn w ostatniej chwili zahamował i kiedy samochód się zatrzymał, otworzył drzwiczki i wyskoczył. W lewej ręce trzymał pistolet, w prawej uzi.

Tamci jeszcze do niego nie strzelali. Tak jak się tego spodziewał, furgonetka była dobrą osłoną. Żaden z nich nie chciał zniszczyć jej zawartości.

Podbiegł do tylnych drzwiczek. Musiał policzyć kartony, sprawdzić, czy wszystkie tam są.

Coś za nim zaszurało. Odwrócił się i zobaczył biegnącego w jego stronę mężczyznę, jednego z silnorek. Płynnym ruchem skoczył w prawo, już w powietrzu poczęstował go serią z uzi i wylądował na chodniku.

Mężczyzna był ledwie półtora metra dalej, kiedy kule przeszły mu pierś, obróciły go i cisnęły na ziemię.

- Poddaj się! - krzyknął ktoś z drugiej strony ulicy. - Nie uciekniesz!

Tuż nad ramieniem Quinna świsnęła kula. Któryś z tamtych nagle zmałdrzał i strzelał w prześwit pod furgonetką. Nie zwracając uwagi na ból stłuczonego ramienia, Quinn wstał, zrobił dwa kroki w lewo i ukrył się za tylnym kołem. Z ramienia zwisała mu słuchawka. Włożył ją do ucha.

- Quinn? - krzyczała Orlando. - Quinn!

- Jestem. Jeszcze żyję.

- Zaraz tam będziemy, jeszcze tylko dwa skrzyżowania. Jak sytuacja?

- Są na północnym końcu ulicy - odparł spokojnie Quinn. - Co najmniej sześciu, prawdopodobnie siedmiu. Czekali w dwóch wozach, w bmw i mercedesie. Nie wiem, czy dalej w nich siedzą. Jestem na chodniku, za furgonetką. Musicie ich zdjąć.

- Już jedziemy.

- Czy to pan, panie Quinn? - Głos z drugiej strony ulicy. - Niech pan wyjdzie, a dopilnuję, żeby nic się panu nie stało. - Pauza. - Panie Quinn? Naprawdę pan myśli, że uda się panu nas powstrzymać? Jeśli tak, bardzo

się pan myli. Niech pan nie próbuje żadnych sztuczek. Za parę minut będzie pan martwy.

Quinn po cichu odliczał sekundy. Orlando i Nate powinni już tu być. Co się, do diabła...

- Zatkaj uszy i na ziemię. - Orlando.

Natychmiast zwinął się w kłębek i mocno zatkał uszy.

Przez chwilę nic się nie działo. I nagle łuuump! Potworny huk. Stracił oddech, poczuł, jak zapada mu się ciało. Na szczęście furgonetka ochroniła go przed czołem fali uderzeniowej wybuchu.

- Jesteś cały? Quinn wstał.

- Chyba tak. Podziałało?

- Tak - odparła Orlando. - Było ich ośmiu. Teraz wszyscy śpią. Niektórzy mocniej niż inni.

Wychylnęła zza furgonetki i podbiegła bliżej.

- Walnęło ostrzej, niż myślałam.

- Gdzie Nate?

- W samochodzie.

- Policz kartony. - Quinn wskazał tylne drzwiczki. - Ja sprawdzę, czy toto odpali.

- Dobra.

Najpierw wziął plecak z porsche. Wrzucił go do furgonetki i wsiadł. Znalazienie właściwych kabli zajęło mu trzydzieści sekund. Zetknął je razem i silnik ożył.

Z oddali dobiegło zawodzenie syren. Były blisko, bliżej, niżby chciał. Wiedział, że już wkrótce na ulicy zaroi się od policji.

- Musimy ruszać! - krzyknął przez ramię. - Policzyłaś?

- Są wszystkie! - odkrzyknęła Orlando.

- Dobra. Wracamy do naszego planu. Ja biorę furgonetkę, wy jedziecie przodem.

Coś odbiło się z brzękiem od dachu. Quinn spojrzał przed siebie. Ktoś strzelał do nich ze skrzyżowania. Wrzucił jedynekę i wdepnął pedał gazu.

- Jeszcze nie wysiadłam! - krzyknęła Orlando.

- Trzymaj się!

Pomknęli ulicą. Nie mieli wyboru, musieli jechać prosto na tego z pistoletem. A on wciąż strzelał, na szczęście pudłował. Pewnie z jednej strony chciał ich zatrzymać, z drugiej bał się uszkodzić ładunek. Quinn dodał gazu i pochylił głowę.

Kolejny rykoszet, tym razem od bocznych drzwiczek. I jeszcze jeden. Potem pisk hamulców i ryk syreny.

Quinn podniósł wzrok. Minęli już kamienicę i byli na skrzyżowaniu. Z boku jechał policjant na motocyklu, prosto na nich. Najwyraźniej zupełnie się ich tam nie spodziewał, bo pędził za szybko. W ostatniej chwili skręcił w lewo i ze zgrzytem metalu, w fontannie iskier położył motocykl na asfalcie. Zanim maszyna uderzyła w latarnię, udało mu się stoczyć z siodełka. Syrena umilkła.

Quinn mknął dalej. Właśnie brał oddech, gdy nagle dobiegł go głośny trzask. Zerknął w boczne lusterko. Tylne drzwiczki były otwarte i łomotały jak oszalałe.

- Jesteś cała? - krzyknął.

- Tak - odparła Orlando. - Strzelił do mnie, kiedy go mijaliśmy, ale chybił.

- Nie chciał trafić w pudła... Cholera, omal nie przejechaliśmy policjanta.

- Wiem. Trudno było tego nie zauważyć.

- Jadą za nami?

- Na razie nie.

- A Nate? Pauza.

- Też nie.

Skrzyżowanie. Quinn skręcił w lewo. Huknęły tylne drzwiczki.

- Trzeba je zamknąć - powiedział.

- Coś ty. Poważnie?

Zapaliło się czerwone światło. Jechały przed nimi dwa samochody i w żaden sposób nie mogli ich wyprzedzić.

- Kiedy się zatrzymamy, wysiądziesz i zamkniesz drzwiczki.

Stanęli na końcu rzędu czekających samochodów. Orlando wyskoczyła i zamknęła drzwiczki. Potem otworzyła boczne i usiadła obok niego.

Kiedy zmieniło się światło, ruszyli wraz z innymi. Ale zamiast jechać prosto przez skrzyżowanie, Quinn skręcił w mniej ruchliwą boczną ulicę.

- Zawaliliśmy - powiedział.
- Nie chciałam tego mówić - odparła Orlando.
- Ale pomyślałaś.
- Pomyślałam.

Przez pięć minut byli sami. Nikt ich nie ścigał, ale Nate też gdzieś przepadł. Quinn nie chciał nawet myśleć, że tamci mogliby ponownie go schwytać.

- Chyba ktoś tam jest. - Orlando patrzyła w prawe lusterko.

Quinn spojrzał w lewe. Jechało za nimi kilka samochodów.

- Który? - spytał.

- Czarny mercedes. Trzy wozy za nami. - Wciąż patrząc w lusterko, Orlando zmarszczyła brwi. - I ten srebrzysty tuż za nim.

Quinn nachylił się do okna.

- Tak, widzę. Spróbujemy trochę pokłuczyć. Miej ich na oku.

Gwałtownie skręcił w lewo.

- Jada - zameldowała po chwili Orlando.

Quinn skręcił ponownie, tym razem w prawo. Zanim Orlando zdążyła cokolwiek powiedzieć, usłyszał znajomy brzęk - rykoszet od drzwiczek, kolejny strzał ostrzegawczy.

- Tak. Siedzą nam na ogonie.

Zerknął w boczne lusterko. Tylne okno mercedesa było otwarte i wychylał się z niego ktoś z pistoletem w rękę. Quinn natychmiast odbił w prawo, żeby zasłonić mu widok.

Skrzyżowanie. I światło, które zmieniało się z zielonego na żółte. Zdążył przejechać w ostatniej chwili. Spojrzał w lusterko i skrzywił się. Obydwa mercedesy przejechały za nim, nie zważając na jadących z naprzeciwka, na ryk klaksonów i pisk hamulców.

Ich jedyna przewaga polegała na tym, że tamci nie chcieli uszkodzić ła-
dunku. Pewnie kazano im zatrzymać ich kosztem jak najmniejszych strat. A
potem zabić.

Znowu czerwone światło. Tym razem blokowało ich kilkanaście samo-
chodów.

- Trzymaj się - rzucił Quinn.

Zamiast zahamować, w ostatniej chwili skręcił w lewo i zawrócił tuż
przed dwoma samochodami jadącymi w przeciwnym kierunku. Przerażli-
wie zapiszczały opony i jeden z samochodów wpadł w poślizg, omal na
nich nie wpadając.

Teraz ścigać ich mógł tylko czarny mercedes. Srebrzysty utknął za cięża-
rówką. Tymczasem czarny już zawrócił, już pędził prosto na nich.

- Okno.

Quinn zerknął w prawo. Orlando miała w rękach uzi. Bez wahania otwo-
rzył okno.

- Schył się! - krzyknęła, kiedy mercedes ich dogonił. Pochylił się do
przodu, a wtedy puściła serię tuż nad jego

głową. Kule przeszły bok samochodu. Kiedy huk ucichł, Quinn zerknął
w lewo, ale mercedesa już tam nie było. Spojrzał w lusterko. Samochód stał
w poprzek jezdni. Wszystkie okna od ich strony były przestrelone. W
środku nikt się nie ruszał.

Policyjne syreny wyły coraz głośniej, chociaż nigdzie nie było widać mi-
gających świateł.

- Chwyć się czegoś - rzucił.

Szarpnął kierownicą w prawo i skręcił w wąską uliczkę. Żeby syreny uci-
chły, musiał skręcić jeszcze raz w lewo i dwa razy w prawo. Już myślał, że
ich zgubili, już zaczynał się uśmiechać, ale spojrzawszy w lusterko i zacisnął
zęby.

Jechał za nimi mercedes, ten srebrzysty.

Rozpoczęła się gra w kotka i myszkę: on nie mógł ich zgubić, oni nie
mogli ich zatrzymać. Wciąż nie było Nate'a; bardzo się tym denerwowali.
Orlando próbowała się do niego dodzwonić, ale nie odbierał.

Quinn zerknął na leżący między nimi plecak. Było w nim tyle semteksu, że z furgonetki zostałby tylko pył. Wskazał go ruchem głowy.

- Wsadź go między kartony.

- Ale odpalimy dopiero wtedy, kiedy znajdziemy Gar-retta, tak?

- Tak jak ustaliliśmy. Po prostu nie chcę się z tym później bawić.

Orlando zawahała się i schyliła po plecak. Zniosła go na tył furgonetki, odpięła siatkę, położyła plecak w szczelinę między pudłami i ostrożnie wepchnęła go głębiej. Zapięła sieć i wróciła na fotel.

- Dopiero wtedy, kiedy znajdziemy mojego syna - powtórzyła, wskazując za siebie.

Byli w Mitte, na Unter den Linden, niedaleko Bramy Brandenburskiej i Tiergarten, berlińskiej wersji Central Parku. Pośrodku stał Grosser Stern, złoty anioł spoglądający na miasto ze szczytu olbrzymiej kolumny.

Chciał skrócić w prawo i dojechać Ebertstrasse do Reichstagu, ale panował tam za duży ruch. Musiał jechać prosto, na Tiergarten. Na domiar złego jezdnia poszerzyła się do czterech pasów w obydwu kierunkach. Gdyby go dogonili, nie mógłby ich teraz przyblokować.

- To chyba nie najlepsza trasa - zauważyła Orlando.

- Tak, wiem.

Spojrzał w lusterko. Do srebrzystego mercedesa dołączyło granatowe bmw. Jego właściciel musiał lubić prywatność. Wszystkie szyby samochodu, łącznie z przednią, były mocno przyciemnione.

- Mamy nowego gościa. Orlando kiwnęła głową.

Teraz mogli liczyć tylko na to, że dojadą do ronda pierwsi i wykorzystają panujące tam zamieszanie. Quinn wcisnął pedał gazu. Do deski.

Ścigające ich samochody jechały równo. Jakby ze sobą rozmawiały. I nagle, w połowie drogi przez park, mercedes przyspieszył.

Quinn zaczekał, aż się z nimi zrówna i szarpnął kierownicą w prawo. Kierowca mercedesa gwałtownie zahamował i odbił w lewo.

Grosser Stern był coraz bliżej. Przy krawężniku, tuż przed rondem, parkowało kilka autobusów. Nawet zimą wokół pomnika roilo się od turystów.

- Wraca - rzuciła Orlando.

Kiedy mercedes podjechał bliżej, Quinn ponownie skręcił, ale tamten przewidział to, szybko odbił w lewo i wyrównał.

- Niech to szlag - mruknął Quinn.

- Co?

Zanim zdążył dopowiedzieć, w drzwiczki wbiła się kula. Druga roztrzaskała boczną szybę i utkwiała w suficie nad jego głową.

- Cholera jasna! - krzyknęła Orlando. - Mówiłeś, że to strzały ostrzegawcze.

- Ostrzegawcze dla mnie. Ty się dla nich nie liczysz.

- To pozwól mi usiąść za kierownicą, wtedy ty nie będziesz się liczył. - Orlando jęknęła.

Quinn zerknął w prawo. Miała boleśnie wykrzywioną twarz.

- Oberwałaś? - Skręcił w lewo, wymijając audi i oddalając się trochę od mercedesa.

- To nic - syknęła przez zaciśnięte zęby. Po jej lewej ręce spływała krew.

- Na pewno?

- Nic mi nie jest. Jedź. - Wyciągnęła tę zdrową. - Daj pistolet.

Podał jej sig sauera.

- Weź nowy magazynek. - Sięgnął do kieszeni. Orlando załadowała broń, odwróciła się do okna i oddała

trzy strzały. Pierwsza kula poszła góra, nad dachem mercedesa, ale druga i trzecia trafiły w bok. Samochód zarzucił, wyrównał i jechał za nimi dalej.

Kiedy zaczęło się otwierać okno od strony kierowcy, Orlando wystrzeliła jeszcze raz. Ale zamiast w otwarte okno, trafiła w zamknięte, to od strony kierowcy. Mercedes, który jeszcze przed sekundą jechał tuż obok, nagle zniknął: gwałtownie skręcił w prawo i uderzył w autobus turystyczny parkujący przy chodniku.

- Ładny strzał - rzucił Quinn.

Rondo było tuż tuż, sześć pasów jezdni wypełnionych krążącymi wokół pomnika samochodami. Quinn wjechał na wewnętrzny i krążąc przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, spoglądał w lusterko. BMW wciąż siedziało im na ogonie i zdawało się, że nie zamierza robić nic więcej, przynajmniej

na razie. Ale kilkaset metrów dalej pędził do nich sznur policyjnych radio-
wozów.

Quinn zaczekał, aż znajdą się między nimi i pomnikiem, po czym skręcił
w ulicę wiodącą na północ, za miasto. Miał nadzieję, że uda mu się zgubić
policję.

A bmw? To zupełnie inna sprawa.

TLR

Rozdział 39

Dojeżdżając do lotniska, wyjął wizytówkę, którą dostał od doktora Garbera. Odwrócił ją na drugą stronę i podał Orlando.

- Zadzwoń pod ten numer. Ten, kto odbierze, ma kontakt z Borkiem albo Dahlem.

Tamci odebrali niemal natychmiast. I niemal natychmiast się rozłączyli.

- Zaraz oddzwonią - powiedziała Orlando. Oddzwonili niecałe pół minuty później.

- Daj telefon.

Podowała mu komórkę. Quinn wcisnął guzik i przytknął aparat do ucha.

- Tak?

- Chciał pan ze mną rozmawiać? - Borko.

- Załatwmy to szybko. My oddamy ci furgonetkę, wy nam chłopaka.

- Po co mielibyśmy to robić? Niedługo będziemy mieli i furgonetkę, i chłopca.

- Zadzwoń do swoich kumpli w zakładach wodociągowych. - Quinn przerwał połączenie.

Wyjął z kieszeni przedmiot podobny do grubej karty płatniczej. Na końcu „karty” były dwa przełączniki. Pierwszy pełnił funkcję bezpiecznika. Quinn przełączył go na pozycję „odbezpieczony”. Drugi, przełącznik typu A/B, umożliwiał dostęp do dwóch różnych kanałów. Quinn wybrał kanał A. Pod przełącznikami był czytnik dotykowy rozpoznający linie papilarne kciuka jego prawej ręki.

- Ostrożnie - szepnęła Orlando.

Quinn przytknął kciuk do czytnika. Sekundę później rozległo się ledwo słyszalne bipnięcie.

Jeśli wszystko zadziało tak jak trzeba, wielka kula w zakładach wodociągowych w Neukölln rozjarzyła się właśnie jak piec hutniczy. Quinn był pewien, że podłożył tam dość semteksu, by zniszczyć każdego wirusa.

Gdyby przełączył się teraz na kanał B i ponownie przytknął kciuk do czytnika, wybuchłby semtex w furgonetce. Na wszelki wypadek Orlando miała identyczny detonator.

Spojrzał w boczne lusterko. Ci z bmw nie zareagowali, ale niemal natychmiast komórka zadzwoniła ponownie.

- I po co to było? - spytał Borko.

- Ot tak, na pokaz - odparł Quinn. - Jeśli nie oddacie nam Garretta, żywego i całego, w powietrze wyleci coś jeszcze. Twój ruch.

Przerwał połączenie.

- Naprawdę myślisz, że to zadziała? - spytała Orlando.

Uśmiechnął się i kiwnął głową. Szczerze mówiąc, myślał, że do tej pory będą już wolni i swobodni. Ale w tej sytuacji pozostawała mu tylko nadzieja, że wyjdzie z tego cało chociaż jedno z nich.

- Uważaj!

Kilkadziesiąt metrów dalej z bocznej uliczki wyjechało tyłem volvo - wyjechało i zatrzymało się na środku ulicy. Quinn, który prawie całą uwagę skupiał na jadącym za nimi mercedesie, ledwo zdążył zareagować. Dodał gazu i gwałtownie skręcił, żeby ominąć zawalidrogę.

Metal zazgrzytał o metal: furgonetka zahaczyła prawym rogiem o volvo i odepchnęła je na bok, zrywając mu przy okazji zderzak.

- Czysto! - krzyknęła Orlando. Quinn wdepnął do deski pedał gazu.

Jechali na północ, za miasto. Minęli lotnisko Tegel i znaleźli się w mniej zaludnionej okolicy. Bmw wciąż siedziało im na ogonie, podobnie jak pozabawione zderzaka volvo. Ani jeden, ani drugi samochód nie próbował ich zatrzymać. Wciąż nie było Nate'a.

- Daleko tym wrakiem nie zajedziemy - powiedział Quinn. - Trzeba go będzie porzucić.

Przez cały czas kątem oka zerkał na wskaźniki. Paliwa mieli sporo, ale ciśnienie oleju nieustannie spadało.

- Nie możemy - odparła Orlando. - Jest nam potrzebny.

- Chyba nie mamy wyboru.

- Nie! - krzyknęła. - Nie możemy. Musimy znaleźć Garretta!

Kilkadziesiąt metrów dalej była zasypana śniegiem droga prowadząca w głąb lasu. Przed skretem stała tablica z napisem, że jest to teren budowy i że wstęp mają tylko pracownicy Boon Industries.

Quinn wyczekał do ostatniej chwili i gwałtownie skręcił. Volvo nie zdążyło zahamować i śmignęło obok. Ale bmw zdążyło, chociaż zarzuciło tyłem, próbując odzyskać przyczepność na zaśnieżonej nawierzchni.

- Co ty robisz? - spytała Orlando.

- Próbuję się ratować.

Wijąca się między kępami drzew droga wychodziła na polanę. A właściwie na plac budowy, który - sądząc po stanie zaawansowania robót - nie wyszedł jeszcze poza fazę niwelacji gruntu. Prace wstrzymano pewnie wraz z nadejściem zimy.

Wpadli na polanę. Gdzieś tam musiał być wyjazd, inna droga. BMW też wjechało na polanę, ale prawie natychmiast się zatrzymało - jego pasażerowie bali się pewnie zasadzki. Chwilę później nadjechało volvo. Tego się właśnie Quinn spodziewał.

- Czego ty szukasz? - spytała Orlando.

- Wyjazdu, innej drogi. Zamilkli i nagle Orlando krzyknęła:

- Tam!

Wskazała kępę drzew po lewej stronie. Quinn ruszył w tamtym kierunku. I natychmiast zrozumiał, że to błąd. Teren był nierówny, wyboisty i zryty koleinami. Szarpnął kierownicą w lewo, w prawo, potem znowu w lewo i...

Coś głucho huknęło i prawe przednie koło wpadło w szeroką na prawie metr niewidoczną dziurę, grzmocąc oponą w podwozie. Rzuciło ich w dół, podrzuciło do góry - furgonetka pokonała przeszkodę, ale najgorsze już się stało. Opona pękła. A sądząc po piskliwym zgrzycie, mogła się również wygiąć oś.

Quinn zaklął pod nosem i zahamował.

- Nie zatrzymuj się! - krzyknęła Orlando.

- Nie mamy wyboru - odparł, dobitnie podkreślając każde słowo. - To wrak.

Wyłączając silnik, spojrzął na tamtych. Obydwa samochody wciąż stały na skraju polany, ale teraz coś się tam działo.

Z volvo wysiadł kierowca. Wysiadł i podszedł do bmw. W bmw otworzyło się okno. Kierowca słuchał przez chwilę, po czym krzyknął coś w stronę swego wozu. W volvo otworzyły się tylne drzwiczki i wysiadło dwóch mężczyzn. Wbiegli na polanę, ale zamiast do furgonetki, popędzili w lewo.

- Wyskakuj! - rzucił Quinn. - Szybko, szybko! Furgonetka stała bokiem do parkujących przed wjazdem

wozów i dobrze ich osłaniała. Orlando otworzyła drzwiczki i wyslizgnęła się z samochodu. Quinn poszedł w jej ślady.

Kiedy tylko znaleźli się na zewnątrz, wyjął z kieszeni zdalny detonator. Odbezpieczył go i przełączył na kanał B. Żeby przypadkowo nie odpalić ładunku, trzymał urządzenie w lewej ręce.

Otworzyły się drzwiczki bmw.

- Quinn? Borko.

- Quinn, dość tego. Nieźle nas przegoniłeś. Ale już wystarczy, przyjacielu. Nie masz najmniejszych szans!

Trzydzieści metrów od miejsca, gdzie stali, był las. Quinn wskazał go ruchem głowy.

- Ty pierwsza - szepnął. - Odwróć ich uwagę. Kiedy tylko zajmiesz dobrą pozycję, wysadź to w cholerę.

Orlando wciąż się wahała, poznał to po jej oczach.

- Pobiegniemy razem. - Podniosła pistolet. - Zdejmujemy ich zza drzew. Nie będziemy musieli nic wysadzać.

- Nie damy rady.

- Cholera jasna, ale możemy przynajmniej spróbować! Quinn krótko skinął głową.

- Dobrze. Spróbujemy. Ale jeśli się nie uda, odpalimy ładunek.

Orlando odpowiedziała mu słabym uśmiechem.

- Quinn, jesteś skończony! - W głosie Borki pojawiła się nutka gniewu. - Rozumiesz? Rzućcie broń i wyjdźcie na otwartą przestrzeń!

Quinn i Orlando, osłonięci furgonetką, pobiegli w kierunku drzew.

- Zaczynam tracić cierpliwość! - krzyczał Borko. - Spowodowałeś dużo szkód! Ale to tylko interesy! I ja to rozumiem! Tak jak ty na pewno rozumiesz, że nie mogę pozwolić wam uciec!

Drzewa były ledwie dziesięć metrów dalej.

- Borko! - Głos z lewej strony. - Tutaj! Są już prawie w lesie!

Quinn zerknął przez ramię. Jeden z tamtych okrążał furgonetkę.

- Biegnij. - Popchnął Orlando w plecy.

Pędzili co tchu, ona krok przed nim. Byli cztery, pięć metrów od skraju lasu, gdy poczuł ostry, palący ból w lewym udzie. Jak podcięty zwałił się na Orlando i obydwójce upadli.

- Biegnij! - krzyknął. Czuł się tak, jakby ktoś podpalił mu nogę.

Orlando wstała i puściła się pędem przed siebie. Dotarłszy do drzew, odwróciła się z paniką w oczach. Natychmiast zrozumiał, co się stało. Zgubiła pistolet. Broń leżała o długość ciała przed nim. Za daleko, by on mógł jej dosięgnąć, za daleko, by ona mogła po nią wrócić. Mimo to chyba zamierzała.

- Nie! - krzyknął. - Uciekaj!

Wystrzał. Pocisk uderzył w pień drzewa na wysokości jej głowy.

- Uciekaj! - wrzasnął Quinn.

Tym razem go posłuchała i szybko zniknęła w lesie.

Quinn wziął głęboki oddech i obejrzał nogę. Myślał, że jest strzaskana, ale kula tylko musnęła tył uda, nie naruszając mięśni.

Słyszał tupot butów. Wiedział, że nie zdoła dotrzeć do lasu. Że musi odpalić ładunek. Ale kiedy chciał nacisnąć guzik, stwierdził, że nie ma w ręku detonatora.

- Odwróć się. - Czyjś głos. Z bliska, z odległości metra, najwyżej dwóch. - Powoli.

Robił wszystko, żeby się nie skrzywić z przeszywającego bólu. Przewróciwszy się na plecy, wyczuł coś pod prawą ręką. Detonator. Ale urządzenie było za daleko, pod łokciem. Gdyby spróbował tam sięgnąć, tamten od razu by to zauważył.

Stał z boku. Mierzył z pistoletu w jego głowę.

- Mam go!

Niecałą minutę później kilka kroków dalej zatrzymało się bmw. Quinn spojrział przez ramię. Najpierw otworzyły się drzwiczki od strony pasażera i wysiadł ten z volvo. Potem otworzyły się tylne i wysiadł Borko.

- A dziewczyna? - spytał, podchodząc bliżej.

- Uciekła do lasu - odparł ten, który postrzelił Quinna.

Serb kiwnął głową.

- Idźcie po nią - rzucił do kierowcy i jego kumpla, który zdążył już do nich dołączyć.

Mężczyźni odeszli.

Borko odwrócił się z uśmiechem w stronę bmw.

- Brakuje dziewczyny - zawołał. - Ale zaraz ją znajdziemy.

Quinn zerknął na tylne drzwiczki, dopiero teraz dostrzegł, że jest tam ktoś jeszcze. Piper, pomyślał. A więc też przyjechał.

Wysiadając, pasażer pochylił głowę. Poranne słońce oświetliło prawy profil jego twarzy. Coś tu nie grało. Mężczyzna nie przypominał Pipera, i to wcale.

Quinn przestał oddychać. Był ranny, był w szoku i miał przywidzenia. Tak, na pewno.

Mężczyzna powoli spuścił nogi, wstał i ruszył w ich stronę. Zatrzymał się krok przed Quinnem i spojrział w dół.

- Widzę, że dobrze cię wyszkoliłem - powiedział chrapliwie.

- Nie - odparł Quinn. - Ty nie żyjesz. Widziałem, jak umierałeś.

Durrie, jego dawny mistrz, roześmiał się wesoło.

- Naprawdę? Nie czuję się szczególnie martwy. - Spojrział na furgonetkę, zawieszając wzrok na uszkodzonym kole. - Cholera. Wielkie dzięki. Rozwaliłeś nasz wóz.

- Pudła można przenieść do samochodów - powiedział Borko.

Quinn próbował się skupić. Kosztowało go to dużo wysiłku. Mimo to część jego umysłu wciąż protestowała, wciąż krzyczała: to nie on! To nie on!

Borko. Co on przed chwilą powiedział? Coś o pudłach. Że można je przenieść. Niech to szlag. Jeśli zajrzą do furgonetki, znajdą semtex. Gdzie ten detonator? Leżał pod łokciem. Nie zdążę, Borko mnie zastrzeli.

- Włóżcie je do bagażnika mojego wozu - rozkazał Durrie. - Tyle, ile się da. Znajdźcie dziewczynę i resztę weźcie do siebie.

- Tak jest - odparł ten z volvo.

Podszedł do furgonetki i otworzył tylne drzwiczki.

Borko ukucnął.

- Spieprzyłeś nam harmonogram - powiedział. - Nasi ludzie będą musieli się teraz spieszyć. Na pewno się z tego nie ucieszą.

Kierowca volvo pochylił się i wyjął z furgonetki dwa kartony. Zaniósł je do bmw. Odskoczyła kłapa sterowanego pilotem bagażnika.

- Może poczęstuj ich miętówkami - powiedział cicho Quinn. - Będzie im się lepiej pracowało.

Borko rozciągnął usta w uśmiechu.

- Dobrze. Bardzo dobre. Zastanawiałem się, ile wiesz. Niestety, na nich to nie podziała.

- Bo nie są Bośniakami? - rzucił Quinn. Borko zeszywniał.

- Skąd o tym wiesz?

- Jezu Chryste - wtrącił Durrie. - Czy to ważne?

- Skąd o tym wiesz? - powtórzył Borko.

Do bagażnika bmw trafiły kolejne dwa pudła. Quinn dodał je w myśli do tamtych.

- Borko - warknął Durrie. - Idziemy. Nie ma czasu na pierdoły.

Borko niechętnie wstał. Durrie spojrzał na Quinna.

- Daruję sobie powitania i pytania o zdrowie. Twoje zdrowie mi wisi. A wiesz dlaczego? Bo już nie żyjesz, Johnny. To mi wystarczy. Kiedy znajdziesz się po tamtej stronie i zobaczysz tę sukę, powiedz jej, że zaopiekuję się Garrettem. - Uśmiechnął się i wyjął z kieszeni pistolet.

- Nie - powiedział Borko. - Ja to zrobię. Zabił moich ludzi. Jestem im to winny.

- Chyba żartujesz - odparł Durrie. - Przestań z tym honorem.

- Pozwól - prosił Borko. - Oddam ci połowę mojej doli.

Durrie uniósł brew i parsknął śmiechem.

- Skoro tak bardzo chcesz... - Spojrzał na Quinna. - Chyba jestem przekupny. - Roześmiał się jeszcze głośniejszym i niespiesznie odszedł.

Kiedy od samochodu dzieliło go kilka kroków, wysiadł z niego Leo Tucker. Quinnowi zwięzły się oczy. Spodziewał się, że Tucker tu będzie, ale widząc go we własnej osobie, zapłonął gniewem. Tucker otworzył tylne drzwiczki i Durrie wsiadł. W tym samym momencie kierowca volvo załadował do bagażnika kolejne dwa pudła.

Sześć, liczył Quinn.

- Zabierzcie resztę - zawołał do Borka Durrie.

BMW odjechało. Podczas gdy Borko odprowadzał je wzrokiem, Quinn szybko przesunął rękę, nakrywając detonator dłonią.

Kiedy Serb odwrócił głowę, on mocniej zacisnął palce. Wiedział, że jest już za późno, że nie zdąży odpalić ładunku i zniszczyć bmw. Część naszpikowanych wirusem cukierków była już daleko.

- Dobra - rzucił Borko. - A teraz się trochę zabawimy. - Sięgnął za pazuchę i wyjął pistolet. Sig Sauera P226, takiego samego jak pistolet Quinna.

- Dlaczego Gibson nie miał wizytówki? - spytał Quinn. Obracał w rękę detonator, próbując zyskać na czasie i wymacać kciukiem czytnik.

Borko zmarszczył brwi, ale zaraz się uśmiechnął.

- U ciebie w domu? Chcesz znać prawdę? - Nachylił się lekko, jakby zamierzał zdradzić mu wielką tajemnicę. - Miał wyciąć ci na piersi nazwisko Dahla.

Tak, pomyślał Quinn, sprawdzając, czy detonator jest odbezpieczony. To by wszystko wyjaśniało.

- Wasz plan nie wypali - powiedział.

Dotknął kciukiem przełącznika kanałów. Ustawił go już na kanał B? Czy jeszcze nie?

- Twoje zdanie mnie nie obchodzi. - Borko trzasnął zamkiem pistoletu, sprawdzając, czy pocisk jest w komorze. -A plan wypali.

- Wasi naukowcy spieprzyli sprawę i zaplanowane przez was etniczne ludobójstwo będzie miało szerszy zakres. Ale nie o to chodzi. - A w prawo, B w lewo. Tak? A w prawo... Nie. A w lewo, B w prawo.

- To nie ludobójstwo. - Borko podniósł pistolet. - To tępienie szkodników.

Przełącznik był w dobrej pozycji.

- Nie. - Quinn zaryzykował i spojrzał na furgonetkę. Zastanawiał się, czy nie jest za blisko. Stała trzydzieści metrów dalej, a on leżał na ziemi. Miał nadzieję, że wybuch zabije Borka. A przynajmniej zwali go z nóg i da mu szansę ucieczki. - Nie dlatego się wam nie uda.

- Nie? - spytał obojętnie Borko. - A dlaczego?

- Niestety, ty już się tego nie dowiesz.

Quinn przytknął kciuk do czytnika, ale nic się nie stało.

- Co ty pieprzysz? - warknął Borko.

Quinn przytknął kciuk jeszcze raz. Wciąż nic. Przełącznik. Zepsuł się przełącznik.

- Wiesz co? - rzucił Borko. - To nieważne. Ważne jest to, że...

Cokolwiek było według niego ważne, zginęło w huku eksplozji, która rozerwała go na strzępy.

Rozdział 40

Początkowo nie pamiętał wybuchu. Pamiętał za to czyjeś ręce, ręce, które coś z niego zdejmowały, pomagały mu wstać. Pamiętał, że szukał wzrokiem furgonetki, ale jej nie znalazł. Zniknęła. Nie pamiętał jednak, dlaczego to takie ważne.

Potem ktoś wziął go pod ramię.

- Chodź - ponaglił go cichy szept.

Dlaczego tak trudno było mu iść? Lewa noga zachowywała się tak, jakby nie mogła utrzymać go bez pomocy swej nowej towarzyszki. Spojrzał w dół i zobaczył, że jest przewiązana szalikiem. Takim w czerwono-czarną kratkę, jakby znajomym. Skąd się tu wziął?

Otoczyły go drzewa, ale jego towarzyszka kazała mu iść dalej, głębiej w las. Zamykały mu się oczy. Zdawało się, że wędrówka trwa wiele dni, nawet tygodni. Wreszcie usłyszał warkot samochodów, dziesiątków samochodów. A z tyłu, z kierunku, z którego przyszli, dochodziło wycie syren zawodzących każda inaczej. Wtedy jego towarzyszka przystanęła i pomogła mu oprzeć się o drzewo. Do umysłu zaczął wkradać się ból, a wraz z bólem wróciła świadomość sytuacji i pamięć o tym, co musiał jeszcze zrobić.

Spojrzał na swoją towarzyszkę, na Orlando. Metr pięćdziesiąt wzrostu, i to w butach. To ona pomogła mu wstać. To ona obwiązała mu nogę szalikiem. To ona odciągnęła go od porzrzuconych szczątków tego, co było kiedyś furgonetką.

- Ile minęło czasu? - wychrypiał.

- Od wybuchu? Kiwnął głową.

Orlando spojrzała na zegarek.

- Dziewięć minut.

- Detonator nie zadziałał.

- Za to mój zadziałał. - Wyjęła z kieszeni telefon. Inny od tych, jakich dotąd używali. Zauważyła, że mu się przygląda. - Zabrałam go jednemu z tych dwóch, którzy poleźli za mną do lasu.

- Zajęłaś się nimi?

- Inaczej by mnie tu nie było. Próbował się uśmiechnąć, ale nie zdołał.
Orlando wybrała numer i przytknęła komórkę do ucha.

- Gdzie jesteś? - spytała. Pauza. - To już niedaleko, najwyżej kilkaset metrów. Zaczekaj.

Wyszła na skraj lasu. Była za daleko, by słyszał, co mówi, ale kilka sekund później zatrzymało się przed nią brązowe bmw. Nate.

Pomogli mu wsiąść, potem ulokowali się z przodu, on za kierownicą, ona obok niego. Nate wjechał na drogę i ruszyli na południe, w kierunku miasta.

- Leż - powiedziała Orlando. - Zawieziemy cię do lekarza.

- Nie.

Odwróciła głowę.

- Możesz mieć wstrząśnienie mózgu. Musi cię zbadać.

- Nie ma na to czasu - odparł. - Hotel St. Martin. To tam musimy jechać.

- Po co?

- Po Garretta. Obiecałem ci.

Minęły ich dwa policyjne radiowozy, pędzące w przeciwnym kierunku z migającymi światłami.

- Garrett jest w St. Martin? - spytała szybko Orlando.

- Nie - odparł. - Nie to chciałem powiedzieć. Musimy iść ich tropem. -I zdawszy sobie sprawę, że go nie zrozumieli, dodał: - Nie wszystko załatwiliśmy.

- Chodzi ci o te cukierki? - spytała. - Wszystkie wysadziłam w powietrze. Masz szczęście, że przy okazji nie wysadziłam ciebie. Któryś z nich musiał stać tuż obok, bo kiedy cię znalazłam, miałeś na sobie jego flaki.

- To był Borko.

- Gadasz! - rzucił Nate.

Quinn kiwnął głową, ale Nate go nie widział.

- Nie wszystkie cukierki zniszczyliśmy. - Opowiedział im o kartonach, które tamci przenieśli do bmw.

- W sumie jest ich sześć - zakończył. - Na początek to aż za dużo. Mają dwa wyjścia. Pozbyć się ich albo rozprowdzić to, co im zostało, i zgarnąć kasę.

- Ale dlaczego do hotelu? - spytał Nate. - Mówiłeś, że miętówki mają być w paczkach powitalnych.

- Teraz już chyba za późno na robienie paczek, nie sądzisz?

- To co? Ukradniemy pozostałe kartony i pójdziemy na wymianę? - spytała Orlando. - Cieniutkie to, nie uważasz?

Quinn starannie dobrał słowa.

- To Dahl je wiezie. Jest z nim Tucker. Orlando rozszerzyła się oczy.

- Jesteś pewien? Quinn kiwnął głową.

- Na pewno wiedzą, gdzie jest Garrett.

Zapadła cisza. Ponownie otoczyło ich miasto. Wzmógł się ruch i Nate musiał zwolnić. Zerknął na Orlando.

- Do hotelu czy do lekarza? - spytał. Orlando nie wahała się ani sekundy.

- Do hotelu.

Zatrzymali się przed sklepem spożywczym i wbiegła do środka. Tymczasem Quinn otworzył apteczkę samochodową i zaczął opatrywać ranę. Zdezynfekował ją i mocno obwiązał udo kilkoma warstwami bandaża elastycznego.

Wiedział, że chodzić swobodnie nie będzie, ale bandaż powinien trochę pomóc.

Orlando wróciła po kilku minutach. Wsiadła i podała mu torbę. W środku było pudełko papierowych serwetek i kilka butelek wody.

- Dzięki - powiedział.

Kiedy ruszyli, polał serwetki wodą i przetarł nimi twarz i ręce, zakrwawione - dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę - krwią Borki.

- Będzie kłopot z ubraniem - zauważyła Orlando. Spojrzał w dół. Kurtka była porwana i poplamiona.

Ucierpiała nawet koszula. A spodnie? Lewa nogawka przesiąkła krwią z rany.

- W torbie mam sweter - powiedział Nate.

Za fotelem kierowcy leżała płócienna torba. Quinn podniósł ją i postawił na siedzeniu obok.

- A spodnie? - spytał. Nate pokręcił głową.

- Niestety.

Quinn zdjął kurtkę i rzucił ją na podłogę. Koszulę ściągał powoli, bo krew zaczynała już zasychać, tworząc na skórze ciemnobrązowe smugi i kręgi.

Wziął kolejną garść serwetek, wytarł pierś i otworzył torbę. Sweter leżał na wierzchu. Włożył go przez głowę.

- Jesteśmy - powiedział Nate kilka minut później.

Za oknem, dwie ulice dalej, był hotel St. Martin. Wszędzie roiło się od policji i ruch zaczynał zwalniać.

- Skreć tu - rzucił Quinn. - Spróbujemy naokoło.

- Ale jak się tam dostaniemy? - spytał Nate. - Za dużo policji i ochroniarzy.

- Skreć - powtórzył Quinn.

Nate skrecił w lewo, przejechał kilka ulic i skrecił w lewo jeszcze raz. Samochody poruszały się bardzo powoli, ale się poruszały.

- Naprawdę myślisz, że Dahl przywiózł te pudła tutaj? - spytał.

- Nie miał innego wyjścia - odparł Quinn. - Inaczej cały plan wzięłby w łeb.

- Mogli je zawieźć prosto do Bośni - odparował Nate. - Tak byłoby najskuteczniej.

- I najgorzej dla nich, bo za zamach obwiniono by HFA. Jeśli uwolnią wirusa tutaj, zawsze mogą liczyć na to, że dojdzie do wybuchu kilku epidemii poza Bałkanami. Nawet jeśli ktoś oznajmi, że to robota bioterrorystów, grupa potencjalnych podejrzanych będzie znacznie większa.

- Ale Jansen mówił, że wirus zaatakuje nie tylko Bośniaków - powiedział Nate.

- To my o tym wiemy - odparła Orlando. - Oni wciąż myślą, że stworzyli broń doskonałą.

- Dahl musi zgarniać za to tęą forę - mruknął Nate.

- Na pewno - odrzekła Orlando.

Quinn zeszywniał. Wiedział, że nie chodzi tylko o pieniądze. Zdał sobie sprawę, że unika tego tematu, odkąd Nate go podniósł. Ale dłużej tak nie mógł. Tyle że kiedy otworzył usta, nie znalazł słów, w które by uwierzyli. W końcu spojrzął na Orlando i spytał:

- Masz przy sobie zdjęcia Garretta?

Ręka zaskoczony Orlando odruchowo powędrowała w stronę kieszeni.

- Tak. Dlaczego?

- Możesz pokazać?

Wciąż skonsternowana, wyjęła z kieszeni małe plastikowe etui, wkładkę do portfela. Zaczęła wyjmować z niej zdjęcie.

- Nie - powstrzymał ją Quinn. - Daj wszystkie. Niechętnie podała mu etui.

Zdjęć było cztery: dwa zrobione ostatnio i jedno, kiedy był małym dzieckiem. Ale jego zainteresowało czwarte, ostatnie.

Pokazał je Nate'owi.

- Spójrz.

- Ale ja prowadzę.

- Co ty robisz? - spytała Orlando.

- Tylko zerknij - nie ustępował Quinn.

Nate wziął zdjęcie prawą ręką i nie odrywając oczu od drogi, podniósł je do twarzy. Po chwili spojrzął w dół. Ale zamiast tylko spojrzeć i szybko podnieść wzrok, gapił się na nie jak zaklęty.

- Wystarczy. - Quinn klepnął go w ramię.

- A to skurwysyn. - Nate oddał mu zdjęcie.

- Co się stało? - spytała Orlando.

- To on.

- Ale kto? - Orlando zaczynała wpadać w gniew.

- Facet, którego widziałem, kiedy zamknęli mnie w tym pokoju. Ten starszawy. - Nate zerknął przez ramię na Orlando, po czym spojrzął w górne lustro, żeby zobaczyć Quinna. - To Dahl?

Quinn podał zdjęcie Orlando, ale ona go nie wzięła. Dobrze wiedziała, kto na nim jest.

- Ja też go widziałem - powiedział Quinn. - Był w tym bmw.

- To niemożliwe - wyszeptała z niedowierzaniem Orlando.

Spojrzał jej w oczy.

- On żyje.

- Bzdura. Widziałeś, jak umierał. Przywiozłeś mi jego prochy.

- Wiem. - Quinn odwrócił się do Nate'a. - To na pewno jego widziałeś?

- Tak. Teraz jest chyba trochę starszy, ale to na pewno on. Kto to?

Quinn spojrzał na Orlando.

- Nate nigdy nie widział tego zdjęcia. Mnie możesz nie wierzyć, ale on nie ma powodu kłamać.

- To niemożliwe - powtórzyła, ale w jej głosie słychać było teraz więcej graniczącego z osłupieniem niedowierzania niż przesyconego buntem gniewu.

- Pomyśl tylko - ciągnął Quinn. - Czy ktoś inny miałby powód, żeby porwać Garretta?

- Ale to Piper jest Dahlem - odparła, rozpaczliwie szukając błędu w jego rozumowaniu. - To on kazał go porwać. I to on próbował cię zabić. Widziałeś Pipera, nie Durriego, prawda? Na pewno. Przywidziało ci się. Wybuch pomieszał ci w głowie.

- Durrie? - powtórzył skonsternowany Nate. Quinn ciężko westchnął.

- Piper nie jest Dahlem. Dahl to Durrie. Nie przypuszczam, żeby Piper miał z tym coś wspólnego. Łącznikiem Durriego w Wietnamie był Tucker. Nie Piper. Pewnie namierzył cię, śledząc Nate'a i mnie. Ale nie powiedział o tym swemu poprzedniemu szefowi. Powiedział Durriemu, bo wiedział, że bardzo go to zainteresuje.

Orlando umilkła.

- Skręć tu - rzucił Quinn.

Nate skręcił i chwilę później znowu dojechali do hotelu, ale tym razem z drugiej strony.

Budynek zajmował prawie cały kwartał. Chociaż zbudowano go niedawno, zadano sobie dużo trudu, żeby jego architektura pasowała do architektury stojących wokół starych kamienic.

- Szukaj wjazdu dla wozów dostawczych - powiedział Quinn.

- Tam też będą ochroniarze - odparł Nate.

- Zobaczymy.

Minęli drugie wejście, mniejsze i mniej rzucające się w oczy niż to główne, ale nie mniej ruchliwe. Najwyraźniej kierowano tam wszystkich tych, którzy nie brali udziału w konferencji. Przed drzwiami czekała armia gońców, którzy rzucali się do zajeżdżających przed hotel taksówek.

I chociaż stało tam kilku policjantów, wyglądało na to, że tylko obserwują tłum, nikogo nie zatrzymując.

- Tędy by nie wszedł - powiedział Quinn. - Nie z tymi pudłami.

Szukał wzrokiem dalej. Nagle wyciągnął rękę.

- Tam.

Był tam wjazd duży na tyle, że z powodzeniem zmieściłaby się w nim ciężarówka. Napis na przytwierdzonej do ściany tablicy głosił, że jest to droga dla samochodów dostawczych i wjazd na parking dla pracowników. Pilnowało go dwóch policjantów w długich, ciepłych paltach i rękawiczkach.

- Skreć. - Quinn położył Nate'owi rękę na ramieniu. - Ale zatrzymaj się dopiero w środku. Niech do ciebie podejda. - Spojrzał w górne lustro i spotkali się wzrokiem. - Będziesz musiał pomóc mi ich zdjąć.

- Zabić? - Nate był zaskoczony i przerażony.

- Mam nadzieję, że nie.

Zjechał na środkowy pas, zwolnił i zatrzymał się. Przepuścił jadące z naprzeciwka samochody i skręcił do garażu. Jeden z policjantów podniósł rękę, ale on nawet nie przyhamował i stanął dopiero kilka długości samochodu dalej. Nikt z ulicy by ich teraz nie zobaczył.

- Wsiądź i odwróć ich uwagę - szepnął Quinn. Kiedy policjanci ruszyli w ich stronę, Nate otworzył drzwiczki.

- Przepraszam - powiedział po angielsku. - Nie zauważyłem was. Mówicie po angielsku?

Quinn podczołgał się do bocznych drzwiczek.

- Ja pójdę - powiedziała Orlando. Miała spiętą twarz.

- Nie musisz. Dam radę.

- Pójdę.

Bez słowa otworzyła drzwiczki i wysiadła. Obeszła samochód i dołączyła do Nate'a. Quinn wyjrzał przez tylne okno.

Nate ustawił się tak, że policjanci musieli stanąć za bagażnikiem, tyłem do samochodu. Quinn słyszał tylko ich przytłumione głosy, nic konkretnego, widział za to, jak w ręku Orlando pojawia się nagle pistolet. Policjanci zamarli, zbyt mądrzy na to, by sięgnąć po broń.

Orlando powiedziała coś do Nate'a, a on podszedł do okna, włożył do środka rękę, otworzył bagażnik i wrócił do tamtych.

Kłapa zasłoniła Quinnowi widok. Ktoś coś powiedział i samochód zakolysał się pod dodatkowym ciężarem.

- Za mało miejsca. - Znowu czyjś głos. Zduszony, choć wyraźny, zza tylnego siedzenia. Policjant.

- Zabij ich obydwu. - Głos Orlando.

Szczęk pistoletowego zamka. I niemal natychmiast głuchy stukot, a zaraz potem stłumione stęknienie.

- Teraz lepiej. - Znowu głos Orlando.

Kiedy kłapa bagażnika się zamknęła, za samochodem stali już tylko oni, ona i Nate.

Wsiedli i rzuciła coś na tylne siedzenie. Długie, ciemne palto jednego z policjantów. Coś w sam raz dla Quinna, bo zasłoniłoby jego poplamione spodnie.

- Wzięłam i to. - Pokazała mu dwa pasy bojowe z krótkofalówkami i pistoletami. Brakowało oczywiście kajdanek.

- Odznaki? - spytał. Kiwnęła głową.

Nate wrzucił bieg i ruszyli. Wkrótce znaleźli się na zjeździe prowadzącym w głąb budynku. Piętnaście metrów dalej zjazd się rozwidłał. Prawe odgałęzienie opadało w dół stromą spiralą i wychodziło pewnie na parking dla pracowników. Lewe biegło prosto i siedem, osiem metrów dalej kończyło się na małym parkingu dostawczym przy rampie załadunkowej.

Pod rampą stała tyłem samotna furgonetka. Bielizna pościelowa i stołowa. Dwóch mężczyzn wytaczało właśnie wielki kosz z brudnymi ręcznikami, żeby załadować go na skrzynię.

Quinn przeniósł uwagę na parking po lewej stronie. Stało tam pięć samochodów: dwa ford, peugeot i dwa bmw. Jedno bmw, dwudrzwiowe coupe, było srebrzyste. Ale drugie...

- Stań - rzucił.

Nate zatrzymał samochód, a on wyteżył wzrok. Wszystkie szyby granatowego bmw były przyciemnione, łącznie z przednią i tylną.

- To ten wóz.

Chciał wysiąść, ale nie pozwolił mu przeszywający ból nogi.

- Zaczekaj - powiedział Nate. - Ja pójdę.

Kiedy otworzył drzwiczki, Orlando klepnęła go w ramię. Podała mu policyjną odznakę i pistolet.

Nate podszedł do bmw bardzo ostrożnie, ale szybko stało się jasne, że w środku nikogo nie ma.

- Co teraz? - zawołał.

- Sprawdź, czy są tam pudła! Nate chwycił za klamkę.

- Nate. - Quinn machnął ręką, jakby uderzał w coś młotkiem.

Nate kiwnął głową i zerknął na rampę. Mężczyźni z koszem znikali właśnie w hotelu.

Zamiast od razu wybić okno, zdjął najpierw kurtkę i osłonił nią szybę. Musiał uderzyć trzy razy, zanim pękła, ale odgłos był stłumiony. Quinn uśmiechnął się lekko. Mały się uczył.

Warstwa przyciemniająca nie pozwoliła szkłu rozpaść się na kawałki i Nate musiał złożyć szybę na pół i wepchnąć ją do środka.

- To był na pewno on? - spytała Orlando. Mówiła głosem cichym, lecz stanowczym.

Quinn nie odrywał wzroku od swego ucznia.

- Tak.

Orlando zamilkła.

- Ten sukinsyn przez cały czas żył - dodała po chwili. Powiedziała to chyba do siebie.

Nate otworzył bagażnik bmw. Nie musiał nic mówić. Quinn poznał odpowiedź po jego minie.

- Nie ma.

- No to musimy je znaleźć.

- Ale jak dostaniemy się do środka?

- Nate - odparł Quinn. - Przecież już jesteśmy w środku.

TLR

Rozdział 41

Kazał mu zaparkować tuż za bmw, zderzak w zderzak. Tył ich samochodu trochę wystawał, ale nie blokował przejazdu. Przed bmw była betonowa ściana. Gdyby Durrie i Tucker chcieli odjechać, mieliby z tym sporo kłopotów.

Tak jak się tego spodziewał, ochronę ograniczono do kilku stref. Uczestnicy konferencji nie byli na tyle ważni, żeby sparaliżować pracę całego hotelu. Gdyby przyjechały tu głowy państw, pewnie odcięto by go od świata. Ale ponieważ uczestnicy byli w większości uniwersyteckimi profesorami i cywilnymi profesjonalistami, poziom bezpieczeństwa był zapewne niższy i zależny od sytuacji.

Co wcale nie znaczyło, że pójdzie im łatwo.

Hotel składał się z samych korytarzy dla obsługi. Takie przynajmniej Quinn odniósł wrażenie, gdy zagłębili się w trzewia budynku. To właśnie dzięki tym korytarzom praca niezbędna do prowadzenia dobrze prosperującego hotelu przebiegała gładko i płynnie. Na każdym skrzyżowaniu były strzałki kierujące ruch do kuchni, recepcji i sal konferencyjnych. Sprzątaczkę, kelnerzy i monterzy chodzili tam i z powrotem, jedni szybciej, drudzy wolniej, ale żaden z nich nie zwracał na nich najmniejszej uwagi.

Nie byli tu jedynymi „obcymi”. Byli tu również ochroniarze. Ludzie ze służby bezpieczeństwa, policyjnej albo wojskowej, ubrani po cywilnemu i udający pracowników hotelu.

W przeciwieństwie do tych prawdziwych, ci bardziej interesowali się ich trójką. Dwa razy ich zatrzymano, ale Quinn mignął im przed oczami policyjną odznaką i powiedział, że dokonują ostatecznej inspekcji strefy bezpieczeństwa przed rozpoczęciem uroczystego lunchu.

Najbardziej przeszkadzała mu noga. Wyraźnie kulał. Robił co mógł, żeby wyglądało to naturalnie, na starą ranę. Ale często musiał wspierać się na ramieniu Nate'a.

Na tablicy ogłoszeniowej w jednym z korytarzy wypatrzyli plan imprez. Lunch odbywał się w Athey Ballroom, w sali balowej. Ruszyli dalej i na

następnym skrzyżowaniu znaleźli strzałkę, która skierowała ich w odpowiednim kierunku.

- Kontrola - szepnął Quinn parę minut później. Minęli jeden korytarz, drugi i skręcili w prawo. Punkt kontrolny był tuż za rogiem. Bramka do wykrywania metalu i dwóch cywilów w ciemnych garniturach. Obok stał rentgen do prześwietlania walizek i torebek, taki jak na lotnisku.

Quinn zwolnił kroku. Zamierzał skręcić w korytarz tuż przed nimi.

- Tam - szepnęła nagle Orlando. - Pod ścianą. Za bramką.

Spojrzał w tamtą stronę. Na ręcznym wózku pod ścianą stało sześć kartonów. Sześć identycznych pudeł. Poczuł, jak idący obok Nate nagle sztywnieje.

- Może to nie oni - powiedziała Orlando.

- Oni - odparł.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch w głębi korytarza. W stronę bramki szło dwóch mężczyzn. Jeden coś mówił. Drugi wyglądał na pracownika hotelu i uważnie słuchał. Był w jasnofioletowej marynarce i czarnych spodniach, w stroju, jakie nosili tu kierownicy pięter i członkowie starszego personelu. Co kilka sekund kiwał głową, jakby tamten wydawał mu jakieś polecenia.

Tym, który mówił, był Leo Tucker.

Quinn przystanął. Dzielilo ich sześć, siedem metrów.

- Odwróćcie się i spójrzcie na mnie - szepnął. - Rozmawiamy. Jakby nigdy nic. Jasne?

Orlando odwróciła się pierwsza, potem Nate. Stanęli tyłem do bramki.

- Widzieliście tych dwóch? - spytał Quinn.

- Tak - odparła Orlando.

Nate chciał zerknąć przez ramię.

- Nie - powstrzymał go Quinn. Nate znieruchomiał.

- Ten wyższy to Leo Tucker. Wygląda na to, że wydaje tamtemu jakieś polecenia.

Quinn spojrzał ponad ramieniem Orlando. Tucker był coraz bliżej. Wskazał pudła. Ten drugi kiwnął głową i skręcił w ich stronę.

- Niech to szlag - zaklął Quinn. - Chodźcie za mną. Minał ich i ruszył przed siebie.

- Stać! - krzyknął po niemiecku.

Ni to biegnąc, ni kuśtykając, popędził do bramki. Pilnujący jej ochroniarze podnieśli wzrok i ręka jednego z nich powędrowała do krótkofalówki u pasa. Ten w jasnofioletowej marynarce przystanął. On przystanął, ale nie Tucker. Zaskoczony Australijczyk zerknął na Quinna i zaczął uciekać w głąb korytarza.

- Nie dotykaj tych pudeł! - krzyknął Quinn. - Trucizna! Ten w marynarce gwałtownie się cofnął.

- Zatrzymajcie go! - Quinn wskazał uciekającego Tu-ckera.

Ochroniarze nie zareagowali. Quinn podniósł policyjną odznakę.

- Terrorysta! - rzucił. - Terrorysta!

To ich obudziło. Jeden puścił się w pościg, ale drugi pozostał na posto-runku. Kiedy Quinn przebiegał przez bramkę, rozległ się głośny pisk.

- Stać! - zawołał ochroniarz.

Nie zwalniając kroku, Quinn spojrzał na niego i krzyknął:

- Niech nikt nie dotyka tych pudeł! - I pokuśtykał dalej.

Orlando i Nate potruchtali za nim.

- Stać! - powtórzył tamten.

Quinn zerknął przez ramię. Ochroniarz stanął przed bramką, nie chcąc ich przepuścić. Kiedy sięgnął po krótkofalówkę, Orlando powaliła go na pod-łogę.

Quinn musiał odwrócić głowę; mógłby na coś wpaść i jeszcze bardziej urazić się w nogę. Korytarz rozwidłał się na odnogi w kształcie litery T. Tucker i ścigający go ochroniarz zniknęli i nie wiedział gdzie. Z trudem przyspieszył kroku. Dotarłszy do skrzyżowania, skręcił w lewo i nagle omal nie staranował go nadbiegający stamtąd Tucker. Nieco dalej, w głębi kory-tarza, leżał bez ruchu ochroniarz.

Quinn chwycił Tuckera za połę marynarki i mocno zacisnął palce. Roz-pędzony Australijczyk pociągnął go za sobą. Próbował zdjąć marynarkę,

wyślizgnąć się z niej jak wąż, ale spowolniło go to na tyle, że Quinn zdążył wyjąć pistolet i dźgnąć go lufą w plecy.

- Stój - warknął.

- Wal się. - Tucker nie przestawał się wyrywać.

- Stój!

Marynarka zsunęła mu się z ramion. Quinn omal nie pociągnął za spust, ale w ostatniej chwili, tuż zanim Tucker wyszarpnął ręce z rękawów, zdzieilił go w głowę rękojeścią pistoletu. Australijczyk zatoczył się na ścianę i upadł na kolana. Był oszołomiony, ale przytomny.

Quinn szybko go obszukał. Tucker nie miał przy sobie broni; gdyby miał, co chwilę włączałyby się alarm. Quinn chwycił go za podbródek i zadarł mu głowę.

- Gdzie jest Garrett?

Chwilę trwało, zanim Tucker zdołał skupić wzrok.

- Wal się.

Tupot butów za rogiem. Quinn cofnął się, żeby mieć na oku i korytarz, i Australijczyka.

Zza rogu wypadła Orlando, omiatając teren lufą pistoletu. Opuściła go lekko na jego widok.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Tak - odparł, chociaż niemiłosiernie bolała go noga. -Co z pudłami?

- Zabezpieczone. Nate ich pilnuje.

- A ten ochroniarz?

- Przeżyje. Musimy wiać. Quinn spojrzał na Tuckera.

- Pójdiesz z nami.

- A takiego.

- Jak chcesz. - Quinn podniósł pistolet.

- Nie zastrzelisz mnie tutaj.

- Chcesz się przekonać? - Quinn położył palec na spuście.

- Dobra, już dobra. Powiem wam, gdzie jest chłopak. Ale pod warunkiem, że zabierzecie mnie stąd i wypuścicie.

Nate był na punkcie kontrolnym. Pilnował kartonów i przerażonego hotelarza w jasnofioletowej marynarce, który się w to wszystko wplątał. Nieprzytomny ochroniarz leżał bezwładnie pod ścianą.

- Spadamy - rzucił Quinn.

Kazał hotelarzowi pchać wózek z pudłami. Gość miał opory, ale na widok pistoletu szybko się ich wyzbył. Orlando pilnowała Tuckera, jako najsprawniejsza z nich trojga. Quinn szedł przodem, Nate ubezpieczał tyły.

Znowu zagłębili się w kręte trzewia hotelu, ale tym razem mieli przewodnika, który wskazał im drogę na skróty. Nawet Tucker zachowywał się spokojnie, głównie dlatego, że przy każdym fałszywym kroku Orlando przypominała mu, którądy iść.

Kiedy doszli do garażu, Quinn kazał hotelarzowi i Tuckerowi załadować pudła do samochodu. Kiedy skończyli, Nate wsiadał i otworzył bagażnik.

Policjanci wciąż tam byli, przytomni i nieprzytomnie wkurzeni. Tucker i hotelarz pomogli im wyjść, oczywiście pod lufą pistoletów.

- Odpalaj! - zawołał Quinn. Kiedy ryknął silnik, spojrzął na Orlando. - Usiądziesz z Tuckerem z tyłu, jakoś się wciśnięcie.

Kilka sekund później został sam z hotelarzem i policjantami.

- To był koszmarny dzień - powiedział. - Ale wierzcie mi, mogło być jeszcze gorzej. - Otworzył przednie drzwiczki. - Ani kroku, dopóki nie odjedziemy. Potem róbcie, co chcecie.

Co zaskakujące, tamci go posłuchali.

Pokierował Nate'a z powrotem do Tiergarten i znowu, tym razem od południa, dojechali do Grosser Stern. Ale kilkadziesiąt metrów przed rondem kazał mu stanąć.

Park tonął w śniegu. Ludzi na ścieżkach było mało; największy ruch panował na jezdni.

- Tu się rozdzielimy - powiedział.

- Co takiego? - spytał zaskoczony Nate. Quinn spojrzął mu w oczy.

- Musisz pozbyć się tych pudeł. Zawieź je do naszej ambasady. Powiedz im, co w nich jest. Powiedz wszystko. Pewnie ci nie uwierzą. Początkowo. I

pewnie cię przymkną. Ale przynajmniej poddadzą kwarantannie pudła. Potrwa to parę dni, ale na pewno cię stamtąd wyciągnę.

Spodziewał się, że Nate jak zwykle mu odszczeknie, ale on powiedział tylko:

- Dobra.

Uścisnęli sobie ręce.

- Dobrze się sprawiłeś - powiedział Quinn. - Lepiej, niż mógłbym przypuszczać.

- To znaczy, że dostanę podwyżkę? Quinn uśmiechnął się blado.

- Wątpię.

Wysiadł. Potem wysiadła Orlando, ciągnąc za sobą Tu-ckera. Zanim zatrzasnęła drzwiczki, nachyliła się do okna i powiedziała do Nate'a:

- Cieszę się, że cię znaleźliśmy.

Ruszyli na północny zachód, ona, Quinn i Australijczyk.

- Gdzie on jest? - spytał Quinn.

- Ale wypuście mnie? - odparł Tucker.

- Ja cię nie zatrzymam.

- Tobą się nie martwię. - Tucker zerknął na Orlando. -A ona?

Orlando miała stężałą twarz. Ten bydlak uprowadził jej syna. Quinn nie był pewien jej reakcji.

- Umowa to umowa, nie? - rzuciła. To go chyba zadowoliło.

- Dobra. - Zamilkł i po chwili dodał: - Jest w Dorint. Tam, gdzie kiedyś wy.

- Dobrze się czuje? - spytała Orlando.

- Jak paczuszek - mruknął Tucker. Orlando chwyciła go za rękę. Przystanąli.

- Lepiej mnie nie wkurwiał.

- Nic mu nie jest. Durrie z nim siedzi. Powiedziałem mu, że dość mam tego gówniarza.

- Ty skurwysynu - syknęła Orlando przez zaciśnięte zęby.

- Orlando, nie! - powstrzymał ją Quinn.

Była gotowa go zabić, on zresztą też. Ale wokół byli ludzie. No i zawarli umowę.

Orlando znieruchomiała. Walczyła ze sobą przez kilka sekund, wreszcie odpuściła.

- Lepiej już idźcie - powiedział Tucker. - Długo tam nie zostaną.

TLR

Rozdział 42

W taksówce znowu zaczęło palić go udo. Zastanawiał się, czy to nie infekcja, ale w tej chwili i tak nic nie mógł na to poradzić.

- Kiedyś go zabiję. - Orlando powiedziała to tak cicho, że słyszał ją tylko on.

Kiwnął głową. Nie musiała mu mówić, o kogo chodzi. Widział to w jej oczach, kiedy Tucker odchodził cały, zdrowy i jak zwykle arogancki.

Kiedy dojechali na miejsce, wszedł do hotelu pierwszy i uważnie rozejrzał się w holu na wypadek, gdyby był tam Durrie. W recepcji jedna ze stojących za ladą młodych kobiet uśmiechnęła się na jego widok.

- Pan Bragg - powiedziała. - Nie wiedzieliśmy, że pan wróci. Zaraz sprawdzę rezerwację.

- Nie, nie. Ja tylko na chwilę.

- Rozumiem. - Spojrzała na niego pytająco.

- Szukam jednego z waszych gości. Starszego mężczyzny. Z małym chłopcem. Pożyczył mi książkę i chciałbym ją zwrócić przed wyjazdem.

- Amerykanin - powiedziała tamta. To nie było pytanie. To było potwierdzenie faktu, wiedzy, którą posiadała.

- Chyba tak.

- Pan Quinn. Quinn drgnął.

- Słucham?

- Pan Quinn - powtórzyła kobieta. - Z synem Garrettem.

Ten sukinsyn ukradł mu nazwisko. Na pewno bardzo go to rozbawiło. Ale był to również genialny ruch. Ze wszystkich nazwisk w świecie akurat na to Quinn na pewno by nie wpadł.

- Tak. Właśnie. Gdzie go mogę znaleźć? Recepcjonistka spojrzała na ekran monitora i wystukała

coś na klawiaturze.

- Pan Quinn dzisiaj się wyprowadza.

- Już go nie ma?

- Nie, jeszcze jest, ale za kwadrans przyjeżdża po niego samochód.

- Świetnie. Zaczekam na dole.

Podziękował jej i podszedł do Orlando, która czekała we wnętrzu przy windach. Powiedział jej, że Durrie jest na górze i poszukał telefonu. Mówiąc po niemiecku, poprosił o połączenie z działem obsługi gości. Potem było już z górki. Podał się za roztargnionego kelnera i chwilę później miał już numer pokoju Durriego. Wrócił do Orlando.

- Jadę na górę - powiedział. - Ty zaczekasz tutaj na wypadek, gdybyśmy się minęli.

- Chyba żartujesz - odparła.

- Pięć minut. Jeśli nie wrócę za pięć minut...

- Nie. Ty zaczekasz. Ja pojedę.

- Dobrze wiesz, że to kiepski pomysł. - Quinn niemal czuł bijący z niej gniew. - Pójdiesz tam i nie będziesz mogła trzeźwo myśleć. Daj mi chwilę na zajęcie pozycji, potem zadzwoń do hotelu i poproś, żeby połączyli cię z jego pokojem.

Orlando zawahała się i odparła:

- Idź. Tracisz czas.

Durrie mieszkał piętro wyżej niż on wtedy. W korytarzu było mniej drzwi. Apartamenty musiały być większe, pewnie dwupokojowe. Apartament Durriego był przy windach. Quinn przytknął ucho do drzwi. Z wnętrza dochodziły tylko dźwięki telewizora.

Drzwi zamykały się automatycznie, więc nie musiał nawet dotykać klamki. Zamiast tego wyjął z kieszeni pistolet i wycelował w zamek. Wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić.

Kiedy wypuścił powietrze, w pokoju zadzwonił telefon. Zacisnął palce na rękojeści pistoletu, czekając na odpowiedni moment.

Drugi dzwonek, potem trzeci.

Może już wyszli, pomyślał.

Czwarty dzwonek. I nic. Nikt nie odbierał.

Podniósł lufę. Piąty dzwonek. Cisza.

Włamać się tam i sprawdzić? Czy wrócić na dół?

Decyzję podjął za niego ktoś inny.

Drzwi się otworzyły, nagle i na oścież. Quinn cofnął się szybko i wycełował.

W progu stał Durrie z Garrettem w ramionach. Podtrzymywał chłopca lewą ręką, a w prawej miał nóż, którym delikatnie muskał jego kark. Zza paska spodni sterczał mu uchwyt pistoletu.

Quinn lekko opuścił broń. Gdyby zamiast noża Durrie trzymał w ręku pistolet, może zaryzykowałby strzał. Ale w tej sytuacji nie miał szans, bo ostrze zraniłoby Garretta.

- Straszny z ciebie kutas, Johnny - powiedział Durrie.

- Garrett, wszystko w porządku? - spytał Quinn. Chłopiec zerknął na niego przez ramię. Miał rozszerzone z przerażenia oczy, ale kurczowo obejmował ojca za szyję. Bez słowa ukrył twarz w zagłębieniu jego ramienia.

- Nic mu nie jest - powiedział Durrie. - Dlaczego miałoby coś być?

- Bo większość ojców nie wykorzystuje swoich synów jako tarczy.

- Oj! - zakpił Durrie. - Zabolało. A teraz zjeżdżaj.

- Nie mogę pozwolić ci odejść. Durrie parsknął śmiechem.

- Możesz mnie zatrzymać tylko w jeden sposób: zabijając chłopca. Wiesz? Jeśli ten nóż go zrani, zranisz go ty, twoja ręka. Naprawdę tego chcesz? Naprawdę myślisz, że ona by ci to wybaczyła?

- Puść go. Przecież nie chcesz, żeby coś mu się stało.

- I co zrobisz? Aresztujesz mnie?

- Dopilnuję, żebyś mógł spokojnie odejść.

- Jezu Chryste, przestań zachowywać się jak amator. Ruch w korytarzu przy windach. Biegła ku nim Orlando.

- Się masz, skarbie - rzucił Durrie. Odwrócił się, tak żeby zobaczyła nóż.

Przerażona Orlando stanęła jak wryta.

Quinn wiedział, że łudziła się nadzieją, że on się mylił, ale teraz miała przed sobą namacalny dowód. Durriego, swego dawno zmarłego kochanka. Żywego.

Zrobiła ostrożnie kilka chwiejnych kroków i przytrzymała się ściany.

- Ładnie wyglądasz - powiedział Durrie. - Dzieciak dobrze ci zrobił.

- D, proszę - szepnęła. - Puść go.

- D? - prychnął szyderczo Durrie. - Ma mnie ogarnąć nostalgia?

- Mamusia?

Garrett nie ucieszył się na jej widok. W jego głosie zabrzmiała oskarżycielska nutka.

- Pamiętaj, co ci mówiłem - warknął na niego Durrie. Chłopiec zawahał się i znowu przywarł do niego całym ciałem.

- Co mu powiedziałaś? - spytała Orlando.

- Nie twoja sprawa.

- Co mu powiedziałaś? - powtórzyła Orlando podniesionym głosem.

- Ciszej. Goście usłyszą. Chcesz, żeby nóż się ześlizgnął?

- Durrie, po co to wszystko? - powiedział Quinn. - To już koniec. Mamy te pudła. Te, które przywiozłeś z Tucke-rem do hotelu. Opuść sobie Durriemu stężoną twarz.

- Kurwa mać. Skróciłeś mnie na dziesięć melonów. Niech cię szlag!

- To już koniec.

Durrie wziął kilka oddechów, długich i gniewnych.

- Nie - odparł. - To dopiero początek.

- Nikt nie musi na tym ucierpieć.

- Słucham? - syknął Durrie. - Że niby co?

- Musimy się tylko uspokoić. Nikomu nic się nie stanie, nie ma powodu.

- Ja tego nie zacząłem. - Durrie przeniósł wzrok na Orlando. - Ty to zaczęłaś.

- O czym ty mówisz? - wykrztusiła Orlando. Durrie tylko pokręcił głową.

- Wychodzimy.

Zrobił krok w stronę wind, ale Quinn zaszedł mu drogę.

- Wyciągnij głowę z dupy i rusz się - warknął Durrie.

- Quinn - szepnęła Orlando.

Quinn spojrział na nią, a wtedy lekko pokręciła głową. Quinn niechętnie się cofnął.

- Dziękuję, Johnny - powiedział Durrie.

Poniósł Garretta w głąb korytarza. Ruszyli za nim. Chłopiec zerkał na nich ponad jego ramieniem. Oczy miał wilgotne, pełne strachu i niepewności.

Durrie zatrzymał się przed drzwiami windy.

- Możecie to nacisnąć?

Nie drgnęli z miejsca, ani on, ani ona. Durrie spojrział na syna.

- Może ty mi pomożesz? - Przykucnął. - Naciśnij ten ze strzałką w dół.

Garrett wyciągnął rączkę i nacisnął guzik. Winda nadjechała niecałą minutę później. Durrie wszedł do środka i odwrócił się.

- Pojedziemy. - Przesunął nóż trochę wyżej i ze złośliwym uśmiechem spojrział na Quinna. - A może Johnny zechce nam towarzyszyć? Wsiadaj, to może go wypuszczyć.

Quinn i Orlando zrobili krok do przodu, ale on pokręcił głową.

- Tylko on, myszko. - Wskazał pistolet w jego rękę. - A to lepiej zostaw.

Quinn podał pistolet Orlando.

- Masz coś jeszcze? - spytał Durrie.

- Nie.

- To wskakuj. - Odsunął się na bok.

Quinn wszedł do kabiny i zerknął na Orlando. W jej oczach zobaczył ten sam strach i przerażenie, jakie widział w oczach Garretta. Ale było tam coś jeszcze. Nienawiść, bezradność i wściekłość.

Drzwi się zamknęły i zniknęła.

Durrie postawił syna na podłodze. Ale zamiast nacisnąć guzik, przez chwilę stał bez ruchu. Potem złożył nóż, schował go do kieszeni i wyjął zza paska pistolet.

- Strasznie narozrabiałeś - rzucił zaskakująco lekko, niemal żartobliwie. - Początkowo nie wiedziałem, czy być z ciebie dumnym, czy się wkurzyć. Ale zważywszy na to, ile straciłem kasy, wybiorę chyba to drugie.

Quinn milczał.

- Ale dam ci szansę, Johnny. Będziesz mógł po sobie posprzątać, naprawić szkody i zapłacić za zdradę. Ot, poświęcisz się trochę dla moich chlebodawców. Twoja głowa powinna wystarczyć. Ale nie martw się, zabiję cię osobiście. Dość tych nawalanek. Nawet coś ci obiecuję. Po wszystkim Garrett wróci do mamusi.

- Ale mamusia jest zajęta - odezwał się chłopiec.

- Cicho. To rozmowa między dorosłymi. Garrett powoli kiwnął głową i oparł się o nogę ojca.

- Co mu powiedziałeś?

- Że mamusia nie ma czasu się nim zajmować i będzie teraz ze mną.

- Ale z ciebie sukinsyn - powiedział cicho Quinn.

- Lepiej, żeby już za młodu dowiedział się, co to zdrada. Byłem dla niego lepszym ojcem niż ty.

To Quinna zaskoczyło. Spojrzał na niego pytająco, ale Durrie tylko się roześmiał.

- Widziałem, jak umierałeś.

- Widziałeś to, co chciałeś zobaczyć.

- Widziałem, jak trafiają w ciebie kule.

- Nie, słyszałeś, jak trafiają w puste pudła. A widziałeś, jak podryguję na ziemi i jak z torebki pod kurtką tryska sztuczna krew. To wszystko. Nie widziałeś ran. Ortega dał ci w łeb, zanim zdążyłeś spojrzeć.

Ortega, trzeci członek zespołu. No jasne. On też musiał w tym siedzieć.

- Ale sprawdziłem puls. Nie było pulsu.

- Przestań, Johnny. Są dziesiątki środków, które zatrzymują pracę serca. Mnie bardziej martwiło to, czy Ortedze uda się ponownie je uruchomić. Na szczęście zaskoczyło, bo zdążył wstrzyknąć mi adrenalinę.

Quinn wiedział, że winda stała na tyle długo, że zdążyła się już zresetować i że można teraz pojechać zarówno w górę, jak i w dół. Szybko wyciągnął rękę i nacisnął guzik piętra wyżej. Winda ruszyła.

- Sprytnie - powiedział Durrie. - Ale to niczego nie zmieni.

Garrett odwrócił się i ukrył twarz w jego kurtce. Szlochał, lecz szloch był stłumiony.

- Powiedziałeś, że cię zdradziłem - odparł Quinn, puszczając ten komentarz mimo uszu. - Skąd ten pomysł?

- Nie wkurwiał mnie, Johnny.

- A ty nie oskarżaj mnie o coś, czego nie zrobiłem. - Quinn przekrzywił głowę. Nagle go olśniło. - Chodzi o Orlando, tak? Myślisz, że do czegoś między nami doszło. Nie doszło. Nigdy.

- Początkowo byłem ślepy - prychnął Durrie. - A z tego, co wiem, trwało to od lat. Zdradził was Meksyk.

- To było zwykłe zlecenie. Nic się tam nie wydarzyło. Przecież Orlando ci mówiła. Nie kłamała, do cholery!

Durrie parsknął śmiechem.

- O tak, udawałem, że jej wierzę, ale nie jestem głupi. Mieliście jeden pokój i nic się nie wydarzyło? Jasne, już to widzę. Od spania na podłodze brzuch nie rośnie.

Winda stanęła, otworzyły się drzwi.

- Zaraz - powiedział Quinn. - Myślisz, że Garrett jest moim synem?

- A czym? Zerznąłeś ją i zrobiłeś jej bachora. Quinn nie wierzył własnym uszom.

- Nigdy jej nie tknąłem. Garrett jest twoim synem.

- Przestań pieprzyć, Johnny. Tu nie ogólniak. Nie jestem idiotą.

Drzwi zaczęły się zamykać. Quinn zatrzymał je ręką, wcisnął guzik STOP i stanął w progu tyłem do wyjścia.

- Co ci to da? - spytał Durrie.

- Chwilę czasu na rozmowę. Garrett nie próbował już tłumić płaczu.

- Przestań - warknął Durrie.

Chłopiec zapłakał jeszcze głośniejsze. Durrie zerknął na Quinna.

- Powiedz temu szczyłowi, żeby się zamknął.

- Garrett - powiedział łagodnie Quinn. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Chłopiec nie odpowiedział, ale płacz przeszedł w ciche szlochanie.

- Nic między nami nie zaszło - ciągnął Quinn. - Nigdy. Nie widziałem jej przez cztery lata.

- No widzisz, jaki z ciebie ojciec? Quinnowi zwięziły się oczy.

- Gdybym był jego ojcem, nigdy bym mu tego nie zrobił.

- Nie miałeś wyboru. Ja umarłem i pewnie myślałeś, że Orlando będzie cała twoja. Ale się pomyliłeś, prawda? Kiedy mnie zabrakło, nie mogła sobie poradzić sama ze sobą, z tym, że jesteście razem. Pewnie uciekła, nie mówiąc ci, dokąd jedzie, co? - Durrie roześmiał się głośno. - Trzeba umieć myśleć jak kobiety. W tym wciąż jestem lepszy od ciebie.

Quinnowi chciał krzyknąć: „Nieprawda!”, ale nie mógł otworzyć ust.

- Chcesz znać prawdę, Johnny? Gównu mnie obchodziło, co z nią robiłeś. Cholera, oddałeś mi nawet przysługę, bo pokazałeś mi, kim ta dziwka naprawdę jest. Powiem ci, co mnie wkurwiło. Ty. Ustawiłem cię. Dałem ci wszystko, czego potrzebowałeś. Wyszkolenie, doświadczenie, kontrakty. Ale tobie to nie wystarczyło, prawda? Miałeś swoje poletko, ale musiałeś zaorać i moje.

- Bzdura. Nigdy nie żądałem od ciebie więcej, niż chciałeś mi dać.

- Obgadywałeś mnie. Obwiniałeś za wszystkie głupoty, drobne błędy, które mogły przydarzyć się każdemu. Zacząłem tracić zlecenia. Ci z Biura przestali do mnie dzwonić. A do kogo zaczęli?

Nie, to niemożliwe, pomyślał Quinn. To nie dzieje się naprawdę. Durrie bredził. Jego urojenia były tak skomplikowane i spójne, że nie sposób było z nimi walczyć.

- Ty - ciągnął Durrie - ty miałeś wszystko, tak jak sobie zaplanowałeś. Ale chciałeś więcej, prawda? Coraz więcej i więcej. Gdybym żył, mógłbym wam przeszkadzać.

- Nie.

- Więc spiknąłeś się z tymi z Biura i poprosiłeś, żeby ci pomogli. Peter nie mógł się już doczekać, żeby się mnie pozbyć.

- Nie, to nieprawda.

Durrie wykrzywił usta w uśmiechu.

- Wiem, że ustawiłeś tę robotę, tę w San Francisco. Chciałeś mnie zlikwidować. Ale cię zaskoczyłem. Umarłem, zanim ta twoja idiotyczna pułapka zdążyła się zatrzasnąć.

- Wszystko przekręcasz. Nie było żadnej pułapki. Nikt nie chciał cię zabić. Peter nie chciał nawet, żebyś tam jechał.

- Nie zapomniałem. Takiej zdrady się nie zapomina. Jasne, na parę lat musiałem przywarować. Ale potem powoli wróciłem, planując, czekając na okazję doskonałą. Kiedy nadeszła, byłem gotowy.

- Bioterroryzm? To ta okazja?

- Kurwa, było mi wszystko jedno. Równie dobrze mógłbym ukraść ciężarówkę z papierem toaletowym. Musiałem tylko was sobie poustawiać.

- Biuro - zrozumiał Quinn. - Mnie. - Zrobił pauzę. - Orlando.

- Największym problemem była ta suka. Po San Francisco przez dwa lata byłem zupełnie sam, bez kontaktu z ludźmi z branży. Nie odzywałem się do nikogo. Musiałem mieć pewność, że wszyscy uwierzą w moją śmierć. I kiedy ponownie wypłynąłem na powierzchnię, już jej nie było. Mało brakowało, a wysłałbym za nią kogoś, ale się powstrzymałem. Miałem większe plany. Nie mogłem ryzykować, że przypadkiem coś zwęszy. Dlatego musiałem czekać i wykorzystać mniej... jawne metody. Chyba to rozumiesz, prawda?

Kolejna maksyma Durriego: nigdy nie ryzykuj dekonspiracji, chyba że nie masz wyjścia.

- Trochę to trwało, ale w końcu ją znalazłem. Aż w Wietnamie, w mieście Ho Chi Minha, ale znalazłem.

- Tucker? - spytał Quinn. Durrie parsknął śmiechem.

- Piper - odparł z zadowoloną miną. - Nie wiedział, że dla mnie pracuje. Gdyby wiedział, nie byłby taki chętny. Wysłałem z nim Leo, żeby miał go na oku. Ale i tak nie zdołali jej namierzyć. Jasne, mogli narobić hałasu i ją wypłoszyć. Ale wtedy znówu dałaby nogę. Dlatego wymyśliłem coś lepszego.

Quinn patrzył na niego, domyślając się, co zaraz powie i nie chcąc tego słyszeć.

- Chociaż się ze sobą nie kontaktowaliście - ciągnął Durrie - nie miałem wątpliwości, że wiesz, gdzie jej szukać. Dobrze cię znam, Johnny, znam cię na wylot. Nie wytrzymałbyś, nie wiedząc, dokąd wyjechała. Nie miałem

również wątpliwości, że jeśli cię trochę przycisnę, od razu do niej pobiegniesz. - Zrobił pauzę. - A gdzie ty jesteś, Johnny, zawsze dobrze wiedziałem. Przez cały czas miałem cię na oku.

Quinn czuł, jak narasta w nim gniew, ale szybko go stłumił.

- Dlatego pewnego dnia wynająłeś Gibsona i złożyłeś u niego specj'alne zamówienie.

Durrie uśmiechnął się z aprobatą.

- Miał zachęcić cię do wyjazdu z Los Angeles. Kiedy przyleciałeś do Wietnamu, przejął cię Leo. Musiał cię tylko śledzić. Biedny Piper wciąż nie wie, że ją znaleźliśmy.

Winda zadzwoniła, skarżąc się, że musi tak długo czekać na zamknięcie drzwi. Garrett głośno szlochał, oddychał coraz szybciej i gwałtowniej.

- Pora podjąć decyzję - powiedział Durrie. - Posprzątasz po sobie? Czy Garrett zostanie ze mną?

Nagle Quinn wyczuł czyjąś obecność. Blisko, po lewej stronie, tuż za drzwiami windy. Obojętnym gestem wyciągnął rękę, jakby musiał się o coś oprzeć.

- Wypuścisz go tu i teraz, i pojedę z tobą - powiedział, gdy ukrytej za drzwiami ręki dotknęło coś metalicznego.

Durrie znowu się roześmiał.

- Chyba pobędzie z nami trochę dłużej. Quinn uniósł palce i nakrył metal dłonią.

- Nie, wypuść go teraz. Durrie wycelował mu w głowę.

- Teraz to wrócisz do windy.

Quinn zawahał się i wszedł do kabiny z lewą ręką za plecami. Garrett wciąż stał tyłem do niego.

Kiedy Durrie pochylił się, żeby odblokować drzwi i nacisnąć guzik jazdy w dół, Quinn błyskawicznie wyciągnął wolną rękę, chwycił chłopca za ramię i nie zważając na jego przeraźliwy krzyk, wypchnął go z windy.

Durrie szybko się odwrócił, ale on już był przy nim, na nim, już z głuchym stukotem przygniótł go do ściany. Drzwi się zamknęły i winda ruszyła w dół.

Próbując go odepchnąć, Durrie podniósł kolano i chwycił pistolet. Ale Quinn już w niego celował.

- Zostaw - powiedział.

Mimo ostrzeżenia Durrie podniósł broń. Quinn kopnął go, trafiając w lufę w chwili, gdy Durrie pociągnął za spust. Kula przeleciała tuż nad głową i przebiła ścianę.

- Nie chcę cię zabić! - krzyknął Quinn.

Durrie wypalił jeszcze raz, ale on i tym razem zdołał zmienić trajektorię pocisku.

- Przestań, do cholery! - wrzasnął.

Durrie znowu wymierzył. Tym razem Quinn stał za daleko. Nie zdążyłby zareagować. Nie miał wyboru.

Krzycząc z gniewu i frustracji, pociągnął za spust. W przeciwieństwie do pistoletu Durriego jego broń była bez tłumika. Na chwilę ogłuszył go huk wystrzału.

Nie musiał strzelać po raz drugi.

Rozdział 43

Wydostał się z hotelu bez żadnych kłopotów, wystarczyło, że z pochyłą głową wysiadł, kiedy tylko winda zatrzymała się na parterze. Kilku pracowników hotelu spojrzało w jego stronę, zastanawiając się pewnie, co to za dziwny hałas. Ale ciało Durriego zasłaniała ścianka oddzielająca windy od reszty holu. Poza tym odchodząc, słyszał, jak zamykają się drzwi, co jeszcze bardziej ułatwiło mu ucieczkę.

Zaczekał w markecie po drugiej stronie ulicy, skąd dobrze widział zarówno wejście główne, jak i to dla obsługi. Kilka minut później tym drugim wyszła Orlando z Garrettem.

Bez zapowiedzi wstąpili do doktora Garbera. Nie był zachwycony, ale wprowadził ich do gabinetu. Opatrzył mu rany i na wszelki wypadek dał antybiotyki. Potem dokładnie zbadał Garretta i stwierdził, że chłopiec jest cały i zdrowy.

Kiedy skończył, Quinn poprosił go, żeby zostawił ich na chwilę samych. Garrett siedział u matki na kolanach. Wciąż był wobec niej trochę nieśmiały, ale zaczynał się już uśmiechać. Durrie był z nim za krótko, żeby zrobić trwałą krzywdę.

Quinn wmawiał sobie, że tak jest.

- Dzięki za pistolet.

Chwilę trwało, zanim Orlando zrozumiała, o czym mówi.

- Przestań. Nic innego nie przyszło mi do głowy. - Podniosła wzrok. - Nie podziękowałam ci jeszcze za syna, prawda?

- I nie dziękuj. Gdyby nie ja, do niczego by nie doszło. Orlando pokręciła głową i położyła mu rękę na ramieniu.

- Dziękuję.

Dotyk był bardzo miły, ale trwał krótko.

- Pożyczysz mi telefon? Zadzwoił do Kreta.

- Już po wszystkim - powiedział.

- Skończyło się... dobrze... czy źle? - spytał tamten.
 - Dobrze.
 - Co... z chłopcem?
 - Jest bezpieczny.
 - W takim razie... nie muszę już nigdzie... dzwonić.
 - Nie. Ale chciałbym, żebyś wysłał tę próbkę Peterowi. Próbkę i wyniki waszych badań.
 - Oczywiście.
- Potem zadzwonił do Biura. Opowiedział wszystko Peterowi i dodał:
- Wyślę ci płytkę z filmem. Nagranie Jansena. Dostaniesz również próbkę tkanki, którą będziecie mogli wykorzystać do badań porównawczych. Niektórzy źle ocenili sytuację. Ta próbka i reszta skażonych cukierków, które Nate zawiózł do ambasady, powinna dać im trochę do myślenia.
 - Chyba tak - zgodził się z nim Peter.
 - Jansen twierdzi, że była to operacja HFA. Ktoś powinien się nimi zająć.
 - Przekażę komu trzeba. Quinn ciężko westchnął.
 - Musisz wyciągnąć Nate'a.
 - Myślałem, że już mnie nie potrzebujesz.
 - Peter, jestem za bardzo zmęczony, żeby się kłócić. Po prostu wyciągnij go, dobra?
 - Zobaczę, co da się zrobić.
 - Co z Murrayem?
 - Został przeniesiony na inne stanowisko. W sumie to awansował. Pracuje teraz w ambasadzie w Singapurze. Spory tam ruch. Będzie miał dużo roboty.
 - Dzięki.
 - Za to Burroughs nie skacze z radości.
 - Na pewno rzucisz mu jakąś kość.

Nazajutrz rano był reportaż w telewizji. W Berlinie wykryto i zdławiono w zarodku spisek terrorystyczny. Szczegółów nie podano. Najmniej zasko-

czyło Quinna to, komu przypisano zasługę za unieszkodliwienie terrorystów.

- NATO wyraża głębokie zadowolenie, że nasze wysiłki doprowadziły do uniemożliwienia próby przeprowadzenia zamachu terrorystycznego - mówił Burroughs. Stał na podium przed lasem mikrofonów. Quinn nie widział jego nóg, ale dawał głowę, że stopa jednej z nich jest w gipsie. -Dziś po południu lecę do Waszyngtonu, żeby osobiście poinformować o wszystkim prezydenta...

Noc spędzili w małym hotelu, którego właścicielem był znajomy doktora Garbera. Quinn spał źle, niespokojnie. Jego mózg wciąż pracował na pełnych obrotach, odtwarzając wydarzenia poprzedniego dnia. Ich skutki czasem się zmieniały, pokazując mu, jak niewiele brakowało i mógłby wszystko stracić.

Przy śniadaniu prawie nie rozmawiali. Mówili niewiele już poprzedniego dnia, po wyjściu od Garbera. Właśnie kończyli jeść, gdy w kieszeni Orlando zadzwoniła komórka. Odebrała i podała mu telefon.

- Peter.

- No? - rzucił, przytknąwszy aparat do ucha.

- Wypuszczają Nate'a. Za dziesięć minut będzie pod Bramą Brandenburską.

Taksówką dojechali tam w kwadrans. Nate już tam był, stał samotnie na chodniku. Na widok Garretta pojaśniały mu oczy.

- Cześć, mały.

Chłopiec ukrył się za nogami matki, gdy ta objęła Nate'a na powitanie.

- Cieszę się, że cię widzę.

- A ja, że jeszcze mnie widzicie.

- I jak było? - spytał Quinn.

- Nie chciałbym robić tego codziennie - odparł Nate. -Początkowo wzięli mnie chyba za wariata. Ale pewne słowa i zwroty zawsze skutkują. Terrorysty. Broń biologiczna. Zagrożenie jądrowe...

- Zagrożenie jądrowe?

- Chryste, był tam taki jeden. Za nic nie chciał mi uwierzyć. Chciał otworzyć pudła i zobaczyć te cholerne mię-tówki. Tam, na miejscu, w ambasadzie. Inaczej bym go nie powstrzymał.

- Dobrze cię traktowali?

- Odkąd tu jestem, bywałem w gorszym towarzystwie.

- Cieszę się, że nic ci nie jest - powiedziała Orlando. -Martwiłam się.

- Przestań, zupełnie niepotrzebnie - odparł Nate. -Jestem teraz zawodowym zakładnikiem.

Orlando posłała mu uśmiech. Zerknęła na Quinna, stanęła na krawężniku i podniosła rękę.

- Taxi!

Kilka sekund później zatrzymał się przy nich mercedes.

- Dokąd jedziesz? - spytał Quinn.

- Muszę zabrać Garretta do domu. - Położyła rękę na ramieniu syna. - Chciałam tylko sprawdzić, czy z Nate'em wszystko w porządku.

Quinn był zaskoczony. Miał nadzieję, że Orlando opowie mu coś więcej, że trochę porozmawiają.

- Nie mogliśmy... Myślałem, że... - Nie mógł dokończyć zdania.

Ale ona wyczuła go i tak.

- Daj mi trochę czasu - powiedziała. - Muszę pobyć z synem. - Zawahała się. - Dam ci znać, kiedy będę gotowa.

- Jasne. Rozumiem.

Pomogła Garrettowi wsiąść do taksówki, potem znowu uściskała Nate'a.

- Poradzisz sobie. Słuchaj Quinna. W dziewięćdziesięciu przypadkach na sto dobrze radzi.

Kiedy odwróciła się do Quinna, ten nie bardzo wiedział, co zaraz zrobi. Dlatego wyciągnął do niej rękę. Orlando uścisnęła mu dłoń, przyciągnęła go bliżej i objęła. Pocałowała w policzek. Miętko, czule. Miał ochotę muśnąć ustami jej usta, z trudem się powstrzymał. Zrobiła krok do tyłu i patrzyła na niego przez chwilę. Myślał, że coś powie. Ale ona nie powiedziała nic. Wsiadła do taksówki i odjechała.

Patrzył, jak samochód przejeżdża pod Bramą Brandenburską i znika w Tiergarten.

Na twarz spadło mu coś mokrego. Podniósł głowę. Niebo było pokryte chmurami i zaczynał padać śnieg.

Po plecach przeszedł mu dreszcz. Spojrzał na Nate'a.

- Byłeś na Hawajach?

TLR

PODZIĘKOWANIA

Parafrazując Johna Donne'a, żaden pisarz nie jest samotną wyspą. Choć autorzy dużo pracują sami, w ostatecznej wersji ich dzieła udział ma wielu. Ta książka nie jest wyjątkiem.

Dziękuję Jonowi Riverze, Kathy Karner, Ann Epstein--Cohen, Pam Epstein-Cohen, Patty Kiley i Jeremy'emu Quayhacksowi za dobre uczynki wykraczające daleko poza ramy zwykłej przyjaźni. Dziękuję również tym, których sugestie i spostrzeżenia przewijają się na kartach mojej książki: Derekowi Rogersowi, Brianowi Perry'emu, Kenowi Freemanowi, Eloise Freeman i Allison Stuart. Dziękuję Tammy Sparks, Theresie Imback, Dawnowi Butlerowi, Darrenowi Battlesowi, Markowi Paolettiemu, Janet Joe, Jean Galbraith, Aki Noricie, Hunterowi Asheyowi, Bruce'owi Lambertowi i Rancjuel Rancier, którzy dzielnie stawili czoło wersji roboczej powieści, dzieląc się ze mną opiniami i zachęcając mnie do dalszej pracy. Za to samo dziękuję pisarkom J.T. Ellison, Sandrze Ruttan i J.B. Thompson. Pisarzom Johnowi Ramseyowi Millerowi i Johnowi Gilstrapowi dziękuję za bezcenną pomoc i radę. Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo doceniam waszą bezinteresowność.

Za porady medyczne mam dług wdzięczności u dr. Phila Hawleya, Juniora. Mam również dług u Andreasa Kanonen-berga oraz u Christiane Freuss-Turgel, którzy pomogli mi w kwestiach lingwistycznych. Szkoda, że nie mogę obarczyć ich winą za błędną terminologię medyczną i fatalną niemiecczyznę. Niestety, wina jest tylko moja.

Gdyby nie poniżej wymienieni, książka ta wciąż leżałaby w pudle na dnie szafy. Nathanowi Walpowi dziękuję za to, że nieoczekiwanie mnie komuś przedstawił; Jimowi Pascoe i Tomowi Fassbenderowi z Ugly Town za to, że najpierw zaryzykowali, a potem załatwili mi przeniesienie do rodziny

Bantam Dell; Danielle Perez za to, że jest cudowną redaktorką, przyjaciółką i prawdziwą mistrzynią; Nicie Taublib za entuzjastyczne wsparcie od chwili, gdy po raz pierwszy przeczytała maszynopis. Dziękuję również mojej agentce Anne Hawkins, która stała się moją przewodniczką i największą fanką - to zdumiewające, czym może zaowocować przypadkowe spotkanie.

Na koniec chciałbym wymienić cztery osoby, które zasługują na wyjątkowe uznanie. Mojego mentora i przyjaciela Billa Rellinga, który dał mi więcej, niż mógłbym zamarzyć. Bardzo żałuję, że nie ma go już wśród nas i że nie doczekał rezultatów swojej pracy.

Oraz Ronana, Fionę i Keirę: każde z was jest kimś więcej, niż mógłbym oczekiwać tego ja czy jakikolwiek inny ojciec.

TLR